

LUCYNA
OLEJNICZAK

Czy dziś, czy kiedyś
ludzkie emocje są
tak samo gorące.



LILIE

KRÓLOWEJ

SAGA ŚREDNIOWIECZNA

TOM II

WIEDZMY

Prószyński i S-ka

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

LUCYNA
OLEJNICZAK

❖ LILIE ❖
KROLOWEJ
SAGA ŚREDNIOWIECZNA

TOM II

W I E D Ź M Y

Prószyński i S-ka

Copyright © Lucyna Olejniczak, 2022

Projekt okładki
Luiza Kosmólska

Zdjęcie na okładce
© Malgorzata Maj / [Trevillion Images](#)

Redaktor prowadzący
Anna Derengowska

Redakcja
Ewa Witan

Korekta
Katarzyna Kusojeć
Maciej Korbasiński

ISBN 978-83-8295-408-1

Warszawa 2022

Wydawca
Prószyński Media Sp. z o.o.
02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28
www.proszynski.pl



Część pierwsza

WYGNANIE

ROZDZIAŁ PIERWSZY

OKOLICE ROŻNOWA, MARZEC 1391

Skrzypienie wozu przyprawiało Amalię o ból głowy.

Podróż ciągnęła się bez końca, spowalniana przez błoto pokrywające większość dróg. Koła grzęzły w nim aż po osie i trzeba było siły kilku pacholców, żeby je stamtąd co rusz wyciągać. Same konie nie dawały rady.

Amalia przycisnęła osłonięte rękawiczkami dłonie do głowy, ale nie przyniosło to dużej ulgi. Wciąż pulsowało jej w skroniach. A nastrój, odkąd tylko opuścili Kraków, był równie ponury jak marcowa aura. Nie tak wyobrażała sobie podróż do zamku swojego męża. Nie marzyła wprawdzie o królewskim powozie czy też zdobnej lektyce, nie była już tak naiwna, jednak widok załadowanego po brzegi kupieckiego wozu, nakrytego płócienną budą, niemile ją zaskoczył. W pierwszej chwili pomyślała nawet, że to wóz jakiegoś dostawcy, kiedy jednak Zbigniew grzecznie, lecz stanowczo nakazał jej wspiąć się na górę, dotarła do niej przykra prawda. A wszelkie wątpliwości zniknęły, gdy wśród pakunków zauważyła swoje rzeczy osobiste. Między innymi ozdobnie toczony drewniany pulpit, подарowany jej przez Jadwigę, aby mogła przy nim czytać tak, jak to robiła wcześniej na Wawelu.

Tak, ona, do niedawna dwórka królowej, a teraz małżonka możnego pana na Rożnowie, miała podróżować zwykłym, niemal cygańskim wozem.

– Skromność i oszczędny tryb życia to dewiza mojego rodu – zaznaczył Zbigniew już przy pierwszym ich spotkaniu na Wawelu. – Rozrzutność jest grzechem.

No cóż, nie były to czcze przechwałki. Wprawdzie jej mąż nie oszczędzał na swoich rasowych koniach, psach myśliwskich, sokołach i sprowadzanych specjalnie z Burgundii zbrojach, zachowywał jednak podziwu godną wstrzeźliwość, gdy chodziło o wydatki, które nie wiązały się z jego pasją do wojny i polowania.

Czyli na wszystko inne.

„Zawsze mogłaś trafić gorzej” – powtarzały jej inne dziewczęta, ale w tych słowach pocieszenia czały się wyrazy współczucia. Naturalnie mogła trafić gorzej. Mildę wypędzono niemal na ulicę. A ona miała zostać panią na zamku – o takiej przyszłości marzyły pewnie wszystkie dwórki. Niemniej jednak swoje małżeństwo Amalia wciąż traktowała jako rodzaj wygnania.

Nawet Jadwiga zdawała się jej żałować. Podczas pożegnania na Wawelu unikała wzroku młodej mężatki. Wprawdzie zeszła na dziedziniec, aby ją odprowadzić do bramy, ale chyba wciąż czuła smutek i żal bijące od Amalii. Być może miała sobie za złe, że nie potrafiła obronić jej przed żądnymi krwi medykami i przedstawicielami kleru. Jedynym, co udało jej się zrobić dla przyjaciółki z dzieciństwa, było korzystne małżeństwo. Zawsze lepsze od więzienia czy wygnania w niesławie. Wybroniła obie swoje ukochane dwórki, swoje królewskie lilie, o ile mogła i o ile pozwalała jej pozycja.

– Amalio – powiedziała cicho, podchodząc do niej z wyciągniętymi ramionami, kiedy ta była już gotowa do drogi i czekała ubrana w elegancki zielony płaszcz z futrzanym kołnierzem, w sobolowej czapce.

Najwidoczniej nie chciała się z nią zegnać sztywno, zgodnie z etykietą, jak z kimś obcym. Amalia była częścią jej szczęśliwego dzieciństwa, wierną przyjaciółką i powierniczką. Musiała też zdawać sobie sprawę, że ta sytuacja odbije się również na niej. Zostanie sama, otoczona ludźmi, z którymi nie łączyły jej żadne serdeczne więzi. Którzy szpiegowali ją, obmawiali za plecami, jednocześnie udając oddanie i przyjaźń.

– Amalio – powtórzyła, przygarniając dziewczynę do siebie. – Obiecuj mi, że będziesz szczęśliwa. I wysyłaj mi wiadomości o sobie. Chcę wiedzieć o wszystkim, co będzie się z tobą wiązało. A gdybyś czegokolwiek potrzebowała, pamiętaj, że nigdy nie przestanę być twoją przyjaciółką.

Amalia wtuliła się w miękki płaszcz królowej, z trudem panując nad łzami.

– Będę pamiętać – wydusiła ze ściśniętego gardła. – Żegnaj, Hedwig. Ty też bądź szczęśliwa, Najjaśniejsza Pani.

Przed wyjazdem Jadwiga zapewniła ją jeszcze, że nie pozwoli, aby Mildzie stała się krzywda, a Szymka pośle na studia do Italii. Chciała, by

po powrocie chłopak odegrał znaczną rolę w jej planie wskrzeszenia Akademii Krakowskiej.

To nie mogło jednak rozproszyć wszystkich obaw i trosk Amalii. Kiedy wóz przekroczył już bramę wyjazdową Wawelu, starała się nie oglądać za siebie. Wartownicy oddali jej honory, jak kilka tygodni wcześniej Mildzie, i wóz, turkocząc na kamiennym podjeździe, potoczył się w dół, do miasta.

Amalia spojrzała w kierunku Kazimierza, gdzie znalazła swoje miejsce Milda, która zamieszkała i pracowała u praczki. Raz odwiedziła ją, jeszcze przed swoim ślubem, mając nadzieję, że przyjaciółka będzie mogła wziąć w nim udział. Niestety, z chwilą opuszczenia murów Wawelu obie miały zakaz powrotu w to miejsce, nawet na chwilę. Mogły się tam pojawić tylko na wyraźne polecenie królowej i jej małżonka, a tego na razie nie należało się spodziewać. Ze ściśniętym sercem patrzyła na skromne warunki, w jakich znalazła się przyjaciółka, na jej czerwone już od prania dłonie, i w duszy przysięgła sobie, że zrobi wszystko, aby oczyścić i ją, i siebie z niesłusznych zarzutów. Obie przyrzekły sobie wzajemną pomoc i siostrzaną miłość na zawsze. Milda również zamierzała odkryć prawdę o śmierci ojca Alberta, a pozostawszy w mieście, miała większe szanse, żeby prowadzić na miejscu swoje dochodzenie. Amalia natomiast miała nadzieję, że przysły małżonk w tym pomoże.

Wyglądał na surowego, ale sprawiedliwego człowieka.

Pierwsze wrażenie nie było złe.

Tamtego październikowego poranka, kiedy zeszła na dół po niekończących się zamkowych schodach, zastała go w świetlicy w obecności Jadwigi. Przyklęknął na jedno kolano, głowę miał opuszczoną – bez hełmu, który trzymał pod pachą. Gdy lekko ją uniósł, aby spojrzeć na wchodzącą Amalię, ta dostrzegła, że rycerz Zbigniew nie dość, iż ma przyjemną powierzchowność, to jeszcze wydaje się człowiekiem poważnym i pełnym godności.

Mogła więc odetchnąć z ulgą. Wbrew powtarzanej przez innych opinii jej przysły małżonk wcale nie okazał się szkaradnym starcem – wręcz przeciwnie, był przystojnym mężczyzną o gładkiej powierzchowności. Jego blond włosy, z wyraźnie rudawym odcieniem, okalały miękkimi pasmami

wyrazistą twarz o mocnym, stanowczym podbródku i spływały mu na ramiona. Błękitne, bardzo jasne oczy wpatrywały się w nią z powagą i jakimś nieokreślonym smutkiem.

– Podejź bliżej, Amalio – poleciła Jadwiga, dając równocześnie znak rycerzowi, żeby powstał z kolan. – Przedstawiam ci pana Zbigniewa z Roźnowa, syna Bolesława, rycerza króla Władysława i twojego przyszłego męża.

Mężczyzna skrzywił się nieznacznie, widać nieprzyzwyczajony, żeby przedstawiano go kobiecie. Kolejność powinna być inna, ale z królową się nie dyskutuje. Szybko przywołał na twarz najmiłszy uśmiech, na jaki pewnie mógł się zdobyć w takiej sytuacji, i uklonił się nisko, tym razem przed Amalią.

– Czuję się zaszczycony – powiedział, patrząc na nią z wyraźnym zadowoleniem. – Opowieści o waszej urodzie, pani, nie były ani trochę przesadzone. Wprost przeciwnie, rzeczywistość okazuje się jeszcze piękniejsza.

Dziewczyna zaczerwieniła się na taki komplement, chociaż zdawała sobie sprawę, że to tylko czcza formułka, wygłoszona przez dobrze wychowanego mężczyznę. Mimo wszystko było to miłe. Dygnęła bez słowa, unosząc przy tym delikatnie skraj sukni.

Podczas obiadu, który wydano niedługo później w głównej sali jadalnej Jadwigi, Zbigniew wciąż zagadywał do siedzącej obok Amalii. Wyglądało na to, że naprawdę jest nią zauroczony. Ona zaś była spięta i przepełniały ją sprzeczne uczucia. Rycerz z Roźnowa miał ogładę, przyjemny wygląd i miły głos, niemniej wciąż był dla niej całkowicie obcym mężczyzną i jakoś nie mogła przywyknąć do myśli, że już niedługo stanie się niejako jego własnością.

Z bliska dostrzegła, że jest starszy, niż na pierwszy rzut oka się wydawało. Zdradzała to siateczka drobnych zmarszczek wokół oczu i wyraźnie zarysowujące się bruzdy po obu stronach jego kształtnych ust. Mógł mieć około trzydziestu lat, może mniej, może trochę więcej. Prędzej czy później Amalia się tego dowie. Teraz najważniejsze było, że zrobił na niej w miarę pozytywne wrażenie. Żałowała, że nie ma z nią Mildy, która dobrze znała się na ludziach i niemal na pierwszy rzut oka potrafiła rozpoznać ich prawdziwą naturę. Ale jej tu nie było. Nie było też Szymka... Serce ścisnęło jej się na wspomnienie chłopaka. Jedyłą pociechę

stanowiła dla niej wiadomość, że dzięki królowej będzie miał szansę się wybić.

Przygotowania do ślubu trwały krótko, królowa nalegała, żeby odbył się na Wawelu, a Zbigniew chciał jak najszybciej zabrać żonę do swojego zamku. Zbyt długo przebywał z wojskami króla poza domem. Jako odpowiedzialny gospodarz chciał już być na miejscu, żeby przekonać się osobiście, czy służba zadbała należycie o wszystko podczas jego nieobecności. Zresztą zamek potrzebował nie tylko jego, ale i kobiecej ręki.

Sam ślub oraz wesele były dla dziewczyny ciągiem głośnych, męczących wydarzeń. Nie tak to sobie wyobrażała, chociaż Jadwiga postarała się, żeby było hucznie i wystawnie. Poza uroczystą ceremonią w katedrze Zbigniew nie poświęcał Amalii zbyt wiele uwagi, a w trakcie uczyty weselnej bardziej był zajęty rozmowami z możnymi panami i samą królową niż swoją żoną. Tylko w tańcu ścisnął ją mocno, odrobinę za mocno, szepcząc do ucha, że już nie może się doczekać, kiedy wreszcie znajdą się sami w komnacie.

Podczas nocy poślubnej był brutalny.

Inaczej sobie to wszystko wyobrażała. W romansach z zamkowej biblioteki małżonkowie umierali niemal z rozkoszy, a następnego ranka czuli się szczęśliwi, jakby otworzyły się przed nimi bramy raj. Niczego takiego nie doświadczyła. Nikt jej wcześniej nie przygotował na to, co miało się wydarzyć, była więc przestraszona, zawstydzona i obolała. Doszła jednak do wniosku, że twardy, zaprawiony w bojach mężczyzna nie będzie wygłaszał na jej cześć sonetów ani grał na lutni. Wybaczyła mu to zachowanie rano, kiedy z uśmiechem objął ją zaraz po przebudzeniu i z czułością ucałował w czoło.

– Byłaś cudowna, moja słodka – szepnął, odgarniając czule jej włosy z twarzy. – Dziękuję ci, moja żono.

Bała się trochę, że będzie chciał powtórzyć nocne zmagania, ale szybko wyskoczył z łóżka i zaczął się przeciągać z zadowoleniem.

– Zaraz przyjdzie dziewczyna, żeby pomóc ci się ubrać, a po śniadaniu ruszamy do domu – oznajmił.

– Przecież sama mogę...

– Moja droga żono – przerwał jej szybko. – Królowa przydzieliła ci służkę, nie możesz przecież robić władczyni przykrości. Poza tym jesteś teraz możną panią. Nie sądzisz chyba, że pozwolę ci na zachowania, jakie

przystoją zwykłej dwórcy? Chcę dla ciebie tylko tego, co najlepsze. Pamiętaj o tym.

Wjechali do lasu.

Poznała to po szuraniu gałęzi, ocierających się o płócienny dach, a także po dobiegających z zewnątrz zapachach, bo widok miała całkowicie zasłonięty – spoza pleców woźnicy i rozkołysanych końskich zadów dostrzegła tylko kawałek gościńca z przodu. Droga stała się jeszcze gorsza, śliskie od deszczu kamienie i glina sprawiały, że musieli coraz to przystawać, żeby wyciągać koła wozu z głębokich, wypełnionych wodą kolein.

Jedynym stworzeniem, które wydawało się zadowolone z tej wyprawy, był Platon, pies podarowany jej kiedyś przez Szymka. Od chwili, kiedy chłopak znalazł drobnego, przestraszonego szczeniaczka, kulącego się z zimna i strachu w Bramie Świętego Floriana, upłynęło już sporo czasu i z zabiedzonych kulki zmierzwionych kłaków wyrósł spory, chociaż absolutnie nierasowy pies. To ostatnie przeszkadzało Zbigniewowi, który chlubił się sforą swoich pięknych chartów oraz wyżłów i zupełnie nie rozumiał, po co trzymać zwykłego kundla. Sprzeciwiał się zabraniu psa do zamku, ale w obronie zwierzaka stanęła sama królowa. Przekonała rycerza, że zyska w ten sposób wiernego przyjaciela i obrońcę dla swojej żony, kiedy sam będzie wyjeżdżał na wojenne wyprawy. W takiej sytuacji nie pozostało mu nic innego, jak tylko się zgodzić.

Według Szymka w rodowodzie Platona znalazły się chyba wszystkie rasy psów. Miał piękną złotą bujną sierść, potężny łeb i sterczące uszy, upodabniające go do nietoperza. Krzywe, zdecydowanie za krótkie w stosunku do całej sylwetki łapy ujmowały mu wzrostu. Gdyby nie to, byłby naprawdę olbrzymi. Wyglądał groźnie, ale uśmiech miał najzyczliwszy na świecie. Kiedy pokazywał zęby w tym uśmiechu, wydawało się, że gdyby nie uszy, obiegłby on całą jego głowę dookoła.

Amalia też była stanowcza. Platon był jej przyjacielem i nie zamierzała go opuszczać. To, że był też prezentem od Szymka, co miało dla niej duże znaczenie, rozsądnie przemilczała. Małżonek, chcąc nie chcąc, musiał więc ustąpić.

Niechęć, jaką Zbigniew okazywał zwierzęciu, była szczerze odwzajemniona. Zwykle rozradowany i rozbrykany, Platon zmieniał się na widok nowego pana. Pochylał łeb, jeżył sierść na karku, a z jego szerokiej piersi wydobywało się głucho warczenie. Miękkie, drżące nerwowo wargi odsłaniały białe kły.

Tak zachował się również teraz, gdy rycerz podjechał na koniu do wozu i uchylił nieco płachtę, aby powiedzieć Amalii, że są już niemal na miejscu.

Jego poszczekiwanie zagłuszyło słowa Zbigniewa.

– On tak zawsze? – spytał, trochę rozdrażniony.

– Nie wolno, Platon – przemówiła Amalia uspokajającym tonem do psa, choć bez większego skutku.

– Platon?

Uśmiechnęła się.

– Nazwałam go tak dla żartu.

– Rozumiem, że to jakieś węgierskie imię – odparł z mądrą miną.

– Niezupełnie.

Przyzwyczajona do przebywania w towarzystwie osób wykształconych, zapomniała, że jej mąż pobierał zupełnie odmienne nauki.

– Inaczej bym go nazwał.

– Jest podenerwowany zamieszaniem – usprawiedliwiała psa Amalia. Bała się, że Platon rzuci się kiedyś na jej małżonka, a ten zabije go pod pretekstem samoobrony.

– Mniejsza z nim. Jeszcze tylko to wzniesienie – wskazał na krętą, wijącą się pod górę leśną drogę – i już zobaczysz mój zamek. Nasz zamek – poprawił się szybko.

Amalia odetchnęła z ulgą. Wprawdzie siedziała na grubej derce, ale i tak wszystko ją bolało. Nie dość, że po nocy poślubnej czuła się okropnie, to jeszcze wóz podskakiwał na każdym wyboju, wpadał w każdą dziurę, prawdopodobnie pomnażając ilość siniaków na jej delikatnym ciele. Marzyła o gorącej kąpieli i miękkim łóżku.

Poczuła też, że musi, ale to natychmiast, iść za potrzebą.

– Panie mężu – poprosiła cicho – ja muszę...

Zbigniew obrócił się z koniem w jej stronę, a na jego twarzy dostrzegła wyraz zniecierpliwienia. Zniknął jednak równie szybko, jak się pojawił.

– Ach, te kobiety! – roześmiał się. – Stale zapominam, że nie możecie sobie radzić tak jak my, mężczyźni. Dobrze zatem.

Dał znak woźnicy, że zarządza chwilowy postój, i podał dłoń Amalii. Pomógł jej zeskoczyć z wozu. Skrzywiła się z bólu.

– Co się stało, najmilsza żono?

– Nic takiego, bolą mnie tylko kości po tej jeździe. To minie.

– Może wolisz dokończyć jazdę konno?

Aż się wzdrygnęła na samą myśl o jeździe wierzchem w takiej sytuacji.

– Nie, nie. Nie róbcie sobie kłopotu, panie mężu. Poza tym przecież i tak niedługo dojeżdżamy na miejsce.

Weszła w las, wdychając z przyjemnością wilgotne, pachnące grzybami, paprocią i mokrą ściółką powietrze. Spod jej nóg śmignęła przestraszona jaszczurka, wysoko, w koronach drzew uwijały się już ptaki. Za chwilę wiosna wybuchnie z całą siłą, niosąc nową nadzieję. Czy dla niej również? Jak będzie wyglądało jej nowe życie?

Szukając ustronnego miejsca między drzewami, zastanawiała się, czy gdyby poślubiła Szymka, też nie mogłaby się do niego zwracać po imieniu. Nieoczekiwanie dla samej siebie parsknęła śmiechem. Miała nadzieję, że Zbigniew nie usłyszał. Brakowało jeszcze, by uznał ją za obłąkaną. Z niezwykłą powagą załatwiła swoją potrzebę i niechętnie zbierała się do powrotu na znienawidzony już przez nią niewygodny wóz. Przeszła jej przez głowę szalona myśl, że mogłaby teraz uciec. Pobiec gdzieś w głąb lasu, zostawiając daleko za sobą tego dziwnego człowieka, jego zamek, psy i sokoły. Platon z pewnością pobiegłby radośnie za nią. Było to dziecinne i głupie, ale w jakiś sposób takie kuszące. Zrozumiała, że to ostatnie chwile jej dawnej wolności.

Jej młodości.

Wreszcie otrząsnęła się z tych myśli. Musiała wracać. Była już najwyższa pora, bo poprzez pnie drzew widziała krążącego nerwowo na koniu męża.

Poprawiła suknię i z cichym westchnieniem ruszyła w tamtym kierunku.

Kiedy wjechali na porośnięte lasem wzniesienie, otworzył się przed nimi rozległy widok na wrzynający się w zakole rzeki cypel i stojący na nim wysoko zamek. Surowa budowla z dużą prostokątną wieżą przy bramie wjazdowej sprawiła na Amalii ponure i przygnębiające wrażenie. Ciemne otwory okienne tylko je potęgowały. Może była już zbyt zmęczona, a może

spowodowała to deszczowa pogoda i zachmurzone niebo, w każdym razie odniosła wrażenie, że siedziba rodowa jej męża tchnie jakimś niewypowiedzianym smutkiem niczym klasztor, w którym umarła jej matka. Nawet biegający do tej pory wesoło Platon zatrzymał się przy wozie i wietrząc ostrożnie, usiłował złowić nowe zapachy. Niepewnie obejrzał się na Amalię, ale ta wychyliła się za breg wozu i poklepała go uspokajająco po szerokim łbie. Jego pokryty długą sierścią ogon wyglądał teraz jak powiewająca na wietrze chorągiew. Machający nim pies dawał wyraźny znak: „Nadjeżdżamy! Na razie w pokojowych zamiarach, ale miejcie się na baczności...”.

W końcu, nieco uspokoiony, rzucił się w najbliższe krzaki, gotów poznawać nowe otoczenie.

– Oto moje królestwo. – Zbigniew podjechał do Amalii i zatoczył ręką szeroki krąg. – Teraz będzie i twoje, moja droga żono. Witaj w Roźnowie!

ROZDZIAŁ DRUGI

KRAKÓW, MARZEC 1391

Mildo, miej litość! Nie potrzebuję aż tylu rzeczy!

- Zaufaj mi. To długa podróż.
- Myślałby kto, że do tatarskiego chana jadę.
- Pakuj to. Będziesz miał na zmianę.
- Ech...
- Bez dyskusji.

Milda wręczyła Szymkowi starannie złożoną pelerynę. Chłopak tylko się skrzywił. Jeśli czegoś się nauczył w przeciągu ostatnich czterech zimowych miesięcy, to z całą pewnością tego, że w pewnych sprawach sprzeciwianie się dziewczynie miało mniej więcej tyle samo sensu, co kopanie się z koniem. Kiedy tylko zamieszkała w Kazimierzu, czyli natychmiast po opuszczeniu Wawelu, próbował wejść w rolę jej opiekuna. Byli w tym samym wieku – oboje mieli po siedemnaście lat – ale przecież on czuł się już w mieście jak ryba w wodzie, w dodatku uważał się za dorosłego mężczyznę, ona zaś – no cóż – znalazła się na wygnaniu, zagubiona, okryta niesławą i zupełnie nieprzystosowana do życia w tak niebezpiecznym mieście.

Tak więc w pierwszych tygodniach Szymek był jej przewodnikiem w tym nowym życiu. Jednakże potrało to krócej, niż przypuszczał. Milda okazała się zaradna i twarda, szybko przywykła do odmiennych warunków i ani się obejrzał, kiedy to ona zaczęła nim się opiekować niczym starsza siostra. Nastąpiło to jakoś tak naturalnie, że szybko pogodził się z nową rolą. Milda kontrolowała jego ubiór, posiłki, nie pozwalała za długo siedzieć nad książkami.

Teraz też przejęła dowodzenie.

- Nigdy wcześniej nie wyjeżdżałeś – powiedziała.

– Byłem w Wieliczce – zaprotestował, upychając pelerynę w podróżnym kufrze.

– Doprawdy imponujące. Nie gnieć tego tak!

– Nie mieści się.

– Daj. Ja to zrobię. – Uklęła obok kufra i odgarnęła z czoła kosmyk włosów, który wydostał się spod czepka.

Był mroźny marcowy poranek. Przed kamienicą, w której znajdowała się bursa krakowskich żaków, stały już dwa gotowe do drogi wozy, każdy zaprzężony w parę siwków. Woźnice krążyli obok studni, zacierając zmarznięte ręce, konie poparskiwały. Przed samą bramą czekali koledzy Szymka, pragnący odprowadzić go aż za bramę miasta. Milda słyszała ich nerwowe śmiechy.

Bo wszyscy byli podenerwowani.

Niewielu studentów otrzymywało szansę na wyjazd do słonecznej Italii. Właściwie w ich kręgu to się jeszcze nigdy nie zdarzyło. Do tego potrzeba było sporych pieniędzy i znajomości. A scholarzy z Kazimierza, co tu mówić, pochodzili najczęściej z ubogich rodzin, wielu z nich musiało zebrać, aby przeżyć w mieście. Dlatego wyjazd Szymka na studia do Bolonii był wydarzeniem, którym od tygodni żyła cała tutejsza młodzież. Prosty chłopak z Łobzowa, syn woźnicy, uosabiał marzenia każdego żaka – wyruszał w daleki świat, do krynicy wiedzy. Tym bardziej było to niecodzienne, że studia Szymka opłacała sama królowa. Oczywiście Milda wiedziała, że władczyni chce w ten sposób podziękować chłopakowi za wcześniejszą pomoc i zrekompensować mu rozstanie z Amalią, a także wynagrodzić przyjaciółce to, że Jadwiga musiała jej się czym prędzej pozbyć ze swojego dworu, lecz niewtajemniczeni snuli najróżniejsze domysły. Szymek w ich oczach stał się nagle kimś wyjątkowym. Protegowany samej królowej – to było coś.

Do izby weszła Dorota, praczka, u której zamieszkała Milda.

– Ależ tu nadymione – burknęła. – Tyle razy mówiłam, żeby nie dokładać do ognia świeżych gałęzi. Komin źle ciągnie.

Starsza, zapewne już czterdziestoletnia kobieta była chuda, brązowa i żylasta, jakby wystrugana z kawałka drewna. Zdawała się wciąż niezadowolona, ale Milda miała nadzieję, że pod pozorami tej szorstkości skrywa się jednak dobre serce. Ludzie żyjący w trudnych warunkach rzadko kiedy pozwalali sobie na okazywanie uczuć, zwłaszcza tych ciepłych.

- Masz tu na drogę. – Dorota wręczyła Szymkowi węzełek z jedzeniem.
- Milda już mnie zaopatrzyła – odparł chłopak, rozpaczliwie szukając miejsca na kolejny pakunek.
- Musisz więcej jeść, chudzielcu. Bo żadna Włoszka na ciebie nie spojrzy.
- Dziękuję, Doroto. Ja tam nie na romanse...
- Akurat. Musiałabym ja was, chłopów, nie znać. Tylko uważaj na trucicielki, pełno ich w cudzych krajach.
- Obiecuję.

Kiedy zapakowali ostatni kufer, weszli żacy, aby pomóc przenieść bagaż na wozy. Wraz z Szymkiem w podróż wybierał się także jeden z profesorów, Wojciech z Kurozwek, wyznaczony przez królową na opiekuna młodego studenta. Sam kiedyś, wiele lat temu, studiował w Bolonii, nadawał się więc wyśmienicie. Ubrany w czarny płaszcz z kołnierzem z psiego futra, prznosił teraz na wóz swoje przyrządy astronomiczne, podśpiewując pod nosem *Ave maris Stella*.

– A na co mu to? – skrzywiła się Dorota, kiedy wszyscy wyszli na zewnątrz. – Będzie w drodze gwiazdy liczył?

– To uczony – odparła Milda z lekkim uśmiechem.

– Jakby był uczony, toby wiedział, że takich butów na podróż się nie wkłada – skomentowała kwaśno kobieta.

– Ciszej, usłysz nas...

– On nawet nie wie, co się wokół niego dzieje.

Żacy załadowali rzeczy Szymka i zaczęli się teraz po dziecięcemu poszturchiwać oraz boksować. Tylko on był poważny i spięty, jakby za chwilę miał być koronowany na króla Polski.

Milda podeszła i położyła mu dłoń na ramieniu.

– Pamiętaj, masz do nas wrócić – rzekła.

– Wrócę na pewno.

– I staniesz się profesorem. Wielkim prawnikiem.

Uśmiechnął się smutno. Wiedziała, o czym teraz myślał. Choćby nawet został najsłynniejszym uczonym w Europie, nie odzyska ukochanej. Amalia padła łupem jakiegoś prostaka z Rożnowa i należała już do innego świata, odleglejszego dla Szymka niż Italia.

– Rozchmurz się. Nie jedziesz na wojnę – powiedziała Milda, choć sama była smutna.

– Ale tak się czuję.

– Wszystko będzie dobrze. Przejeżdżasz podobno przez Wiedeń, prawda?

– Chyba tak.

– No to nie zapomnij pozdrowić tam swojego przyjaciela, Wilhelma Habsburga.

Wreszcie pozwolił sobie na szerszy uśmiech.

– Wstyd by mi było zadawać się z takim ciemną.

– I słusznie. Szymek, nie odprowadzę cię za bramę. Wybacz. Musimy pożegnać się już tutaj.

– Tak. Do zobaczenia, Mildo. Bądź zdrowa.

– I ty również.

Szymek ruszył w kierunku swojego wozu. Wydawał się teraz niezwykle drobny w swoim przykrótkim kubraczku. Na ulicy robiło się już tłoczno. Ludzie wybierali się na kazimierzowski rynek, z zaciekawieniem i nieufnością przyglądając się żakom. Niebo było pochmurne i zanosilo się na deszcz. Milda, owinięta grubym szalem, stała przy bramie, patrząc na ostatnie przygotowania do podróży. Kiedy wreszcie wozy ruszyły ciężko, skrzypiąc kołami, otoczone przez rozśpiewanych scholarów i ujadające psy, pomachała jeszcze Szymkowi, po czym wróciła do środka.

Poczuła się zupełnie osamotniona.

Opuszczała ją ostatnia bliska osoba w Krakowie. Varnas był na Litwie, Amalia pewnie już w Rożnowie, a Szymek właśnie udawał się na koniec świata.

Opuścili ją wszyscy, których kochała.

Przedpołudniowe godziny zwykle spędzała w kuchni, gdzie wraz z Dorotą prała bieliznę i pościel żaków. Pośród dymu i pary gotowały wodę w wielkim kotle, posypywały brudne prześcieradła popiołem, który w połączeniu z wrzątkiem wybielał je, a następnie płukały w baliach, wykręcały i rozwieszały na sznurach. Była to żmudna, monotonna robota, niszcząca dłonie, które szybko robiły się szorstkie i czerwone, ale Milda zdążyła się już przyzwyczać. Kończyły zwykle około południa. Litwinka

szła wtedy do swojej izby, gdzie najczęściej reperowała bieliznę lub wyszywała hafty na sprzedaż, podczas gdy Dorota przyjmowała gości.

Nie byli to jednak zwykli goście.

Jak Milda zorientowała się już drugiego dnia po przybyciu do Kazimierza, jej gospodyni nie zajmowała się jedynie praniem oraz przygotowywaniem posiłków dla szkolnej młodzieży i czcigodnych profesorów.

Ku zdumieniu Litwinki okazało się, że tamta trudniła się przede wszystkim paserstwem.

Do szkolarskiej kamienicy od samego południa zachodziły najprzeróżniejsze typy spod ciemnej gwiazdy, przynosząc Dorocie skradziony towar. W ciągu tych kilku miesięcy wygnania Milda zdążyła już poznać niemal cały światek przestępczy Krakowa. Tych najznamienitszych w złodziejskim rzemiośle – jak słynny Świnka albo nie mniej sławny Liszka – oraz nieudaczników, dających się złapać już w dniu kradzieży przez „psy”, jak nazywano służby porządkowe. Starców, udających żebraków i okradających swoich naiwnych dobroczyńców, a także dzieci, które potrafiły wspinać się po plecionych drabinkach do okien najwyższych kamienic, by wyciągać z mieszkań drogocenne przedmioty za pomocą specjalnych haków na kijach, albo odcinały mieszczanom wiszące u pasa mieszki z pieniędzmi na ulicach i rynkach, a nawet w kościołach. Dziewczyna znała nazwy wszystkich band, najczęściej pięcio-, sześćoosobowych, a także karczmy, gdzie złodzieje mieli swoje miejsca spotkań. Wiedziała, jakich świętych uważali za swoich patronów. Słowem, posiadała wiedzę rozleglejszą niż strażnicy miejscy z ratusza.

Złoczyńcy zwykle działali nocą, a ranki przesypiali. Dlatego do Doroty przychodzili dopiero w porze obiadu.

Ten smutny dzień nie był wyjątkiem. Zaledwie skończyła pracę przy balii i usiadła w swojej mrocznej zatechłej izdebce, aby znów haftować przy małym okienku, już zaczął się rumor na schodach. Po szybkich, energicznych krokach poznała Liszkę, prawdziwego księcia podziemnego Krakowa. Był to młody mężczyzna, nawet urodziwy i zgrabny, ubrany z wyszukaną uliczną elegancją. W odróżnieniu od większości swoich kolegów po fachu nie miał uciętego ucha ani żadnego innego złodziejskiego piętna na ciele, a to z tej prostej przyczyny, że jeszcze nigdy nie dał się złapać.

O jego sprycie i zręczności krążyły w Kazimierzu legendy; mówiono, że udało mu się okraść wszystkie krakowskie kościoły. Mimo to uważał się za niezwykle religijnego, w swojej melinie trzymał podobno zrabowaną z jakiejś kaplicy figurę Świętego Dyzmy, złodziejskiego patrona, a z każdego łupu przeznaczal część na pomoc biednym. Kiedy tylko pierwszy raz ujrzał Mildę, od razu się nią zainteresował – niewiele tak pięknych i zadbanych dziewcząt mieszkało w tej okolicy – lecz jakieś osobliwe poczucie honoru nie pozwoliło mu na grubiańskie zaczepki ani zachowanie.

Słowem, prawdziwy ksiązę.

Teraz, w drodze do kuchni, gdzie rezydowała Dorota, zajrzał do izby Litwinki.

– Coś taka ponura? – Uśmiechnął się szelmowsko. Spod jego czarnego kapelusza, który z pewnością wcześniej przykrywał inną, bardziej szacowną głowę, wysuwały się blond włosy. Płaszcz miał za obszerny, ale z dobrej tkaniny, ciżmy żółte i wcale niezniszczone.

– Szymek wyjechał do Italii – odparła, nie odrywając wzroku od igły.

Nauczyła się już rozmawiać z przestępcami jak z dobrymi znajomymi. Nie miała innego wyjścia, jeśli chciała tu przeżyć.

– Szczeńciarz – stwierdził Liszka.

– Ano.

– Ma łeb do nauki, to chyba dobrze, że pojechał.

– Ale mnie smutno.

– No tak, ty też tutaj nie pasujesz. – Oparł się plecami o pobieloną wapnem ścianę. Żuł jakąś słomkę. – Ale mam wiadomość, która może cię ucieszy.

Podniosła na niego wzrok.

– Tak?

– Dzisiaj u duchaków ma być twoja ulubiona dama dworu.

– Krystyna?

– Aha.

– Skąd wiesz?

– Zszywali tam dzisiaj mojego kompana, którego pokroił jakiś chłopak od rzeźników. Wielmożna pani ochmistrzyni już była, obiecała też przyjść po południu.

Milda podniosła się z zydła.

- Jesteś pewien?
 - Bajek bym ci nie opowiadał. – Udał urażonego.
 - Muszę tam iść.
 - Coś ty na nią taka cięta? – spytał Liszka, mrużąc oko. – Jak trzeba dać jej po głowie, to wiesz, do kogo się zwrócić.
- Wiedziała, że on i jego kamraci mogliby to zrobić. Zabijali już ludzi. Zwykle po takim morderstwie Liszka znikał na jakiś czas z Krakowa, a potrafił to zrobić niezauważenie, wykorzystując rurociągi prowadzące z miasta do fosy za murami.
- Nie. Nie chcę – odparła zimno. – Muszę to sama załatwić.
 - „Mnie pomsta, ja oddam, mówi Pan” – Liszka niespodziewanie zacytował Pismo.
 - W moich rodzinnych stronach postępujemy inaczej.
 - Myślałem, że jesteś już chrześcijanką.
 - Najwyraźniej nikt mnie tu za taką nie uważa. Mówią o mnie „wiedzma”. Nie udawaj, że nie wiesz.
- Wzruszył ramionami.
- Dla mnie jesteś raczej dziką kotką. No cóż, twoja sprawa. – Odepchnął się od ściany. – Stara u siebie?
 - Jak zwykle.

Wprawdzie do popołudnia pozostało jeszcze trochę czasu, ale Milda wolała być na miejscu wcześniej. Nie mogła przegapić wizyty Krystyny.

Można by pomyśleć, że od momentu wygnania czuła tylko pustkę i żal, tyle że byłoby to całkowicie sprzeczne z prawdą.

Bowiem w głębi jej duszy płonął ogień.

Nie zamierzała się poddać ani wybaczyć Krystynie jej czynów. Tylko myśl o sprawiedliwej zemście pozwalała Mildzie żyć w takim pohańbieniu bez popadania w rozpacz. Zemsta była tym, co dodawało jej sił. Dziewczyna wierzyła, że wcześniej czy później dopadnie tego potwora i zniszczy go, choćby miała za to zapłacić własnym życiem.

Jej gniew rozżarzył się jeszcze bardziej, kiedy po kilku tygodniach wygnania przypadkowo odkryła, że dama dworu znowu zaczęła odwiedzać chorych. Jak gdyby nigdy nic. Najwidoczniej wszystkie podejrzenia wobec

niej, które pojawiły się podczas wawelskiego procesu, wkrótce rozpląnęły się w powietrzu, bo wyglądało na to, że zabójczyni znów poczuła się silna i bezkarna. Wprawdzie nie chodziła już do stradomskiego szpitala – hospitalariusz nie chciał jej tam widzieć – jednak w Krakowie nie brakowało miejsc, gdzie znajdowali się chorzy. Największy był szpital założony na terenie parafii Świętego Krzyża. Zdawał się nawet większy od stradomskiego, przypominał jakby oddzielną osadę, odgrodzoną od reszty miasta wysokim parkanem. I to tam właśnie zaczęła pełnić swoje „posługi” Krystyna.

Aby dotrzeć do „duchaków”, jak nazywano szpital, Milda musiała przebyć kawał drogi. Kiedy wyszła poza mury Kazimierza, jak na złość zaczął kropić deszcz, co w połączeniu z dosyć silnym wiatrem zmusiło ją, by nasunęła kaptur na głowę i przyspieszyła kroku. Przez Bramę Grodzką wkroczyła do miasta, dużo bardziej zatłoczonego i gwarnejszego niż okolice, gdzie mieszkała. Z pochyloną głową wymijała wozy, ręczne wózki i spacerujące pod murami kamienic świnie, starając się wmieszać w tłum i nie zwracać na siebie uwagi. Jej szary płaszcz nie wyróżniał się ani elegancją, ani zbyt nędznym wyglądem. Milda nauczyła się już, że kolor ubrań przechodniów pozwala ich natychmiast przypisać do jakiejś grupy. Zatem Żydzi najczęściej odziewali się w żółte szaty, prostytutki miały obowiązek nosić coś w kolorze czerwonym, choćby tylko wstążkę, kuglarze i muzykanci ubierali się na zielono, a scholarzy i, rzecz jasna, klerycy – na czarno.

Szare okrycie Mildy umieszczało ją w strefie zarezerwowanej dla posługaczek. I dobrze. Te na ogół nie zwracały uwagi nikogo poza podchmielonymi żakami, którzy o tej porze byli na wykładach.

Dotarłszy w okolice furty prowadzącej do szpitala, stanęła dyskretnie przy bramie kamienicy. Czekwała cierpliwie. Aby nie zapomnieć o swojej zemście, musiała raz na jakiś czas zobaczyć na własne oczy kobietę, która jej i Amalii zniszczyła życie.

ROZDZIAŁ TRZECI

WILNO, MARZEC 1391

Na Litwę powróciła zima.

Od kilku dni z niskiego szarego nieba prószył śnieg, pokrywając blanki wileńskiego zamku, groble na rzece, resztki spalonych przez Krzyżaków przedmieść i pozostawione na placu boju maszyny oblężnicze. Zapanowała pustka i martwa cisza. Tym bardziej dojmująca, że wcześniej panował wokół zgiełk wojny.

Znużona długim zamknięciem w ciasnych murach, litewsko-polska załoga z utęsknieniem wyczekiwała na przybycie z Krakowa świeżych sił, które miały ją zmienić na posterunku. Każdego dnia wypatrywano z wież przybycia królewskiego wojska. I każdego wieczora udawano się na spoczynek z uczuciem rozczarowania oraz żalu, ponieważ nikt nie nadchodził.

Jakby cały świat zapomniał o tym zagubionym pośród puszczy skrawku ziemi.

Varnas niemal nie schodził z wałów, nie mógł sobie znaleźć miejsca w ciasnych, zadymionych izbach, gdzie żołnierze z nudów tylko pili wino i grali w kości. Podczas walki miał przynajmniej zajęcie. Wojenny zapach nadawał jego życiu sens. Nawet gdy wydawało się już, że miasto skapituluje, kiedy na mury spadały głazy, ciężkie kłody i beczki z płonąca smołą, nie tracił ducha. Jakby był w transie, jednocześnie pobudzony i skupiony. Jako wojownik podczas wojny czuł się na właściwym miejscu.

Oblężenie było prawdziwym piekłem. Broniły się trzy wileńskie zamki. W północnej części stolicy, w rozwidleniu Wilii i Wilny, opór stawiały dwa stare: murowany Wyższy, pod dowództwem Polaków, oraz drewniany Dolny, zwany Krzywym Grodem, gdzie zatrzymał się brat Jagiełły, Korygiełło. Trzeci punkt obrony wzniesiono naprędce na jednym z miejskich placów. Ten objął książe Skirgiełło.

Varnas stacjonował w zamku Wyższym.

Na szczęście dla niego, ponieważ największe siły, prowadzone przez Witolda, przeciwnicy skierowali najpierw przeciwko Krzywemu Grodowi. Wojska nadeszły od północy i zajęły brzegi Wilii oraz most na rzece, odcinając obrońców od dostaw żywności. Sam zamek zdobyto szóstego dnia oblężenia – podstępem. Litwini Witolda dogadali się z Litwinami w twierdzy, wskutek czego na zamku zaczęły naraz wybuchać pożary. To ułatwiło atakującym wdarcie się do środka. Nastąpiła prawdziwa rzeź. Pierwszy bastion Wilna upadł w kłębach dymu i snopach iskier. Teraz od postawy zamku Wyższego, gdzie walczył Varnas, zależały losy miasta.

Tak więc nic dziwnego, że skierowano tam wszystkie siły. Witold rozstawił na okolicznych wzgórzach działa, katapulty, umieścił tam również angielskich i francuskich łuczników. Szybko skruszono pierwszy, zewnętrzny mur. Załoga nie zamierzała jednak poddawać zamku. Naprawiano szkody, zapychając wyrwy w murach gruzem i ziemią. Obrońcy nie stracili ducha nawet wtedy, gdy oblegający zaczęli jeździć wokół murów twierdzy z nabitą na wysokim drzewcu głową zabitego Korygiełły, dowódcy Krzywego Grodu. Przez pięć tygodni odpierano ataki wroga, w tym czasie Skirgiełło wraz z Rusinami robił wypadły do obozów krzyżackich. Wreszcie nadeszła jesień, pogoda nie sprzyjała już działaniom wojennym, a napastnikom zaczęło też brakować amunicji oraz żywności.

Wtedy zakonnicy przerwali oblężenie i wycofali się na zachód, a obrońcy pozostali bezczynni. Pozostawieni samym sobie. Przez pierwsze tygodnie zbierano ciała oraz naprawiano szkody wyrządzone przez maszyny bojowe i ogień. Trzeba też było oczyścić zamek z końskich i bydłych trupów, które Krzyżacy przetrzymywali za pomocą katapult przez mury, aby zasmrodzić powietrze i osłabić morale obrońców. A kiedy się z tym uporano, nie pozostawało już nic innego, jak tylko czekać.

Młody dowódca nie potrafił jednak czekać. Chodził niecierpliwie po umocnieniach, tysiąc razy sprawdzając, czy nie ma w nich żadnych wyrw. No i spoglądał na zniszczone miasto. Często patrzył na miejsce, gdzie kiedyś stał dom, w którym jeszcze kilka lat temu mieszkał wraz z Iną

i Mildą. Podobnie jak każda inna w pobliżu murów, i jego chata była już tylko bezkształtnym pogorzeliem.

Zniknęło wszystko, co łączyło go z tamtym życiem. Uleciało z dymem. Może to i dobrze, myślał. Wspomnienia nie przynosiły mu niczego poza wściekłością i smutkiem.

Tego marcowego dnia od samego świtu znów chodził po wałach, zatopiony w posępnych myślach, w narzuconym na ramiona baranim kozuchu. Lekko utykał, bo podczas oblężenia nadwerżył nogę, wspinając się na mury po drabinie.

– Nie przyjadą – odezwał się za jego plecami Jędrzej z Sącza, kapitan polskich kuszników. – Szkoda zdrowia tutaj wyczekiwać.

– Przestałem już na nich czekać – odparł cicho Varnas, nie odwracając głowy. – Będą, kiedy będą.

– O ile w ogóle się pojawią.

Jędrzej, starszy już mężczyzna, weteran wielu wojen, jeden z niewielu nie narzekał na swój los, był przyzwyczajony i do walki, i do żołnierskiej nudy.

– To już nie od nas zależy – mruknął Varnas. – Zapasów mamy jeszcze na dwa miesiące.

– Tak, ale suszone mięso powoli się kończy. – Wiatr rozwiewał siwe włosy kapitana, nadając mu wygląd natchnionego ulicznego kaznodziei.

– To zapalujemy – odpowiedział Litwin.

– Z tym może nie być tak prosto.

– A to czemu?

– Wielu Krzyżaków kręci się jeszcze po okolicy. Wczoraj zwiad natknął się na świeże obozowisko.

– A tak, słyszałem.

– Będą tak tu ścierwa krążyć i krążyć. Pewnie polują na tych, co pouciekali z wioski do lasu.

– Długo nie wytrzymają. Robi się coraz zimniej, a wszystkie domostwa spalili.

– Czujności nigdy za wiele.

– Prawda.

Przez chwilę milczeli, wpatrując się w zachmurzone niebo.

– Zostawiłeś kogoś w Krakowie, Varnasie? – spytał nagle kapitan.

– Tak...

– Żonę?

– Nie, siostrę. Ma na imię Milda. Przebywa na dworze królowej.

Jędrzej pociągnął nosem.

– No to ma szczęście.

– Chwała bogom, jest bezpieczna. To znaczy chwała Bogu.

Starszy mężczyzna tylko uśmiechnął się lekko. Wiedział, że wielu Litwinów nie przyzwyczało się jeszcze do swojej nowej wiary, nie lubili też nadanych im obcych imion. Varnas podczas chrztu stał się Aleksandrem, ale nie cierpiał, gdy ktoś z żołnierzy tak się do niego zwracał. Udawał wtedy, że nie słyszy, tak więc przyzwyczajono się mówić do niego Varnas.

– No widzisz, a ja nie mam do kogo wracać – odparł Jędrzej. – Córka zmarła w dzieciństwie, synowie są w Czechach. Mój dom zawsze wygląda właśnie tak. – Szerokim ruchem ręki wskazał na mury i zamek. – Nawet kiedy przyjadą nas zmienić, pewnie tutaj zostanę.

– Tak podejrzewałem. – Varnas się uśmiechnął.

Nagle przedpołudniową ciszę przerwał dochodzący z wieży ochrypły dźwięk rogu. Spojrzeli na siebie, a potem zaczęli przeszukiwać wzrokiem horyzont. Od strony podwileńskich błoń, gdzie kiedyś składano ofiary bogom, nadciągali jacyś jeźdźcy; z daleka trudno było ich rozpoznać.

– Czyżby...? – zapytał szeptem Jędrzej.

– To nasi – odparł po chwili Varnas, który miał o wiele lepsze oczy niż siwowłosego weterana. – Wracają z porannego zwiadu.

– Tak szybko?

– Widocznie coś znaleźli.

I rzeczywiście. Kiedy tamci się zbliżyli, Litwin ujrzał, że prowadzą na sznurach trzech mężczyzn, dwóch z nich odzianych było w białe płaszcze.

Pochwycili zakonnych.

Varnas szybko szedł na dziedziniec. Brama była już szeroko otwarta. Obok niej stała grupka żołnierzy zaciekawionych alarmem. Najwidoczniej

sygnał rogu zastał ich podczas gry w kości lub drzemki, bo teraz w pośpiechu wkładali hełmy i przypasywali miecze.

Varnas wyminął kupy kamieni i kłód, którymi w trakcie oblężenia podpierano bramę, aby nie wybiły jej krzyżackie tarany, i stanął obok strażników oraz żelaznego kosza z rozżarzoną węglą. Spojrzał na drogę prowadzącą z miasta do zamku. Po kilku chwilach pojawili się na niej konni zwiadowcy: bez zbroi, w samych kozuchach i futrzanych czapach.

Byli to Litwini, rodem z Wilna, znający okoliczne puszcze lepiej niż ktokolwiek inny.

Polacy mówili na nich: „Leśne Diabły”.

Pierwszy wpadł przez bramę kłusem, wymachując triumfalnie sulicą. Był to młody chłopak, właściwie jeszcze dzieciak, z delikatnym puchem pierwszego zarostu pod nosem. Na imię miał Siergiej.

Szczerzył zęby w uśmiechu.

– Upolowaliśmy trzy zające! – wykrzyknął, obracając koniem, z którego pyska wydobywały się kłęby pary.

– Gdzie? – zapytał Varnas.

– Przy rzece.

– Sami byli?

– Sami. Widocznie pobłądzili w lesie.

Po chwili nadjechali pozostali zwiadowcy, już wolniej, bo prowadzili za sobą na powrozach co rusz potykających się jeńców. Żołnierze otoczyli ich wszystkich ciasnym kołem.

– To się doigrały, psie syny.

– Ścierwa!

– Na murach ich powiesić.

– Dobrze gadasz. Tak jak oni wieszali naszych.

Schwytani patrzyli na Polaków i Litwinów z przerażeniem. Byli młodzi: dwóch z nich nosiło krzyżackie płaszcze, trzeci miał narzuconą na zbroję białą tunikę z wyhaftowanym na niej czerwonym krzyżem. Varnas od razu rozpoznał w nim angielskiego łucznika.

No tak. Konrad Wallenrod oraz ten zdradziecki pies, Witold, sprowadzili na pomoc rycerstwo z całej Europy. Książęta i możni z Zachodu gładko przełknęli kłamstwa zakonu, głoszącego, że Jagiełło to pogański kłamca, a jego chrzest oraz małżeństwo z młodzieńką Andegawenką były jednym wielkim oszustwem. To wystarczyło, aby sformować coś na kształt

wyprawy krzyżowej przeciwko „dzikiemu uzurpatorowi i tyranowi”. Wielu sądziło nawet, że nieszczęsna Jadwiga rozpaczliwie potrzebuje pomocy. Mieli się chyba za szlachetnych wyzwolicieli uciśnionych niewiast. Tak czy inaczej, cudzoziemce stawili się tłumnie. Oprócz zwykłych szumowin przybyli na Litwę i znaczniejsi wojownicy, jak choćby francuski rycerz Boucicaut czy ksiązę Derby, prowadzący ze sobą słynnych angielskich łuczników.

Jednego z tych łuczników Varnas miał właśnie przed sobą. Jego wojenna przygoda kończyła się tutaj, na wileńskim zamku.

Bo los jeńców był już przypieczętowany. Pozostawała tylko kwestia, czy umrą szybko, udzieliwszy najpierw Polakom niezbędnych informacji na przesłuchaniu, czy też przed śmiercią czeka ich prawdziwe piekło. Patrząc na tych młodzieńców, Varnas podejrzewał, że jednak wyśpiewają wszystko. Mówiły to ich przestraszone oczy.

– Zaprowadzić do wieży i od razu przesłuchać! – zakomenderował. – Chcę wiedzieć, z jakiego są oddziału, kto nimi dowodzi, skąd się tu wzięli, gdzie ukrywa się reszta, ilu ich jest. I tak dalej. Każde słowo jest ważne. Nie męczycie za bardzo, żeby ze strachu nie zaczęli pleść byle czego. I żeby wam za szybko nie pomarli.

Sam udał się do strażnicy. Nigdy nie brał udziału w przesłuchaniach. Od tego byli ci, którzy potrafili to robić: łysy Bogusz i Litwin Korybut, prawdziwi mistrzowie w swoim fachu. Obaj mieli wygląd rzeźników czy też po prostu zwykłych zbójów i czasami sam widok ich bezdusznych twarzy wystarczał, by jeńcy zaczęli wyznawać im wszystko jak księdzu na spowiedzi.

Wszedł do małego pomieszczenia z okopconym sufitem, gdzie na ławie pod okienkiem drzemał wąsaty wartownik. Czuć było odeń kwaśny odór podłego wina. Varnas podszedł do komina, zdjął skórzane rękawice i zbliżył ręce do ognia.

Rozmowa z Jędrzejem przywołała myśli o Mildzie. Została w Krakowie sama, pośród zupełnie obcych ludzi. Owszem, miała tam jakąś przyjaciółkę, bodaj Węgierkę, a i królowa podobno ją lubiła, ale Varnas czuł, że jego siostra nie do końca pasuje do tego miejsca. Bo dwór królewski wcale nie

był spokojną przystanią. Tam również trwała bezwzględna walka o pozycję i wpływy. Miał tylko nadzieję, że nikt nie wykorzysta naiwności dziewczyny w jakichś niecnym celach. Za dużo już wycierpiała na Litwie. Chciałby być przy Mildzie, czuwać nad nią. A tymczasem musiał gonić krzyżackich maruderów po lasach i liczyć cegły w murach obronnych.

Usiadł przy poplamionym stole, nalał sobie ze dzbanka kubek wina, podłego, lecz tylko takie zostało w piwnicach.

Wartownik na ławie przebudził się i zamrugął oczami.

– Coś się stało? – spytał niezbyt przytomnie.

– Nie słyszałeś rogu, zakuty łbie?

– Coś mi się właśnie śniło, że gra.

Varnas upił łyk i odstawił kubek.

– Następnym razem przyśni ci się, że wpadli tu Krzyżacy – powiedział zimno. – Tylko nie wiem, czy zdążysz się wtedy obudzić. Jesteś na warcie.

– Nikt na nas nie napadnie. Odeszli.

– Nie wszyscy. Mamy trzech jeńców.

– Oho – ucieszył się mężczyzna, ciężko siadając na ławie. – Będzie zabawa.

– Nie z twoim udziałem. Do wieczora stoisz na murach.

– Ejże!

– Bez dyskusji. Wynocha!

Mężczyzna z ociąganiem wyszedł na wartę i Varnas został sam. Oparł łokcie na stole, głowę złożył w dłoniach. Wsłuchując się w trzask ognia w kominie, czekał na wynik przesłuchania.

Nie przyszło mu czekać zbyt długo. Nie minęło pół godziny, gdy do wartowni wszedł Korybut.

– No i? – Varnas spojrzał na niego.

– Łatwo poszło.

– Tak myślałem. Mów.

– Są z oddziału, który kręci się na północy. Jakies kilka wiorst stąd.

Varnas wbił wzrok w dno pustego kubka.

– Ilu? – spytał.

– Dwunastu. Bez tych trzech kurczaków będzie dziewięciu.

– Czego szukają?

– Czatuja na gońców z Krakowa.

– Kto dowodzi?

– Niejaki Johann Rist.

Varnasowi krew uderzyła do głowy. Zerwał się z ławy tak gwałtownie, że potężny Korybut cofnął się o krok.

– Powtórz!

– Rist. Johann Rist.

Nie mógł uwierzyć własnym uszom. Czerwony Diabeł, ten sam, który spalił jego wioskę i wymordował rodzinę, błąkał się po lesie zaledwie kilka wiorst od zamku. To musiał być jakiś dar od niebios. Varnas zwątpił już, czy kiedykolwiek będzie miał szansę stanąć z tym łotrem twarzą w twarz. Do tej pory na myśl o nim mógł odczuwać tylko bezsilną wściekłość. No a teraz... Teraz Johann sam pchał mu się w rękę.

Takiej okazji nie można było przegapić.

– Siodłać konie! – rozkazał Varnas.

– Już teraz? – zdziwił się Korybut.

– Jak najszybciej. Nie mogą nam umknąć. Zawiadom diabły.

– Dopiero co wrócili...

– Nie obchodzi mnie to. Znajdź jeszcze ze dwóch ochotników z polskiej drużyny.

– Rozkaz.

Nie czekając na pozostałych, Varnas szybkim krokiem wyszedł z wartowni i ruszył w kierunku stajni. Zrobiło się naprawdę zimno, ale niemal tego nie zauważał. Płonął w nim ogień. Chciał być już w puszczy, rozpocząć polowanie. Zdawał sobie sprawę, że każda upływająca chwila działa na korzyść Rista. Dobrze, że pada śnieg, pomyślał. Nawet kiedy krzyżackie psy odejdą, zostawią za sobą ślady.

Czuł się niemal szczęśliwy.

W stajni odnalazł swojego wiernego siwka i zaczął go siodłać, bezwiednie podśpiewując pod nosem: Oj, ty Gala, Gala, mołodaja... Nie dostrzegł, kiedy stanął za nim siwowłosy kapitan Jędrzej.

– Varnasie! – usłyszał jego basowy głos za plecami.

Odwrócił się.

– Słucham.

– Nie możesz jechać z nimi.

Litwin zmarszczył brwi.

– A to niby dlaczego?

– Jesteś dowódcą. Wyślij kogoś innego.

Varnas przykucnął, aby zaciągnąć popręg pod brzuchem konia.

– To tylko krótki wypad – odparł.

Nie chciał tłumaczyć staremu wojakowi, że powodują nim osobiste cele.

– Ja pojedę za ciebie – nalegał Jędrzej.

– Dziękuję. Ale nie znasz tak dobrze jak ja tej puszczy.

– To może być zasadzka. Jeśli wpadniesz w ręce tych psich synów...

– Nie wpadnę – krótko odpowiedział Varnas, przeciągając pasek przez sprzączkę. – Szybko się uwiniemy. Może nawet wrócimy przed wieczorem.

Wyprostował się i spojrzał Jędrzejowi prosto w oczy.

– Zaufaj mi – rzekł.

Tamten już wiedział, że w żaden sposób nie powstrzyma dumnego młodzieńca. Dostrzegł w jego spojrzeniu coś takiego, co kazało mu spuścić wzrok.

Coś niemal demonicznego.

ROZDZIAŁ CZWARTY

ROŻNÓW, MARZEC 1391

Stukanie końskich podków odbiło się echem od murów wysoko sklepionej bramy wjazdowej.

Dziedziniec nie był duży, podobnie jak sam zamek, który z daleka wyglądał znacznie okazalej. Kiedy podczas przeprawy przez las Amalia po raz pierwszy ujrzała szarzącą pomiędzy drzewami dwupiętrową kamienną wieżę na tle zachmurzonego nieba, przeszedł ją dziwny dreszcz. Miała wrażenie, jakby przybywała nie do nowego domu, lecz do więzienia. Jak gdyby została na nie skazana. Być może sprawiła to ponura aura, być może zmęczenie, tak czy inaczej, witała Rożnów z ciężkim sercem.

Rodowa siedziba Zbigniewa, a teraz również i jej, rycerskiej małżonki, wznosiła się na cyplu otoczonym z trzech stron przez wody Dunajca, od strony bramy zaś była odgradzona od świata mokradłami, na których zbudowano wzmocnioną kłodami drogę. Można było odnieść wrażenie, iż zamek stoi na małej wysepce pośród morza, co samo w sobie było niezaprzeczalnie malownicze, jednakże w odczuciu młodej Węgierki w jakiś dziwny sposób podkreślało to jedynie wrażenie osamotnienia, całkowitego odcięcia od dotychczasowego życia.

Przez bramę wjechali wszyscy na dziedziniec, otoczony drewnianymi budynkami gospodarczymi. Panowała tu ciasnota, jak na majdanie. Czuć było zapach siana, końskiego nawozu, a także przepływającej obok rzeki.

– I jak ci się podoba, moja pani? – zapytał Zbigniew z wysokości siodła, zdejmując z głowy hełm.

– Bardzo – odparła bez przekonania.

– W lecie będzie tu generalny remont, usuniemy kilka szop. Teraz to wszystko jest jeszcze trochę surowe.

– Z okien muszą być piękne widoki.

– O, tak.

Na schodach przed drzwiami wejściowymi ustawiła się służba złożona z kilku osób. Czterech ponurych mężczyzn, których funkcji Amalia nie potrafiła się jeszcze domyślić, oraz trzy kobiety w średnim wieku, prawdopodobnie kucharki. Teraz byli to jej podwładni. Z dawnym światem łączyła Amalię tylko pokojowa, подарowana jej przez królową. Była to młoda, rezolutna dziewczyna o imieniu Katarzyna. Amalia polubiła ją od pierwszego wejrzenia, szczególnie jej pogodne spojrzenie i dyskrecję.

Za to na twarzach rożnowskiej służby nie dało się wyczytać żadnej pogody ducha. Wszyscy, ku niemiłemu zaskoczeniu Amalii, spoglądali na nich w jakimś ponurym milczeniu, niektórzy wręcz z wrogością.

No tak, pomyślała, pan wrócił i skończył się czas swobody. Świadczyć to mogło tylko o tym, że tutejsza służba jest leniwa albo – przemknęła jej przez głowę nowa myśl – że ich pan jest człowiekiem surowym i niezbyt lubianym. Co było wcale nie tak trudne do wyobrażenia.

Zbigniew pomógł jej zejść z wozu i poprowadziwszy za rękę w stronę wejścia, przedstawił służbie.

– To wasza nowa pani – powiedział głośno, żeby wszyscy dobrze usłyszeli – a moja czcigodna małżonka, pani Amalia, córka barona Mladena, przyjaciela i umiłowanego druha zmarłego króla Węgier, Ludwika, oraz przyjaciółka naszej umiłowanej królowej Jadwigi, żony króla Władysława Jagiełły. Winni jej jesteście posłuszeństwo i wierność. Jak mnie.

Służący pochylili się w ukłonie, wciąż nieufni i ponurzy. Zwłaszcza kobiety wydawały się wrogo nastawione. Jedna z nich, nieco starsza od innych, niska jak dziecko, z szeroką twarzą i mocno zarysowaną szczęką, patrzyła na swą nową panią wręcz napastliwie. Wprawdzie Amalia nie spodziewała się gorącego i entuzjastycznego przyjęcia z girlandami kwiatów, muzyką i tańcami, ale to, co widziała, sprawiło, że poczuła się jeszcze gorzej.

I bardziej obco, niż to sobie wcześniej wyobrażała.

No cóż, miała tylko nadzieję, że w końcu zdoła przekonać tych ludzi do siebie. Mimo ostatnich wydarzeń na Wawelu była przyzwyczajona do przyjaznego jej otoczenia. Westchnęła w duchu, a głośno powiedziała z niepewnym uśmiechem:

– Mam nadzieję, że będę dla was dobrą panią, a wy pomożecie mi się tu zadomowić. Nie znam tutejszych zwyczajów ani samego zamku, zatem

wasza pomoc będzie mi bardzo przydatna.

Złowiła kilka dyskretnych spojrzeń wymienionych między służbą.

Zbigniew skrzywił się, jakby chciał powiedzieć: A cóż to za spoufalanie się z pospólstwem? – więc szybko zakończyła swą przemowę; już dawno przyłapała się na tym, że boi się w jakikolwiek sposób narazić małżonkowi, aby, broń Boże, nie uznał jej za kobietę niegodną siebie.

Weszli do sieni, gdzie natychmiast obkoczyły ich uszczęśliwione myśliwskie psy. Surowa zwykle twarz pana na Rożnowie rozjaśniła się w jednej chwili. Udał, że się od nich ogania, jednakże wyraźnie było widać, że on również cieszy się na widok jazgoczącej sfory.

Kocha zwierzęta, pomyślała Amalia.

To dobry znak.

Wprawdzie stosunek jej męża do Platona – oszołomionego teraz czeredą hałaśliwych czworonogów i niemal chowającego się pod spódnicą swojej pani – mógł podawać w wątpliwość ową miłość do „braci mniejszych”, wołała jednak mimo wszystko dostrzegać tylko to, co było dla niej pokrzepiające.

Z powodu psów powstał mały chaos. Brudna, dawno niezmieniana plecionka na posadzce stała się natychmiast bezładną mieszaniną sitowia, resztek jedzenia i czegoś, czego Amalia nawet nie odważyłaby się nazwać. Z przerażeniem zauważyła uciekającego stamtąd szczura. Platon również go zobaczył i z wściekłym jazgotem ruszył za nim w pogoń. Dopiero teraz został dostrzeżony przez pozostałe psy. Zostawiły pana domu na środku sieni i pobięły za intruzem.

To znaczy za Platonem, bo najwidoczniej szczury były tutaj dobrze znanymi i tolerowanymi domownikami.

Zbigniew wydał dyspozycje służbie i polecił jednej z kobiet, chudej brunetce w szarym odzieniu, by zaprowadziła Amalię do jej komnaty. Bagażami, zwłaszcza tymi cięższymi, zajęli się mężczyźni.

Tymczasem Amalia najpierw udała się do prywatnej kaplicy Zbigniewa, aby podziękować Bogu za szczęśliwą podróż. A przy okazji trochę się wyciszyć, uciec od zamieszania, natarczywych spojrzeń, przekrzykujących się głosów. Kaplica znajdowała się w osobnym budynku, przy samym

murze. Była mała, surowa i zimna, a więc całkowicie odpowiednia do modlitwy.

Ostatnimi czasy Amalia modliła się dużo częściej niż kiedykolwiek wcześniej. Głównie ze strachu przed nieznaną przyszłością, ale też biorąc przykład z Jadwigi. Pamiętała, że kiedy królowa przechodziła najtrudniejsze chwile, gdy nieprzystępny Jagiełło ignorował ją, uznając za dziecko, a wszyscy inni oskarżali Andegawenkę o rozwiązłość, ta szukała sił w modlitwie i postach. Obie wyrosły w kulcie dawnych świętych, umartwiających się i czyniących cuda.

I obie pragnęły być równie niezwykle oraz silne.

Lecz to okazało się niemożliwe. Epoka nadludzkich umartwień oraz wielkich cudów chyba bezpowrotnie minęła. Świat stał się bardziej zepsuty i wyrachowany. Kościół się podzielił, duchowni żyli w grzechu, myśleli jedynie o bogactwach, władcy oraz rycerze odwrócili się od dawnych ideałów. Ani Jadwiga, ani tym bardziej Amalia nie miały żadnych widzeń, nie posyłano im z niebiańskich rejonów żadnych znaków. Co było dla młodych dziewcząt przygnębiające, gdyż nawet taka głupia Jolanta, jedna z polskich dwórek, przyznała się kiedyś z dumą, że dwa razy rozmawiała we śnie z Janem Chrzcicielem.

Tak więc teraz, klęcząc przed olbrzymim krucyfiksem oraz figurą Matki Boskiej, Amalia nie modliła się już o siłę do czynienia cudów, uzdrawiania chorych i przewidywania rzeczy przyszłych, a jedynie o to, by Bóg nie opuścił jej na tym pustkowiu. Aby mogła mieć w Nim oparcie.

Po modlitwie zaprowadzono ją do jej pomieszczeń. Wiodły do nich nieco krzywe kamienne schody. Izby znajdowały się na piętrze, na samym końcu ponurego korytarza, rozświetlonego jedynie umieszczonymi we wnękach ścian kagankami. Sama komnata była niewielka i przypominała raczej miejsce dla służby. Lecz Amalia, jeszcze pod wpływem modlitwy, przyjęła ten fakt z pokorą. Była tak poobijana po długiej jeździe i zmęczona, że marzyła tylko o odpoczynku. Na szczęście szerokie łoże z odsłoniętymi teraz kotarami z ciemnoczerwonego aksamitu wyglądało na wygodne. Na kominku palił się ogień.

– Pokój pana jest po drugiej stronie – poinformowała ją sucho kobieta, stawiając jeden z podręcznych kuferków na środku pomieszczenia.

– Też jest taki mały? – Amalia nie mogła sobie darować tego pytania.

– Tak. Kiedyś, jeszcze za poprzednich właścicieli, były tu tylko dwie olbrzymie komnaty, później, na życzenie pana, podzielono je na kilka mniejszych. Ta należała do nieboszczki, poprzedniej żony pana Zbigniewa.

Kobieta zachowywała się tak, jakby miała Amalii za złe, że ta zajmuje pokój jej dawnej pani. Reakcja służących była w pewnym sensie zrozumiała, nie znali jej jeszcze, nie wiedzieli, czego się mogą spodziewać po nowej żonie pana Zbigniewa.

A pewnie też wciąż darzyli uczuciem poprzednią.

Amalia często ją sobie wyobrażała. Nie wiedzieć czemu nadawała zmarłej idealne cechy. Tak więc w wyobraźni Węgierki była to kobieta piękna i dobra, jakby przedwczesna śmierć ją uszlachetniła albo przytrafiła się jedynie jakimś ziemskim aniołom, wcieleniom największych cnót. Głupie, lecz Amalia nie potrafiła się od tego uwolnić i sama siebie stawiała w trudnym położeniu – jak bowiem zastąpić anioła?

Westchnęła w duchu. Nie tak sobie wyobrażała początki nowego życia. Nie aż tak. Zawsze gdy sobie coś wyobrażamy, rzeczywistość okazuje się zupełnie odmienna, jakby powiedział nieodżałowany ojciec Albert.

Pan Bóg lubi zaskakiwać.

Podziękowała stojącej wciąż sztywno kobiecie i pozwoliła jej odejść, a sama skierowała się w stronę dość dużego jak na takie pomieszczenie okna. Było wysokie, dwuskrzydłowe, z okrągłymi i romboidalnymi szybami z grubego szkła, osadzonymi w ołowiu. Już samo to świadczyło o zamożności pana domu. Szkło było bardzo drogie, więc spodziewała się tutaj raczej lnianego płótna nasączonego olejem, które zdążyła już zauważyć w małych okienkach na dole.

Nareszcie jakaś miła niespodzianka.

Otworzyła okno i wyjrzała na zewnątrz. Niebo wciąż było pochmurne i zapowiadało deszcz, a może nawet śnieg. W końcu był dopiero początek marca. W dole połyskiwały szare w tym posępnym świetle wody Dunajca. Nad brzegami rzeki, ponad szuwarami, krążyło wodne ptactwo. Dalej, jak okiem sięgnąć, rozciągały się gęste lasy. Gdzieś ponad nimi dojrzała smugę dymu – znak, że wbrew pozorom okolica jest zamieszкана. Amalia wiedziała, że Zbigniew posiada kilka okolicznych wsi.

Powietrze było jeszcze chłodne, toteż zamknęła okno i usiadła w niewygodnym fotelu, nie mając nawet siły, żeby się rozebrać. Jej służąca została pewnie zaprowadzona do pomieszczenia dla służby i trochę jeszcze czasu upłynie, zanim znajdzie drogę do tej komnaty. Amalii było to nawet na rękę. Potrzebowała spokoju i ciszy, żeby pozbierać myśli. To wszystko działo się tak szybko, że jeszcze nie potrafiła oswoić się z nową sytuacją. Spoglądała na pokój, który kiedyś należał do poprzedniej pani na Rożnowie, kobiety obdarzonej dobrym gustem.

Świadczył o tym wystrój, czuło się kobiecą rękę. Ogromne, zajmujące większą część sypialni łoże zrobione było z ciemnego, hebanowego drewna, z gładkimi, spiralnie toczonymi kolumienkami wspierającymi baldachim. Spoza odsuniętych kotar koloru czerwonego wina widać było delikatną pościel z cienkiego płótna. Z tej odległości Amalii wydało się, że widzi wyszyte na niej inicjały właścicielki. Czyżby to miała być część ślubnej wyprawy pierwszej żony Zbigniewa? Nieprzyjemnie poruszona, wstała i podeszła do łoża. Ku swojemu ogromnemu zaskoczeniu rozpoznała swój własny monogram i pracę. Sama własnoręcznie haftowała te litery podczas głośnego czytania umoralniających lektur na Wawelu. Ale skąd ta pościel tutaj? Wyglądało na to, że Zbigniew postanowił jej zrobić niespodziankę i posłał po wyprawę wcześniej. Uśmiechnęła się zadowolona. Koniecznie musi pamiętać, żeby mu za to podziękować przy najbliższej okazji.

Pogładziła miękką pierzynkę, dotknęła pachnących czystością kotar i delikatnie odchyliła wiszący na ścianie kobierzec, przedstawiający tkane jedwabiem oraz złotem sceny z polowania. Zauważyła pod nim białą zaprawę wapienną, spod której wyraźnie przebijały fragmenty sitowia. Tak musiały zatem wyglądać wszystkie ścianki działowe na tym zamku. Wokół wysokiego okna oraz drzwi widoczne były szare kamienie, taki sam mur był na ścianie z wbudowanym w nią kominkiem zwieńczonym arkadowym fryzem. Jak zdążyła już zauważyć, działowa ścianka z sitowia zaprawionego gliną była tylko jedna, ta, którą pokrywał gobelin.

Zasłoniła ją na powrót i ruszyła w stronę stojącego w rogu komnaty parawanu, gdzie spodziewała się znaleźć miskę i dzban z wodą. Nie pomyliła się. Woda w glinianym dzbanie była jeszcze ciepła, obok wisiał przygotowany czysty lniany ręcznik.

Pukanie do drzwi rozległo się w chwili, kiedy kończyła upinać pod czepkiem wilgotne jeszcze na końcach włosy.

– Przepraszam... – Katarzyna, młoda dwórka przydzielona jej przez Jadwigę, dygnęła, wchodząc do środka. Była zaczerwieniona z emocji, a może i szybkiego biegu, jakim zapewne przemierzała korytarze zamku w poszukiwaniu swojej pani. – Proszę mi wybaczyć, że nie pomogłam w ubieraniu, ale nikt mi nie powiedział, gdzie pani jest. Oni tu wszyscy są jacyś tacy...

– Dziwni – dokończyła za nią Amalia.

– Właśnie.

– Nie szkodzi. Jeszcze pamiętam, jak się ubrać bez niczyjej pomocy. Poza tym to dopiero pierwszy dzień i obie będziemy musiały jeszcze wiele się nauczyć. Możesz mi tylko pomóc z włosami.

– Tak, ale...

– Ale?

– Musimy się spieszyć. Pan prosi na dół, na posiłek. A chyba nie lubi czekać.

– Masz rację.

Amalia poprawiła czepiec na głowie, wygładziła suknię na brzuchu i biodrach, zarzuciła na ramiona aksamitną czerwoną pelerynkę i ruszyła za służką na dół, gdzie spodziewała się znaleźć jadalnię. Tak też było, jednak pomieszczenie to nie spodobało jej się ani trochę. Na samym środku ogromnej, nieprzytulnej i zimnej sali stał długi stół nakryty mocno już spranym, haftowanym obrusem, prawdopodobnie dziełem poprzedniej pani domu. Stojące po jego bokach drewniane ławy nosiły ślady wieloletniego użytkowania i nie wyglądały na zbyt wygodne. Amalia wyobraziła sobie zasiadających na nich kompanów Zbigniewa, hałaśliwych i pijanych wojowników.

– Jesteś nareszcie, moja miła – powitał ją mąż.

Uśmiechnęła się lekko i usiadła na wskazanym jej miejscu, dokładnie naprzeciwko niego, i z ciekawością zaczęła się rozglądać wokół. Byli sami, jeśli nie liczyć dziewczyny, która grzebała metalowym prętem w kominie, odwracając twarz od żaru. Wyglądało jednak na to, że mąż jeszcze na kogoś

czeka. Nie chciała się dopytywać, albowiem wiedziała już, że kobieta nie powinna odzywać się bez wyraźnej potrzeby. Była to jedna z lekcji, jaką otrzymała na Wawelu, jeszcze przed ślubem. Choć miała nadzieję, że uda jej się dojść do porozumienia w tej sprawie z mężem i Zbigniew nie będzie przestrzegał tej reguły zbyt rygorystycznie. Wyglądał na sprawiedliwego i mimo wszystko uczuciowego człowieka, udającego tylko surowość. Zresztą człowiek zimny i oschły nie zdobyłby się na taki gest jak ten z jej wyprawą ślubną.

A właśnie, powinnam mu podziękować, pomyślała.

– Panie mężu. – Odchrząknęła, ale głos, który z siebie wydobyła, jej samej wydał się cichy i drżący.

– Tak? – Spojrzał na nią, marszcząc przy tym brwi.

Szybko pojęła, że jej małżonek jednak dość poważnie traktuje zasadę nieodzywiania się bez pytania kobiety w swoim domu, ale dzielnie brnęła dalej.

– Chciałam ci, panie, podziękować za niespodziankę w mojej sypialni. Sprawileś mi tym ogromną przyjemność.

– Jaką niespodziankę? – nie krył zdziwienia.

– No... tę z moją wyprawą ślubną. Z wielką radością zauważyłam na moim łożu pościel haftowaną przeze mnie.

– A, to? – Wzruszył ramionami, a jego usta rozciągnęły się w pobłażliwym uśmiechu. – Czy naprawdę sądzicie, pani, że mógłbym się zajmować czymś tak banalnym jak pościel? To nie ja, to pomysł naszej królowej. Jej Królewska Wysokość osobiście dopilnowała, żeby część waszych rzeczy, moja droga żono, znalazła się na zamku jeszcze przed naszym przyjazdem. I żeby pościel tak właśnie została przygotowana. Babskie fanaberie.

Amalii zrobiło się trochę smutno, ale jednocześnie ucieszył ją fakt, że droga Hedwig pomyślała o tym, by sprawić jej niespodziankę.

– Gdzie to jedzenie? – huknął nagle Zbigniew, aż kręcące się pod stołem psy zaczęły nerwowo poszczekiwać i podgryzać się nawzajem. – Mam tu umrzeć z głodu?

Do jadalni wbiegła szybko służąca z miedzianą miednicą do mycia rąk i przewieszonymi przez ramię płóciennymi ręcznikami.

– Przepraszam, panie – wyszeptała niemal, podchodząc do niego – myśleliśmy, że pan czeka jeszcze na...

W tej samej chwili do sali energicznym krokiem wszedł wysoki mężczyzna, ubrany niczym księżę z Italii, w bogato haftowany płaszcz i czapkę, spod której opadały brązowe kędziory. W półmroku trudno było od razu dostrzec jego rysy, mimo to Amalia wyraźnie odczuła dumę i pewność siebie bijące od nieznanego.

– Proszę o wybaczenie – odezwał się przybyły – zasiedzialem się nad Arystotelesem.

Dwornie uklonił się Amalii, a ta ujrzała wreszcie w blasku świateł jego twarz. Pociągłe oblicze czterdziestoletniego przynajmniej mężczyzny, bardzo uduchowione, w pierwszej chwili przywoływało na myśl wizerunki Zbawiciela. Wielkie błękitne oczy, krótka broda, wysokie, szlachetne czoło i prosty nos – wszystko to zdawało się zbyt piękne jak na mężczyznę. Czuło się w nim też ledwie uchwytny pierwiastek próżności, co już nie pasowało do świętych obrazów.

– Moja najśłodsza pani żono – odezwał się Zbigniew – pozwól sobie przedstawić mistrza Grzegorza z Sącza. To wielki uczonec i astrolog, kształcony w najlepszych uczelniach świata. Do diabła, nawet nie umiem wymienić ich nazw!

– Głównie Sorbona – skromnie odpowiedział mężczyzna.

Amalia skinęła tylko głową, tak została nauczona na dworze.

– Mistrzu, oto moja małżonka – z dumą oświadczył Zbigniew.

– Pani, twoja piękność zaiste wprowadza w te ponure okolice blask, zdałoby się, słoneczny. – Grzegorz skłonił się raz jeszcze.

Wypowiedziawszy ten frazes, który najmniej pasował do pochmurnego dnia i grobowego mroku pomieszczenia, zamaszystym ruchem odgarnął szatę i usiadł ciężko na końcu ławy, w pewnym oddaleniu od Amalii.

– I co wyczytaliście w tych księgach, mistrzu? – zagadnął go od niechcienia Zbigniew, ostrząc swój nóż do krajania mięsa osetką zawieszoną przy pasie. Wydłużony kawałek kamienia miał wywiercony otwór, przez który przeciągnięto rzemień.

– U Arystotelesesa? – Uczony drgnął lekko, jakby wyrwany z zadumy. – Ach, nic ciekawego.

– Nic ciekawego? Nie wierzę. Jeśli to Grek, a tak mi brzmi jego imię, to musiał być mądry.

– O, mądry na pewno. Ale też zarozumiały i zbyt pewny siebie. Wypowiadał się stanowczo na wszystkie możliwe tematy, nawet na te,

o których nie miał pojęcia. Weźmy choćby jego koncepcję...

– Nie teraz, przyjacielu.

– Naturalnie, nie będziemy zanudzać pięknej damy. Przepraszam.

Zbigniewowi najwidoczniej pochlebiła sugestia, iż w przeciwieństwie do Amalii on sam wtajemniczony jest w zawilosci nauk Arystotelesa, gdyż uśmiechnął się z wyższością.

– Białogłowy są od nas o tyle roztropniejsze – rzekł sentencjonalnie – iż ze swej natury nie łamią sobie głów takimi skomplikowanymi sprawami, przez co lepiej wypełniają własne skromne, lecz zbawienne zadania.

Dawna Amalia w tej chwili niewątpliwie by prychnęła, ale dawna Amalia pozostała daleko na Wawelu, a właściwie umarła wraz ze śmiercią ojca Alberta. Ta obecna tylko przygryzła teraz wargę i zanurzyła dłonie w miseczce z wodą, aby opłukać palce. Gdyby Zbigniew wiedział, ile o Arystotelesie opowiadał dwórkom ich nieodżałowany nauczyciel, runęłaby cała jego wizja świata. On, któremu imię Platon kojarzyło się jedynie z psem, protekcyjnie chwalił ją za to, że podobnie jak górska kozica nie marnuje czasu na myślenie, tylko wypełnia boski plan.

A co najgorsze, ta nowa Amalia uznała, że lepiej nie wyprowadzać go z błędu.

W końcu służba wniosła jedzenie na cynowych półmiskach. Sztućce okazały się posrebrzane. Ona sama przywiozła ze sobą z Krakowa srebrne – znajdowały się w jakiejś kasetce na dnie kufra. Może nie pasowały tutaj? – pomyślała. Czy były zbyt wystawne? Może Zbigniew rzeczywiście hołduje prostocie, a nie jest tylko zwykłym sknerą?

Jej mąż skinął tymczasem na młodego służącego, stojącego w pobliżu ze smukłym kamionkowym dzbankiem.

– Nalewaj.

Chłopak podszedł do stołu i sprawnie napełnił puchary w kształcie ogromnych muszli.

– Napijmy się teraz za moją drogą małżonkę i za pomyślność tego domu – zaproponował gospodarz.

Wbrew obawom Amalii wino okazało się wyborne. Nie mogła się powstrzymać przed ocenianiem tego, co widzi, i porównywaniem

wszystkiego ze swoim dotychczasowym życiem. Już wiedziała, co powinna zmienić w pierwszej kolejności, i nie były to nawet owe posrebrzane sztuce. Nie przeszkadzały jej zbytnio. Uznała, że tych, które przywiozła ze sobą w wyprawie ślubnej, będzie używała tylko przy wyjątkowych okazjach. Pierwszą i najpilniejszą sprawą była wymiana mat podłogowych. Nie chciała sobie nawet wyobrazić, co gnieździ się w tych w jadalni...

Po chwili jednak zapomniała o planach i porównaniach, dostrzegłszy dziwny przyrząd, który wyjął spod płaszcza mistrz Grzegorz. Były to małe, dwuzębne widełki osadzone w uchwycie z kości słoniowej. Za ich pomocą uczony bardzo sprawnie przenosił do ust kawałki mięsa. Zbigniew złowił jej zaciekawione spojrzenie.

– Nasz mistrz i jego diabelskie rekwizyty – skomentował z szerokim uśmiechem.

– Dlaczego diabelskie? – spytała nieśmiało.

– Bo Świętej Hildegardzie z Bingen kojarzą się z widłami szatana – odparł Grzegorz.

– Doprawdy?

– No cóż, skojarzenie godne raczej wiejskiej dziewczki niż dostojnej uczonej, ale prawdą jest, że Kościół nie pochwała tego rodzaju przedmiotów.

– Ten wygląda na całkiem użyteczny.

– I taki jest. Przywiozłem go z Saksonii.

– Moim zdaniem – wtrącił się Zbigniew, otarłszy grzbietem dłoni tłuszcz z brody – to wynalazek żydowski. A więc nic w nim dobrego.

To ucięło dyskusję. Amalia zajęła się jedzeniem. Musiała przyznać, że było wyjątkowo smaczne. Pieczone wprost rozplęwało się w ustach, zwłaszcza jej ulubiona gęś w sosie. Z przyjemnością stwierdziła, że jest przyrządzona tak samo jak na wawelskim dworze. Z tą samą dbałością o dodatki i szczegóły.

– Przyznaję, panie mężu – powiedziała, wycierając kąciki ust białą serwetą – że kucharzy tu macie znakomitych. Niewiele chyba odbiegają kunsztem od tych wawelskich.

Zbigniew uśmiechnął się zadowolony, jakby to on sam przygotowywał wszystkie potrawy, ale chcąc być sprawiedliwym, powiedział:

– To zasługa naszej kucharki. A właściwie mojej pierwszej żony, nieboszczki, bo to ona ją tutaj sprowadziła.

Amalia starała się nie pokazywać po sobie, jaką przykrość sprawiła jej ta uwaga. Po raz kolejny tego dnia dotarło do niej, że zawsze już będzie drugą żoną, porównywaną przez wszystkich do pierwszej. Czekwały ją trudne chwile, zanim przekona do siebie cały ten dom.

– A to tylko dobrze świadczy o guście poprzedniej pani domu. – Uśmiechnęła się dzielnie, chwytając przy okazji wdzięczne spojrzenie stojącej w kącie pulchnej kobiety w białym fartuchu. Domyśliła się w niej kucharki, która osobiście chciała dopilnować wszystkiego w jadalni.

Jednak, niespodziewanie dla Amalii, wzmianki o byłej żonie sprawiły, że spojrzenie Zbigniewa stało się lodowate.

– O, tak, miała dobry gust – rzekł cicho. – Diabeł potrafi zwodzić...

Diabeł? – pomyślała Amalia.

Szybko spuściła wzrok, czując ogarniający ją nagle chłód.

ROZDZIAŁ PIĄTY

KAZIMIERZ POD KRAKOWEM, MARZEC 1391

Milda obudziła się o świcie, spocona i z mocno bijącym sercem. Na zewnątrz piał koguty.

Przez długi czas leżała na posłaniu, próbując otrząsnąć się z nocnego koszmaru, który, mimo że już się rozbudziła, a przez zakryte błoną, okrągłe okienko sączyło się blade światło poranka, wciąż nie chciał odejść. Śnił jej się Varnas. Widziała go w jakimś lesie. Zdawał się uwięziony wśród zarośli i omszałych gałęzi, jakby drzewa ożyły i próbowały go opleść. Z przerażeniem obserwowała wyraz udręki na twarzy brata, kiedy ten próbował wydostać się z pułapki, lecz każdy jego ruch tylko pogarszał sytuację. W końcu niemal sam zamienił się w drzewo: jego ramiona stały się sękami, a twarz przybrała ciemny kolor kory i rozmazała się, jakby wtopiona w pień dębu.

Długo uspokajała oddech. To tylko zły sen, przekonywała samą siebie. Ale wiedziała też dobrze, że złe sny, jakie ją nawiedzały, często znaczyły dużo więcej niż w przypadku innych ludzi. Choć starała się odegnąć złe myśli, otoczyły ją jak uprzykrzone owady.

Varnasowi stało się coś złego.

Dłużej nie mogła już uleżeć. Wstała ze skrzyni, która tutaj, w Kazimierzu, służyła jej za łóżko, i podeszła do miednicy z wodą, aby opłukać twarz. Niewiele jej to pomogło, wciąż była roztrzęsiona.

– Varnasie – powiedziała cicho do siebie. – Co ci się wydarzyło? Co chciałeś mi powiedzieć?

W kuchni zastała już Dorotę. Praczka klęczała przy palenisku, okutana w chusty, krzesząc ogień nad podpałką z cienkich płatków kory brzozej.

– Nie śpisz już? – mruknęła na powitanie.

– Miałam złe sny.

– Och, a cóż takiego ci się znowu śniło?

– Brat.

– Ten, co siedzi na Litwie?

– Tak.

– Sny nic nie znaczą. Pewnie zjadłś coś nieodpowiedniego. Mnie się tyle razy śniło, że mój stary wyciągnął kopyta, ale kiedy naprawdę utopił się w Rudawie, to zapomniał mi się najpierw przyśnić. Podmuchaj miechem.

Milda posłuchała i w palenisku zapłonął ogień, jego pomarańczowy blask położył się na wiszących na ścianie patelniach i rondlach, nieco ożywiając ponurą izbę.

– Na złe sny najlepsza ciężka praca. – Dorota wstała i wyprostowała plecy. – Dzisiaj twoja kolej na zakupy.

– Wiem – odparła Milda.

Lubiła dni, kiedy mogła się wyrwać z zakopconej kuchni, pójść między ludzi, pooglądać towary wystawione na rynku. Wprawdzie pogoda zrobiła się ostatnio paskudna, ale siedzenie z Dorotą nad baliami i młócenie kijankami prześcieradeł było gorsze od wiatru i deszczu.

– Będiesz miała jeszcze jedną sprawę do załatwienia – powiedziała gospodyni.

– Tak?

– Trzeba coś zanieść panu Mikołajowi.

– Kto to taki?

– Wielki pan. Ale ludzki człowiek. Handluje żelazem.

– Co mam mu zanieść?

– Nie twoja rzecz, księżniczko. On będzie wiedział, co to. Przynies wody ze studni.

Milda nie dopytywała się więcej, znając trudny charakter Doroty. Mimo że dziewczyna przybyła tutaj wprost z wawelskiego dworu i była niejako protegowaną królowej, zgryźliwa kobieta wcale nie traktowała jej lepiej, niż gdyby ta trafiła pod jej dach prosto z jakiejś podkrakowskiej wioski. Miała ją za zwykłą służącą i każdego dnia dawała to odczuć. Dziewczynie coraz trudniej było znaleźć w niej jakieś miłsze, ludzkie cechy.

– A jak będziesz na targu – dodała praczka, gdy Milda odsuwała już zasuwę w ciężkich, nabijanych ćwiekami drzwiach – to nie kupuj mięsa od

tego łysego Marcina, tfu, oszusta. Idź prosto do jatek, tam też dostaniesz łożu do świeczek.

Na szczęście, kiedy ruszyła w kierunku krakowskiego rynku, nie padało już, choć wiatr był zimny i wilgotny. Na plecach niosła wiklinowy koszyk na zakupy, a pod pachą chowała kasetkę, którą miała wręczyć kupcowi żelaznemu; najprawdopodobniej były to jakieś pieniądze do oddania. Dziwne tylko, że taki człowiek pożyczał gotówkę Dorocie. Nie roztrząsała jednak tego, wciąż wracając myślami do nocnego koszmaru. Dlaczego teraz, gdy Krzyżacy wycofali się spod Wilna, Varnasowi miałyby coś grozić? Przetrwiał oblężenie – wiedziała to od ludzi z Wawelu – a na Litwie czuł się przecież jak w domu.

A jednak.

Sen był tak wyrazisty i tak naładowany złymi emocjami, że nie potrafiła usunąć go z pamięci. Ale nie mogła też całkowicie dać się opanować posepnym myślom. Musiała zachować czujność. Miasto nie było bezpiecznym miejscem, a ona nie dość, że niosła ze sobą kasetkę Doroty, to jeszcze miała przy pasie mieszek z resztą pieniędzy, które otrzymała od królowej przed opuszczeniem Wawelu. Nie zostawiała ich w swojej izbie – nie znalazła w niej bezpiecznego miejsca, a zbyt wielu złodziei kręciło się tam zarówno za dnia, jak i w nocy. No i większość z nich z pewnością rozumiała, że dwórka królowej nie przybyła do kamienicy z pustymi rękami. Przez jakiś czas Milda myślała o ukryciu pieniędzy gdzieś na zewnątrz, zakopaniu pod jakimś kamieniem, jednak uznała ten pomysł za zbyt ryzykowny.

Tak więc nie rozstawała się ze swoim mieszkaniem nawet podczas snu. Nie był to w żadnym wypadku wielki skarb. O ile dobrze obliczała, w sakiewce powinna mieć jeszcze jakieś kilkadziesiąt groszy, może nawet półtorej grzywny. Część otrzymanej na początku sumy zdążyła już wydać, głównie na zimowe ubranie, bo to, które przywiozła ze sobą z zamku, było zbyt wytworne, by w nim chodzić po Kazimierzu. Przyda się, kiedy Milda oczyści się już z zarzutów i wróci na dwór...

Tak, tylko kiedy to nastąpi? Krystyna będzie musiała popełnić jakiś błąd. Choćby najmniejszy.

Był wtorek, dzień targowy i czuło się to na ulicach Krakowa; w kierunku rynku jeden za drugim zmierzały wozy wyładowane warzywami, drewnem, beczkami z piwem, kurczętami. Woźnice krzyczeli na siebie, ptactwo trzepotało skrzydłami w ciasnych klatkach, ryczały prowadzone do jatek krowy. Przeszła przez Grodzką i dotarła na błotnisty rynek, gdzie panował jeszcze większy ścisk. Od razu doszły do niej zapachy smażonych kielbasek i wątróbki z cebulką, woń świeżo upieczonego chleba – to wszystko przypomniało jej, że na śniadanie wypiła tylko garnuszek mleka i zjadła kawałek koziego sera. Przełykając ślinę, minęła kościółek Świętego Wojciecha, kramy kuśnierzy i dotarła do stoisk z towarami żelaznymi.

– Ja do pana Mikołaja – poinformowała grubego sprzedawcę z brodawką nad prawym okiem. Za jego plecami wisiały noże, tasaki, siekierki i nożyce.

– Od kogo?

– Od Doroty z Kazimierza.

Grubas się skrzywił.

– A... od niej. Pan Mikołaj jest u siebie w sklepie.

– Jak tam dojść?

Mężczyzna zagwizdał na palcach. Po chwili nadbiegł głupawo uśmiechnięty rudy wyrostek w skórzanej czapce z powiewającymi nausznikami.

– Janko, zaprowadź ją do pana.

– Robi się, mistrzu.

– A jak będziesz wracać, kup mi garnek piwa u Hodona. Niech to doliczy do rachunku.

– Wiadomo.

Ruszyła w ślad za rudowłosym chłopakiem, który szybko i sprawnie przebijał się przez tłum i co rusz znikał jej z oczu w labiryncie ciasnych przejść pomiędzy budami i straganami. Na szczęście nosił pstrokatą pelerynkę, wydymaną teraz przez wiatr, wyglądał więc trochę jak olbrzymi motyl i za każdym razem w końcu odnajdywała go w ciżbie.

Wreszcie doszli do jednej z kamienic naprzeciwko budynku Wielkiej Wagi. Na parterze mieścił się sklep; dwuskrzydłowe drzwi, nad którymi wznosił się płócienny daszek, były teraz szeroko otwarte. Chłopak powiedział coś stojącemu przy wejściu pachołkowi, a ten skinął głową i zrobił im przejście, nawet nie zaszczycając spojrzeniem dziewczyny.

To tutaj znajdował się właściwy magazyn i sklep żelazny. Stragan na rynku przeznaczony był dla biedniejszych klientów, w kamienicy natomiast wystawiono najprzedniejsze towary, na które stać było tylko najbogatszych. Milda nie miała jednak czasu niczego podziwiać. Przeszli szybko przez salę i dotarli do drzwi z kołatką w kształcie lwiej głowy.

Chłopak zastukał trzy razy, widocznie był to umówiony znak.

– Wejść! – usłyszeli stłumiony głos.

Gdy zobaczyła pomieszczenie, do którego wkroczyli, zaparło jej dech w piersi. Miała wrażenie, jakby znalazła się w reprezentacyjnej sali na Wawelu. Komnata była olbrzymia, z wykładaną ceramicznymi płytkami posadzką i wielkim dwuskrzydłowym oknem z okrągłymi szybami, przysłoniętym drewnianą kratownicą. Był tu także okazały kominek zwieńczony arkadowym fryzem. Wszędzie paliły się świece, dające w ten pochmurny dzień mnóstwo światła.

Na środku sali, na krześle ocienionym baldachimem, siedział jak na tronie odziany w ciemną tunikę mężczyzna z otwartą księgą na kolanach. Kiedy weszli, podniósł na nich spojrzenie.

– O co chodzi?

Był młodszy, niż Milda to sobie wyobrażała. Bardzo młody, może nawet w jej wieku. Gładko ogolony, z czarnymi włosami przyciętymi równo nad czołem i zielonymi, błyszczącymi inteligencją oczami, mógłby sprawiać wrażenie jednego z żaków, z którymi mieszkała, gdyby nie wytworna postawa, jakiej nie mieli za grosz tamci.

– Przysłała mnie Dorota z Kazimierza – odparła nieco onieśmielona przepychem pomieszczenia. Teraz zrozumiała, dlaczego to właśnie bogatych kupców nazywano prawdziwymi panami Krakowa.

– Ach, czcigodna Dorota – mruknął z przekąsem Mikołaj, odkładając księgę na ustawiony obok krzesła pulpit.

Milda wysunęła rękę z kasetką.

– Mam oddać to.

– Ciekawe. Zwykle przychodzą mężczyźni.

Nie wiedziała, co na to odpowiedzieć.

– Tak przy okazji. Zastanawia mnie, co tak niewinnie wyglądająca osoba ma wspólnego z Czarną Dorotą? – zapytał z uśmiechem. – Nie wygląda panna na jedną z dziewczyn z Kazimierza.

Zmieszała się, nie tylko za sprawą „niewinnej osoby”, lecz przede wszystkim „Czarnej Doroty” – tego określenia dotąd nie słyszała i wołała teraz nie dociekać, co ono oznacza.

– Mieszkam u niej. Pomagam w kuchni.

– Rozumiem. Proszę podejść. Śmiało.

Zrobiła dwa kroki do przodu, zła na siebie, że jest tak skrępowana – ona, która przebywała w otoczeniu Jagiełły i Jadwigi, w towarzystwie tego młodzieńca zachowywała się jak przestraszona pastereczka.

Szybko wręczyła mu kasetkę, aby nie przedłużać niezręcznej sytuacji. Podczas gdy ją otwierał, do nóg Mildy podbiegł czarny tłusty kot. Zaczął się ocierać, a potem wyłożył się na jej cizmach brzuchem do góry, mrucząc głośno.

– Oho, Benedykt pannę polubił – skomentował Mikołaj. – Jeszcze jeden powód, dla którego nie pasuje panna do tego towarzystwa. On ma wycucie.

Wszystko stawało się coraz dziwniejsze.

I ten jego uprzejmy, a zarazem ironiczny ton, i zwierzak u jej stóp – mało kto trzymał koty w tak bogatych domach, lud uważał je za pomocników szatana lub przynajmniej czarownic. Zresztą nie tylko lud – Kościół również.

– No tak. – Mikołaj z lekkim uśmiechem pokręcił głową, patrząc na zawartość kasetki. – Szybko do nas wróciły.

Wychyliła się do przodu, aby zajrzeć do środka. Ujrzała posrebrzane łyżki i noże w ozdobnych kościanych uchwytach. Nie była głupia, natychmiast zrozumiała, skąd pochodzą. Ze sklepu Mikołaja. Ktoś je ukradł – albo sprzedawcy, albo klientowi – potem zaś odsprzedał Dorocie, a teraz wracały do kupca, naturalnie za jakąś opłatą.

Poczuła, że ze wstydu pali ją twarz.

– Nie wiedziałam, że to...

– Że co?

– Że to z kradzieży. Myślałam, że to gotówka. Nigdy bym...

Mikołaj zamknął kasetkę i podniósł się z krzesła.

– Panna chyba od niedawna w mieście.

– Od jesieni.

– No właśnie. Trochę wina? – Wskazał na dzban stojący na skrzyni zaopatrzonej w całe mnóstwo szufladek i drzwiczek. – Węgierskie.

Pokręciła głową, wciąż oszołomiona i zła na Dorotę, że ta przysłała ją tu z kradzionym towarem.

Tymczasem Mikołaj nalał sobie wina do srebrnego kielicha, na którym wygrawerowano liść oraz jakiś herb, zapewne rodziny.

– Taki mamy układ – powiedział po chwili, upiwszy łyk. – Złodzieje byli, są i będą. To wliczone w koszty. Ale jeśli towar do nas wraca i możemy go odkupić za niższą cenę, bardziej to opłacalne, niż utracić go całkowicie, prawda?

– Tak, ale to perfidne.

– Interesy. Każdy coś zyskuje. Na przykład cztery takie łyżki kosztują w sklepie dwie grzywny. Dorocie zapłacę pięćdziesiąt groszy. Ona zarobi, a ja sprzedam je ponownie z zyskiem.

– Wiecie o niej wszystko i się na to godzicie?

– Proszę posłuchać, mój ojciec, prawdziwy pan i władca tego królestwa – zatoczył dłonią z kielichem półokrąg – jest rajcą. Gdyby chciał, zniszczyłby Dorotę w jeden dzień. Tak, ów siwobrody i groźny patriarcha mógłby to zrobić z łatwością. Ale co by to mu dało? Złodzieje zaczęliby po prostu odsprzedawać nasz towar konkurencji, a my nie mielibyśmy z tego nic. Dorota jest częścią systemu. Czy to się nam, kupcom, podoba, czy nie.

Podszedł do stolika przy ścianie i za pomocą klucza otworzył kłódkę przy szkatułce. Odliczył kilkanaście monet, po czym wręczył je Mildzie. Nie patrząc na nie, wrzuciła wszystko do swojego mieszka.

– Proszę pozdrowić Dorotę – rzekł na koniec.

Wciąż wściekła na Dorotę, opuściwszy sklep Mikołaja, wmieszała się w wielobarwny tłum na rynku. W powietrzu pojawiły się pojedyncze płatki śniegu, zastępujące padający wcześniej zimny deszcz. Wciąż czuła obrzydzenie na myśl o tym, jaka rola przypadła jej w udziale w całym tym procederze. Nieświadomie, bo nieświadomie, ale wzięła udział w podejrzanym transakcji i w oczach tego pewnego siebie, bajecznie bogatego młodzieńca stała się dziewczyną z półświatka, w dodatku

głupiutką. Nie wiadomo, co gorsze – być paserką czy naiwną gęsią na posyłki dla przestępców. Gdyby królowa czy Amalia dowiedziały się, jak sobie teraz radzi, Milda spaliłaby się ze wstydu. Odeszła z Wawelu w niesławie, oskarżona o trucicielstwo, a już po kilku miesiącach handlowała skradzionymi łyżkami. Jeśli ktoś twierdził, że jest zepsuta, miałyby teraz najlepszy dowód na potwierdzenie swej opinii.

O nie, więcej nie da się w ten sposób wykorzystywać, powie Dorocie, co o tym myśli. Nie jest jej niewolnicą, ma swoje pieniądze, ma umiejętności, da sobie radę bez takiej podejrzanej protekcji.

Musiała się trochę uspokoić, żeby załatwić wszystkie sprawy. Wzięła połec wołowego mięsa za dziewięć groszy, w topni przy jatkach znalazła łój na świeczki, potem kupiła jajka, a także garniec masła za trzy grosze od znajomej handlarki, Kachny. Załadowawszy to wszystko do kosza na plecach, chciała już wracać do domu, lecz coś ją zatrzymało.

Była tak blisko szpitala, że nie potrafiła się oprzeć pokusie, by nie stanąć przy bramie w nadziei, że znowu ujrzy Anioła Śmierci, czyli Krystynę. Przyciągała tam Mildę jakaś niewidzialna siła.

Nim doszła do ogrodzenia otaczającego szpital, mokry śnieg z deszczem przybrał na sile, toteż szybko schroniła się w tej samej bramie co zawsze. Najwidoczniej nie miała dzisiaj szczęścia. W taką pogodę Krystyna pewnie się nie pojawi. Kiedy dziewczyna wycierała mokrą twarz, ujrzała, że ktoś wślizguje się szybko do bramy. Drgnęła zaskoczona. Był to młody mężczyzna w czarnym, wyświeconym kapeluszu, z którego rinda spływały teraz krople wody. W denku nakrycia głowy widniała spora, postrzępiona dziura, kształtem przypominająca gwiazdę.

– Witaj, pogańska wiedźmo – rzekł, odsłaniając w uśmiechu brązowe zęby, a Milda aż skuliła się ze strachu. – Niezbyt mądrze tak chodzić samotnie z pieniędzmi, prawda?

– Kim jesteś?

– Przesyłam pozdrowienia od przyjaciół z Wawelu.

Cofnęła się o krok, dalej nie mogła, gdyż dotknęła koszem kamiennej ściany.

– Zostaw mnie w spokoju.

– Bo co? Zawołasz Liskę?

Błyskawicznie znalazł się przy niej i chwycił ją za gardło. Chciała go kopnąć, ale kolana jej zmiękły, gdy ujrzała w ręce opryszka rzeźnicki nóż.

– Nie rób mi krzywdy – wyszeptała zdławionym głosem.

– Masz na myśli to, żebym nie poharatał ci tej ślicznej buźki? Nie, jeszcze nie teraz. Może kiedyś, jeśli dalej będziesz się tak o to prosić.

Jednym zgrabnym ruchem odciął mieszek wiszący przy pasie jej brunatnej, wilgotnej teraz od deszczu sukni. Podrzucił go na dłoni.

– Następnym razem będzie cię to drożej kosztowało, więdźmo.

– Zapłacisz mi za to – odparła, czując, jak jej strach zamienia się w gniew.
– Ty i Krystyna.

– Nie. Nie zapłacę. Ani ja, ani ona. Zadarłaś z silniejszymi od siebie. Jesteś tylko śmieciem z Kazimierza.

Puścił jej gardło i niespodziewanie uderzył ją pięścią w brzuch. Milda straciła oddech, bezładnie osunęła się na ziemię. Poprzez mgłę oszołomienia i bólu ledwie widziała, jak nasłany prawdopodobnie przez Krystynę zbir tanecznym krokiem wychodzi z bramy i znika w deszczu. Na koniec zdjął kapelusz i uklonił się z szyderczym uśmiechem. Kiedy się przy tym pochylił, zauważyła, że opadające mu na twarz czarne włosy odsłoniły bliznę po odciętym uchu.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

OKOLICE WILNA, MARZEC 1391

Zwykli mieszkańcy miasta tak naprawdę niewiele wiedzą o pieśniach wilków. Wszystkim tym kniaziom, bojarom, kupcom oraz innym bogaczom, którzy raz na pół roku urządzają sobie polowania z chartami, wystrojeni jak na gody, wydaje się, że wilcze wycie oznacza jedynie to, iż zwierzęta te chcą zaznaczyć swą obecność. Że watahy wysyłają sobie wzajemnie sygnał, który można przetłumaczyć na język ludzki za pomocą jednego prostego zdania: „To nasze terytorium”.

Jednakże Varnas nie był zwykłym mieszkańcem miasta. Na wilkach znał się jak mało kto, być może nawet lepiej niż na ludziach. Wychowany w zagubionej w puszczy wiosce, która już nie istniała, poznał wilcze zwyczaje tak dobrze, że nauczył się szacunku wobec tych drapieżników.

Bo wilki, wiadomo, są różne. Podobnie jak ludzie. Nawet ich pyski są odmienne. Jedne spokojne i dumne, inne poczciwe, jeszcze inne lisie i chytre, słowem, można z nich wyczytać charakter poszczególnych osobników. Czasami wydawać by się mogło, że mają rozum. Jeśli jakieś istoty na tej ziemi potrafią przenikać strefy widzialne i niewidzialne, muszą to być właśnie wilki.

A ich wycie przybiera różne tony.

Owszem, zaznaczają swoje terytorium. Nawołują się, kiedy zamierzają polować. Ale ich wycie niesie ze sobą o wiele więcej treści, niż się powszechnie sądzi. Śpiewają także wtedy, gdy chcą zasygnalizować strach i ostrzec swoich towarzyszy.

I to właśnie strach był dominującą nutą, którą Varnas wychwytał w dobiegającym teraz do jego uszu wilczym śpiewie.

Wyruszył z wileńskiego zamku na czele siedmioosobowego oddziału, złożonego głównie z litewskich leśnych diabłów, aby zapolować na innego diabła – miedzianobrodego Johanna Rista, mordercę jego rodziny. Taki oddział powinien w zupełności wystarczyć. Zwiadowcy doskonale znali puszcę, a do tego byli zaprawieni w leśnych walkach. Jednakże ponure wycie, które przywitało ich, gdy tylko wpadli między pierwsze drzewa, sprawiło, iż poczuli się odrobinę niepewnie.

– Nie podoba mi się to – mruknął młody Siergiej, jadący tuż obok Varnasa, na czele drużyny.

– To tylko wilki – odparł ten bez przekonania.

– Ale czego się boją? Krzyżacy się wycofali.

– Nie wszyscy.

– Myślisz, że boją się tego twojego brodacza?

Wyczuwają demona, pomyślał Varnas, lecz tego rodzaju podejrzania wolał nie wypowiadać na głos.

Ten demon przybył na Litwę niczym wysłannik piekła. Jest ucieleśnieniem czystego zła i zwierzęta w jakiś sposób to wyczuwają.

Chociaż zarówno Varnas, jak i jego ludzie przyjęli nową, niemiecką wiarę, w głębi duszy pozostawali poganami, wierzącymi w leśne znaki. Teren, na którym się znaleźli, jeszcze do niedawna był święty, to właśnie tutaj kapłani odprawiali najważniejsze ceremonie. I mimo że ścięto boskie drzewa oraz zburzono kamienne ołtarze, a sami kapłani zostali przepędzeni, dla litewskich wojowników wciąż była to strefa, gdzie widzialne spotyka się z niewidzialnym, gdzie mieszkają duchy i demony. Większość z nich miała przy sobie amulety, a kilku wypowiadało podczas tej jazdy bezgłośnie zaklęcia, których nauczyli się jeszcze od swoich babek.

Nie obawiali się krzyżackich mieczy ani angielskich łuków – bali się prawdziwych władców puszczy.

– Duchy nie będą sprzyjać Niemcom. – Varnas nie wytrzymał.

– A nam? – Siergiej uśmiechnął się krzywo, pochylony nad końskim karkiem, aby nie zaczepiać kołpakiem o gałęzie. – Przecież je zdradziliśmy, czyż nie?

– Ale tamci są tutaj zupełnie obcy. Mają na płaszczach symbole cudzego boga. I palili las.

Rzeczywiście, zbliżali się do miejsca, które Krzyżacy niedawno wytrzebili za pomocą toporów i ognia, gdy przeciągali w kierunku miasta

swoje maszyny obłężnicze. Na śniegu czerniały pojedyncze kikuty drzew.

– Na mój rozum – odparł Siergiej – ani oni, ani my nie jesteśmy tu teraz mile widziani.

– Nie myśl o tym. Mamy zadanie do wykonania.

– To nie jest dobry czas.

– Strach cię obleciał? Może trzeba ci było zostać w warowni?

– Może nam wszystkim trzeba było... – odburknął chłopak.

– Dosyć! – rozgniewał się Varnas.

Wiedział, że chłopak niechętnie wyruszył z nim do lasu, zwłaszcza że dopiero co powrócił z porannego patrolu. Miał na zamku swoją dziewczynę, jasnowłosą szwaczkę, i najchętniej spędziłby resztę dnia w jej ramionach, z dzbanem wina na stole, zamiast znowu przedzierać się przez zarośla i brnąć w zalegającym wciąż między drzewami śniegu.

– Nie zamierzam więcej słuchać o duchach. Gdyby były tak mocne, jak mówisz, nie dałyby się pokonać nowemu Bogu. Teraz cisza, rzeka niedaleko.

Według słów schwytych rycerzy oddział Rista miał się znajdować gdzieś nieopodal, przy zakolu Wilii. Było to dla Varnasa okolicznością korzystną, ponieważ oznaczało, że Krzyżacy znajdowali się niejako w potrzasku. Mogli poruszać się tylko cienkim pasem lądu wzdłuż brzegu, na północ, z jednej strony mając rzekę, z drugiej mokradła. Jedyne, co im sprzyjało, to otwarty teren i sypiący teraz śnieg, zakrywający świeże tropy. Był marzec, ale w tych stronach zima trzymała zwykle długo. Varnas wiedział, że te psy nie umkną, wpadną w ich ręce jeszcze przed zmrokiem. W tym lesie miał nad nimi olbrzymią przewagę.

Kiedy oddalili się od Wilna na jakieś dwie wiorsty, wilcza pieśń ucichła jak nożem uciął. Uznali to za dobry znak i z miejsca poczuli się pewniej. Spoza drzew widać już było rzekę, szarą i spienioną. Na brzegu rosły trzciny, olchy i wierzby, nie była to jednak dobra kryjówka dla oddziału zbrojnych. Rista tutaj nie najdziemy, myślał Varnas. Nie chowa się w szuwarach jak kaczka. Ponaglił konia, reszta jeźdźców poszła w jego ślady. W leśnej ciszy słychać było tylko głuchy stukot kopyt, pochrapywanie wierzchowców i brzęk uprzęży. Nikt się nie odzywał. Oczy Litwinów czujnie wypatrywały jakichkolwiek znaków świadczących o obecności Niemców.

Minęli miejsce, gdzie kiedyś stał kamienny posąg Perkuna, teraz pozostała po nim tylko wyrwa w ziemi, częściowo zasypana śniegiem.

– Tutaj ich złapaliśmy – rzekł jeden z Litwinów. – Ich dowódca miał być o jakąś wiorstę dalej. Może o dwie.

– Nie mogli jeszcze minąć mokradeł – stwierdził Varnas. – Przez jakiś czas musieli szukać swoich.

– Podobno mają ze sobą chorego. Z gorączką.

– A więc są jeszcze bliżej.

Spięli konie i kłusem ruszyli wzdłuż brzegu. Serce Varnasa zabiło mocniej. Czuł, że Rist już mu się nie wymknie. Już niebawem będzie go prowadził na powrozie do zamku, a potem... A potem żadna Matka Boska nie pomoże już brodaczo wi.

– Tam! – Siergiej wskazał przed siebie ręką.

Dostrzegli ścielącą się nisko nad rzeką cieką smużkę dymu. Obozowisko!

Varnas sięgnął po miecz. Zazgrzytał metal wyciągany z pochwy. Miejsce, skąd wydobywał się dym, zasłonięte było przez wiklinę. Jeśli Krzyżacy tam są, nie zdążą uciec. Choćby weszli do rzeki – w tym miejscu nie było żadnego brodu.

Gdy jednak Litwini tam dotarli, nie zastali nikogo. Ujrzeni tylko dogasające ognisko otoczone rzeczonymi kamieniami i jakieś kurze kostki na śniegu. Krążyli po brzegu na koniach, rozglądając się na wszystkie strony, wypatrując śladów. Wszystkie zasypał śnieg.

– Musieli odejść niedawno – rzekł Varnas.

– To dobrze i źle – odparł brodaty zwiadowca w baranim kozuchu. – Jeśli są niedaleko, to nas usłyszeli.

– Nie umkną. Jak wejdą na bagna, to po nich. Za mną!

Ruszyli dalej, prawie galopem, czując, że zakonnicy są tuż-tuż. Gdzieś w głębi duszy Varnasa pojawiła się naraz niepokojąca myśl: dlaczego nie wygasili porządnie ogniska? Czyżby wciągali ich w pułapkę? Ale podniecenie wzięło górę. Był zbyt blisko Rista, aby myśleć racjonalnie. Konie pędziły. Było tak, jakby to nie Varnas podejmował decyzje, ale znajdował się we władaniu jakiejś ponadludzkiej siły. Kiedy zrozumiał, jak niewybaczalny popełnił błąd, było już za późno.

Pierwsze strzały posypały się na nich od strony przybrzeżnych zarośli. Usłyszał przecinający ciszę ostry świst, a potem poczuł mocne uderzenie w siodło, tuż obok swojego uda. Drzewiec strzały z pierzastą lotką utknął tam niczym ozdobny pióropusz. Niemal w tym samym momencie Varnas kątem oka ujrzał, jak jeden z jego ludzi zwała się z konia. Zapanował chaos.

– Otoczyli nas! – krzyknął Siergiej.

Wstrzymali wierzchowce.

– Nie stójcie tak obok siebie! – zawołał Varnas. – Rozproszyc się! Bo wystrzelają nas jak kaczki!

Kolejna strzała świsnęła mu koło ucha. Musiał zachować zimną krew, jeżeli nie chciał, aby jego oddział został rozbity na swoim własnym terenie. Wiedział już, że dramatycznie nie docenił Czerwonego Diabła. Chęć osobistej zemsty zaćmiła mu umysł. Wszystko to – pojmani rycerze, ich zeznania, obozowisko – było pułapką. Jednym słowem, zawiódł jako dowódca. Lecz nie mógł sobie teraz pozwolić na wściekłość na siebie ani na żale, musiał ratować swoich ludzi. Pytanie tylko jak? Nie wiedział, ilu tak naprawdę jest wrogów ani gdzie się znajdują. Strzały nadlatywały też już od strony bagien. Krzyżaków musiało być co najmniej kilkudziesięciu. Jeśli zamknęli im również drogę powrotu, jest po wszystkim. Ten wąski pas łądu między rzeką a moczarami, który miał być potrzaskiem dla zakonnych, teraz nieubłaganie zamieniał się w prawdziwy koszmar Litwinów.

A wilki nas ostrzegały, przemknęło mu przez myśl.

– Są za nami! – Jeden z Litwinów potwierdził najgorsze przypuszczenia Varnasa. – Otoczyli nas!

– Do lasu! – zakomenderował Varnas.

Do lasu oznaczało na bagna. Było to ryzykowne, ale pomyślał, że na tym zdradzieckim terenie może zyskać jakąś przewagę nad Krzyżakami, którzy zupełnie go nie znali. Mogli łatwo się pogubić, podnieceni przewagą, jaką mieli teraz nad Litwinami. Zresztą nie miał innego wyjścia, musiał zaryzykować.

Do linii drzew mieli niedaleko, były niemal na wyciągnięcie ręki, ale pod gradem strzał wszelkie zwykłe pojęcia czasu i przestrzeni traciły sens i odległość wydawała się teraz ogromna, jakby musieli przemierzyć

bezkresny step. Pochylając się nad spoconym karkiem wierzchowca, Varnas modlił się, by wróg nie wykorzystał tej ostatniej chwili, kiedy są całkowicie odsłonięci. W pośpiechu powinni strzelać nieprecyzyjnie.

Nie docenił łuczników. Nie wypuszczali strzał na oślep. Kiedy był już przy samych drzewach i właśnie zamierzał zeskoczyć z konia, poczuł uderzenie w prawe ramię. Krzyknął, bardziej z zaskoczenia niż z bólu, bo ten przyszedł dopiero później. Zsunął się z siodła, upadł na kolana. Wysiłkiem woli przeszedł na czworakach między zarośla. Gdy tam dotarł, całą prawą stronę ciała miał już zdrętwiałą. Oparł się o chropawy pień drzewa i oddychał głęboko, próbując zebrać myśli. Krzyżackie strzały nie były zatrute jak tatarskie czy litewskie, nie musiał więc teraz własnoręcznie usuwać grotu i tym samym rozszarpywać rany. Złamał tylko drzewiec, tuż przy metalu, aby nie zawadzał podczas przedzierania się przez gąszcz, i ruszył w głąb lasu, w kierunku bagien. Miał nadzieję, że jego towarzyszom bardziej się poszczęściło. Odgłos łamanych gałęzi oznaczał, że przynajmniej trzech zdążyło schronić się między drzewami. Teraz już nie było szans na zorganizowaną walkę, każdy musiał myśleć tylko o tym, by ujść z życiem.

To ja do tego doprowadziłem! – myślał Varnas, przedzierając się przez gęste zarośla. Nie słuchałem Jędrzeja, nie słuchałem nikogo prócz swojego głupiego serca. Przed oczami migotały mu krwawe plamy, a ramię bolało tak, jakby je włożył w ogień. Z myśliwego stał się zwierzyną. I to ranną zwierzyną. Uciekał w las jak krwawiący jelen, właściwie bez szans na ratunek. Łowcy nadchodzili, bez pośpiechu, pewni swego. Słyszał ich głosy za sobą. Twarda niemiecka mowa, rzekłbyś: poszczekiwanie.

Czuć już było zgniłe zapachy bagna, lecz Varnas poruszał się coraz wolniej, niczym w koszmarnym śnie. Zarośla jakby ożyły, chwytaly go, oplątywały, musiał z nimi walczyć. A na to miał coraz mniej sił. Kręciło mu się w głowie, krew dudniła w skroniach.

Nawet nie wiedział, w którym momencie stracił przytomność. Kiedy otworzył oczy, nie miał już nad sobą gałęzi, tylko ciemniejące zachmurzone niebo. Po chwili przesłoniła je potężna sylwetka rycerza w białym płaszczu.

– Guten Abend – usłyszał basowy głos.

Zobaczył rudą brodę i bliznę na twarzy mężczyzny. Zobaczył tę samą twarz, którą przez chwilę widziała mała Milda.

Zanim Varnas ponownie stracił przytomność, ujrzał mordercę swojej rodziny.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

ROŻNÓW, MARZEC 1391

Zbigniew wygrzebał się z pościeli, odwrócony od żony plecami. Potem po dwóch stopniach zszedł z łoża na kamienną posadzkę. W blasku świec płonących w wieloramiennym lichtarzu Amalia widziała jego błyszczącą od potu i pokrytą licznymi bliznami skórę. Między bladymi, półksiężycowatymi śladami wyrastały kępki rudawych włosów, pod prawą łopatką zauważyła sporej wielkości ciemne znamię. Ciało męża było żyłaste i twarde, mocno pokiereszowane, jak na wojownika przystało. Emanowało brutalnością.

I chyba całkowicie oddawało naturę tego mężczyzny.

Wprawdzie podczas swoich wieczornych wizyt w jej łożu mąż zdawał się niejako hamować i zachowywać delikatność, jednak nie zawsze mu się to udawało, zwłaszcza w chwilach największego uniesienia. Krótko mówiąc, zdarzało mu się sprawiać Amalii ból, czego chyba nawet nie zauważał.

Przywykła już do tego.

„Tacy właśnie są mężczyźni uprawiający wojenne rzemiosło” – ostrzegały ją białogłowy na Wawelu. „Załatwiają te sprawy szybko i bez ceregieli, tak jak się zapewne nauczyli w zamtuzach czy w wiejskich stodołach. Tego nie znajdzie się w romansach o Lancelocie czy Tristanie, dziecko”.

Nigdy nie była na tyle naiwna, by marzyć o bohaterach pieśni rycerskich, lecz mimo wszystko wieczory, kiedy odwiedzał ją w sypialni, napawały Amalię coraz większą niechęcią.

Jeśli w końcu zajdę w ciążę, może da mi spokój, pomyślała teraz.

Zbigniew jakby odgadł jej myśli, bo gdy tylko wyrównał oddech, odwrócił się ku niej i zapytał:

– Kiedy, pani, spodziewasz się swojej, hm, miesięcznej słabości? A może to już...?

Włożył przez głowę nocną koszulę i spojrzał na Amalię z rosnącą nadzieją.

– Jeszcze nic nie czuję, panie mężu – odparła, nie patrząc mu w oczy. – Ale myślę, że to powinno się okazać lada dzień.

– Oby tak było. Musimy się dużo modlić. Dobrej nocy, pani – mruknął.

Ujął w dłoń ciężki lichtarz z brązu i wyszedł. Krąg pomarańczowego światła zniknął i sypialnia zatoneła w mroku.

– Dobrej nocy – powiedziała cicho, ale już jej nie usłyszał.

Ciężkie drzwi od jej sypialni zatrzasnęły się z głośnym szczękiem metalowego rygla, umieszczonego po ich drugiej stronie. Zauważyła go już w chwili, kiedy tu pierwszy raz weszła, jednak stale zapominała zapytać, dlaczego ta komnata jest zamykana z zewnątrz. Zresztą kogo miałyby o to spytać? Służba niezbyt chętnie udzielała odpowiedzi na jej pytania, a Zbigniewa nie miała odwagi niepokoić.

Z cichym jękiem podniosła się na posłaniu, zeszła z łoża i poprawiła żarzące się drewno w palenisku kominka. Wrzuciła kilka cienkich płatków kory, żeby ogień rozpalił się na nowo, a potem dołożyła na wierzch polano ze stojącego obok kosza. Po chwili płomień buchnął wysoko, oświetlając kącik, w którym, za niewielkim przepierzeniem, stał dzban z wodą do mycia i porcelanowa miska. Przywiozła je ze sobą z Krakowa, jako część wyprawy ślubnej. Woda była już zimna, ale przyjemnie chłodziła obolałe i otarte miejsca.

Po chwili wróciła do swego wysokiego łoża, ale zapach, jakim wciąż przesycona była skotłowana pościel, nie pozwalał jej zasnąć. Po jakiejś godzinie przewracania się z boku na bok postanowiła wstać ponownie. Było zupełnie ciemno, zza okna dobiegały odgłosy padającego deszczu. Mogła trochę poczytać, ale naraz do głowy przyszła jej inna myśl: wybierze się na nocne oględziny swego nowego domu. Od przyjazdu tutaj nie zdążyła zobaczyć zbyt wiele, poza salą jadalną i – rzecz jasna – własną sypialnią. Naturalnie mogła to wszystko odłożyć na kolejne dni, obejść cały zamek za dnia, w towarzystwie służby, tyle że nie byłoby to aż tak... emocjonujące. Wciąż miała w sobie coś z tej małej dziewczynki, która zwiedzała wszystkie kąty zamków w Budzie, Wyszehradzie czy na Wawelu, czającej się w bocznych korytarzach, podglądającej i podsłuchującej służbę. Krótko mówiąc, bawiącej się w szpiega. Z doświadczenia wiedziała, że zamki są jak ludzie, mają swoje głęboko skrywane sekrety: tajemne pomieszczenia,

furtki prowadzące do ukrytych zakątków, a także dziwnych, niespodziewanych mieszkańców. Pomyślała, że nic nie poprawi jej teraz nastroju w równej mierze, co taka dziecinna eskapada.

Na chwilę znów powróci do czasów beztroski...

Z podręcznego, pięknie rzeźbionego w orientalne wzory kufierka wyjęła jedną z woskowych świec, jakie przywiozła ze sobą. Zbigniew oszczędzał na wszystkim, więc w jej komnacie mogły się palić tylko łożówki w glinianych świecznikach. Nie lubiła ich, kopciły i niezbyt przyjemnie pachniały. Na szczęście, pomijając wieczorne wizyty, mąż nie zaglądał do niej wcale, zatem mogła pod jego nieobecność zapalać swoje świece, bez obawy, że odkryje jej rozrzutność. Pomyślała teraz, że przy najbliższej okazji powinna też poprosić królową o nowy zapas.

Zarzuciła na siebie ciepłą pelerynę, podbitą miękkim aksamitem, wsunęła cizmy z delikatnej skórki, osadziła w świeczniku świecę, odpaloną wcześniej od ognia w kominku, i otworzyła drzwi na korytarz. Nagły przeciąg omal nie zdmuchnął wątego płomyka, wyglądało na to, że zostawiła uchylone okno w sypialni. W tej samej niemal chwili ogromne cielsko podcięło jej nogi i znów z trudem uratowała płonąca świecę. Był to Platon, który zwykle sypiał w jej komnacie i tylko na czas wizyt Zbigniewa wyganiany był przezeń na korytarz. Pies i pan domu nadal darzyli się wzajemną niechęcią.

– Ciii... Spokój. – Przyłożyła palec drugiej ręki do ust i spojrzała prosząco na psa.

Bała się, że ten narobi hałasu i obudzi śpiącą na korytarzu służbę. Widziała majaczące w ciemnościach sylwetki leżących tam nieruchomo ludzi. Tak zwykle sypiano na zamkach – na siennikach, skrzyniach, ławach, a czasami po prostu na słomie – łoża były tylko dla pana i pani, ewentualnie dla gości. Ktoś wymamrotał coś przez sen, poruszył się, ale chwilę później zachrapał i zasnął na nowo. Platon machał energicznie puszystym ogonem i z ziewającym radośnie pyskiem czekał na polecenia. Wiedział już, że tak ubrana pani oznacza spacer. Amalia ruszyła przed siebie, starając się stąpać ostrożnie między śpiącymi. Światło świecy pełzało po kamiennych murach z ciemnymi teraz wnękami, w których zwykle paliły się kaganki. Wiedziała,

że obok jej sypialni, na tym samym korytarzu, znajdowały się puste komnaty. Komu i do czego one służyły, nie miała pojęcia.

Ostrożnie doszła do końca korytarza, gdzie znajdowała się baszta, a w niej kręcone schody, prowadzące na niższe piętro. Najpierw postanowiła wyjść na zewnątrz w nadziei, że świeże powietrze pozwoli jej się uspokoić i pomoże w końcu zasnąć.

Odsunęła metalowy rygiel ciężkich okutych żelazem drzwi wyjściowych. Zazgrzytał nieprzyjemnie, a uchylane stopniowo skrzydło poruszyło kołatkę w kształcie niedźwiedziej głowy wiszącą po drugiej stronie. Rozległ się donośny stuk. Teraz Amalia była niemal pewna, że nieoczekiwany hałas postawił na nogi cały zamek. Wstrzymała oddech i odczekała chwilę, lecz nikt się nie pojawił. Odetchnęła z ulgą. Nie świadczyło to jednak zbyt dobrze o straży tego zamku. Czyżby wszyscy spali? Warknięcie Platona sprawiło, że obejrzała się za siebie.

– Stój! Kto idzie? – rozległ się cichy, ale groźny głos.

Z ciemności wyłonił się jeden ze strażników. A więc jednak ktoś pilnował zamku, o tyle dobrze. Siwowłosa, leciwy już mężczyzna podszedł bliżej i oświetlił łuczywem jej twarz.

– A, to jaśnie pani – zmieszał się i cofnął o krok. – Myślałem, że kto inny. Proszę o wybaczenie.

– W porządku – uspokoiła go. – Chciałam się tylko... przewietrzyć. Dziękuję za czujność.

Strażnik skłonił się w milczeniu i pozwolił jej przejść, ale zatrzymała się w progu, widząc, że deszcz wyraźnie przybrał na sile. Zimne, wzmagane wiatrem strugi spadające z czarnego niemal nieba wykluczały jakikolwiek spacer. Zmieniła zamiar i cofnąwszy się do środka, ruszyła w stronę jednego z korytarzy na parterze. Spotkanie ze strażnikiem uspokoiło ją. Co tu kryć, świadomość, że w tym zagubionym pośród moczarów i lasów zamczysku ktoś nad wszystkim czuwa, dodawała jej otuchy, zwłaszcza że dzisiejsza rozmowa z mężem podczas posiłku wciąż budziła w niej zaniepokojenie.

Dlaczego mówił o diable w kontekście swojej zmarłej żony? Co tu się właściwie wydarzyło? Owszem, Zbigniew wydawał się bardzo religijny, często wspominał o siłach nieczystych, lecz czemu akurat w tym przypadku? Czyżby jej poprzedniczka była aż tak zła? Wątpliwe. Przeczyły temu uczucia, jakie wciąż jeszcze zmarła wzbudzała u służby. Amalia

pomyślała teraz ponuro, że jeśli powinny ją zmartwić owe dziwne słowa, to nie tyle ze względu na obyczaje byłej żony Zbigniewa, ile raczej z powodu jego samego.

Czyżby w tym człowieku czaiło się coś mrocznego, coś, czego do tej pory nie zauważyła?

Te złowróżbne myśli sprawiły, że poczuła się jeszcze mniej pewnie niż wcześniej, tak więc ulżyło jej nieco, gdy wreszcie opuściła wąskie korytarze i trafiła do kuchni. Duże pomieszczenie, nawet oświetlone tylko nikłym blaskiem świeczki, wydawało się zwyczajne i przytulne, jak chyba wszystkie kuchnie świata. Stał tu kopułowy piec, w którym zapewne wypiekano własny chleb, kołaczki, ciasta i prele. Na ścianach wisały rondle, łyżki, czerpaki, łopatki, niecki, korytka, kubki, a w kątach pomieszczenia stały przeróżne beczułki, antałki oraz duże garnki, zapewne służące do kiszenia żuru lub barszczu, do tego przeróżne kosze i koszyki. Wiedziała już, że polubi to miejsce i nawet nie będzie go musiała urządzać na nowo.

Od widoku wiszących nad kominem kiełbas zrobiła się głodna, lecz zmitygowała się natychmiast – nie chciała zostać przyłapana na nocnym podjadaniu w kuchni. Ładnie by to wyglądało, nie ma co!

Niemal uśmiechnęła się na tę myśl. W tym samym momencie coś zwróciło jej uwagę.

A raczej najpierw zwróciło uwagę Platona.

Pies cicho zawarczał, odwracając pysk w kierunku drugich drzwi, zapewne prowadzących do sąsiedniego pomieszczenia. Spojrzała w tamtym kierunku i na kamiennej, nierównej posadzce ujrzała coś jakby słabą, czerwonawą poświatę. W pierwszej chwili wzdrygnęła się gwałtownie. Dopiero co myślała o diabelstwie, które swej pierwszej żonie najwyraźniej przypisywał Zbigniew. Jakżeż to dziwne światło pasowało teraz do demonicznej wizji zmarłej! Aż za bardzo. Lecz to odczucie natychmiast ustąpiło miejsca rozsądkowi. To zapewne druga izba kuchenna, pomyślała. Musi tam być dodatkowe palenisko, a przynajmniej komin, i pozostawiony żar wywoływał tę poświatę. Jakżeby inaczej! Położyła dłoń na psiej głowie, aby uspokoić przyjaciela. Gdy Platon umilkł, zaczęła nasłuchiwać.

I wtedy poczuła zimny dreszcz.

Usłyszała ciche, lecz wyraźne mamrotanie. Jakby w obcym, nigdy do tej pory niesłyszczanym przez nią języku.

W diabelskim języku?

Nie mogła się zorientować, czy słowa wypowiada kobieta, czy mężczyzna; głos był niski, ale cichy – niemal szept. Z duszą na ramieniu, dla pewności trzymając psa blisko siebie, postąpiła kilka kroków w kierunku drzwi prowadzących do przyległego korytarza czy też sąsiedniej izby. Zrobiło się jak gdyby zimniej, ale poświata osłabła, a dziwne słowa ucichły. Przez chwilę Amalia wahała się, czy w ogóle nie zawrócić; nawet jeśli przebywał tam ktoś ze służby pilnujący ognia, nie było potrzeby z nim się spotykać. Przeciwnie, lepiej tego unikać. Po co mają krążyć po zamku plotki, że nowa pani na Rożnowie nocami błąka się po zamku, szukając nie wiadomo czego. Tyle że ciekawość, jak zwykle u Amalii, zwyciężyła. Postąpiła więc jeszcze krok w kierunku drzwi i nagle krzyknęła ze strachu. W tej samej bowiem chwili usłyszała głośny syk, uchylone drzwi rozjarzyły się pomarańczowym blaskiem, a potem rozległ się stłumiony huk jakiegoś wybuchu.

– Do diabła! – zagrzmiął męski głos. Głośno i już bez mamrotania.

Mimo iż przywoływał Antychrysta, nie brzmiał demonicznie, lecz zwyczajnie, jakby komuś wypadła z rąk misa z wodą. Zresztą Amalia natychmiast rozpoznała, do kogo należał.

Do uczonego Grzegorza, używającego „szatańskich” widełek.

Nie wahając się dłużej, przekroczyła próg i weszła do izby. Buchnął jej w twarz gryzący dym, zmieszany z zapachem czegoś, co mogłoby się kojarzyć z apteką. Jak przewidziała, pomieszczenie, w którym się znalazła, było czymś w rodzaju drugiej kuchni. I – też zgodnie z oczekiwaniami Amalii – znajdował się w nim Grzegorz.

– Pani? – Spojrzał na nią zaskoczony. Twarz miał ciemną od sadzy.

Odwrócił się tyłem do paleniska. Ubrany w jakiś poplamiony fartuch, nie przypominał w tej chwili wytwornego uczonego, jakim wydawał się Amalii kilka godzin temu. Raczej szalonego kowala, ze zmierzwionymi włosami i brodą.

– Nie wiedziałam, mistrzu, że nocami gotujecie kaszę. – Uśmiechnęła się, widząc jego zmieszanie.

– Przepraszam, że zakłóciłem sen.

– Nie zakłóciliście. Zwiedzałam zamek.

– Nocą?

– Nie mogłam zasnąć. A wy, mistrzu, co robicie o tej porze w kuchni, jeśli wolno zapytać?

Wytarł ręce o brudny fartuch.

– To nie kuchnia. To moja pracownia.

– Pracownia?

– Alchemiczna.

Rozejrzała się uważniej.

Rzeczywiście, pomieszczenie zostało przystosowane do prowadzenia doświadczeń. Dostrzegła na ścianach i na ogromnym stole wykresy i ryciny przedstawiające gwiazdy, planety, jakieś węże, salamandry, smoki i lwy. Podczas gdy Grzegorz stał, nie wiedząc, co powinien zrobić, podeszła do półek uginających się od ksiąg z łacińskimi, greckimi i arabskimi tytułami. Pomiedzy nimi zobaczyła słoje, w których – o ile dobrze widziała – spoczywały martwe żaby oraz jaszczurki.

– Nie przypuszczałam, że w tym zamku bada się tajemnice materii – rzekła wreszcie.

Grzegorz odchrząknął.

– A myślicie pani, że z jakiego innego powodu wasz mąż trzymałby mnie tutaj? – spytał.

– Pragnie złota czy wiecznej młodości?

Wiedziała od brata Alberta, czym się zajmują alchemicy.

– Jednego i drugiego, rzecz jasna. Choć złota bardziej.

– Łatwo się domyślić. Zwłaszcza że młodość już za nim. I Zbigniew sądzi, że wam się uda?

Podeszła do paleniska i przez chwilę podziwiała znajdujące się obok niego tygły i retorty.

– Pracuję nad tym – odparł z godnością mistrz. – Komu, jeśli nie mnie, mógłby powierzyć takie zadanie?

Amalia zdążyła się już zorientować, że ten przystojny mężczyzna nie należał ani do zbyt skromnych, ani zbyt pokornych. Jak zapewne każdy

alchemik miał swoją dumę. I przypuszczalnie swoje dziwactwa. Nie przeszkadzało jej to, nie lubiła służalczości i braku charakteru u innych.

– Czy ten wybuch, który narobił przed chwilą zamieszania, był przewidziany? – spytała z przekąsem.

– W pewnym sensie. W inny sposób nie można wyrwać Matce Naturze jej tajemnic.

– Łatwiej jednak można wywołać pożar, prawda?

– Zaiste, istnieje takie ryzyko, pani.

Spojrzała na miech, identyczny z tym, który widziała kiedyś u kowala. Niektóre z naczyń na półkach były jej znajome, przeznaczenia innych nawet nie próbowała się domyślić. Poczula się tym wszystkim zaintrygowana, alchemik i jego pracownia nie pasowały do wyobrażeń o różnowskim zamku, jakie miała przed przyjazdem tutaj. Przewidywała raczej, że będzie to nudne miejsce, gdzie pośród psów gończych i myśliwskich trofeów nie znajdzie niczego szczególnie interesującego; z tego też powodu zabrała ze sobą lutnię oraz kilka ksiąg. Tymczasem już niemal w pierwszych dniach trafiła na potępianą przez Ojca Świętego alchemię, dziedzinę równie tajemniczą jak magia, o której opowiadała jej Milda. Czego jak czego, ale praktyk czarnoksięskich nie spodziewała się tutaj.

– No, dobrze – rzekła, otulając się bardziej pelerynką. – Ponieważ i tak nie mogę zasnąć, wytłumaczcie mi, proszę, czym właściwie jest ów kamień filozoficzny, którego szukacie.

Spojrzał na nią wzrokiem mówiącym: „To zbyt skomplikowane dla umysłu białogłowy”, toteż natychmiast dodała:

– Co nieco już słyszałam o nim na Wawelu.

Grzegorz się skrzywił.

– Zapewne od duchownych. Oni nie mają pojęcia o alchemii.

– Ten, którego znałam, miał bardzo otwarty umysł. Powiedział, że lapis philosophorum, czyli nasz kamień filozoficzny, to mrzonka pogańskich umysłów.

– Umysły owe, śmiem zaznaczyć, stworzyły algebrę, filozofię, medycynę, a także zbadały wpływy gwiazd na życie ludzi, zatem argument, że to, co uznamy za pogańskie, oznacza mrzonki, znajduję chybionym. Proces przemiany jednych substancji w inne zachodzi w naturze nieustannie.

Spójrzmy na wodę, która paruje albo zamienia się w lód czy też zmieszana z innymi składnikami daje całkowicie nowe płyny.

– Jednak ołów nie zmienia się samoistnie w złoto, prawda? – zapytała lekkim tonem.

– Samoistnie nie. Co nie oznacza, że nie można tego dokonać poprzez badanie właściwości metali oraz minerałów.

– I kamień ma pomóc w transmutacji?

Spojrzał na nią dziwnie, z mieszaniną niedowierzania i pobłażliwości. Pierwsze wynikało z tego, że nie spodziewał się po młodej żonie Zbigniewa jakiegokolwiek wiedzy na temat alchemii, pobłażliwość natomiast pojawiła się na skutek mimo wszystko naiwnych wyobrażeń Amalii.

– Kamień nie jest kamieniem w potocznym rozumieniu tego słowa – odparł tajemniczo.

– A więc czym?

– Podziwu godna dociekliwość.

– Zwłaszcza u białogłowy?

– Hm, no tak. Wybaczcie. Otóż lapis może istnieć pod wieloma postaciami: ognia natury, oleju, soli, a nawet wody. Mowa tu, rzecz oczywista, nie o pospolitej wodzie, czerpanej ze studni. Woda filozoficzna – czy też Aqua Mercurialis – jest dokładnie tym, czego szukamy. Potrzeba też do niej kulistego naczynia, aby odzwierciedlało kosmiczne sfery, gdyż w naczyniu tym muszą skupić się wpływy gwiazd.

– Aqua Mercurialis – powtórzyła z mądrą miną. – Ponieważ Merkury, czyli Hermes, jest bogiem przemian?

– Między innymi...

– Ale też i oszustów.

– Pani...

– Wybaczcie, mistrzu, słabej białogłowie jej płochość. Nasuwa mi się jednakże jeszcze jedna wątpliwość. Niewiele wiem o wodzie filozoficznej, przyznaję, lecz jestem niemal pewna, że Kościół potępia alchemię. Dlaczego więc mój mąż, który szuka szatańskich podszeptów nawet w waszych widełkach do mięsa, zezwala na podobne badania?

– Złoto – odparł krótko Grzegorz.

– No tak.

Pogłoski o kłopotach finansowych Zbigniewa dochodziły do niej już przed ślubem. Opowiadano o jego zatargach z bratem biskupem,

dotyczących pieniędzy po ojcu. Mówiono też o zadłużaniu się u krakowskich bankierów, a pewna dwórka doniosła Amalii, że podobno jej mąż od koronacji królowej Jadwigi siedzi głównie na pustych skrzyniach i pożycza pieniądze na weksle od krakowskich Żydów, bankierów – czy raczej lichwiarzy. Majątek za bardzo nie obchodził Amalii, może dlatego, że od urodzenia niczego jej nie brakowało, ale trudno było poczytać Zbigniewowi jego niegospodarność za cnotę.

Już przynajmniej wiedziała, co było przyczyną skromnego trybu życia na zamku.

Uczony podszedł do paleniska, nad którym wisiał pękaty gliniany garnek z bulgoczącą tajemniczą zawartością w środku. Ogień palił się na wysokości ułożonej z cegieł podłogi, więc wysoki Grzegorz musiał się pochylić.

– Czy w tym garnku znajduje się coś, co ma związek z wodą filozoficzną?
– spytała, by zmienić temat.

– To raczej próby stworzenia niebiańskiego octu.

Zaintrygowana, podeszła bliżej i pociągnęła nosem. Skrzywiła się.

– Pachnie jak... – zawahała się, lecz szybko dokończyła: – Pachnie niezbyt zachęcająco.

– To prawda, ani trochę niebiańsko. Elixirem życia to nie jest, lecz dzięki starannemu doborowi składników i ziół wywar ów dobrze robi na trawienie.

– Jakich ziół używacie?

– Ach, różnych. – Grzegorz machnął ręką, jakby szkoda mu było czasu na ich wymienianie, czy też może uznał, że te nazwy i tak nic jej nie powiedzą.

– Niektóre już mi się kończą, będę musiał je sprowadzić z dalekich krajów.

– A czy... czy pierwsza małżonka mojego męża też ich używała?

Po twarzy Grzegorza przemknął cień.

– Czasami – odrzekł krótko.

– Pochwalała te alchemiczne badania?

– Niezupełnie.

Amalia wyczuła, że pojawia się okazja, by zadać pytanie, które od dzisiaj najbardziej ją nurtowało.

– Dlaczego więc dziś mój mąż wspomniał o diable, kiedy o niej rozmawialiśmy?

Grzegorz znów odwrócił się w stronę paleniska.

– Przepraszam, pani, ale jestem zajęty.

– Nie dam się tak łatwo zbyć – oznajmiła stanowczo.

– Dlaczego zatem nie zapytacie męża, pani?

Bo się go boję – mogłaby odpowiedzieć i byłoby to całkowicie zgodne z prawdą. Jest w nim coś, co zaczyna mnie przerażać. Ale rzekła tylko:

– Mój małżonek, jak zapewne sami zauważyliście, nie jest zbyt wylewny.

Grzegorz odwrócił się i przez chwilę patrzył na nią w milczeniu, potem zaś odpowiedział:

– Ja jestem tutaj, pani, od stawiania horoskopów oraz mieszania w kotłach. Z tymi pytaniami powinniście pójść do kogo innego.

– Do kogo?

– Do starej Hanny, akuszerki – mruknął niewyraźnie. – Ona wie wszystko.

– Gdzie ją znajdę?

– Mieszka niedaleko, w lesie przy zamku.

ROZDZIAŁ ÓSMY

ROŻNÓW, CD.

Nazajutrz nie padało, wciąż jednak było zimno, pochmurno, a na dodatek wiał silny wiatr, wyjąc potępieńczo w korytarzach i kominach zamku.

Pogoda wydawała się idealnym odzwierciedleniem nastroju Amalii. Po nocnej rozmowie z mistrzem Grzegorzem nie miała już wątpliwości, że z miejscem, w którym zamieszkała, wiąże się jakaś ponura tajemnica. Coś, o czym nie chciano jej mówić. Coś złowrogiego, co sprawiało, że czuła ucisk w okolicach żołądka. I dotyczyło to raczej jej męża, a nie jego zmarłej żony, Kingi.

Z początku oszukiwała samą siebie, że Zbigniew jest po prostu nieco nieokrzesanym, trudnym mężczyzną, którego ona, Amalia, będzie umiała odmienić, jak to zwykle bywa w pieśniach, takich jak ta o Ereku, dzielnym rycerzu króla Artura, i jego żonie Enidzie. W romansie tym wojownik pod wpływem miłości do małżonki przeżył duchową przemianę. Wszakże im bardziej poznawała swego męża, tym jaśniej docierało do niej, że podobne historie to najczęściej bajki.

Takie sytuacje nie zdarzały się w prawdziwym życiu.

U pieśniarzy kobiety były zawsze szlachetne i piękne. Aby je opisać, wystarczyło kilka utartych porównań, a więc: włosy miękkie jak jedwab, lśniące niczym złoto, czoło mlecznej białości, oczy jak gwiazdy, do tego wszystkiego dochodziły róże, lilie, kość słoniowa i śnieg. Stałe atrybuty. Podobnie rzecz się miała z rycerzami: byli dzielni, również szlachetni, oddani Bogu i bronili nie tylko swoich niewiast, lecz także ubogich. Nogi mieli zwykle jak marmurowe kolumny, a głos owych szlachetnych bohaterów dźwięczał na podobieństwo dzwonu. Żaden z nich nie smarkał w palce, nie puszczał wiatrów, nie śmierdział piwem czy cebulą. Amalia musiała więc porzucić piękne złudzenia. Jej mąż był za stary na to, by

„zapłonąć uczuciem”, a tym bardziej zmienić się w subtelną postać z opowieści.

Postanowiła udać się do tej akuszerki, by poznać prawdę. Z jednej strony pragnęła tej rozmowy, lecz z drugiej bała się tego, co może usłyszeć.

Pełna tych sprzecznych uczuć, zeszła do sali jadalnej na śniadanie. Tam zastała już Zbigniewa i Grzegorza, posilających się przy stole. Mistrz unikał jej wzroku.

– Dzień dobry, moja piękna żono – odezwał się Zbigniew, nalewając sobie wina. – Długo spałaś.

– Nie mogłam zasnąć. Dzień dobry, panie mężu.

– Tak, pierwsza noc w nowym miejscu musi być trudna. Ale nocne spacery po zamku nie są chyba najlepszym pomysłem. – Uniósł na nią nieruchomy wzrok.

Wzdrygnęła się lekko. A więc wiedział. Pytanie, czy dowiedział się od alchemika, czy od jakichś szpiegów. Jakby czytając w jej myślach, Zbigniew zaśmiał się i zapytał:

– Sądzisz, moja droga, że jesteś niewidzialna? A ja spuszczam z oka mój największy skarb?

– Śledziliście mnie, panie?

– Nie ja. Mam od tego ludzi.

– To miłe, że tak się o mnie troszczycie – odrzekła z lekkim przekąsem, sięgając po chleb.

– Wolałbym jednak, pani, abyś nocą pozostawała w komnacie, w swoim ciepłym łóżu. Pracownia naszego mistrza też nie jest dla ciebie odpowiednim miejscem, nieprawdaż, mój uczony przyjacielu?

Grzegorz mruknął coś niewyraźnie, utkwivszy wzrok w kubku.

– Nie bój się, moja miła – szybko dodał Zbigniew – on cię nie zdradził. To rycerski człowiek. Nie wspominałem chyba, że zanim został badaczem gwiazd i metali, był rycerzem. Za przyczyną umiłowania wiedzy zrzucił kolczugę i zagłębił się w mądrych księgach. Mam rację, mistrzu?

– Owszem. Wyrzekłem się służby na dworze Marsa, aby się odrodzić na łonie Minerwy – odrzekł w swoim napszonym stylu Grzegorz.

– Pięknie powiedziane! – pochwalił go Zbigniew. – Jak widać, nie każdy nadaje się na wojownika. Ja z kolei nie mam zdolności odczytywania biegu gwiazd, zatem pozostaje mi pilnowanie moich ziem. Z tego też powodu będę was musiał dzisiaj opuścić. Zamierzam spotkać się z moim stryjem, Konradem, aby ustalić, gdzie powinna przebiegać nowa granica w naszym lesie. Cieszę się zatem, że zdążyłem cię dzisiaj zobaczyć, żono, bo wyruszam natychmiast.

To się akurat dobrze składa, pomyślała Amalia w kontekście swoich planów, lecz, rzecz jasna, nie okazała zadowolenia.

– Będę z utęsknieniem wyczekiwać waszego powrotu, panie – odrzekła potulnie.

– Och, to może potrwać kilka dni.

– No cóż, sprawa wydaje się ważna, więc nie mogę narzekać.

– Tuszę, że nasz mistrz zapewni wam towarzystwo podczas mojej nieobecności. – Zbigniew otarł usta i energicznie podniósł się z krzesła. – Oczywiście, nie we wszystkim – dodał, wyraźnie ubawiony swą grubiańską aluzją, Amalia zaś niemal skuliła się pod wpływem zażenowania.

Po śniadaniu wróciła do siebie.

Czekała, aż jej mąż oraz jego świta odjadą. Aby zabić czas, zajęła się robótką, usadowiona na kamiennym, wyłożonym poduszkami parapecie. Lecz jej oczy, zamiast się skupić na hafcie, wpatrywały się głównie w to, co było za oknem: szarą wodę, szare zarośla i szare niebo. Ze smutkiem stwierdziła, że ten widok pewnie będzie już jej towarzyszył do końca życia, każdego ranka, popołudnia i wieczora. Jak wytrzyma ten obraz, skoro już teraz wydaje jej się on beznadziejnie smutny?

Do rzeczywistości przywróciło ją ukłucie igłą. Podniosła palec do ust, a wtedy Platon wychynął spod wysokiego łoża i rozciągając się na całą swoją długość, zazgrzytał pazurami o posadzkę, ziewnął szeroko i spojrzał z oczekiwaniem na swoją panią. Czuł, że szykuje się spacer, i już nie mógł się doczekać, kiedy razem wyjdą z zamku. Tyle tu było ciekawych zapachów dookoła, tyle zabawnych zwierząt uciekało na jego widok. Jak wspaniale byłoby gonić zająca czy choćby wiewiórkę. To nic, że jeszcze nigdy ich nie złapał, ważny był szaleńczy pościg. Platon był tu szczęśliwy.

– Cierpliwości – rzekła do niego. – Najpierw pan musi opuścić zamek. Przecież nie chciałbyś z nim się spotkać, prawda?

Pies zamerdał ogonem, szczęśliwy, że w ogóle zwróciła na niego uwagę.

– Jesteś tu moim jedynym przyjacielem – dodała cicho, czując, że coś dławi ją w gardle.

Tak, otaczali ją sami obcy ludzie, nieufni, śledzący każdy jej krok. To zapewne kiedyś się zmieni, ale mając nastrój, w jakim teraz była, trudno patrzeć pogodnie w przyszłość.

Ale czy Platon rzeczywiście jest jej jedynym sojusznikiem?

Pod wpływem nagłego impulsu Amalia zeskoczyła z parapetu, przeszła przez pomieszczenie i otworzywszy drzwi, wysunęła głowę na korytarz.

– Katarzyno! – zawołała.

Te dziewczyna jest tu przecież równie obca jak ona. I pewnie jeszcze bardziej zagubiona, bo pozbawiona pozycji swej pani. Musiała opuścić swoich bliskich, wszystko, co знаła, miejsca, w których żyła, aby przenieść się do tej mrocznej twierdzy. Amalia do tej chwili nie pomyślała o tym, jak jej służąca to znosi, jakby ta – jako prosta dziewczyna – nie miała własnych uczuć.

Katarzyna przybiegła, poprawiając włosy wymykające jej się spod czepka. Mieszkała w tym samym korytarzu, gdzie znajdowała się sypialnia Amalii, w izbie, którą dzieliła z innymi służącymi.

– Słucham, pani?

Jak zawsze wydawała się pogodna. Lecz czy to o czymś świadczyło? Czy mogła sobie pozwolić na jakieś humory w obecności pani?

– Wejdz, proszę – powiedziała Amalia. – Usiądź.

Kiedy dziewczyna spełniła jej polecenie, Amalia głośno nabrała powietrza i spytała:

– I jak ci się tutaj podoba?

– Zamek jest piękny – odrzekła z wahaniem Katarzyna. – Okolica również.

– Nie o to pytam. Chodzi mi o ludzi.

– Bardzo ze sobą trzymają.

– Czyli są nieufni?

– Tak. Trochę.

– Przyjęli cię dobrze?

– Dobrze.

– Na pewno? Możesz mi mówić wszystko.
– Są trochę podejrzliwi.
– Tak, wobec mnie też. Ale pamiętaj, jesteśmy tu razem. Będę nad tobą czuwać.

– Dziękuję, pani.

– Musimy ze sobą trzymać. Wtedy obu nam będzie łatwiej.

Naprawdę chciała się zbliżyć do tej dziewczyny. Choć oczywiście Kasia nie mogła jej zastąpić Mildy – któż by mógł to zrobić? – była jednak jedyną osobą w tym nieprzyjaznym środowisku, z którą mogła nawiązać serdeczniejsze więzi. Kto wie, może okaże się dobrą przyjaciółką? A poza wszystkim: czy jest jakiś wybór?

Służąca w milczeniu pokiwała głową.

– Dzisiaj mam zamiar wyjść poza bramę, poznać ludzi ze wsi – kontynuowała Amalia. – Postaraj się w tym czasie zająć jakoś służące, żeby mnie nie śledziły, muszę być sama.

– Dobrze, pani.

– Tęsknisz za domem?

Katarzyna się zawahała.

– Tak.

– Ja też. Nie przejmuj się. Poradzimy sobie. I pamiętaj, zawsze i ze wszystkim możesz do mnie przyjść. Nawet gdybyś tylko potrzebowała rozmowy, bo jest ci smutno.

Dziewczyna uśmiechnęła się do niej z wdzięcznością.

Jakąś godzinę po tym, jak Zbigniew opuścił zamek, Amalia włożyła podbity futrem szary płaszcz, haftowany aksamitny toczek i zeszła na dziedziniec.

Zastanawiała się, czy powinna wziąć konia ze stajni, ale doszła do wniosku, że skoro chata akuszerki znajduje się gdzieś w lesie, nie miałoby to wielkiego sensu. Nie wybierała się przecież daleko. Nie potrzebowała również eskorty, w dodatku nie ufała ludziom męża, skoro nakazał im ją śledzić. Co prawda zdawała sobie sprawę, iż tak czy siak przekażą mu, dokąd się wybrała, ale zawsze będzie mogła powiedzieć, że chciała po prostu poznać lepiej mieszkańców wsi.

Jej optymizm został ugaszony już przy bramie.

– Pan nie pozwala nikogo wypuszczać – krótko poinformował ją młody strażnik.

– Jestem panią tego zamku – odparła. – Nie więźniem.

– Ja tylko wykonuję rozkazy.

– Tak więc właśnie rozkazuję ci otworzyć bramę.

– Nie wolno mi.

– Poskarżę się na ciebie mężowi.

Mężczyzna miał nietęgą minę. Widocznie nie przewidział takiej sytuacji. Był przecież również i jej sługą. Na jego prostym obliczu walczyły ze sobą strach przed Zbigniewem i niepewność, jak ma się odnosić do żony swego pana. Rozmyślenia te przerwał głos nadchodzącego Grzegorza, który nie wiadomo skąd pojawił się na dziedzińcu.

– Otwórz bramę – polecił. – Na moją odpowiedzialność.

– Tak, mistrzu – potulnie odrzekł strażnik, a Amalia przekonała się, że alchemik ma tutaj silną pozycję.

– Dziękuję – zwróciła się do Grzegorza.

– Mąż pani nie będzie zadowolony, ale myślę, że obecnie ma na głowie dużo poważniejsze sprawy. Mam wam towarzyszyć?

– Nie trzeba – rzekła. – Nie chcę dodatkowo krępować tej akuszerki. Jak jej na imię, bo zapomniałam?

– Hanna. Każdy we wsi wskaże wam, pani, drogę.

Kiedy przeszła przez bramę, od razu poczuła się lepiej, a jej oddech stał się głębszy, jakby znalazłszy się poza zamkiem, zdjęła z siebie jakąś niewidzialną żelazną obręcz, która od wczoraj uciskała jej brzuch. Platon z miejsca ruszył pędem w kierunku najbliższych zarośli, płosząc jakieś drobne zwierzęta, Amalia zaś rozkoszowała się nagłym poczuciem swobody. Trwało to krótko, gdyż uświadomiła sobie, że zapewne jest obserwowana.

Natychmiast poczuła się jak uciekinierka, a obręcz znów się zacisnęła.

Pogoda nie zachęcała do spacerów, ciężkie pofałdowane chmury płynęły z wolna po pozbawionym blasku niebie. Porządnie wiało, ale na szczęście nie padał deszcz. Było cicho, jeśli nie liczyć szumu wiatru i odległego

bulgotu Dunajca. Amalia minęła drzewa i wkroczyła na łąkę schodzącą ku rzece.

Na brzegu dostrzegła drobną figurkę chłopca, siedzącego z wędką przy drewnianym pomoście. Walcząc z naporem wiatru, ruszyła w tym kierunku. Chłopak usłyszał ją, dopiero kiedy znalazła się kilka kroków za jego plecami. Odwrócił się gwałtownie, szeroko otwierając usta. Przez chwilę myślała, że czmychnie jak zając na widok psa myśliwskiego. Na szczęście nie czmychnął.

– Gdzie znajdę starą Hannę? – zapytała bez żadnych wstępów.

– Eee.

– Wiesz, kim jestem?

Zdjął filcową czapkę, odsłaniając przy tym jasną czuprynę.

– Pani...

– Jak masz na imię? – Dotarło do niej, że za bardzo się pospieszyła i nieco zdezorientowała chłopaka.

– Gniewko.

– Posłuchaj, Gniewko. Szukam Hanny. Gdzie ona mieszka? Zaprowadzisz mnie?

Podrapał się po głowie.

– Ano zaprowadzę.

– Wspaniale.

– Ale ona nie lubi gości.

– Jakoś sobie z tym poradzimy – odparła, patrząc na rzekę, która niosła na swych falach połamane przez wiatr gałęzie.

Chłopak odłożył wędkę i wstał, chyba ciągle jeszcze przestraszony. Po chwili weszli na ścieżkę prowadzącą przez łąkę do lasu. Platon z ciekawością obwąchał niezbyt czyste portki Gniewka, a potem zaczął się tarzać w trawie. Amalia zauważyła pierwsze wiosenne kwiatki, nieśmiało wysuwające białe główki z ziemi. Były drobniutkie i jeszcze nieliczne, ale wiedziała, że już niedługo łąki pokryją się całymi kwietnymi kobiercami. Potem zakwitną konwalie. Kochała konwalie, zawsze kojarzyły jej się z wiosną, z czymś nowym, z nadzieją na coś dobrego.

Tylko co dobrego może ją tu teraz czekać?

Pozbawiona wszystkiego i wszystkich, których kochała, samotna w takim pięknym miejscu. Serce znów ścisnął jej ból na wspomnienie Hedwig i Mildy, jej jedynych przyjaciółek.

I, do czego z trudem przyszło jej się przyznać przed samą sobą, za Szymkiem. Za jego zwariowanymi pomysłami, za głośnym śmiechem, za ustami...

Odegnęła od siebie te myśli. Nie może się im poddawać, jest teraz mężatką, przysięgła miłość i wierność swojemu mężowi.

Myślenie o Szymku to zdrada.

Musi go wyrzucić z pamięci.

Las okazał się niewielkim zagajnikiem, a chatka Hanny wyglądała dokładnie tak, jak ją sobie Amalia wyobrażała: stara, pokryta słomianym dachem, bez okien. Zapewne jedynym źródłem światła było palenisko i otwór na dym u jej szczytu.

Wokół chatki rozciągał się mały, ale starannie utrzymany ogródek.

Kiedy Gniewko pobiegł z powrotem ku rzece, ściskając w garści drobną monetę za fatygę, Amalia zastukała w wykoślawione drzwi i nie usłyszawszy odpowiedzi, ostrożnie wsunęła głowę do środka.

– Jest tam kto?

– Wejdźcie, pani, wejdźcie – usłyszała starczy głos. – Spodziewałam się waszej wizyty.

– Platon, zostań – rzekła do psa, który już pakował się do chaty. Usiadł przed progiem, przekrzywiając łeb, jęzor miał na wierzchu. – Nie wolno.

W środku było tak ciemno, że z początku nic nie widziała, po chwili jednak jej wzrok zaczął się przyzwyczajać. Przy obłożonym darnią palenisku na środku niewielkiej izby siedziała stara kobieta, mieląc coś w kamiennych żarnach. Na ubitym klepisku stało kilka prostych sprzętów – ławy i prowizoryczny stół – pod uplecioną z sitowia i pokrytą wapnem ścianą stały naczynia z gliny, słomy i wierzbowych witek.

– Jestem Amalia, żona rycerza Zbigniewa z Roźnowa... – zaczęła prezentację, kiedy już znalazła sobie miejsce na jednej z ław, ale starucha jej przerwała.

– Wiem, pani, wiem. – W jej głosie zabrzmiało coś jakby współczucie. – Z czym do mnie przychodzicie? – Wskazała jej miejsce przy ogniu, na jednym z kamieni.

Amalia usiadła z ociąganiem, nie nawykła do takich warunków. Teraz dopiero mogła się lepiej przyjrzeć kobiecie. Hanna miała starą, pooraną zmarszczkami twarz, duży nos i zadziwiająco młode oczy. Biała podwika, otaczająca jej podbródek i spadająca na piersi, związana była na karku.

Głowę zakrywała druga chusta, z równie białego i sztywnego płótna. Hanna bardziej przypominała swoim wyglądem możną panią niż prostą, wiejską kobietę. Kiedy odwróciła się bokiem, żeby poprawić ogień, Amalia zauważyła spory garb na jej plecach.

– Pewnie chcecie się dowiedzieć coś o poprzedniej żonie swojego małżonka? – domyśliła się staruszka. – I o dziecku?

Amalia poczuła, że jej serce zaczyna bić mocniej.

– Tak. Powiedzcie mi przede wszystkim, dlaczego mój mąż, wspominając żonę, mówi o jej konszachtach z szatanem. Co tu się wydarzyło? I dlaczego oboje zmarli?

Hanna odłożyła kamienny tłuczek i krzywiąc się z bólu, usiłowała wyprostować plecy.

– To dziecko nie miało żadnych szans – powiedziała niemal szeptem.

– A ona? Czy to ciężki poród zabił panią Kingę? – spytała cicho Amalia.

– Nie. Ją można było uratować, ale on... – W oczach starej kobiety błysnęła taka nienawiść, że Amalię aż przeszedł dreszcz. – ...ale on na to nie pozwolił.

Poczuła się, jakby dostała obuchem w głowę.

– Opowiedz mi o tym, matko.

– Co tu opowiadać. Panią Kingę spotkało wielkie zło.

– Ze strony pana?

Hanna zignorowała to pytanie.

– Była taka piękna i dobra – rzekła tylko. – I pochodziła z bogatego rodu. Tylko dzięki jej majątkowi nasz pan mógł rozbudować zamek, sprowadzić piękne meble i tkaniny, bo on sam...

– Nie ma pieniędzy?

– Miał, ale stracił. Po śmierci pani Kingi wszystko sprzedał, zostawiając tylko sypialnię, w której umarła. Jest przesądny, więc pewnie bał się zemsty z za grobu.

– Rozumiem. Co dalej?

– Z początku na pewno ją kochał – kontynuowała Hanna. Jak na wieśniaczkę potrafiła ładnie się wysławiać i Amalii przyszło do głowy, że ta kobieta nie zawsze mieszkała w lesie. – Był z niej bardzo dumny. Cały czas spędzali razem, pan Zbigniew zabierał żonę na polowania, zapraszał gości, żeby się nią pochwalić, jeździł z nią w odwiedziny. A kiedy pani Kinga

oznajmiła, że spodziewa się dziecka, jego radość nie miała granic. Ale właśnie to był początek nieszczęścia.

– Dziecko zmarło?

– Tak, ale to nie wszystko. Kiedy nadszedł czas porodu, wezwano mnie do zamku. Od razu wyczułam, że coś jest nie tak. Pani rodziła ciężko i w ogromnych bólach przez kilka dni, a kiedy w końcu upragniony syn pojawił się na świecie... – Umilkła, oddychając ciężko.

Amalia zrozumiała, że nie ma co popędzać Hanny, więc cierpliwie czekała, choć z powodu silnych emocji kręciło jej się w głowie.

– Nie był podobny do ludzkiej istoty – dokończyła Hanna. – Pani Kinga, świeć Panie nad jej duszą, urodziła potworka.

– O mój Boże...

– Miał tylko jedno oko pośrodku twarzy i wielki, ziejący otwór zamiast ust. Nieszczęsny noworodek wydał z siebie cichy pisk, zamachał zadziwiającymi w tym wszystkim kształtnymi rączkami, zsiniał i odszedł chwilę potem. Kiedy pan Zbigniew wpadł do komnaty, żeby zobaczyć syna, prawie zemdlął na jego widok. Potem rzucił się na obolałą żonę, krzycząc, że urodziła dziecko diabła. Zarzucał jej obcowanie z szatanem.

– To straszne.

– Służba ledwo go powstrzymała przed pobiciem pani Kingi na śmierć.

Amalia nie wiedziała, co powiedzieć; poczuła, jak ogarnia ją niewysłowiona zgroza.

– Od tamtej pory nie widziałam już pani. Kilka tygodni później dowiedziałam się, że umarła, lecz nikt nie mówił, w jaki sposób. Ja myślę, że on po prostu ją zabił. W taki czy inny sposób, ale zabił. To zły, bardzo zły człowiek.

Amalia wzięła kilka głębokich oddechów.

– Nie obawiacie się tak mówić przy mnie? – zapytała.

– Nie. – Hanna uśmiechnęła się niewesoło. – Jestem już stara, niewiele rzeczy może mnie przestraszyć. Poza tym on bardziej boi się mnie niż ja jego, bo znam zioła i zaklęcia, którymi mogłabym go ukarać. Mnie nie ruszy. Ale wam, pani, grozi wielkie niebezpieczeństwo, jeśli tylko nie dasz mu upragnionego syna.

– Co mam robić? – spytała bezradnie Amalia.

– Kiedy przyjdzie wasz czas, zadbajcie o to, żeby to ja wtedy przy was była.

– Co da mi wasza obecność? – zapytała zniechęcona Amalia. – Dziecka mi nie odmienicie.

– Ale może uda mi się je podmienić.

– Podmienić?

– To częstsze, niż wam się wydaje. Problem w tym, że on ma mnóstwo szpiegów, i jakaś kobieta od niego pewnie będzie przy porodzie.

– I co wtedy?

– Wtedy nic nie da się zrobić.

– To marne pocieszenie.

– Nie jestem od pocieszania. Pamiętajcie tylko, aby od razu mnie wezwać.

Amalia wyszła z chaty, zataczając się jak pijana. Musiała przystanąć obok drzewa i oprzeć się o jego pień. Cały świat wirował jej przed oczami.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

KRAKÓW, MARZEC 1391

To, czego najbardziej obawiała się Milda, nastąpiło dużo szybciej, niż się spodziewała w najgorszych snach.

Bo już po kilku miesiącach.

Niemal z dnia na dzień została w Krakowie bez przyjaciół, napadnięto ją, pobito, straciła wszystkie pieniądze od królowej, a także te należące do gderliwej Doroty. Słowem, była teraz zależna od starej paserki i jej podejrzanych znajomych. A na domiar wszystkiego Krystyna, za pośrednictwem swoich zbirów, śledziła ją i próbowała całkowicie zniszczyć. Milda nie miała już nikogo, na kogo mogłaby liczyć, Amalia mieszkała w Rożnowie, Varnas i Szymek znajdowali się na końcach świata.

Kiedy z trudem powstrzymując się od płaczu, wróciła obolała do domu Doroty, ta od razu domyśliła się, co się stało.

– Okradli cię – stwierdziła raczej niż zapytała, groźnie oparłszy ręce na biodrach.

– Musieli mnie śledzić...

– Pewnie, że musieli. – Gospodyni miała nieprzeniknioną twarz. – Jak ktoś nosi przy sobie cały majątek, to jakby sam się o to prosił.

– Trzeba było mnie nie wysyłać – zezłościła się Milda, siadając ciężko na zydlu. – Posłać jakiegoś złodziejaska albo przynajmniej dać mi kogoś do ochrony.

– Do ochrony! – Dorota zaśmiała się ponuro. – A ty jesteś saraceńska księżniczka? Myślałam, że masz dość rozumu, by nie dać się oskubać. A te swoje skarby trzeba było trzymać w domu. Bałaś się, że ja cię okradnę?

Prawdę mówiąc, taka ewentualność przyszła Mildzie do głowy, lecz teraz, rzecz jasna, nie należało się do tego przyznawać.

– Odpracuję tę pieniądze – powiedziała ze spuszczoną głową.

– Pewnie, że odpracujesz. Ale nie przy praniu. To zapewnia ci tylko dach nad głową i posiłki. Będziesz musiała znaleźć dodatkową robotę. Jesteś ładna, to może...

Dziewczyna spojrzała na nią zimno.

– Co macie na myśli?

– Że wszędzie cię przyjmą. Poznasz, co to prawdziwa praca.

– Odzyskam te pieniądze – odparła cicho Milda. – I znajdę złodzieja.

– Ciekawe jak.

– Rozpoznam go wszędzie – oświadczyła. – Miał obcięte ucho.

Dorota znów wybuchnęła szyderczym śmiechem.

– Obcięte ucho, powiadasz? Trzymajcie mnie ludzie! Ty durny pogański pomocie, w tym mieście każdy złodziej ma obcięte ucho. A jeśli nawet jakiś nie ma, to lada chwila będzie miał. Tak się tu karze złodziei.

– To co mam teraz zrobić? – Milda poczuła, jak ogarnia ją bezsilna wściekłość. – Chyba muszę tę napaść i kradzież zgłosić w ratuszu – oznajmiła niepewnym głosem, ale Dorota zaraz jej przerwała.

– Oszalałaś? I powiesz, że skradziono ci zapłatę za skradziony wcześniej towar? Ale czekaj, czekaj... – zatrzymała się gwałtownie – chyba mam pomysł, odszukasz Justyna, dowódcę straży miejskiej, znaczy hutmana, i wszystko mu opowiesz. On już będzie wiedział, co dalej robić.

– Wysłucha mnie?

– O to się nie martw. Jest mi winien niejedną przysługę, powiesz tylko, że jesteś ode mnie. On też ma trochę za uszami.

– Gdzie mam go szukać, w ratuszu?

– Prawie. Tyle że szukaj go raczej pod ratuszem, w Piwnicy Świdnickiej. To opój, ale zna w mieście, kogo trzeba, i wiele jeszcze potrafi zdziałać. – Wydmuchała nos w palce i wytarła je w spodnią suknię. – Idź już, szkoda czasu. No już, już!

Znów musiała przebyć tę samą drogę z Kazimierza na krakowski rynek.

Szła powoli, krzywiąc się z bólu jak staruszka. Mijały ją rozbrykane, pozbawione opieki dzieci, biegające bezpańskie psy, a nawet świnie, utyłane w błocie powstałym po padającym wciąż deszczu ze śniegiem. W bramach kamienic stali przechodnie, załatwiający jakieś interesy,

plotkujące służące, zwykli ludzie, prowadzący zwykłe życie. Miasto coraz bardziej ją przerażało – zdawało jej się, że wszystkie twarze są wrogie, a każdy mijający ją człowiek stanowi dla niej zagrożenie. A na dodatek musiała spotkać się z Justynem, chociaż z opowiadań Amalii pamiętała, że był to wyjątkowy okrutnik i raczej należało się go wystrzegać niż szukać.

Nie miała jednak innego wyjścia.

Czy dzisiejsze zdarzenie łączyło się jakoś z ostatnim snem o bracie? Dziwnie się to wszystko poukładało w czasie. W nocy ten koszmar, nazajutrz napad... Może to wcale nie on był w niebezpieczeństwie, tylko ona, a Varnas chciał ją po prostu ostrzec? Nie bardzo w to wierzyła. Skłaniała się raczej ku myśli, że oboje znaleźli się w tarapatkach. Czy to jakaś zemsta litewskich bogów za to, że oboje ich się wyrzekli i przyjęli te obce, dziwne imiona? Nie. To bzdury. Tysiące Litwinów tak uczyniło, z Jagiełłą na czele. To nie mogło mieć nic wspólnego z bogami, ci nie wysługują się miejskim złodziejaszkiem.

Przeskoczyła rynsztok płynący środkiem ulicy ku Rudawie i weszła na rynek. Z daleka zobaczyła tłum ludzi tłoczących się wokół narożnika wieży ratuszowej. Chcąc dostać się do Piwnicy Świdnickiej, musiała tamtędy przejść. Kiedy przedarła się przez zbitą cizbę, zobaczyła przykutą do pręgierza młodą kobietę z rozpuszczonymi długimi włosami i w podartej sukni.

Widać było, że stoi tu już od kilku godzin, promienie słońca, które przedarły się na chwilę przez chmury, oświetlały teraz jej opadającą co chwilę bezwładnie głowę. Milda zorientowała się, że kobieta musiała niedawno rodzić, bo przez rozdartą na piersiach suknię widać było nabrzmiałe pokarmem piersi. Przez chwilę ich spojrzenia się skrzyżowały i Milda poczuła ogromne współczucie dla tej biednej, udręczonej istoty. Mieszkała już w mieście na tyle długo, aby wiedzieć, że tak właśnie karano cudzołżnice. Niestety, często się zdarzało, że takie podejrzenie rzucał mąż, chcący się pozbyć swojej żony.

Albo mający podejrzenia co do swojego ojcostwa.

Odwróciła się i ze spuszczoną głową przeszła dalej. Nie była w stanie pomóc tej nieszczęśnicy, nie mogła też przyglądać się jej upokorzeniu, jak robiła to zebrana wokół podniecona gawiedź. Kiedy w stronę kobiety poleciały odpadki i wyzwiska, przyspieszyła kroku, minęła pręgierz i szybko znalazła się na schodach prowadzących w dół, do piwnicy. Gwar

męskich głosów z gospody zagłuszał jęki torturowanych dobiegające z mieszczącej się tuż obok tortorni, czyli izby tortur. Z początku trudno jej było przyzwyczać się do panującego tutaj półmroku, rozjaśnionego tylko kopcącymi niemiłosiernie łuczycami, zatkniętymi w obręcz w murze.

– Sikoreczka szuka towarzystwa? – zapytał oparty niedbale o ścianę miejski pachołek. Był chudy i żyłasty, patrzył na dziewczynę z mieszaniną buty i natrętnego zainteresowania jej figurą.

– Szukam dowódcy straży miejskiej. Pokażcie mi, który to. – Postarała się, żeby jej głos zabrzmiał władczo i pewnie. Nauczyła się tego na dworze Jadwigi.

Tamten splunął na podłogę.

– A na co ci on?

– Nie twoja sprawa.

– Justyn jest zajęty.

– Ale znajduje się w ratuszu?

– Może tak, może nie.

Mężczyźni przy szynkwasiu odwrócili w jej stronę zaczerwienione od alkoholu twarze. Jeden z nich, potężny i łysy, rzekł coś do nich, po czym, uśmiechnięty szeroko, ruszył powoli w kierunku Mildy i pachołka.

– O co chodzi? – spytał, lustrując ją wzrokiem od stóp do głów. – Szukasz pracy?

– Nie, szukam złodzieja, który mnie dzisiaj okradł. Jesteście Justyn? Hutman?

– Ano jestem. A ty kto?

– Mil... Znaczy Anna. Przysyła mnie Dorota z Kazimierza.

Łysy pokiwał powoli głową, jakby to mówiło mu wszystko.

– Wyjdźmy stąd – rzekł.

Chwilę później stali przed budynkiem ratusza. Młoda kobieta pod pręgierzem zwisała już bezwładnie, całkowicie pozbawiona sił. Mokre włosy, posklejane błotem, jakim ją obrzucono, zasłaniały teraz całą twarz. Tłum się przerzedził, widocznie niektórzy liczyli na bardziej emocjonujące widowisko.

– O co konkretnie chodzi, ślicznotko? – spytał dowódca straży miejskiej.

Przedstawiła mu sprawę, nie ukrywając faktu, że część ukradzionych pieniędzy należała właśnie do jej gospodyni.

– Okradł paserkę! – Justyn zaśmiał się głośno. – Śmiałek, nie ma co. Jak wyglądał?

Amalia wspomniała o obciętym uchu, choć wiedziała już, że to żaden znak szczególny. Opisała też mniej więcej twarz złodzieja i jego charakterystyczny kapelusz z dziurą w kształcie gwiazdy.

– Ach, to chyba Szelma bez Ucha, chociaż pewności nie mam. Będiesz go musiała rozpoznać.

– Jak? Przecież uciekł.

– Dzisiaj w ratuszu odbędzie się sąd gorący nad złodziejem, którego złapałem jakieś trzy pacierze temu – wytłumaczył łysy, dłubiąc w zębach kawałkiem drewna. Potężne ramiona miał odsłonięte, jak kat. – Może to on. A może nie. Jak chcesz się mu przyjrzeć, chodź ze mną. Jeśli to ten gałganiarz, co na ciebie napadł, od razu staniesz jako świadek. Może nawet ci się uda odzyskać mieszek. Chcesz?

– Odzyskam pieniądze?

– Jeśli miał je przy sobie, to istnieją pewne szanse, choć nie popadałbym w zbyt ni entuzjazm.

Milda poczuła lekkie uczucie ulgi. Sprawa, która do tej chwili wydawała się całkowicie przegrana, teraz dopuszczała nikłą nadzieję.

– Będiesz musiała jednak udowodnić, że to twoje pieniądze, i wyjaśnić, skąd je masz – zaznaczył Justyn.

– Och. Są od królowej.

– Doprawdy? Od królowej Neapolu?

– Mówię poważnie. To pieniądze od naszej władczyni, królowej Jadwigi. Dostałam je od niej.

Hutman podrapał się po głowie.

– Szczerze powiedziawszy, ja nie bardzo w to wierzę, więc i ława może mieć spore wątpliwości. Ale pomijając już to, miałaś też przy sobie grosze z paserstwa. Wszystko, jak widzisz, zależy od twojej siły przekonywania.

– Chcę tam iść – zadecydowała.

Jako że od dłuższego już czasu żyła pośród przestępców, wiedziała doskonale, czym są sądy gorące. Stawiano przed nimi przestępców złapanych na gorącym uczynku. Uwijano się szybko, aby ci nie zdążyli się wykupić. Karę również wymierzano od razu. Wyglądało więc na to, iż może po raz pierwszy tego dnia do Mildy uśmiechnęło się szczęście.

– A kiedy ten sąd? – spytała.

– Pod wieczór. Zwykle są przeprowadzane wcześniej, ale dzisiaj ludzie z ławy porozchodzili się nam w różnych sprawach. Jadłaś w ogóle coś dzisiaj?

Justyn tak szybko zmienił temat, że w pierwszej chwili nie zrozumiała pytania. Kiedy do niej dotarło, o co mu chodziło, przyznała, że tylko śniadanie. Przez to wszystko nie zdążyła niczego zjeść po powrocie do domu i czuła już, jak burczy jej w brzuchu z głodu.

– To chodź, zjesz coś, zanim zaczniesz się proces.

– Nie mam pieniędzy. Okradziono mnie ze wszystkiego.

– Na mój koszt – odparł hutman.

– Ale... – zawahała się – mówiliście, że sąd dopiero wieczorem. Zapewne skończy się późno, kiedy już zamkną bramy. Jak się dostanę z powrotem do domu?

– Zapomniałaś, z kim masz do czynienia? – Justyn dumnie wypiął pierś. – Przy mnie włos ci z głowy nie spadnie. Przejdiesz przez bramę bez kłopotu. Moi ludzie odprowadzą cię prosto do naszej Dorotki.

Chociaż nie uśmiechało jej się wracać do zadymionej, pełnej pijaków Piwnicy Świdnickiej, nie miała specjalnego wyboru. Jeśli chce odzyskać pieniądze, musi rozpoznać rzezimieszka. Do momentu spotkania z nim nie pozostawało jej nic innego, jak tylko zaufać Justynowi.

Hutman okazał się na tyle uprzejmy, że nie posadził Mildy w głównej izbie, pośród opojów, tylko zaprowadził dziewczynę do osobnego pomieszczenia, gdzie nie było nikogo prócz obierającej jarzyny kobiety, która nuciła coś pod nosem, jakby nie zwracając na nikogo uwagi. Milda dostała miskę bobu, pajdę chleba oraz kubek gęstego, mętnego piwa. Wbrew obawom dziewczyny Justyn nie przysiadł się do niej, aby zadawać kolejne pytania. Musiał być naprawdę zajęty.

Przyszedł dopiero po zmroku.

– I jak? – spytał. – Lepiej?

– Tak, dziękuję.

– To dobrze. Bo zaraz się zaczyna. Te sądy nie trwają długo, dlatego właśnie są gorące.

– Jestem gotowa.

Wyszli z gospody, odprowadzani wzrokiem klientów.

– Kiedy jadłaś, popytałem trochę o ciebie – niespodziewanie odezwał się Justyn, gdy wspinali się po kamiennych schodach.

– I?

– Mówisz prawdę. Królowa cię utrzymuje. Nie wiem, jakim cudem, ale to znaczy, że nie jesteś byle dziewczuchą z Kazimierza. Wyglądasz też inaczej niż tamte. Pewnie służyłaś na dworze. Ale masz na Wawelu nie tylko przyjaciół.

– Wiem o tym.

– Chyba zadarłaś z nieodpowiednimi ludźmi.

– Z nikim nie zadzierałam.

– To bez znaczenia. Są teraz twoimi wrogami. Królowa nie zdoła ci pomóc, bo po mieście raczej się nie kręci ani na sądy gorące nie przychodzi.

Stanęli przed dębowymi drzwiami, nabijanymi żelaznymi guzami. Prowadziły właśnie do ratuszowej Izby Pańskiej, gdzie, jak już Milda wiedziała, odbywały się sądy. Obok, też na parterze, znajdowała się Izba Egzekutorska, izba Imci Pana Prowentowego oraz kancelaria.

– Aha, sikorko – uprzedził ją hutman. – Staraj się nie być przed ławą zbyt harda. Oni tego nie lubią.

– Będę pamiętać...

Kiedy weszli do środka, Milda ujrzała ustawiony pośrodku pomieszczenia olbrzymi stół. Teraz jeszcze było przy nim pusto. Rajcy i ławnicy dyskutowali o czymś przy oknie, nie zaszczycając dziewczyny nawet spojrzeniem. Najstarszy z nich, ubrany w obszerny, obszyty futrem kaftan z ciemnego sukna, wyglądał na kogoś znacznego i ważnego. Spod krótkiego płaszcza, spiętego na ramieniu kosztowną broszą, wystawał koniec ozdobnej pochwy na nóż, zawieszony u pasa.

Milda stanęła nieśmiało w kącie izby, czując się tak, jakby to ją mieli sądzić. Powróciły koszmarne wspomnienia z przesłuchań na Wawelu, tuż po śmierci ojca Alberta. Poczowała, że jej serce zaczyna mocniej uderzać, i pragnęła tylko, by sprawa jak najszybciej się wyjaśniła.

Chciała stąd wyjść.

Wreszcie rozmawiający pod oknem uznali, że nadszedł czas, i powoli ruszyli w kierunku stołu. Ze znudzonymi minami usiedli i zaczęli rozkładać książki oraz zwoje.

– Zaczynamy – zarządził najstarszy z nich. – In Nomine Domini. Co my tu dzisiaj mamy?

Ku zdumieniu i lekkiemu przestraszowi Mildy z otworu w podłodze sieni, tuż przed wejściem do sali, wyłoniła się najpierw głowa, a później cała postać jakiegoś nieszczęśnika. Mężczyzna został wciągnięty na linie przez dwóch osiłków, prawdopodobnie wprost z więzienia znajdującego się w piwnicach. Jak kiedyś opowiadał Mildzie Liszka, więzienie nie posiadało ani drzwi, ani okien, a jedyną drogą, którą można się było tam dostać i stamtąd wydostać, był ten właśnie otwór. Przez niego też wrzucano więźniom jedzenie.

Złodziej wyglądał na mocno wystraszonego i bez wątpienia obitego. Kiedy zdjął z niego linę, wyprostował się z trudem, krzywiąc się przy tym z bólu.

Niestety, to nie był Szelma.

– To nie on – szepnęła do Justyna.

Ten poruszył się nerwowo.

– Zaraza – odrzekł, także szeptem. – Nie tego przecież dzisiaj złapałem.

– Jak to?

– Sam chciałbym wiedzieć, psia jego mać.

Proces rzeczywiście był szybki, ale Milda prawie nic z niego nie zrozumiała. Ponieważ nie był to człowiek, który ją ograbił i pobił, nie musiała zeznawać. Myśli miała zajęte czymś innym. Jeśli podmieniono więźnia, a tak to właśnie wyglądało, oznaczało to, że nawet sławetny hutman nie zdoła ocalić jej przed prześladowcami. Było gorzej, niż przypuszczała.

Starszy ławnik – czy też rajca – odczytywał coś z rejestru karnego, opasłej książki ujętej w deski obciążnięte skórą, a złodziej tylko rozglądał się głupawo po izbie, mrugając oczami, jakby zdziwiony, że w ogóle się tutaj znalazł. Szeleściły przewracane strony pergaminu, a monotony głos czytającego ledwo docierał do Mildy, słyszała tylko poszczególne słowa: „oskarżony o wielkie oraz liczne crimina i delicta”, „rzezanie mieszkańców”, „młodociany, wszelako kiedyś już skazany na pręgierz i różgi”, „pokarany będzie na ręce”.

– Co to znaczy? – spytała niezbyt przytomnie, odwróciwszy głowę w kierunku Justyna.

– Że mu obetną łapę – odparł tamten.

Przez chwilę zrobiło jej się żal chłopaka, ale szybko przypomniała sobie brutalność złoczyńcy, który na nią napadł, i jej współczucie osłabło.

Po rozprawie hutman wyprowadził ją na zewnątrz. Było już zupełnie ciemno.

- Dam ci pachołka, odprowadzi cię do domu – rzekł cicho.
- Dziękuję. Co się dzisiaj wydarzyło? Czemu...?
- Nie mam pojęcia – przerwał jej. – Ale tego obwiesia, który na ciebie napadł, dorwę tak czy siak. Mam różne sposoby na wymierzanie sprawiedliwości.

Kilka dni później Justyn odwiedził Mildę w domu Doroty. Wracała właśnie z zakupów, kiedy już na schodach powitała ją gospodyni.

– Masz gościa – oznajmiła, jak zwykle z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

– Kogo?

– Sama zobaczysz.

Na widok hutmana rozpartego na zydlu w jej izbie dziewczyna w pierwszej chwili się ucieszyła.

– Złapaliście tego chłopaka? – spytała.

Powoli pokręcił głową, patrząc na Mildę z wyraźnym zadowoleniem. To ją trochę zaniepokoiło.

– Więc o co chodzi?

Hutman splótł dłonie na wystającym brzuchu i sapnął.

– Nie jesteś bezpieczna – rzekł.

– To i sama wiem.

– Potrzebujesz opiekuna.

– Słucham? – Przysiadła na skrzyni, wpatrując się w gościa.

– Widzisz, chyba cię polubiłem – ciągnął Justyn, najwyraźniej napawając się swoją władzą i strachem dziewczyny. Zachowywał się inaczej niż wtedy w ratuszu. Zupełnie inaczej. – Jeśli ty polubisz mnie, nie pozwolę cię skrzywdzić.

– Nie wiem, co macie na myśli.

– Wiesz dobrze, wiedźmo – odezwała się Dorota, wchodząc do izby. – Nie udawaj głupszej, niż jesteś. Na Wawelu też musiałaś pewnie pracować

w ten sposób, tam innych nie trzymają.

– Że co?

– Pan Justyn robi ci wielką przysługę. Wiele w zamian nie żąda, jeno odrobinę ciepła i przyjaźni. Rozumiesz już?

Milda popatrzyła na nią, potem na niego.

Tak, wreszcie zrozumiała.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

KRAKÓW, MARZEC 1391

Kiedy Jadwiga po raz pierwszy ujrzała biskupa płockiego, wyłaniającego się spośród grusz łobzowskiego sadu, zmieszała się odrobinę, chociaż, rzecz jasna, nie dała tego po sobie poznać.

Mężczyzna, który podjechał ku niej na karym koniu, ani trochę nie przypominał duchownego, raczej jakiegoś poetę z Italii. Był młody i nieprzyzwoicie przystojny, a na dodatek ubrany według najnowszej mody. Zatrzymał konia kilka kroków przed królową, zgrabnie zeskoczył z siodła, zdjął kapelusz i odrzuciwszy pelerynę, uklęknął ze spuszczoną głową.

– Witajcie... ekscelencjo. – To drugie słowo z trudem przeszło Jadwidze przez usta. – Rada jestem was widzieć.

– To dla mnie olbrzymi honor, miłościwa pani.

– Dobrze, że możemy jeszcze porozmawiać przed waszym wyjazdem.

– Przybyłem najszybciej, jak mogłem.

– Jestem niezmiernie wdzięczna.

Jadwiga patrzyła na niego, siedząc w siodle, wyprostowana jak zawsze, w haftowanym złotem i perłami czepcu, na pozór obojętna, lecz w głębi duszy zafascynowana tym człowiekiem.

I nie chodziło tylko o wygląd młodego purpurata.

Zanim wezwała do siebie biskupa, kazała sobie opowiedzieć ze szczegółami jego historię, a była ona tak szokująca, że zdawała się wręcz nieprawdopodobna, jakby wymyślona przez obdarzonego nieco zbyt bujną wyobraźnią trubadura.

Nieszczęście dopadło Henryka jeszcze w łonie matki. Był synem starego i porywczego księcia mazowieckiego Siemowita oraz słynącej z urody księżniczki śląskiej. Za sprawą ludzkich czy też szatańskich podszeptów starzec uroił sobie, że małżonka go zdradziła, a dziecko, które nosiła w łonie, jest cudze. Mimo że służbę domową poddano przesłuchaniom

i torturom, wszyscy ci ludzie zapewniali o niewinności księżnej. Siemowit jednak tak bardzo zapłonął gniewem, że nie chciał tego słuchać. Skazał na śmierć zarówno żonę, jak i domniemanego kochanka. Ten próbował zbiec, lecz w Prusach wpadł w ręce księżęcej pogoni. Nie było dla niego litości. Został rozdarty końmi, a jego pozbawiony kończyn tułów zawieszono na szubienicy. Księżna zapewne też zginęłaby natychmiast, gdyby nie to, że była brzemienna. Pozwolono więc jej urodzić dziecko w więzieniu w Rawie i dopiero wtedy została uduszona. Niemowlę oddano na wychowanie wiejskiej kobiecie.

I pewnie słuch by o nim zaginął, gdyby trzyletniego chłopca nie uprowadzili ze wsi ludzie jego starszej siostry przyrodniej, księżnej szczecińskiej. Na jej dworze Henryk przeżył wczesne dzieciństwo. Wydawać by się mogło, że jego historia powinna się w tym momencie zakończyć, lecz właśnie wtedy nastąpił zwrot, jakiego nie wymyśliłby żaden poeta. Otóż pewnego dnia do Szczecina przybył okrutny Siemowit. Gdy tylko ujrzał kilkuletniego Henryka, natychmiast zorientował się, że ten musi być jego synem – podobieństwo było zbyt duże, by mówić o przypadku. Księżę zrozumiał, że się mylił co do swej małżonki. Życia nie mógł już jej zwrócić, postanowił więc przynajmniej wynagrodzić dziecku śmierć matki oraz lata poniewierki.

Wybrał dla Henryka karierę kościelną. Chłopiec nie był jakoś szczególnie zachwycony podobną perspektywą, lecz, jak to w takich przypadkach zwykle bywało, niewiele miał do powiedzenia. Kiedy więc nadszedł czas, posłusznie założył sutannę i już jako młodzieniec, dzięki energii i wpływom ojca, objął biskupstwo płockie.

Mimo że zgodnie z procedurą ową kandydaturę zatwierdził sam papież Bonifacy IX, służba Bogu raczej nie była prawdziwym powołaniem przystojnego i ambitnego księżęcego potomka. Biskupa ciągnęło do przygód i poznawania świata. Coś musiał w nim dostrzec król Władysław, skoro właśnie Henryka wyznaczył jako tajnego emisariusza, którego chciał posłać na litewską granicę, by doprowadzić do zgody z wiarołomnym Witoldem.

W tej właśnie sprawie spotkała się z nim teraz Jadwiga, chcąc tutaj, w Łobzowie, z dala od ludzkich oczu, przekazać własną wiadomość do Kowna.

Cała ta historia sprawiła, że królowa czuła się dziwnie w obecności tego człowieka. Zazwyczaj nie miewała takich problemów w kontaktach z ludźmi.

– Przejedźmy się trochę – rzekła teraz. – Porozmawiamy. Pogoda dzisiaj sprzyja spacerom.

– Wedle życzenia, miłościwa pani. – Henryk wstał z kolan, po czym wskoczył na siodło.

– Kiedy wyruszą? – spytała Jadwiga, gdy obserwowani dyskretnie przez eskortę jechali stępą krętą ścieżką. W koronach drzew śpiewały ptaki, gdzieś z oddali dobiegał głuchy dźwięk dzwonu.

– Już jutro.

– Czy mój małżonek dał wam jakieś listy czy tylko ustne dyspozycje?

– Mam pisma i dokumenty.

– To ryzykowne, prawda?

– Owszem. Gdyby dostały się w ręce Krzyżaków...

– Dlatego ja nie będę wam dodawać kolejnego pergaminu, ekscelencjo. Pragnę jedynie przekazać Witoldowi kilka słów od siebie.

Biskup w milczeniu skinął głową, a królowa nabrała głębiej powietrza i rzekła:

– Życzyłabym sobie, by wiedział, że jeśli oczyści swe serce i uwolni się od plugawych wpływów zakonnych, będzie miał we mnie najszczerzą przyjaciółkę. Nie ma takich grzechów, których nie można by wybaczyć, jeśli ostateczną nagrodą ma być zgoda, pokój i umacnianie chrześcijańskiej wiary na litewskiej ziemi. Przekażcie mu też, że modłę się za niego, by wypełnił swoje prawdziwe przeznaczenie – wielkiego obrońcy Krzyża.

Jadwiga wiedziała, że król chce przedstawić swemu krewniakowi dużo bardziej przekonujące argumenty, a mianowicie zaoferować mu rządy wielkoksiążęce na Litwie i dać w prezencie Wilno, lecz rozumiała również, że takie słowa jeszcze bardziej pobudzą ambicję Witolda, której miał w sobie aż nadmiar.

W ogóle był to dziwny człowiek, bardzo niski, szczupły, o chłopięcej twarzy mimo swoich czterdziestu lat, zdolny do wspaniałomyślności, ale i do nieprzemyślanych awantur. Zawierał sojusze, zrywał je, raz stał po stronie Zakonu, to znów go zdradzał. Mimo że przecież wraz z Jagiełłą przyjął chrzest, odwrócił się szybko od swojego krewniaka i po raz już kolejny porozumiał się z Krzyżakami, by w końcu móc zostać

niepodzielnym panem Litwy. Dla człowieka takiego jak on skromne księstwo grodzieńskie to było za mało, zwłaszcza gdy prawdziwą władzę na tych terenach dzierżył pijak i prostak Skirgiełło.

Królowa rozumiała, że musi dotrzeć do lepszej części duszy Witolda, zainspirować awanturnika do właściwych czynów. W dodatku – biorąc pod uwagę, że pomiędzy nim a Jagiełłą nieraz już dochodziło do zdrady i podstępnych działań – chciała, by otrzymał od niej gwarancję, że jeśli między oboma przebiegłymi Litwinami znów zrobi się nieprzyjemnie, zyska w Jadwidze sojuszniczkę. Znała już na tyle dobrze politykę, by wiedzieć, iż żadne układy nie zapewnią nikomu bezpieczeństwa, ale w tym obłudnym świecie słowo chrześcijańskiej królowej Korony Polskiej miało jednak znaczenie.

– Przekażcie mu też to. – Zdjęła z szyi święty medalik.

– Uczynię, czego sobie życzycie, miłościwa pani.

Po drewnianym mostku przejechali na drugi brzeg młynówki i znaleźli się na ścieżce biegnącej wśród nagich jeszcze pól.

– Jeśli Bóg da, że wasza misja zakończy się sukcesem – rzekła po chwili milczenia Jadwiga – chciałabym, abyście przekazali też pewną wiadomość jednemu z dowódców załogi w Wilnie.

– Komu, Wasza Miłość?

– Litwinowi. Aleksandrowi. Choć prawdopodobnie wciąż każe się nazywać starym imieniem. Varnas.

Henryk zmarszczył czoło i baczniej spojrzął na królową swoimi ciemnymi oczami.

– Varnas?

– Tak.

– Z drużyny królewskiej?

– Jest dowódcą.

– Nie słyszeliście, miłościwa pani, najnowszych wieści?

Jadwiga drgnęła.

– Jakich wieści?

– Ten Varnas trafił do krzyżackiej niewoli. Król jest na niego wściekły, bo naraził załogę na niebezpieczeństwo.

– Pojmano go?

Jadwiga poczuła ukłucie w żołądku. Biedna Milda, pomyślała ze współczuciem.

– Tak. Jest przetrzymywany na zamku Ritterswerder.

– Ale chyba żyje?

– Czy jeszcze żyje, tego nie wiem. Ale przypuszczam, że zakonnicy ostrzą sobie zęby na okup.

Właściwie to Jadwiga już dawno nie myślała o Mildzie.

Tyle się wokół działo, każdego dnia prowadziła z kimś rozmowy: z posłami, książętami, duchownymi, a przede wszystkim z uczonymi, z których pomocą chciała wskrzesić krakowską Akademię. Nie miała chwili dla siebie. Tym bardziej więc teraz zrobiło jej się smutno, gdy przypomniawszy sobie tę nieprzyjemną sprawę ze swoimi ulubionymi dwórkami. O ile o Amalię była raczej spokojna, przecież wydała ją dobrze za męża, to w przypadku Litwinki, właściwie wygnanej na ulicę, nie mogła mieć pewności, czy ta potrafiła się odnaleźć w takim świecie. Dziewczyna musiała czuć się zagubiona – a teraz jeszcze to...

Ona tak bardzo kocha brata, pomyślała królowa. Jak ja jej to przekazać?

– Gdzie znajduje się ten zamek, w którym go przetrzymują? – spytała. Zerwał się chłodny wiatr, więc lekko skuliła ramiona.

– Blisko Kowna. Nad Niemnem.

– Czyli dokładnie tam, dokąd się udajecie?

– Tak.

– No cóż, ekscelencjo, ufam, że gdy już będziecie na miejscu, zajmiecie się i tą sprawą. Nie przejmujcie się zbyt złością mego małżonka na Varnasa, mąż szybko się zapala, lecz równie szybko stygnie. A Varnas to jego zaufany towarzysz walk od czasów wileńskich.

– Pani, uczynię wszystko, co w mojej mocy, aby ten człowiek wrócił do Krakowa.

Biskup Henryk powiedział to tak pewnym głosem, że Jadwiga poczuła się odrobinę mniej spięta.

Ten człowiek miał dar przekonywania.

Natychmiast po powrocie na Wawel, kiedy niebo zaczynało już ciemnieć, Jadwiga wezwała do siebie Krystynę. Ochmistrzyńni zjawiała się natychmiast, jak zwykle, stanęła przed swą panią i pokornie się skłoniła.

Królowa nigdy za nią nie przepadała, a teraz – po historii z Amalią oraz Mildą – lubiła ją jeszcze mniej niż przedtem, ale wciąż nie mogła zdecydować się na oddalenie Krystyny z dworu. Ochmistrzyńni była obowiązkowa, solidna i utrzymywała porządek wśród dziewcząt, a tych ostatnio przybyło; pojawiło się więcej Polek oraz Litwinek. Zresztą na jakiej podstawie miałyby ją odsuwać? Jej własne odczucia to za mało.

Jadwidze od razu rzuciło się w oczy, że Krystyna nie miała na głowie swojej zwykłej podwinki okalającej skromnie całą jej surową twarz. Włosy zaczesła do tyłu, okryła siatką i chyba część z nich wyskubała, bo czoło zdawało się nienaturalnie wysokie. Włożyła też – o zgrozo – ciemnozieloną suknię z dość głębokim dekoltem. To nie za bardzo pasowało do jej poprzedniego wyglądu, który kojarzył się Jadwidze do tej pory bardziej z klasztorem niż z dworem. Dla kogo zaczęła się tak stroić? – pomyślała bezwiednie królowa, ale natychmiast przeszła do rzeczy:

– Droga Krystyno, czy chodzisz jeszcze do chorych?

Kobieta drgnęła.

– O ile pozwalają na to moje obowiązki – odparła niepewnie.

– Czyli przebywasz w mieście?

– Czasami, miłościwa pani.

– To dobrze. Chciałam cię zapytać, czy są jakieś wieści od naszej Anny.

To znaczy Mildy.

– Tej Litwinki?

– Otóż to.

Służba zaczęła już zapalać w komnacie świece. Jedna z dziewcząt szepnęła coś do drugiej, ale wystarczyło jedno spojrzenie Jadwigi, by szybko umilkła i spuściła wzrok.

– Obawiam się, że mam dla niej złe wieści – podjęła po chwili królowa – jej brat został pojmany przez Krzyżaków.

– Och, to straszne.

– Rzeczywiście. Możesz odnaleźć Mildę i przekazać jej tę wiadomość?

Naturalnie i moje wyrazy pocieszenia.

– Miłościwa pani...

– Tak?

Krystyna uniosła podbródek.

– Nie chcę cię pani martwić, ale...

– Mówcie.

– Ale doszły mnie słuchy, że to biedne dziewczę zeszło na złą drogę.

Jadwiga zmarszczyła brwi.

– O czym mówicie? – spytała chłodno.

– Podobno weszła w środowisko rzezimieszków i złodziei w Kazimierzu. Przyłapano ją też na sprzedaży kradzionego towaru.

– To przecież niemożliwe!

– Wiem to od bardzo szanowanego kupca. A także od hutmana. Widziano ją podczas sądu gorącego w ratuszu.

– To musi być jakieś nieporozumienie. – Jadwiga zaczęła nerwowo krążyć po komnacie, zaciskając dłonie. – Czy to pewne?

– Obawiam się, że nie może być mowy o pomyłce. Nazywana jest litewską wiedźmą. Wiem również, że mnie śledzi, chyba chcąc się zemścić za to, że przyłapałam ją na czarach.

– Dobrze, dobrze. Sprawa czarów została już wyjaśniona. To była pomyłka, a nie gusła.

Jadwidze przeszło przez myśl, że skoro Milda ma w swym otoczeniu opinię wiedźmy, to prawdopodobnie zadbał o to nikt inny tylko sama Krystyna. Ta kobieta nie wydawała się teraz najlepszą pośredniczką między Wawelem a Kazimierzem. Co więcej, królowa nie bardzo ufała tym niespodziewanym wieściom. A mówiąc prościej, nie ufała Krystynie. Musiała zbadać sprawę w inny sposób.

– Dobrze zatem, dziękuję za przybycie oraz wiadomości. Możecie wracać do swoich zajęć.

Kiedy tylko Krystyna odeszła, królowa kazała wezwać do siebie Konrada, jednego z młodych prawników pracujących w wawelskiej kancelarii. Znała go dobrze, miała do niego zaufanie, a w dodatku często przebywał w Kazimierzu, gdyż jego starszy brat był jednym z profesorów, którzy uczyli w dawnej szkole Szymka.

Kiedy wezwany pojawił się w komnacie, za oknem było już zupełnie ciemno. Monarchini czuła się już zmęczona i najchętniej położyłaby się spać, jednakże chciała załatwić tę sprawę, zanim inne zmartwienia nie odsuną jej na dalszy plan. Była to winna Mildzie. Dzisiaj bardziej niż dotychczas odczuła jej brak na dworze. Ona i Amalia sprawiały, że życie na Wawelu wydawało się weselsze i łatwiejsze.

Konrad, niewysoki mężczyzna z ptasią, drapiezną twarzą, był odziany na ciemno. Uwagę – szczególnie dwórek – zwracały jego czarne, mocno

trefione kędziory. Wysłuchał królowej w milczeniu, zapewnił, że sumiennie wykona jej polecenie, po czym opuścił komnatę.

Młody prawnik nie wrócił jednak od razu do kancelarii. Zamiast tego skierował się ku tej części zamku, gdzie mieszkały dwórki. Uważając, aby żadna z dziewcząt go nie dostrzegła, przemknął korytarzem i bez pukania uchylił drzwi jednej z komnat.

– Spóźniłeś się dzisiaj – usłyszał kobiecy głos.

– Miałem powód.

W środku paliła się tylko jedna świeca, rzucając nikły pomarańczowy blask na wielkie łoże z baldachimem. Pośród pościeli leżała w uwodzicielskiej pozie Krystyna z włosami rozpuszczonymi i rozsypanymi na poduszce.

Konrad zamknął cicho drzwi.

– Wezwała mnie królowa – wyjaśnił.

– Ach tak? A w jakim celu, jeśli to nie jest wasz wspólny sekret?

Podszedł do łoża, rozpinając kaftan.

– Chce się wywiedzieć, co u naszej litewskiej myszki.

Krystyna uniosła się na łokciu.

– Nie ufa mi – stwierdziła krótko.

– A powinna? – Ciężki kaftan upadł na posadzkę.

– Nie jest głupia...

– To na pewno.

– Ale też nie taka sprytna, jak jej się wydaje.

Konrad zaczął wyplątywać się ze spodni.

– Do ciebie dużo jej brakuje.

Krystyna znów opadła na poduszki i przeciągnęła się lubieżnie. Konrad starał się nie myśleć, jak odpychająca jest w tej chwili, eksponując swoje zwiędłe ciało i udając młodą, piękną kochankę. Przynajmniej dobrze, że przezornie zapaliła tylko jedną świecę, choć, jeśli miałby być szczerzy, wolałby, aby wszystko odbyło się w całkowitej ciemności. Ale cóż, trzeba było zacisnąć zęby i zrobić swoje. Nie mógł ryzykować utraty łask, ten układ bardzo mu się ostatnio opłacał.

– Powiedz szczerze – wymruczała ochmistrzyni. – Wolalbyś tę młodziutką pogańską rozpustnicę? Prawda?

– Nie gustuję...

– Nie kłam – przerwała mu z uśmiechem, który zgasił i tak już skromne rezerwy zapachu Konrada. – Chodź do mnie, mój Tristanie. Mój ty Lancelocie...

Całkowicie już nagi wszedł do łóża, starając się myśleć o urodzie młodej Litwinki, o ciele jasnowłosej dziewczyny, której będzie musiał zaszkodzić.



Część druga
W POTRZASKU

ROZDZIAŁ PIERWSZY

ZAMEK RITTERSWERDER, OKOLICE KOWNNA, GRUDZIEŃ 1391

Obudź się! Coś się szykuje!

Varnas otworzył oczy, czując, jak ktoś szarpie go energicznie za ramię. Z początku, pogrążony jeszcze w głębokim śnie, nie miał pojęcia, gdzie się znajduje, lecz natychmiast powrócił do rzeczywistości. Panujący wokół mrok, wilgoć, chłód i duszący smród nie pozostawiały w tej kwestii żadnych wątpliwości: znów obudził się w celi w podziemiach zamku Ritterswerder. A szarpał go za ramię Iwan, towarzysz niedoli, litewski zwiadowca, który podobnie jak Varnas był na tyle głupi, że dał się pojmać Czerwonemu Diabłu.

Na szczęście Iwan chwycił go za zdrowe ramię, nie to, w którym w marcu utkwiała krzyżacka strzała.

– Co się dzieje? – spytał niezbyt przytomnie Varnas.

– Na dziedzińcu hałasy. Chyba się przenosimy.

– Gdzie się przenosimy?

– To zależy – odparł Iwan, czterdziestoletni mężczyzna o twarzy trupa. – Ciebie pewnie zabiorą ze sobą. Za cenny jesteś, by cię powiesić. Nas – ruchem głowy wskazał na trzeciego więźnia, skulonego w kącie pomieszczenia – zapewne przeniosą do ziemi.

– Skąd wiesz, że to przenosiny? – Varnas usiadł na słomie i przetarł oczy.

– Od godziny tak hałasują. Zaprzęgają konie do wozów. Pewnie Jagiełło zbliża się do Kownna, no to szczury zmykają.

Varnas zaczął czujnie nasłuchiwać. Nisko sklepiona cela nie miała okna, tylko otwór w suficie, więc przez długie miesiące pobytu tutaj więźniowie nauczyli się odczytywać wieści z zewnątrz tylko na podstawie nikłych

odgłosów, jakie do nich docierały zza grubych murów. Stali się w tym prawdziwymi mistrzami.

– Może nas tu zostawią? – zastanowił się Varnas. – Jeśli rzeczywiście uciekają, to jesteśmy dla nich stratą czasu.

– Nie sądzę. Nie oni. Ty sam jesteś dla nich wart jakieś pięćdziesiąt grzywien.

– To dużo czy mało?

– Za litewskich krewniaków Jagiełły wzięliby pewnie sto. Zresztą nie wiem, czy byłoby lepiej, aby nas tu zostawili. Moglibyśmy zdechnąć z głodu, zanim przyjdą nasi. Lepszy już chyba topór przez łeb.

– Na razie żyjemy.

Zadzwoił łańcuch w rogu, po czym trzeci więzień zapytał o coś po niemiecku.

Był to młody Krzyżak o imieniu Wolfgang, rodem z Frankfurtu. Dni spędzone w ciemnicy upodobniły go do zgrzybiałego starca. Wychudł, wyłysiał, wypadło mu wiele zębów, przez co twarz mu się zapadła.

Widoczne było, że długo nie pożyje.

Trafił do lochu za śmiertelny grzech sodomii, najwyraźniej bardzo powszechny wśród mnichów wojowników, jak wynikało z opowieści Wolfganga. Sodomia była dla władz zakonnych czymś jeszcze gorszym niż ucieczka z pola bitwy, a nawet odstępstwo od wiary, mimo to wciąż dochodziło do zakazanych stosunków cielesnych między rycerzami. Iwan, który mówił po niemiecku, często rozmawiał z łagodnym i nieco już szalonym Wolfgangiem, chcąc dowiedzieć się czegoś więcej o obyczajach zakonnych. To i owo tłumaczył Varnasowi, ale ten nie przejawiał większego zainteresowania owymi sprawami, nie obchodziło go, jak chłopak uprzyjemniał sobie życie pośród samych mężczyzn.

Myślał głównie o tym, że tak bardzo zawiódł swoich ludzi oraz króla.

O tak, nie mógł sobie wybaczyć własnej głupoty.

Nie po raz pierwszy porywczy charakter wprowadzał chaos w jego życiu, lecz teraz wyglądało na to, że może się nie wydostać z tarapatów. Wcale nie był tak pewny, że zachowa życie. Krzyżacy lub nawet sam Witold mogli go powiesić choćby na złość Jagielle, w odwecie za to, że próba zdobycia

Wilna zakończyła się niepowodzeniem, a w zasadzie kompromitacją, biorąc pod uwagę, jak wiele wojsk z zachodniej Europy wspomagało Zakon w oblężeniu.

Kto wie, czy dla Varnasa śmierć nie byłaby teraz najlepszym rozwiązaniem?

Najprostszym i najbardziej sprawiedliwym?

Przestałby być kłopotem dla króla. W przeciwnym wypadku Jagiełło musi za niego zapłacić srebrem albo wydając Zakonowi jakiegoś znacznego jeńca. No a wtedy trzeba będzie się tłumaczyć, dlaczego zgubił swoich ludzi, a powierzony mu do obrony wileński zamek naraził na niebezpieczeństwo. I to tylko z powodu swoich osobistych spraw. Varnas nie potrafił o tym myśleć bez gniewu i wstydu, a okoliczności były takie, że akurat miał aż za dużo czasu na ponure rozmyślenia.

Z samej drogi przez litewskie ziemie do zamku niewiele pamiętał. Wszystko zlewało mu się w jedno. Nie widział, co się stało z jego współtowarzyszami z oddziału, czy uciekli, czy wszyscy zginęli, a może jak on trafili do niewoli. Raniony w ramię strzałą, to tracił, to odzyskiwał przytomność, trochę majaczył. Wieziono go na jakimś wozie, a następnie popłynęli łodzią, widział nad sobą zachmurzone niebo, słyszał, jak obok niego rozmawiają po niemiecku. Ktoś opatrzył mu rany.

Po przybyciu do Ritterswerder ani razu go nie przesłuchiowano, za to oddano w ręce starego hospitalariusza, który poił Varnasa ziołami. Wyglądało więc na to, że dobrze wiedzą, kim jest, i nie chcą, aby im szybko umarł. Czy jednak teraz, kiedy prawdopodobnie Jagiełło zbliżał się do Kowna, dalej będą tacy troskliwi? Ich nerwowy pośpiech świadczył, że na razie nie wchodzi w grę żadne pokojowe pertraktacje, dzięki którym można by liczyć na wymianę jeńców. Nie pozostawało więc nic innego, jak tylko czekać, nasłuchiwać, wdychać cuchnące wyziewy własnego ciała oraz współtowarzyszy.

Niemiec zaczął śpiewać po cichu jakąś piosenkę, pewnie z rodzinnych stron.

– Mógłbyś go uciszyć? – Varnas zwrócił się do Iwana.

– Do niego już nic nie dociera.

– Czemu wsadzili nas razem z nim?

To pytanie zadawał już wielokrotnie i zawsze dostawał tę samą odpowiedź:

– Nie wiem. Pewnie uważają, że to dla nas większa hańba. A może nie mają już miejsc w celach?

Varnas nie odczuwał upokorzenia z powodu takiego współwięźnia. Nie od wczoraj przebywał pośród wojowników, wiedział, że podobne praktyki zdarzały się wszędzie tam, gdzie mężczyźni przez dłuższy czas byli odcięci od kobiet: i u Litwinów, i u Tatarów, i u Polaków. Tylko na wschodzie bardziej je tolerowano.

To, co mu przeszkadzało, to zachowanie młodzieńca, jego płacz, śpiew, krzyki albo jęki przez sen. Czasami miał ochotę sam zakończyć jego cierpienia. Nie znosił uzalania się nad sobą.

– Jeśli mają nas dzisiaj zabić – wstał, aby rozprostować zdrętwiałe nogi – to wolałbym przed śmiercią nie mieć w głowie tej jego zasranej piosenki.

– Ja też nie. Zaśpiewajmy zatem coś po litewsku. – Iwan się uśmiechnął.

– Sam sobie śpiewaj, jeśli ci tak wesoło.

Varnas ruszył na środek celi, jak zawsze do miejsca, do którego pozwalał mu dotrzeć przykuty do obręczy na kostce łańcuch. To był jedyny jego obszar swobody. Miał jej tyle, ile zwierz w klatce.

Zresztą trochę już przypominał zwierza, z długimi, skołtunionymi włosami i gęstą brodą, w której z pewnością zaległo się robactwo – świadczył o tym uporczywy świąd skóry. Kolana wciąż miał słabe, choć starał się ćwiczyć mięśnie, na wypadek gdyby nadarzyła się jednak szansa ucieczki. No i przy każdym gwałtowniejszym ruchu ramię paliło ogniem. Sam widział po swoich pokrytych grubą warstwą brudu rękach, że bardzo schudł. Jak długo tu siedział? Prawdę mówiąc, stracił poczucie czasu. Bez widoku na zewnątrz nie wiedzieli nawet, jaka jest teraz pora roku.

– Varnasie? – odezwał się Iwan, oparty plecami o wilgotny, pokryty saletrą mur.

– Tak?

– Pamiętaj o obietnicy.

– Pamiętam.

Zwiadowca od pierwszego dnia spędzonego wspólnie w celi nie pozwalał mu o niej zapomnieć. W razie gdyby tylko Varnas uszedł z życiem, miał powiadomić mieszkającą w Wilnie żonę Iwana, Ludmiłę, o jego śmierci. Żeby znała jego los i ułożyła sobie życie na nowo. Przez te wszystkie dni Varnas dowiedział się o Ludmile tak wiele jak chyba o żadnej innej kobiecie od czasów Iny. Znał jej śmieszności, powiedzonka, imiona

wszystkich braci, poznał jej strachy – głównie przed piorunami i pajakami – a jeśli chodzi o wygląd, zapewne rozpoznałby ją przy pierwszym spotkaniu. Podczas siedzenia w tej cuchnącej dziurze przed utratą zmysłów ratowały ich takie właśnie wspomnienia. Varnas też dużo opowiadał o swoich bliskich, zwłaszcza o Mildzie, z której był niezwykle dumny. Litwini dowiedzieli się także tego i owego o rodzicach oraz siostrze Wolfganga, o zbieraniu jabłek w sadach pod Frankfurtem i łowieniu pstrągów w Menie.

– Pamiętam, ale sam będziesz mógł z nią porozmawiać – rzekł teraz bez przekonania Varnas, robiąc ostrożny przysiad, jedno z ćwiczeń, które wykonywał regularnie.

– Już jej nie zobaczę, wiem o tym.

– Zamknij się, psiakrew. Ciekawe, czy przyniosą nam żarcie. Jeśli tak, to pewnie nigdzie nas nie zabierają.

– Mnie i tak nie zabiorą.

– Zobaczymy, co się stanie. Ucisz tego chłopaka.

Okazało się, że jedzenie jednak przyniesiono – to znaczy zostało opuszczone na linach w drewnianym wiadrze, jak zawsze. Była to zimna kasza, do podziału między ich trzech, musieli jeść ją rękami. Odwiązali kubek i przyczepili do liny inny, ze swoimi odchodami.

A więc dzień jak co dzień.

Nawet odgłosy z zewnątrz nieco przycichły. Iwan się uspokoił, gdyż wyglądało na to, że jeszcze tego dnia go nie zabiją, i dalej może żyć nadzieją, że wojska polskie wcześniej czy później ich uwolnią. Natomiast nastrój Varnasa nie zmienił się ani na jotę. Nie odczuwał strachu, nie odczuwał nadziei, po prostu czekał na rozwój wypadków, gotów na każde rozwiązanie.

Znów dużo myślał o siostrze. Było mu jej żal. Gdyby tutaj zginął, utraciłaby ostatnią bliską jej osobę. Nie miała już nikogo poza nim. Czerwony Diabeł wyrzwał wszystkich w wiosce, a teraz miał w rękę Varnasa. Jedynym pocieszeniem było to, że Milda jest bezpieczna, chroniona przez samą królową. Ale kiedy dowie się o losie brata, na pewno bardzo mocno to odczuje.

Ciągle zastanawiał się także nad losem tych, których poprowadził w zasadzkę. Czy komuś udało się przeżyć? Gdyby trafili do niewoli, zapewne widziałby ich podczas drogi do Kowna. A więc albo uciekli, albo

wybito wszystkich w lesie. To drugie wydawało się, niestety, bardziej prawdopodobne.

Aby już o tym nie myśleć, Varnas zaczął ćwiczyć zdrowe ramię, podciągając się ostrożnie na haku w ścianie, do którego przymocowany był jego łańcuch. Nie potrafił leżeć bezczynnie jak rozkładająca się padlina, pozwalając, by biegały po nim szczury. Ani popłakiwać jak Wolfgang. Jeśli istniał cień szansy, że zdoła uciec, musiał być gotów. A nie da rady zbiec, mając słabe, wychudzone ciało.

Nie byłby wojownikiem, gdyby tak łatwo się poddał.

Przyszli po nich, kiedy Varnasowi właśnie udało się na nowo zasnąć. Właz w suficie otworzył się z łoskotem, zasyczało łuczyczo, do środka zajrzały niewidoczne w półmroku twarze. Rozległy się pokrzykiwania po niemiecku.

– Już? – zapytał Iwana, unosząc się na łokciu.

– Już – odparł tamten zdławionym głosem.

Opuszczono kosz, a w nim draba z ogoloną na łyso czaszką, który, jak tylko znalazł się na dole, zaczął sprawnie rozkuwać więźniów. Potem kazał im po kolei wchodzić do kosza. Najpierw zabrano Wolfganga, trzeba go było podtrzymywać, bo tak mu się trzęsły kolana – nie wiadomo, czy ze słabości, czy ze strachu, najpewniej z obu tych powodów. Potem wyciągnięto na górę Iwana. Varnas opuścił celę na końcu.

Wszystkich trzech poprowadzono schodami i wąskimi korytarzami na dziedziniec. Światło poranka oślepiło więźniów, tak że długo nie mogli przyzwyczać do niego wzroku. Kiedy już ochłonęli, zobaczyli wiele zaprzęzonych wozów, siodłanych właśnie koni. Iwan miał jednak rację – to ewakuacja, nie zwykłe przenosiny. Widać zakonni czegoś się przestraszyli. Przez jakiś czas więźniowie stali pośrodku tego całego bałaganu, w swych łąchmanach wyglądali jak wykopane z grobów trupy. Nikt się nimi nie interesował, jakby byli niewidzialni, rycerze i pachołkowie przechodzili obok nich zaferowani własnymi sprawami. Varnas pomyślał, że mógłby teraz przemknąć w kierunku otwartej bramy i być może nawet przejść przez nią niezauważony. Po chwili zastanowienia zdał sobie jednak sprawę, że na pewno są obserwowani.

Co więcej, ma ich na oku sam Czerwony Diabeł.

– Chyba zabierają nas do Prus – rzekł do Iwana.

– Ciebie pewnie zawiozą do Malborka – odparł zwiadowca, który miał kłopoty z utrzymaniem się na nogach.

– Albo do najbliższego lasu... Powiedzą nam coś wreszcie?

– Oni nigdy nic nie mówią.

– Kurwie syny.

– Teraz groźniejsze, bo przestraszone.

W końcu podjechał do nich rycerz na karym koniu. Ciemnowłosy, o południowej urodzie, nie miał hełmu na głowie.

– Który z was to Varnas? – spytał po rusku.

– Ja – odparł litewski wojownik, patrząc tamtemu prosto w oczy.

– Utrzymasz się w siodle?

– Tak.

– To dobrze, bo nie mamy dla ciebie wozu. Wyjeżdżasz.

– Dokąd?

– Nie twoja sprawa.

– A co z nimi? – Varnas wskazał głową na towarzyszy.

– Oni zostają.

– To dlaczego wywlekliście ich z celi?

Jeździec nie odpowiedział, zamiast tego ze znudzoną miną skinął tylko głową na dwóch mężczyzn, którzy do tej pory opierali się o dyszel wozu, stojącego kilkanaście kroków dalej. Nie mieli na sobie zbroi, tylko zwykłe szare opończe z nasuniętymi na czoła kapturami. Jeden z nich trzymał w ręku drewnianą pałkę nabijaną gwoździami. Varnas zrozumiał, że nikt nie będzie się bawił w wieszanie czy ścinanie głów. Załatwią to jak z bydlętem w rzeźni. Prawdopodobnie byli to nawet rzeźnicy z zamkowego gospodarstwa. Draby podeszły do więźniów i kazały Iwanowi i Wolfgangowi iść za sobą, w kierunku stajni.

Zwiadowca po raz ostatni odwrócił się w stronę Varnasa.

– Ludmiła – rzekł spokojnie.

Ten w milczeniu pokiwał głową.

– Nie mów, że w taki sposób. Powiedz, że od miecza.

– Dobrze.

Godzinę później Varnas jechał już na siwej klaczy wzdłuż piaszczystego brzegu Niemna, eskortowany przez trzech zakonnych, jednego starego i dwóch młodzików. Miał na sobie nową podróżną opończę. Nie skrupowano mu nawet rąk. Wiedział już, że jadą do Malborka. Krzyżacy nie byli zbyt rozmowni, ale stary szybko się zdradził. Kiedy znaleźli się już poza murami zamku, uśmiechnął się do Varnasa i rzekł pogodnie: „Reise”. Litewski wojownik zapytał: „Marienburg?”, na co tamten przytaknął.

Czekała więc ich długa droga.

A podczas niej mnóstwo okazji do ucieczki.

Z tymi dwoma chłopcami i siwowłosym zakonnikiem nie powinien mieć większych trudności, jeśli tylko wyczuje odpowiedni moment. Mieli przy sobie broń, lecz nie wyglądali na tęgich wojowników. Zabije ich i ucieknie do Polski. Po to właśnie ćwiczył wytrwale w więziennej celi.

Zapłacą za śmierć Iwana.

ROZDZIAŁ DRUGI

OKOLICE ROŻNOWA, GRUDZIEŃ 1391

Grube płatki śniegu zasłaniały zupełnie świat za oknem, mało przejrzyste szybki zasypane były teraz niemal do połowy. Wiatr wył wściekle, wpadał do kominków, rozrzucając żar i wydmuchując stamtąd popiół na podłogę sypialni.

Amalia z trudem zsunęła się z wysokiego łóżka. Czuła, że nadchodzi jej czas, już w nocy dopadły ją pierwsze bóle, więc z samego rana posłała po Hannę. Miała nadzieję, że stara akuszerka jest u siebie i będzie miała na tyle siły, żeby przyjść i odebrać jej poród.

Kiedy po raz pierwszy zajrzała do ubogiej chaty wiejskiej zielarki i babki, nie wiedziała, że jest już przy nadziei. Później odwiedzała ją częściej, żeby nauczyć się wszystkiego, co mogłoby się przydać do utrzymania ciąży i urodzenia zdrowego dziecka. Syna, jak miała nadzieję, ale tylko ze względu na Zbigniewa, który po porodzie nie odwiedzały jej zbyt często w sypialni. Spełniłyby się w końcu jego marzenia o dziedzicu, a Amalia przestałaby być dlań taka ważna. Teraz błogosławiła swój stan, bo małżonek już nie ośmielał się jej tknąć, żeby nie narażać dziecka.

Starania Zbigniewa nigdy nie przestawały być dla niej przykre i nieprzyjemne, zresztą on sam też nie wydawał się zbyt zainteresowany jej ciałem. Często zdarzało się nawet, że nie był w stanie wypełnić swoich małżeńskich obowiązków, co tłumaczyła sobie nadmiernym piciem wina i obżarstwem, mąż natomiast zrzucał winę na jej oziębłość.

Teraz nie musiała się już tym przejmować. Kiedy mu oznajmiła, że jest brzemienna, jego radość nie miała granic. Był przekonany, że tym razem będzie to zdrowy syn, snuł już plany związane z wychowaniem go na dzielnego rycerza i godnego dziedzica. Złagodniał i zaczął dogadzać żonie. Specjalnie dla niej kazał sprowadzać egzotyczne owoce i korzenie, sprawdzał w kuchni, czy posiłki dla matki jego syna są przygotowywane

należycie i z odpowiednią starannością. W obawie przed otruciem zatrudnił nawet specjalnego człowieka, który kosztował wszystkich potraw, zanim te znalazły się na talerzu małżonki. Obawiał się, że krewni, z którymi wciąż walczył o majątek, będą próbowali nie dopuścić do pojawienia się nowego dziedzica.

Gdyby nie to, czego młoda kobieta dowiedziała się od Hanny, okres ciąży byłby najszcześniejszym czasem w jej małżeństwie. Niestety, wciąż nie mogła pozbyć się obaw co do swojej przyszłości. Co się stanie, jeśli urodzi wprawdzie zdrowe dziecko, ale nie będzie to syn? A co, jeśli się okaże, że dziecko jest chore? Jeżeli to prawda, że Zbigniew zabił swoją pierwszą żonę, Amalia nie mogła się czuć bezpieczna. Z drugiej strony coś takiego wydawało jej się niemożliwe. Może Hanna, która nie kryła niechęci do pana na zamku, przesadzała? Na wszelki wypadek Amalia poprosiła Katarzynę, żeby ta dyskretnie wybadła służbę i posłuchała plotek. Jej, jako pani tego zamku, ludzie mogli bać się cokolwiek wyjawić, ale Katarzyna stała się teraz jedną z nich.

Niestety, nikt nie wiedział niczego konkretnego. Ogólnie wiadomo było tylko, że pani Kinga została zamknięta w sypialni zaraz po urodzeniu swego nieszczęsnego dziecka i nigdy już żywa stamtąd nie wyszła. Jej mąż tłumaczył to złym stanem ducha małżonki i zabronił komukolwiek wchodzić do jej komnaty.

– Panie mężu – spytała kiedyś wprost, kiedy siedzieli razem przy posiłku i Zbigniew wydawał się w dobrym nastroju. – Na co zmarła świętej pamięci pani Kinga?

Spochmurniał natychmiast.

– Zmogła ją gorączka po porodzie – odparł krótko.

– A kto się nią opiekował w chorobie?

– Ja sam.

Dłużej nie chciał z nią o tym rozmawiać, tłumacząc, że dla niego to wciąż trudny temat i żeby sama też przestała sobie tym zaprzętać głowę, bo zaszkodzi ich synowi. Amalia ustąpiła, ale jej obawy nie. Wiedziała od Katarzyny, że nikt ze służby nie widział pani Kingi od dnia, w którym Zbigniew zamknął ją w komnacie. W kuchni nie przygotowywano dla niej osobnych posiłków, nikt też nie zauważył, aby mąż ją odwiedzał. Kiedy zmarła, sam zajął się ubraniem zwłok i złożeniem ich do trumny. Byli ludzie, których ta postawa wzruszyła i uważali ją za dowód szczerego żalu

Zbigniewa po śmierci żony, znaleźli się jednak i tacy, którzy na samą wzmiankę o tym odwracali wzrok i zaciskali pięści. Albo wręcz oskarżali go o żonobójstwo. Jak Hanna.

Amalia czuła coraz większy niepokój. Tymczasem zauważyła, że służba zaczyna ją traktować z mniejszą rezerwą i niechęcią. Już nie słyszała na każdym kroku, że „nasza nieboszczka pani...” robiła niemal wszystko inaczej niż ona. Nie starała się zresztą wprowadzać zbyt wielkich zmian, a jeśli już, to dbała, żeby konsultować swoje pomysły z osobami odpowiedzialnymi za konkretną część domu. Chciała oczywiście zaprowadzić swoje porządki, w końcu był to teraz jej dom, wiedziała jednak, że musi działać stopniowo i z wyczuciem. Siłą i narzucaniem innym własnej woli niewiele by wskórała, a mogłaby jedynie pogorszyć swoją kruchą jeszcze pozycję na zamku. Musiała dbać o dobre stosunki z pracującymi tu ludźmi, ponieważ męża widywała rzadko, toteż zdana była tylko na nich.

Korzystając z jego nieobecności, zdołała namówić służbę, by usunięto sitowie z podłogi w jadalni. Ze zgrozą patrzyła na pokłady odpadków wymiatanych razem z plecionkami. Przegniłe resztki jedzenia rzucanego psom, zdechłe szczury, zagryzione przez nie lub wręcz rozdeptane przez ludzi, ginęły w skłębionej masie, mało już przypominającej zioła i kwiaty. Amalia osobiście pilnowała dokładnego wyszorowania kamiennej posadzki, która wyłoniła się spod grubej warstwy brudu. Na świeże sitowie porastające brzeg jeziora i podmokłe łąki w lesie musiała poczekać do czerwca, na razie więc posadzka pozostała goła. Jadalnia od razu zrobiła się jaśniejsza i bardziej przestronna.

W pierwszych miesiącach Amalii trudno było się przyzwyczaić do samotności. Od dzieciństwa przebywała pośród ludzi, otoczona przyjaciółmi, a nawet całym dworem, najpierw w Budzie, później w Krakowie. Teraz została sama. Zamknięta w czterech ścianach swojej sypialni starała się czytać, lecz biblioteka jej męża była raczej uboga, a książki przywiezione z Wawelu przeczytała szybko.

Siadała więc na miękkich poduszkach w wykuszu okna i oddawała się wspomnieniom. Przenosiła się myślami do Krakowa, wywoływała z pamięci drogie jej twarze Szymka, Hedwig i Mildy. Coraz częściej wracała do ostatniej wycieczki po Wiśle z Szymkiem. Serce ścisnęło jej się boleśnie na samo przypomnienie wpatrzonych w nią z miłością oczu

chłopaka, czuła smak tamtego pocałunku... Szybko odganiała tę wizję. Musiała o tym zapomnieć, była wszak mężatką, należała do kogoś innego. Nie mogła jednak przestać zastanawiać się nad tym, co on teraz robi, jak sobie radzi na uniwersytecie w dalekim kraju. Czy też o niej myśli? I znów musiała samą siebie przywoływać do porządku. Tęsknota dręczyła ją coraz bardziej.

Ileż by dała, żeby choć Milda mogła teraz tu być razem z nią. Miałaby z kim rozmawiać, zwierzać się, szukać pociechy. Może udałoby się namówić męża, by zatrudnił jej przyjaciółkę w zamku? Nie wiedziała jeszcze, w jakim charakterze, ale coś zawsze by się znalazło. Postanowiła, że porozmawia z nim na ten temat.

Niestety, zanim się okazało, że Amalia spodziewa się dziecka, Zbigniew pojawiał się u niej tylko nocą i rozmowy były ostatnią rzeczą, na której mu wtedy zależało. Okazja do porozmawiania zdarzała się tylko podczas wizyt gości, którzy odwiedzali ich zamek, ale przy nich trudno było omawiać prywatne sprawy. Zbigniew zwracał się wtedy do niej z najwyższym szacunkiem, podkreślał, jak bardzo jest szczęśliwy, mając taką żonę. Był dumny nawet z jej umiejętności gry na lutni i chociaż sam nigdy Amalii za to nie pochwalił, przy gościach zachęcał ją do występów.

Powinna więc czuć się szczęśliwa, lecz im bardziej się zbliżał termin porodu, tym większy ogarniał ją niepokój. Coraz częściej się zastanawiała, czy mąż naprawdę byłby zdolny ją zabić, gdyby coś poszło nie tak? Zdała sobie sprawę, że się go boi, i zaczęła go unikać. Teraz, kiedy już nosiła jego dziecko, nie musieli tak często przebywać razem. Zresztą nie bardzo mieli o czym ze sobą rozmawiać. Zbigniew nie wtajemniczał jej w sprawy dotyczące zarządzania zamkiem i podległymi mu ziemiami, sprawa dziedzica przestała już być problemem, a cała reszta go nie obchodziła.

Z niemiłym zaskoczeniem Amalia odkryła też kiedyś, że jej mąż nie potrafi czytać. Nie mogła więc prowadzić z nim dyskusji na temat książek, do czego była wcześniej przyzwyczajona. Kiedy wyjeżdżał z zamku w swoich sprawach, zaraz po posiłkach wracała do komnaty i siadała w oknie. Była to jej jedyna rozrywka, z przyjemnością obserwowała zmieniający się z dnia na dzień widok i czekała na cieplejsze dni, żeby móc udać się na spacer po okolicy. Spoglądała na Dunajec, który toczył leniwie swoje wody tuż pod jej oknem, na pojawiające się kaczki i żurawie, czasami w pobliskich

zaroślach mignęła jej ruda kita lisa albo szary zajac. Nocami słychać było wycie wilków, a przed świtem budził Amalię szczebiot pierwszych ptaków.

Pewnego ranka sięgnęła po swój modlitewnik. Spośród kartek wypadła nagle zasuszona róża, podarowana jej na pożegnanie przez nieodżałowaną panią Csaksy. Podniosła ją ostrożnie i z pietyzmem umieściła kwiat z powrotem na swoim miejscu. Przed jej oczami stanął ów dzień, tamta rozmowa i różany ogród. Niemal poczuła zapach rozgrzanego powietrza, woń przekwitających kwiatów i usłyszała brzęczenie unoszących się nad nimi owadów. Wokół zamku Zbigniewa nie było prawdziwego ogrodu – zaledwie kilka zdziczałych krzewów róż i jakieś mizerne roślinki zarośnięte trawą, to wszystko, co rosło w najbliższej okolicy.

Postanowiła, że przy najbliższej okazji poprosi Jadwigę o sadzonki i nasiona z wawelskiego ogrodu.

Królowa dość szybko spełniła jej prośbę, a Hanna poleciła Amalii zdolnego ogrodnika, który w krótkim czasie stworzył wokół zamku prawdziwy raj. Młody chłopak o jasnej, wiecznie zmierzwionej czuprynie i uśmiechniętych oczach koloru nieba miał na imię Jaśko.

Wydawało się, że wie wszystko na temat kwiatów, i chętnie o nich opowiadał. Amalia lubiła go słuchać, był świetnym gawędziarzem i skutecznie przepędzał jej smutki. Kiedy zrobiło się ciepło, siadała w słońcu na kamiennej ławce, spoglądała na pięknie kwitnące kwiaty i gładząc swój powiększający się brzuch, przemawiała do dziecka. Wbrew temu, co powszechnie sądzono, czuła wyraźnie, że jej dziecko już żyje, wiedziała, że nie stanie się człowiekiem dopiero w chwili wydania go na świat. Ruszało się, kopało i wyraźnie reagowało na jej głos oraz pieścizotliwe dotknięcia.

Tak mogła się zachowywać tylko żywa istota.

– Kim jesteś, maluszkule? – pytała z czułością, a potem dodawała szybko: – Kimkolwiek jesteś, wiedz, że jestem twoją mamą i będę cię kochała niezależnie od wszystkiego. Jeśli urodzisz się chłopcem, z pewnością będzie ci łatwiej w życiu, jeśli zaś dziewczynką, zrobię wszystko, żeby też tak było.

Kolejny skurcz zgiął Amalię w pół. Sięgnęła po metalowy dzwoneczek leżący na obramowaniu kominka i potrząsnęła z całej siły. Do sypialni wpadła blada z przejęcia Katarzyna.

– Zaczęło się już, pani?

Widząc ściągniętą bólem twarz Amalii i jej spazmatyczne próby złapania tchu, nie czekała na odpowiedź, tylko natychmiast pobiegła po pomoc. Po chwili pokój wypełnił się kobietami, które oprócz Hanny miały towarzyszyć swej pani przy porodzie. Jedna z nich zawiesiła nad ogniem garnek, by zagrzać wodę na pierwszą kąpiel dziecka, druga ustawiła w pobliżu kominka drewnianą balijkę przeznaczoną na ten cel. Gliniany dzban z zimną wodą dla utrzymania właściwej temperatury kąpieli stał tuż obok. Kobiety przyniosły również białe płótno na powijaki. Wszystko to czekało w pogotowiu już od kilku tygodni.

– Dorzućcie do ognia! – rozległ się stary, ale stanowczy głos Hanny, która weszła do sypialni tuż za służącymi. – Musi tu być ciepło jak w uchu. I ogrzejcie też te płótna dla noworodka.

Podeszła do Amalii, która na widok przybyłej odetchnęła z ulgą. Hanna kazała jej się położyć i zbadała brzuch. Zadowolona pokiwała głową.

– Wygląda na to, że wszystko idzie, jak trzeba.

– A co będzie, jak dziecko... – zaczęła Amalia, lecz kolejny skurcz odebrał jej oddech.

Hanna wiedziała, o co żona Zbigniewa chciała zapytać, i cieszyła się, że nie musi teraz odpowiadać. Zauważyła w sypialni pewną kobietę od początku niechętnie nastawioną do Amalii, prawdopodobnie przyslaną tu przez Zbigniewa na przespiegi. Sprawdziły się wcześniejsze obawy zielarki, tamta wyraźnie miała za zadanie dopilnować, żeby Hannie nie udało się podmienić noworodka, gdyby ten urodził się martwy lub potworny jak poprzedni. Udało jej się wprawdzie znaleźć młodą, niezamężną matkę, która zgodziła się w razie potrzeby oddać swoje dziecko, ale już wiedziała, że może jej się to nie udać. Podeszła do wysłanniczki Zbigniewa, żeby spytać, jak ta ma zamiar pomagać przy porodzie, i nagle jej wzrok spoczął na dłoniach kobiety. Odetchnęła z ulgą.

– Co masz na tych rękach, pokaż! – rozkazała władcym głosem.

Służąca odruchowo schowała ręce za plecami, ale Hanna złapała ją za ramię i siłą wyciągnęła jedną z nich. Podsunęła jej dłoń pod nos.

– Co to za wysypka? Z takimi rękami chcesz odbierać poród dziedzica tego zamku?!

– To od prania... to żadna choroba... – Tamta zaczęła się jąkać ze zdenerwowania.

Hanna dobrze wiedziała, że to zaczerwienienia od żrącej sadzy, którą wraz z wrzątkiem dodawano do płótna, aby je wybielić, ale nie zamierzała wypuścić takiej okazji z rąk.

– Natychmiast stąd wyjdź! I módl się, żebyś nie powiedziała o tym panu. Jak śmiesz narażać jego żonę i dziecko, nie wiedząc, jaką naturę ma ta wysypka!

Szturchańcami wyrzuciła protestującą słabo służącą za drzwi i starając się ukryć uśmiech zadowolenia, podeszła do łóżka Amalii.

Kiedy po kilku godzinach rodzącej odeszły wody, wszystko nagle się zatrzymało. Częste do tej pory skurcze ustały, co wprawdzie przyniosło chwilową ulgę Amalii, ale zaniepokoiło Hannę. To nie był dobry znak. Doświadczona akuszerka wiedziała, że jeśli młoda kobieta nie urodzi w ciągu kilku następnych godzin, może to się skończyć źle zarówno dla matki, jak i dla dziecka.

Tymczasem po drugiej stronie korytarza Zbigniew krążył niespokojnie po swojej komnacie. Musiano go siłą powstrzymać, żeby nie wszedł do pokoju rodzącej i nie zaczął popędzać starej Hanny. Przypominano mu jednak, że mężczyźni nie mają prawa uczestniczyć w takim wydarzeniu, że to sprawa wyłącznie kobiet. No i co najważniejsze, może przynieść wszystkim pecha.

– To już zbyt długo trwa! Zamordują mojego syna! – krzyczał rozgniewany. – Zabiję, jeśli tak się stanie! Odpowiedzą wszyscy!

Jego krzyki dochodziły aż do komnaty Amalii. Spojrzała błagalnie na Hannę.

– Wstań, kochana, i zacznij chodzić wokół łóżka – poleciła akuszerka. – Poruszaj się trochę, pomóż dziecku wyjść na świat. Schylaj się przy tym tak, jakbyś zbierała jagody.

– Nie mam już sił...

– Musisz je znaleźć, jeśli chcesz, żebyście oboje przeżyli.

Wyczerpana Amalia odsunęła z twarzy pasma mokrych od potu włosów i z trudem przewróciła się na bok, żeby zsunąć się z łoża. Splątane kosmyki znów opadły jej na oczy. Zwykle zaplatała je i upinała pod czepcem, teraz jednak zebrane wokół jej łoża kobiety kazały je rozpuścić. Włosy nie mogły być w żaden sposób związane ani zaplecione, żeby dziecko nie urodziło się zaplątane w pępowinę. Tak twierdziły, a ona nie miała sił, żeby im się sprzeciwić. Nic nie wiedziała na temat zwyczajów towarzyszących porodowi. Wystarczająco dużo się nasłuchiwała o sprawach dotyczących samej ciąży.

Hanna wciąż zachęcała ją do wysiłku i jeszcze głębszych skłonów, jednocześnie gorączkowo myśląc nad dalszymi działaniami. Poród wyraźnie się zatrzymał.

– Hanno, chciałabym wam coś pokazać. Pomyślałam, że... – Podeszła do niej Katarzyna, wskazując na parawan i znajdujący się za nim tajemniczy sprzęt.

W kąciку służącym Amalii do codziennej toalety stało krzesło porodowe, które służyło poprzedniej pani zamku. Po tamtych wydarzeniach Zbigniew kazał je porąbać i spalić, ale, zapewne przez niedopatrzenie służby, ocalało, zapomniane w jakimś zakamarku.

– Pomyślałam, że może się przydać. – Katarzyna nie była pewna reakcji starej akuszerki, mówiła więc cicho i niepewnie. – Wyszorowałam je porządnie i przyniosłam tu z samego rana. Na wszelki wypadek.

– Dobrze się spisałaś, brawo dziewczyno! – pochwaliła ją Hanna. – Będą z ciebie ludzie. Daj je tutaj.

Stara akuszerka nie lubiła porodów z krzesłem, bo łatwiej było kontrolować całą akcję, kiedy rodząca leżała na plecach, ale teraz należało spróbować wszystkiego, co mogłoby przyspieszyć poród. Poleciała Amalii usiąść nad specjalnie wyciętym otworem, a sama stanęła za nią i rozwiązawszy tasiemki nocnej koszuli, położyła dłonie na jej piersiach. Delikatnymi ruchami palców zaczęła gładzić ciemne brodawki. Zaskoczona Amalia chciała zaprotestować, po chwili jednak poczuła, jak drażnione sutki nagle zaczynają twardnieć, a w dole brzucha pojawia się silny skurcz. Potem następny i następny.

Teraz już wszystko potoczyło się błyskawicznie. Hanna poleciała Katarzynie stanąć za oparciem i przytrzymać swą panią za ramiona, sama zaś szybko ustawiła się między jej nogami. Pośpiech był jak najbardziej

wskazany, bo niemal w ostatniej chwili zdążyła złapać noworodka. Szybko zawiązała pępowinę jedwabnym sznurkiem i oddała dziecko służącej, czekającej już z ogrzanym płótnem. Tamta natychmiast je owinęła i ostrożnie przeniosła do wypełnionej ciepłą wodą balii.

– To dziewczynka – mruknęła z niepewną miną Hanna, widząc pytający wzrok Amalii. – Jeśli chcesz – szepnęła, nachylając się nad nią – mam też urodzonego wczoraj chłopaczka. Matka się zgodziła...

– Nie! – zawołała Amalia i mocno złapała ją za rękę. – Podajcie mi moją córkę. Natychmiast!

Teraz już wszystkie kobiety w komnacie usłyszały wyraźnie, że pani urodziła dziewczynkę.

Hanna wzruszyła tylko ramionami, pomogła położnicy przenieść się na łóżko, gdzie ta mogła w wygodniejszej pozycji urodzić łożysko, i podała jej rozkrzyczane, wykąpane już zawiniątko. Amalia spojrzała z czułością na ciemną, pokrytą gęstymi włoskami główkę.

– Moja ty najpiękniejsza na świecie – szepnęła, całując córeczkę. – Nic się nie martw, twój ojciec na pewno pokocha cię tak samo mocno jak ja. Nie można nie kochać takiego cudu.

Wiedziała, że nie będzie to takie proste, postanowiła jednak, że będzie się tym martwić później.

– Dam ci na imię Małgorzata. – Dmuchnęła w delikatne włoski na głowie dziewczynki i pocałowała ją z miłością.

Mogłaby przysiąc, że mała uśmiechnęła się lekko w odpowiedzi.

ROZDZIAŁ TRZECI

KRAKÓW, GRUDZIEŃ 1391

W gospodzie Pod Czarnym Psem można było się dowiedzieć niemal o wszystkim, co się działo w szerokim świecie.

Ulokowana przy samej Bramie Świętego Floriana, oddalona od miejskich murów o nie więcej niż pięćdziesiąt kroków, była pierwszym miejscem postoju przybywających do Krakowa kupców.

A więc i pierwszym miejscem, gdzie przekazywano sobie najnowsze plotki. Można było także dowiedzieć się tu o najciekawszych wydarzeniach w samym mieście. Odwiedzało ją też wielu złodziejasków oraz innych podejrzanych typków. Piwo oferowano raczej kiepskie, wewnątrz wyglądało tylko trochę lepiej niż w stajni, właściciel, Marcin, był nieco ponury i opryskliwy, natomiast dziewczyna, młoda i bardzo ładna Litwinka, od niedawna obsługująca klientów przy stołach, stanowiła prawdziwą ozdobę tego, co tu kryć, raczej obskurnego lokalu.

Dzięki niej w gospodzie zrobiło się jeszcze tłoczniej.

Milda pracowała w karczmie już od kilku miesięcy.

Zaczynała późnym popołudniem, kończyła z chwilą, kiedy zgodnie z miejskim rozporządzeniem należało zamykać wszystkie takie przybytki w mieście. Nie wracała wtedy do domu w Kazimierzu, gdyż było już na to za późno i nie przepuszczono by jej przez miejskie bramy ani przez most na Wiśle. W karczmie znajdowała się ciasna izdebka, wypełniona naczyniami, w której właściciel pozwalał Mildzie przespać się do świtu. Dzięki bliskości kuchni, gdzie cały czas w palenisku płonął ogień, pomieszczenie było dość ciepłe, co teraz, zimą, było nie bez znaczenia.

W dzień Milda wciąż pomagała Dorocie w praniu i sprzątaniu.

Ich wzajemne stosunki pogorszyły się jeszcze bardziej, odkąd Litwinka stanowczo i gwałtownie odrzuciła propozycję Justyna. Stara poczuła się jej reakcją chyba równie obrażona, co sam mężczyzna. Najwidoczniej nie mieściło jej się w głowie, że dziewczyna może się szanować i że płacenie własnym ciałem za ochronę uwłacza jej godności.

A już to, że Milda niemal prychnęła hutmistrzowi pogardliwie w twarz i bez słowa odwróciła się na pięcie, wydało się paserce wręcz śmiertelnym grzechem. Jeśli idzie o Justyna, zapowiedział tylko, że w takim razie nie będzie mógł jej chronić, bo obce i niewdzięczne dziewczuchy nie budzą jego współczucia. W tej zapowiedzi można było wyczuć coś więcej: ostrzeżenie. Milda doskonale zdawała sobie sprawę, że zyskała kolejnego wroga, który z powodu rozczarowania i urażonej dumy wcześniej czy później zacznie się na niej odgrywać.

I to raczej wcześniej niż później.

Ale w tamtej chwili nie dbała o to. Propozycja Justyna była dla niej jak siarczasty policzek. W jednej chwili zrozumiała, za kogo ją tutaj uważają.

Postanowiła więc, że choćby nie wiadomo co, poradzi sobie na własnych zasadach.

Pracę w karczmie pomógł jej zdobyć Liszka.

Chłopak powiedział, że to jeszcze najprzyzwoitszy lokal w okolicy, gdzie indziej nie pozwoliliby jej pracować. Najgorsi przestępcy, w tym sam Liszka, chodzili do gospody mieszczącej się przy cmentarzu kościoła Mariackiego, gdzie piwo było co prawda po dwa grosze, ale istniało duże ryzyko, że nie dopije się go do końca, kiedy coś się nie spodoba innym gościom. Tam bali się zaglądać nawet pacholkiwie miejscy.

Karczma Pod Czarnym Psem cieszyła się dużo lepszą opinią. Z początku gospodarz, okrągły mężczyzna z sumiastymi wąsami, nie bardzo chciał przyjąć Mildę, bo miał już dziewczynę do pomocy, ale w końcu się zgodził, Liszka przekonał go, iż młoda i ładna Litwinka przyciągnie nową klientelę.

I przyciągnęła.

Praca nie była szczególnie ciężka, a do zaduchu, zapachów piwa, czosnku i potu można się jakoś przyzwyczaić. Milda, w białej chuście na głowie, ubrana w skromną suknię z wełnianego sukna, sznurowaną na plecach,

z wąskimi rękawami, nalewała gościom piwa – jasnego, mętnego i pianistego dla uboższych, gęściejszego, jęczmiennego dla bardziej zasobnych. Czasami, kiedy pojawiali się ważniejsi od innych kupcy, musiała przygotować coś do zjedzenia.

Tak było właśnie tego piątkowego popołudnia, gdy do karczmy zawitali dwaj kupcy z dalekiej Moskwy, ubrani po rusku, otyli, rumiani i z długimi brodami. Gospodarz Marcin dobrze ich znał, polecił więc Mildzie przyrządzić ulubioną potrawę jednego z nich, Wasyla, czyli filet z łososia. Rybę, po którą specjalnie posłał chłopaka na targ, trzeba było ugotować do miękkości z chrzanem, czosnkiem i gorczycą.

Poszła więc do przylegającej do sali izdebki i nucąc litewską piosenkę, zaczęła płukać rybę. Potem ją osuszyła i skropiła octem. Musiała się trochę pospieszyć, bo zaraz z ratusza powinni powtórnie zadzwonić na wieczór, a wtedy już można będzie podawać piwo, więc pewnie zaraz zrobi się spora kolejka. Przygotowując łososia, nagle usłyszała, że kupcy mówią coś o Wilnie.

Zaczęła uważniej nasłuchiwać.

Wilno, miasto, którego bronił jej brat, Varnas.

Zapomniała o związanych z nim złych przecuciach, gdy ją pobito i okradziono. Ale teraz wróciły z całą siłą. Kupcy przybywali ze wschodu, może więc odwiedzili także Wilno? Mówili mieszaniną ruskiego i polskiego, rozumiała oba te języki, jednakże w karczmie zrobił się już gwar, toteż słyszała co trzecie słowo. Wychyliła głowę przez próg i spojrzała w kierunku ławy przy wejściu, gdzie siedzieli Rusini. W izbie było mroczno, paliły się tylko oliwne lampki w rogach pomieszczenia. Kupcy nawet nie zdjęli wysokich czap, tylko rozpięli płaszcze, bardzo bogato haftowane w kolorowe, roślinne wzory. Ze zdziwieniem zauważyła, że postawili przed sobą szachy. Nie była to zwyczajna rzecz, ponieważ klienci grywali tu zwykle w kości, choć zostało to oficjalnie zabronione.

Na co ty czekasz, dziewczyno? – upomniała się w duchu. Na co się tak gapisz? Na drewniane figurki? Jesteś jakaś nierozgarnięta? Idź do nich i dowiedz się czegoś.

Energicznie wytarła dłonie o fartuch, zdjęła go i ruszyła w kierunku kupców.

– O, idzie moja rybka! – Wasyl uśmiechnął się na jej widok.

– Na rybkę musicie, panie, jeszcze poczekać.

– Uff.

– Chcę was o coś zapytać.

Spojrzeni po sobie, trochę chyba zdziwieni, że dziewczka przychodzi nie na wezwanie, tylko z jakąś swoją sprawą. Niezwyczajna to rzecz, by białogłowa odzywała się niepytana.

– A o cóż to? – spytał Wasyl. – Tyś nie Laszka?

Pokręciła głową.

– Rusinka?

– Nie, Litwinka.

– Tak mi się właśnie po mowie zdawało.

– Wracacie z Wilna, panowie?

– Gdzieżby tam. Teraz do Wilna nie ma po co jeździć. Przedmieścia zburzone i spalone, ludzie dopiero wracają i odbudowują, co się da. Ale w Kownie byliśmy.

– Anno! – zawołał zza szynkwasu zniecierpliwiony Marcin. – Co z łososiem? Co to za pogaduszki?

Milda, nazywana tu drugim, chrześcijańskim imieniem, zignorowała go całkowicie.

– A co z litewską załogą Wilna? – nie ustępowała.

– Skąd mamy, rybko, wiedzieć? – odparł drugi z kupców, który popijał wódkę z małego kubka, ze zmarszczonym czołem wpatrując się w układ figur na szachownicy. – My nie szpiedzy cara, a kupcy tylko. Spokojni, prawosławni ludzie.

– W Kownie krzyżackie psy trzymają w lochach trochę Litwinów – dodał Wasyl. – Ale to chyba tych znaczniejszych, od samego króla Władysława.

– Od króla? – powtórzyła głośno.

W izbie jakby jeszcze bardziej pociemniało.

– Ano od króla.

– Anno! – ponownie zawołał Marcin, tym razem głośniej. Nie był złym człowiekiem, ale potrafił się zdenerwować.

– Zaraz! – odparła odrobinę zbyt ostro.

Nie musiała już dłużej wypytywać moskiewskich gości. Wiedziała. Nie miała żadnych wątpliwości, jak gdyby dostała teraz przesłanie od samego Varnasa.

Jej brat trafił do krzyżackiej niewoli.

Następnego ranka, kiedy tylko zrobiło się jasno, opuściła „Czarnego Psa”, lecz zamiast do Kazimierza postanowiła udać się prosto na Wawel.

Królowa musi coś z tą sprawą zrobić. Pojedyncze płatki śniegu wirowały nad ulicami, ale w powietrzu można już było wyczuć nadchodzącą wiosnę. Milda nie zwracała jednak na to uwagi. Miała za sobą koszmarną, nieprzespaną noc, była w jakimś dziwnym stanie, toteż postanowiła działać, nie zastanawiając się głębiej nad tym, jak zamierza się dostać do zamku. Została przecież stamtąd wygnana. Prawdopodobnie nikt nie dopuści jej nawet do bramy, lecz tym na razie się nie przejmowała.

Gdy będzie na miejscu, coś wymyśli.

Jadwiga była jej winna informację o uwięzieniu Varnasa, przecież musiała o tym wiedzieć. Dlaczego więc nie powiadomiła jej przez któregoś ze swoich ludzi? A jeśli jakimś cudem ta wiadomość jeszcze do królowej nie dotarła, to najwyższy czas, aby to się stało. Żeby podjęła jakieś kroki w celu uwolnienia brata Mildy.

Zatrzymano ją wcześniej, niż przewidywała. Udało jej się dotrzeć jedynie na Stradom. Tutaj było już tłoczno, jak przystało na osadę zamieszkaną głównie przez rzemieślników. Hałaśliwie otwierano warsztaty i magazyny, a także okiennice wystawowych okien.

W całym tym rozgardiaszu nie zauważyła, kiedy na jej drodze stanął Justyn.

– Dokąd się wybierasz, więdźmo? – spytał ze złośliwym uśmieszkiem hutman.

Zatrzymała się jak wryta.

– Nie wasza rzecz – rzekła po chwili.

– A tak się składa, że moja. To nie twoje rejony.

– Śledzicie mnie?

– Po prostu pilnuję porządku. Podejrzane osoby nie powinny się kręcić obok zamku.

– A jednak wy się tu kręcicie – odparła hardo.

Uśmiezek zniknął z jego szerokiej twarzy.

– Ejże, chcesz przespacerować się ze mną do ratusza?

– Za co?

– Na przykład za włóczęgostwo. Ale możesz sobie wybrać jakikolwiek inny powód. Masz tu tak złą reputację, że nie potrzebuję żadnego. Powinnaś zostać wyrzucona poza mury miasta. Trucicielka, wiedźma, paserka i litewska przybłąda. W dodatku karczemna ladacznica.

– Uważajcie, co mówicie! – niemal krzyknęła, rozglądając się wokół. Nikt nie zwracał na nich uwagi, ludzie pewnie bali się dowódcy straży.

– Bo co? Rzucisz na mnie czary, litewska suko?

Obok Justyna stanęło dwóch ponurych pacholków, tak podobnych do siebie, że musieli być braćmi. Sądząc po tępych wyrazach ich twarzy, obaj w równej mierze się rodzicom nie udali.

– Wynocha do Kazimierza – rzekł hutman. – Bo nie chcę robić scen.

– Jakich scen, szanowny panie Justynie? – Milda usłyszała za sobą męski głos.

Odwróciła się i ujrzała młodego mężczyznę na karym koniu, wynurzającego się zza bud kaletników. Miał czarne włosy i był bardzo strojnie odziany w wатовany kaftan z mocno wciętą talią i aksamitny kapelusz przystrojony pawimi piórami. Wiatr zafurkotał jego peleryną z żółtego atłasu.

Justyn tylko przekrzywił głowę, a pacholkiwie rozdziawili gęby.

– Dlaczego nie pozwalacie tej dziewczynie przejść? – Jeździec zbliżył się do nich i ściągnął konia.

– To wiedźma, panie – wybąkał hutman.

– Nie wygląda na taką.

– Diabeł potrafi przybrać powabne kształty – wypalił dowódca straży miejskiej.

– Jesteście może inkwizytorem?

Justyn spuścił głowę.

– Nie, panie – odparł pokornie, choć zadrgały mu mięśnie szczęk.

– Kanonikiem?

– Też nie.

– Tak właśnie myślałem. A więc zostawcie sprawy diabła oraz czary ludziom Kościoła, bo nie macie na tyle rozumu, aby się tym zajmować.

– Ale...

– Posłuchajcie, panie hutmanie, przejeżdżałem właśnie obok cmentarza skazańców i widziałem, że grabarze znów się w nocy upili, a teraz biją się między sobą na kije i kamienie. Czy przypadkiem nie powinno was tam być?

– A to szelmy! – krzyknął Justyn, ciesząc się zapewne, że oto ma pretekst do honorowego wycofania się z upokarzającej dla niego sytuacji. – Dziękuję za tę cenną wiadomość, już tam idziemy.

Skinął głową na pachołków i wszyscy trzej z przesadnym pośpiechem ruszyli w kierunku cmentarza. Kiedy zniknęli za straganami, młody człowiek uśmiechnął się do Mildy.

– Chyba macie większe kłopoty, niż przypuszczałem – powiedział, poklepując konia po karku. – Narazić się Justynowi nie jest rzeczą bezpieczną. On sam powinien siedzieć zamknięty w ratuszu.

– Wy mnie znacie, panie? – zdołała tylko zapytać.

– A tak, poznaliśmy się.

– Wybaczcie, ale...

Pokazał w uśmiechu białe, zdrowe zęby.

– Przy okazji łyżek.

– Och...

Naraz przypomniała sobie o tej wstydlivej sprawie sprzed kilku miesięcy. To był ten sam młodzieniec, któremu nieświadomie sprzedała skradziony towar. Mikołaj? Tak miał na imię? Syn rajcy, jednego z najbardziej liczących się kupców w mieście.

I znowu zobaczył ją w sytuacji, w jakiej nie bardzo chciałaby być widziana.

Zarumieniła się i spuściła wzrok. Dostrzegł to natychmiast.

– Nie musicie się wstydzić. Nie wasza wina, że otaczają was tego typu ludzie.

– Już nie pracuję dla Doroty. To znaczy... nie w ten sposób.

– Miło to słyszeć. Znaleźliście inną pracę?

– Tak, w gospodarstwie.

Lekko uniósł brwi.

– Nalewam tylko piwo.

– Tak, naturalnie – rzekł i zamyślił się nagle, wpatrzony gdzieś w dachy zabudowań, nad którymi latały wróble i gołębie. – To też nie miejsce dla was. Wiem już, że byliście dwórką. Miasto jest małe. Mam taki pomysł. Przyjdźcie do mojego sklepu jutro do południa. Może uda się znaleźć coś lepszego dla was. I lepiej płatnego. U mnie. Wśród towarów.

Spojrzała mu prosto w oczy.

– Dziękuję, panie, ale nie chcę być kłopotem. Praca w gospodzie mi odpowiada. Właściciel jest dobrym człowiekiem, a klienci na ogół spokojni.

Patrzył na nią przez dłuższą chwilę, po czym rzekł:

– W każdym razie proszę, zastanówcie się nad moją propozycją. Aha, jeśli udajecie się na zamek, to niepotrzebnie, ponieważ król i królowa od wczoraj są w Bochni.

Ta wiadomość sprawiła, że Milda poczuła się już zupełnie bezradna, jakby cały świat na nią się uwziął. Varnas mówił często, że „nieszczęścia nie chadzają samotnie, lecz wilczymi stadami”. Oj, dobrze, aż za dobrze rozumiała teraz to powiedzenie, a właściwie to rozumiała je od wczesnego dzieciństwa.

– A kiedy wracają?

– Niestety, nie wiem. Dobrze się czujecie? Wyglądacie na chorą.

– Nie spałam tej nocy.

– Jeśli potrzebujecie pieniędzy...

– Dziękuję, panie. Nie jestem żebraczką. Zarabiam w karczmie Pod Czarnym Psem. Uczciwie.

Dotknął kapelusza.

– No cóż, powodzenia, litewska wojowniczo. – Uśmiechnął się dziwnie, zawrócił konia i powoli odjechał.

Była tym wszystkim tak oszołomiona, że za późno zdała sobie sprawę, iż koniec końców zapomniała nawet podziękować Mikołajowi za interwencję.

Wszystko to wydawało się dziwne – zarówno jego pojawienie się w porę, jak i propozycja pracy w eleganckim sklepie, nie miała wszakże głowy, aby o tym teraz myśleć. Pozostało jej jedynie jakieś dziwne uczucie, mieszanina

wstydu, zaskoczenia i... czegoś innego, do tej pory nieznanego. Wcale nie nieprzyjemnego.

Ale zaraz o tym zapomniała, zastanawiając się, co dalej.

Tyle że co mogła zrobić?

Nic.

W ciągu tej długiej nocy zdawało jej się, że dociera myślami coraz bliżej do brata, że niemal może go dostrzec, jakkolwiek jego obraz co chwila się rozmazywał, rozpływał niczym odbicie w stawie. Znaczyło to przynajmniej, że Varnas żyje. Nie miała też pewności co do tego, co powiedzieli kupcy: mianowicie że prawdopodobnie jest uwięziony w lochu. W swoich krótkotrwałych wizjach wyczuwała rzekę i las. Czyżby udało mu się zbiec? A może przewożono go gdzieś indziej? Mimo wielkich wysiłków woli nie potrafiła dostrzec tamtych odległych miejsc.

Gdyby zginął, wiedziałabym o tym na pewno, pocieszała się w myślach. Ludzie trafiają do niewoli, lecz przecież często odzyskują potem wolność, prawda?

Prawda, jednak nie wszyscy, niektórzy gniją w lochach do śmierci.

Tym ważniejsza będzie pomoc królewskiej pary. Kto wie, może już podjęli jakieś działania? Tego musiała się trzymać, jeśli nie chciała popaść w obłąd.

Przez cały dzień, gdy pracowała w Kazimierzu, była jakby nieobecna. Do Doroty niemal się nie odzywała, zupełnie nie zważając, jak tamta może odebrać jej zachowanie. I tak miała u praczki taką opinię, iż nie zaszkodziłoby jej już pewnie, gdyby Milda włożyła wianek, umalowała twarz i zaczęła modlić się do ognia w kominie. Z ulgą powitała nadejście popołudnia. Gwar karczmy nie pozwalał na posępne rozmyślenia.

Kiedy jednak stawiała się do pracy w gospodzie, okazało się, że tego dnia ruch jest niewielki. Wyczuła też dziwny chłód panujący w środku i nie chodziło o zwykłe zimno. Marcin z niepewną miną stał za szynkwasem. Spodziewała się, że wróci do poprzedniego wieczora i będzie robił jej wymówki z powodu ryby, kupców oraz jej dziwnego zachowania. Lecz w ogóle o tym nie wspomniał.

– Co tu tak cicho? – spytała, wkładając fartuch. – Umarł ktoś? Na rynku akrobaci dają przedstawienie?

Gospodarz nie odpowiedział, tylko nieznacznym skinieniem głowy wskazał na róg sali. Spojrzała w tym kierunku, mrużąc oczy. W półmroku

dostrzegła tam dwie postaci. Jedna miała naciągnięty nisko na twarz kaptur, tak że Milda nie mogła dostrzec jej twarzy, druga zaś była kobietą o długich, całkowicie białych włosach.

– Kto to? – spytała Marcina, czując chłód bijący z tamtego miejsca.

– Przybyli dzisiaj do Krakowa – odparł cicho, ocierając wierzchem dłoni pot z czoła.

– Domyślam się, skoro nigdy ich tu nie widzieliśmy. Czego chcą?

– Obawiam się, Anno, że naszych dusz.

Kiedy Milda wróciła wieczorem do swojego pokoiku, znów poczuła nagły chłód. Nie było to już zimno spowodowane widokiem dziwnych postaci w karczmie ani wywołane chłodem panującym w słabo ogrzanym pomieszczeniu, lecz pochodziło gdzieś z jej wnętrza. Kiedy w końcu zasnęła, przyśnił jej się Varnas. I woda. Zimna, wzburzona woda niosła jego krzyk.

ROZDZIAŁ CZWARTY

PRUSY, GRUDZIEŃ 1391

Dopiero trzeciego dnia po wyjeździe z Kowna Varnas tak naprawdę zaczął się szykować do ucieczki.

Nie chciał próbować zbiec za wcześnie, kiedy byli jeszcze blisko krzyżackiej siedziby w Ritterswerder i po drogach jeździło wiele zakonnych wozów. Pragnął także uspić czujność eskortujących go strażników. Z tego też powodu przez cały czas udawał dużo bardziej osłabionego, niż był w istocie. Jechał pochylony nisko nad końskim karkiem, udawał, że wstrząsają nim dreszcze, raz nawet zsunął się z konia na ziemię, niby to tracąc przytomność. Nawet nie musiał bardzo się starać, bo po kilku miesiącach siedzenia w lochu daleko mu było do pełni sił.

Przez cały ten czas oceniał też sprawność swoich strażników. Jeśli miał im się wymknąć, musiał któregoś z nich zabić. Nie wydawali się zbyt groźni. Wbrew pozorom najlepiej prezentował się najstarszy i tylko on wyglądał na żołnierza. Ruchy miał oszczędne i energiczne, najlepiej jeździł konno, Varnas zauważył też na jego ciele kilka blizn, kiedy wszyscy opłukiwali się któregoś ranka w strumieniu.

Tak, jego musiał zabić najpierw.

Dwaj pozostali byli otyli i zdawali się nieco powolni oraz niezdarni. Może i mieli coś do czynienia z wojaczką, lecz więcej łączyło ich raczej z klasztornym życiem. Varnas zdążył poznać ich imiona. Siwowłosa to był Wilhelm, jego młodszy towarzysz nazywali się Gerhardt i Otton.

Posuwali się na południowy zachód w niespiesznym tempie, robiąc po drodze częste i długie postoje, podczas których Niemcy modlili się po swojemu przy ognisku, owinięci w białe płaszcze z krzyżami, czasami grali też w kości, a Varnas udawał nieobecnego duchem dzikusa, który nie ma na nic sił. Mało zwracali na niego uwagę, podawali mu tylko ser, kawałek pieczonego mięsa nadzianego na patyk lub bukłak z winem. Nie okazywali

żadnej sympatii ani nienawiści. Był dla nich tylko więźniem, którego mają dostarczyć do Malborka, nikim więcej. Długie włosy, broda, wychudzone oblicze – wszystko to sprawiało, że w ich oczach Varnas był kimś, na kogo nawet splunąć nie warto. Nocami zawsze jeden z nich czuwał przy ogniu, trzymając miecz na kolanach. Dawała o sobie znać teutońska dyscyplina, gdyż żadnemu nie zdarzyło się choćby na chwilę zdrzemnąć.

Ale Varnas był cierpliwy. Nigdzie mu się nie spieszyło, mieli przed sobą jeszcze szmat drogi, a w dodatku podążali we właściwym kierunku: jadąc na południowy zachód, zbliżali się również do granic polskiego Królestwa.

Zaatakował czwartego dnia podróży, o świcie.

Zwijali właśnie obozowisko, które rozbili poprzedniego wieczora nad brzegiem niedużej rzeki. Dzień wstał szary, pochmurny i chłodny, z nieba sfruwały pojedyncze płatki śniegu. Stary Wilhelm poszedł nad zarośnięty wikliną brzeg, aby napełnić bukłaki wodą na drogę, podczas gdy Otton i Gerhardt siodłali konie. Obaj byli nieco oddaleni od Varnasa, a co więcej, odwróceniem do niego plecami. Litwin pomyślał, że to najlepsza okazja, tamci dwaj wydawali się zaspani, powolni i nieuważni. Najciszej, jak potrafił, podniósł się na nogi i szybkim krokiem ruszył w kierunku rzeki. Wiedział, że siwowłosy poszedł tam ze swoim toporem – wszędzie z nim chodził. Głównym zadaniem było teraz zdobyć tę broń.

Uważając, by kamienie nie chrzęściły pod jego butami, Varnas, starając się uspokoić oddech, dotarł do przybrzeżnych krzaków, zza których nie widać było jeszcze Krzyżaka. Krzyczało wodne ptactwo, szumiały łozy, lekko szemrała rzeka – poza tym było cicho. Varnas obejrzał się ostrożnie: dwaj zakonnicy dalej zajmowali się dopinaniem popręgów i nie zauważyli jeszcze zniknięcia więźnia. Rozgarnął zarośla i ujrzał plecy klęczącego nad wodą Wilhelma, który właśnie napełniał bukłak. Dwa pozostałe leżały po jego prawej stronie, już zakorkowane, obok odłożonego topora.

Varnas dwoma błyskawicznymi susami dopadł do Niemca.

Zanim tamten zdążył się odwrócić, Litwin przykucnął i wepchnął jego siwą głowę pod wodę, aby Krzyżak nie mógł krzyknąć. Zabulgotało. Następnie chwycił go jedną ręką za kark i gwałtownie przekreślił. Rozległ się głuchy trzask, ciało Wilhelma zrobiło się wiotkie. Nie tracąc ani chwili,

Varnas puścił zabitego i sięgnął po leżący w piasku topór. Chwycił go lewą, zdrową ręką – tą, którą tak uparcie ćwiczył w mrocznej celi.

Już uzbrojony wyszedł z zarośli i szybkim, ale też nie za szybkim krokiem ruszył w kierunku dwóch pozostałych Niemców. Przyjemnie było znowu czuć w dłoni ciężar topora. Ujrzeni go dopiero, gdy był już kilka kroków od nich. Nie pomylił się co do ich bojowego doświadczenia. Nie mieli go w ogóle. Zaskoczenie i strach sprawiły, iż na moment stanęli jak wryci. Ale też zamiast sięgnąć po miecze – do czego w takich przypadkach Varnas się przyzwyczał – obaj natychmiast próbowali wskakiwać na siodła. Zdążył uderzyć toporem w bok głowy Ottona, roztrzaskując ją, lecz zanim wy dobył ostrze z czaszki i ponownie uniósł broń, Gerhardt zdążył już, niezgrabnie i krzywo, dosięść swego wierzchowca. Na zadanie drugiego ciosu było za późno, bo przestraszony rumak Krzyżaka naparł piersią na Varnasa i zmusił go do odskoczenia w bok.

Litewski wojownik mógł tylko patrzeć, jak jeździec w białym płaszczu oddala się i znika pomiędzy drzewami.

Tak więc wszystko poszło bardzo szybko i prawie się udało.

Prawie, ponieważ w zamierzeniu wszyscy Niemcy mieli zginąć, tymczasem jeden uszedł z życiem. Nie był nawet ranny i miał konia. Pozostawało tylko kwestią czasu, kiedy dotrze do jakichś ludzkich siedzib, opowie o wszystkim i za Varnasem ruszy pościg zbrojnych. Litwin nie mógł sobie pozwolić ani na chwilę spoczynku. Pomaszerował w stronę brzegu, gdzie zabił Wilhelma, i zabrał stamtąd napełniony wodą bukłak. Wziął jednego z dwóch pozostawionych wierzchowców – siwego – przytroczył do niego bukłak, torbę z jedzeniem i topór, natomiast drugiego rumaka rozsiodłał, klepnął w zad i puścił luzem.

Wskoczył ciężko na siodło, czując już, że pod wpływem niedawnego gwałtownego wysiłku na nowo otworzyła mu się rana na prawym ramieniu, mimo że uderzał lewą ręką. Zaklął na głos. Nie będzie łatwo, pomyślał. Znajdował się na wrogim terytorium, był osłabiony i na pewno rzucał się w oczy. Jego wygląd na drodze bez wątpienia będzie zwracał uwagę, a dalej to tereny opanowane przez zakonnych. Należało więc unikać głównych traktów, zajazdów i wiosek, co w znacznym stopniu spowolni jazdę.

No cóż, najważniejsze, że wymknął się Krzyżakom. O to przecież chodziło. Po kilku miesiącach spędzonych w lochu wreszcie odzyskał wolność. Teraz tylko od niego zależało, na jak długo ją zachowa, na kilka dni czy na zawsze. Trzeba myśleć trzeźwo, mieć oczy dookoła głowy i nie marnować ani czasu, ani sił.

Toteż nie marnował czasu i ruszył w dalszą podróż na południe. Zanim Otton ochłonie i dotrze do swoich, zanim zorganizują pościg, Varnas będzie miał nad nimi jakiś dzień albo dwa dni przewagi.

To nie tak wiele, ale zawsze coś.

Przez cały dzień jechał leśnymi drożynami, chłostany przez gałęzie, nasłuchując i oglądając się na wszystkie strony. Podniecenie ucieczką dodawało mu sił, postanowił więc nie robić nocą postoju, tylko podążać dalej. W końcu jednak, tuż przed świtem, musiał się zatrzymać, bo świeżo otwarta rana krwawiła i piekła jak diabli. Zasnął z głową złożoną na końskim siodle, przykryty derką, trzęsąc się od zimna i gorączki. We śnie nawiedzały go koszmary, czuł na zmianę przyływy gorąca i lodowatego chłodu. Zdawało mu się, że widzi nad sobą pochylającą się zatroskaną Mildę; jakby coś do niego mówiła, lecz jej postać była rozmazana, niewyraźna, zmieniała się to w matkę, to w Inę.

Gadał i mamrotał coś przez sen, miał wrażenie, że rozmawia z siostrą.

Kiedy po przebudzeniu się w miarę oprzytomniał, był tak słaby, że wskoczył na konia dopiero przy trzecim podejściu. Znajdował się na jakimś bezludziu, ale wciąż słyszał w głowie głosy. Zdawało mu się, że za drzewami ktoś coś mówi, ktoś się śmieje. Ramię już nie piekło, jednakże wydawało się zdrętwiałe i obce, jakby nie należało do niego. Podobnie jak głowa. Varnas miał wrażenie, że nie jest panem swego umysłu, lecz obserwuje siebie jakby z boku. Przestał się bać pościgu, co mimo ogólnego odrętwienia uznał za niepokojący, wręcz alarmujący znak. Nic nie mógł na to poradzić. Koń kroczył coraz wolniej, nieprzynaglany przez jeźdźca, a Varnas to zasypiał, to się budził, ciągle wstrząsany dreszczami.

Ponieważ tempo jego jazdy tak bardzo spadło, dopadli go wcześniej, niż to na początku zakładał, nazajutrz po ucieczce.

Otton musiał szybko odnaleźć jakąś krzyżacką załogę, lecz to akurat było do przewidzenia. Varnas usłyszał ich już z daleka, bo byli bardzo hałaśliwi, chyba prowadzili ze sobą psy, wydawało mu się, że słyszy ujadanie. No proszę, prawdziwe polowanie z nagonką. Gorzej być nie mogło. Postanowił, że tym razem nie da się wziąć żywcem. Albo im czmychnie, albo zginie w walce, jak wojownik. To drugie, niestety, wydawało się w tej chwili dużo bardziej prawdopodobne.

Nie było sensu jechać wzdłuż drogi, toteż skierował konia między nagie drzewka młodego lasu, w nadziei, że tak uda mu się zgubić pogoń. Na szczęście w zmarzniętej i twardej ziemi kopyta końskie nie grzęzły, rumak poruszał się żwawo. Im bardziej jednak Varnas zanurzał się w lasek, tym drzewa rosły gęściej, a na dodatek teren coraz bardziej się wznosił.

Dalsza jazda stała się niemożliwa.

Wreszcie zeskoczył z siodła, zastanawiając się, czy zabrać ze sobą topór. Po krótkim namyśle uznał, że ta broń jest zbyt nieporęczna i będzie mu tylko przeszkadzała w ucieczce, a nawet gdyby doszło do walki, to i tak na nic się zda w konfrontacji z uzbrojonymi ludźmi, zwłaszcza przy takim osłabieniu, jakie odczuwał. Zamiast topora wziął więc tylko sztylet, który zabrał jednemu z Krzyżaków. Schowawszy go za pasek spinający opończę, ruszył w górę, chwytając się krzaków i badyli. Na razie nie słyszał odgłosów pogoni, lecz nie miał wątpliwości, że wcześniej czy później zostanie wytropiony.

Nie mylił się.

Tyle że najpierw wytropił go zupełnie kto inny.

Po jakiejś godzinie przebijania się przez chaszczce i szorstkie paprocie dotarł do rzadkiego sosnowego lasku, prawie pozbawionego poszycia, cichego i martwego. Mimo panującego zimna było mu gorąco, czoło miał mokre od potu. Ramię wciąż krwawiło. Przysiadł więc na zwałonym pniu, odciął sztyletem i wyrwał zębami kawałek opończy, po czym owinął i związał paskiem materiału świeżo otwartą ranę, aby zatamować krwawienie. Długo nie mógł tak odpoczywać. Wstał i ruszył przed siebie,

zataczając się ze zmęczenia i osłabienia. W pewnym momencie kątem oka dostrzegł jakiś ruch po swojej prawej ręce. Serce zabiło mu mocniej. Zatrzymał się i uważnie spojrział w tamtym kierunku. Zobaczył...

Psa?

Czyżby już go dopadli?

Nie, to nie był pies. Pomiedzy dwiema krzywymi sosenkami, jakieś dwadzieścia kroków od mężczyzny, siedział szary wilk.

Varnasowi nieco ulżyło.

Samotny wilk na drodze to wprawdzie nie powód do szczęścia, ale jeszcze nie tak źle, jak by mogło się wydawać. Litwin miał przy sobie sztylet. Gorzej, gdyby osaczyły go myśliwskie psy, bo to oznaczałoby koniec zabawy. Przez chwilę człowiek i drapieznik wpatrywali się w siebie czujnie, starając się nie okazywać wzajemnie strachu, nieruchomi i spięci.

Wilk był wychudzony, miał dosyć krótkie uszy, spoglądał cierpliwie na człowieka, czekając pewnie na jego pierwszy ruch. Varnas oddychał ciężko, wypuszczając z ust obłoczki pary, zacisnął dłoń na rękojeści sztyletu. Po chwili ostrożnie ruszył dalej. Zwierz zastrzygł uszami i także się poruszył. Wyglądało na to, że nie zamierzał dać Varnasowi spokojnie odejść.

Musiał wyczuć zapach krwi, a także dostrzec, że człowiek, którego napotkał na swoim terytorium, jest skrajnie wycieńczony i nie stanowi wielkiego zagrożenia. Varnas przyspieszył kroku, wciąż zerkając na wilka, który truchtał równoległe do kierunku jego wędrówki, wciąż jednak zachowując dystans.

Nie odważy się, pomyślał Varnas. Może należy go przegonić? Rzucić kamieniem? Krzyknąć? Problem w tym, że wokół nie było kamieni, jedynie szyszki, a krzyczeć nie chciał, bo mógłby go usłyszeć kto inny niż wilk. Zresztą nie wierzył, aby to przstraszyło bestię. Tak więc szary kształt towarzyszył mu bezszelestnie jak cień. Gdy Varnas zrobił następny postój, aby poprawić opatrunek, ujrzał naraz dwa kolejne wilki.

Siedziały trochę dalej niż ten pierwszy.

Gorączkowo rozejrzał się wokół w poszukiwaniu następnych. Czyżby właśnie osaczała go cała wataha? To już wyglądało poważnie, bardzo poważnie. Zaczął się bać. Byłoby żalosne, gdyby po tym wszystkim, po zabiciu Krzyżaków i odzyskaniu wolności, został tak po prostu zagryziony w lesie przez wilki. Po chwili dostrzegł już siedem bestii. Ten pierwszy, z krótkimi uszami, musiał być przywódcą stada, bo najwyraźniej reagowały

na wszystkie jego ruchy. Bardzo sprawnie, poruszając się leniwymi susami, zaczęły obchodzić Varnasa półkolem. Robiły to spokojnie i metodycznie. Wiedziały już, że im się nie wymknie. Jediną nadzieją dla Varnasa pozostawało wyjście poza ich terytorium, gdzie nie czułyby się tak pewnie, lecz wyglądało na to, że drapieżniki całkowicie panują nad sytuacją. Zaczęły go już obchodzić z lewej strony. Przestał nawet liczyć, ile ich jest, gotowy na walkę. Beznadziejną walkę.

W końcu musiał przystanąć, bo odcięły mu wszystkie drogi, prócz powrotnej. Nie było jednak sensu zawracać. Ruszyłyby za nim, tak czy siak, poza tym musiałby iść na spotkanie goniących go ludzi.

Zrezygnowany, stał i czekał.

W myślach zaczął się modlić do litewskich duchów lasu.

Cóż z tego, że był już chrześcijaninem? Przez całe dzieciństwo towarzyszyły mu pogańskie duchy. Jezus chyba raczej nie miał nic wspólnego z puszcza czy wilkami. Toteż w momencie zagrożenia życia odezwała się prawdziwa natura Litwina. Tylko Zielonowłosa Pani oraz Chudy Starzec mogli mu teraz pomóc, o ile w ogóle ktokolwiek mógł to uczynić.

Trzy wilki ustawiły się szeroko tuż przed nim. Po bokach, wśród drzew, oczekiwały pozostałe – wszystkie nastroszone i czujne. Varnas spojrzął na przywódcę stada, który podciągnął pod siebie sprężysty ogon. W jego zimnych ślepiach mógł wyczytać swój los.

Zostanie rozszarpany na kawałki.

Pozostałe drapieżniki zaczęły powoli zacieśniać krąg. Varnas odetchnął głębiej, po czym ruszył przed siebie, wprost na wpatrujące się w niego wilki. Liczył jeszcze na to, iż ów akt desperacji może je zbije z tropu albo nawet przestraszy. Nie pozostawało mu nic innego, jak zaatakować, by przestały się czuć tak pewnie.

Pierwszy z drapieżników chyba rzeczywiście poczuł się zagrożony, bo choć wyszczerzył zęby i przypadł do ziemi, po chwili zszedł człowiekowi z drogi. Varnas poczuł odrobinę nadziei, ale ta prysła natychmiast, gdyż pozostałe wilki zaczęły szybko zbliżać się do niego, obnażając kły. Widział wszędzie ich długie pyski.

I wtedy, kiedy już szykowały się do skoku, zdarzyło się coś nieoczekiwanego. Nagle wszystkie obróciły łby w kierunku, gdzie znajdował się przywódca stada, skuliły ogony i długimi susami uciekły

w las. Oszołomiony Varnas stał przez jakiś czas ze sztyletem w dłoni, zanim zrozumiał, co przestraszyło mieszkańców lasu.

Nadchodzili ludzie. Wielu ludzi. I prowadzili ze sobą psy.

Tak, nieszczęścia chodzą wilczymi stadami.

Na podstawie odgłosów ustalił, że ścigających jest wielu i że są już całkiem niedaleko. Zaczął biec. Psy na szczęście zmyliła pewnie obecność i zapach wilków, bo żadnego nie widział. Dotarł na sam szczyt wzniesienia, gdzie było mniej drzew oraz krzaków, pomiędzy którymi mógłby się ukryć. Był tu widoczny jak na dłoni. Z oddali wyczuwał zapach wody i mułu. Musiała tam płynąć rzeka. Rzeczywiście, po kilkudziesięciu krokach dotarł na skraj dosyć stromego urwiska, skąd ujrzał szarą spienioną wodę. Kiedy tak stał i na nią patrzył, próbując złapać oddech, całkiem niedaleko od niego rozległ się trzask gałęzi, a potem Varnas usłyszał, jak ktoś krzyczy po niemiecku. Po chwili zauważył mężczyznę w kolczudze. Dzielilo ich jakieś kilkadziesiąt kroków.

Tamten także dostrzegł uciekiniera.

Znow coś krzyknął, przywołując towarzyszy, po czym uniósł do twarzy napiętą kuszę. Varnas bez zastanowienia dał nura przed siebie i zaczął się staczać po piaszczystym urwisku w kierunku rzeki. Nad jego głową bełt złamał gałęzie drzew. Wylądował w lodowatej wodzie. Nie miał wyjścia, musiał się przedostać na drugi brzeg, w przeciwnym wypadku naszpikują go strzałami. Rzeka nie była bardzo szeroka, ale wiedział, że tamci nie wejdą do niej w swoich zbrojach. Zaczął brnąć, po kolana w wodzie, modląc się w duchu, by strzelcy nie stanęli już na skraju urwiska.

Prąd był silny, znosił go w prawo, mróz aż palił, lecz zacisnął zęby i szedł dalej. Woda zaczęła sięgać mu do pasa, nie wiedział, jak głęboko będzie na środku rzeki. Wprawdzie pływał znakomicie – w końcu wychował się w osadzie rybackiej – ale nigdy nie próbował tego robić w zimie, w dodatku ranny i wycieńczony. Obok niego, niesiona prądem, płynęła duża kłoda drzewa. Pochwycił ją i objął lewą ręką, w samą porę, bo spienione fale zalewały mu już szyję i twarz. Za sobą słyszał krzyki. Mróz ścisnął całe ciało jakby stalowymi kleszczami.

Dwie strzały przeleciały nad jego głową, najwidoczniej kusznicy nie mieli dobrej pozycji do celowania. Zanurzył się całkowicie i z otwartymi oczami przedzierał się teraz przez mętną toń. Kiedy zabrakło mu powietrza w płucach, wystawił usta i nos ponad powierzchnię. Nie wiedział, jak daleko ma jeszcze do brzegu, ale jego ciało zaczynało już drętwieć.

Kłoda wyslizgiwała się z ręki.

Zdało mu się, że umiera, bo usłyszał w głowie głos Mildy:

Varnasie, nie poddawaj się!

Jest tak bardzo zimno – odpowiedział jej w myślach.

Jeszcze tylko dwa kroki...

Kolejna fala zalała mu twarz, woda wdarła się do nosa i ust. Musiał wystawić głowę, złapać oddech. Mokre włosy zakryły mu oczy.

Jeszcze jeden krok...

I co z tego? – pomyślał. I tak umrę z wyziębienia na tym pustkowiu.

Przepraszam, Mildo.

Wytrzymaj.

Żegnaj, siostrzyczko.

Stojący na wysokim brzegu zbrojni zobaczyli tylko spienione wody rzeki i podskakującą na falach samotną kłodę.

ROZDZIAŁ PIĄTY

ROŻNÓW, STYCZEŃ 1392

Jeśli Amalia spodziewała się, że jej mąż okaże choć trochę ludzkich uczuć na widok nowo narodzonej zdrowej i pięknej dziewczynki, to szybko pozbyła się tych złudzeń. Ściślej mówiąc, stało się to natychmiast po porodzie. Do tej pory przetrzymywany przez Hannę na korytarzu, Zbigniew wszedł do środka natychmiast, gdy tylko usłyszał płacz dziecka. Wtedy już nikt nie mógł go powstrzymać, emocje wręcz go rozsadzały.

- Chłopiec? – spytał zduszonym głosem.
- Dziewczynka – odparła spokojnie Hanna. – Śliczna dziewczynka.
- Ach...

Amalia ujrzała, jak jej mężowi zadrgały szczęki. Wyraz rozczarowania w jego oczach wręcz sprawił jej ból. Jednak szybko zgasł, spojrzenie stało się chłodne i nieruchome. Zbigniew machinalnie przeczesał włosy palcami.

– Zdrowa, mam nadzieję? – spytał, nieufnie patrząc na dziecko i szukając jakichś deformacji.

- Wszystko ma na swoim miejscu – skwapliwie zapewniła go Hanna.
- No cóż, podziękujmy Bogu i za ten dar – powiedział wreszcie oficjalnym tonem, po czym, nie spojrzawszy już więcej na córkę, odwrócił się na pięcie i opuścił komnatę.

Przez następne tygodnie prawie w ogóle nie zaglądał do małej Małgorzaty, jeśli nie liczyć jednej nocy, kiedy dziewczynka głośno płakała, nie pozwalając mu spać.

- Mogłabyś je, pani, w końcu uciszyć? – zapytał podniesionym głosem, wchodząc do sypialni żony. – Tego się nie da wytrzymać.
- Staram się je uspokoić.

– Ale ani trochę to nie pomaga. I zupełnie nie rozumiem, dlaczego nie weźmiesz mamki, tylko wciąż karmisz je piersią. Jak zwykła chłopka.

Amalia nie miała zamiaru powierzać swojej córki obcej kobiecie, wiedział o tym, ale wciąż wracał do tego tematu. Z początku tłumaczyła mu swoje racje, później zrezygnowała. Dla jej małżonka miłość macierzyńska i chęć bliskiego kontaktu z dzieckiem były najwidoczniej zupełnie obcymi pojęciami.

– Jeśli będziecie, panie mężu, mówić tak głośno, mała na pewno się nie uspokoi.

Pragnęła tylko, by wyszedł. Na szczęście chyba on także chciał tego teraz najbardziej. Mruknął tylko coś pod nosem i wrócił do siebie.

– Ciiii, skarbie – zwróciła się do córeczki Amalia.

Ona również nie mogła spać, już drugą noc z kolei. Mała Małgorzata wierciła się i prężyła, krzycząc przy tym wniebogłosy. Sprowadzona do niej poprzedniego dnia Hanna orzekła, że dziecko cierpi pewnie na ból brzuszka, i nakazała młodej matce uważać na to, co sama je. Ku zaskoczeniu Amalii twierdziła, że ma to wpływ na jej pokarm. Akuszerka przyniosła ze sobą rumianek i nakazała kobietom z kuchni, żeby zaparzyły z niego cienką herbatkę. Z początku mała uspokoiła się na chwilę, teraz jednak wyglądało na to, że ból wrócił.

– Od wczoraj nie robiłaś kupki – powiedziała z troską Amalia, masując jednocześnie napećniały brzusek i delikatnie przyciskając do niego zgięte w kolanach nóżki. Nagle dziewczynka poczerwieniała, stęknęła i to, co tak jej dokuczało, wyskoczyło jak z katapulty wprost na pościel.

– Oho! – Amalia się uśmiechnęła. – Dobrze, że twój ojciec nie był świadkiem tego wystrzału.

Podejrzewała, że Zbigniew, jak każdy mężczyzna, był zbyt wrażliwy, by znieść podobne widoki.

– I jak, maleńka, lepiej teraz? – zaczęła pieszczotliwie szczebiotać do spokojnego już dziecka. – Mamusia zaraz cię umyje i przewinie, poprosimy o zmianę prześcieradeł, a potem będziesz grzecznie spać. Dobrze?

Dziewczynka spojrzała ufnie w twarz niewyspanej matki.

Przez kilka pierwszych tygodni po porodzie najczęstszym gościem u Amalii była nieoceniona Hanna. Stara akuszerka opiekowała się położnicą podczas oczyszczenia, dbała o pępek małej Małgorzaty i o krocze jej matki, pęknięte podczas porodu. Jedynie ona знаła skład naparów do obmywania i maści, którymi smarowała owo pęknięcie. Amalia wyczuwała tylko w tych ostatnich wyraźny zapach rybiego tranu. Nie oponowała i z całym zaufaniem poddawała się zabiegom staruszki, tym bardziej że już po kilku dniach poczuła zdecydowaną poprawę.

– Izba Wenery – mówiła Hanna – powinna być utrzymywana w czystości. Powinnaś też wyskubać niepotrzebną pajęczynę z tych okolic. To z niej biorą się wszystkie choroby.

Izba Wenery? – zdumiała się Amalia. Czyżby Hanna również czytała francuski poemat *Powieść o Róży*?

Przypomniała sobie fragment, który kiedyś ją śmieszył, i razem z Hedwig nauczyły się go na pamięć, żeby potem, w tajemnicy przed panią Csaksy, wygłaszać go przed innymi młodymi pannami.

Niech dba, jak grzeczne dziewczę, aby
Izba Wenery czystą była.
Niewiastą przecież jest roztropną,
Niech pajęczynę więc usuwa,
skubiąc ją, paląc albo goląc,
Tak, by i mech tam nie pozostał...

Zapytana o ten poemat, Hanna zmieszała się i przerwała jej w połowie zdania, twierdząc, że nie wie, o co chodzi. Nie przekonało to Amalii. Kim była Hanna w młodości? Ta kobieta stanowiła dla młodej kobiety coraz większą zagadkę. Amalia nie miała jednak zamiaru być wścibska. Jeśli staruszka będzie chciała opowiedzieć jej o sobie, uczyni to z własnej woli. Należy szanować czyjeś tajemnice. Zwłaszcza jeśli ma się własne...

Podczas gdy Amalia i Hanna spotykały się niemal codziennie, Zbigniew już całkowicie stracił zainteresowanie zarówno małżonką, jak i dzieckiem. Jego głowę absorbował teraz bez reszty zatarg z rodzonym bratem, biskupem Emerykiem. Podobno już od lat spierali się o jakieś ziemie odziedziczone po ojcu, ostatnimi czasy jednak konflikt wyraźnie przybrał

na sile. Ludzie Emeryka mieli niedawno ukraść kilka koni z pastwiska Zbigniewa, a to mogło oznaczać rozpoczęcie rodzinnej wojny. Amalia wiedziała już, że pomiędzy możnymi i rycerstwem takie zatargi to rzecz powszednia – wciąż organizowano zajazdy, atakowano się nawzajem w trakcie wesel czy pogrzebów, palono dwory i uprowadzano ludzi – jednakże zdziwiło ją, że mąż wojuje z własnym bratem, na dodatek z duchownym. Inni rycerze walczyli u boku króla Jagiełły, za co otrzymali majątki na Litwie oraz niedawno odzyskanej Rusi Czerwonej, natomiast Zbigniew szykował się na wojnę przeciw bratu z powodu kawałka lasu oraz paru koni.

To, że przy okazji owego konfliktu Zbigniew niemal nie odwiedzał jej sypialni, byłoby pewnie dla Amalii przykre, gdyby nie fakt, iż nie chciała go w tych tygodniach w ogóle oglądać. Wspomnienia wizyt męża w jej łóżu sprawiały młodej kobiecie niemal fizyczny ból, modliła się więc w duchu, aby nie przyszło mu do głowy rozpocząć niebawem starań o spłodzenie kolejnego dziecka, tym razem prawdziwego – czyli chłopca. Na szczęście awantura z bratem całkowicie go pochłonęła.

Wydawało się, że Zbigniew jest w swoim żywiole. Na podwórzu od paru dni roilo się od jego ludzi – w przeważającej części wyglądających na zwykłych zbirów – w skórzanych kaftanach nabijanych metalowymi guzami. On sam ciągle chodził w kolczudze, niczym jakiś wódz rycerzy, gotujący się do odbicia Ziemi Świętej.

Pewnego dnia, wczesnym popołudniem, Zbigniew i jego drużyna opuścili zamek. Zrobiło się naraz bardzo cicho. Amalia patrzyła z okna na niknących w strugach deszczu jeźdźców, zaskoczona, jak bardzo czuje się szczęśliwa z powodu wyjazdu męża. Koniec stycznia był tego roku wyjątkowo ciepły, mrozy ustąpiły, śnieg zastąpiły deszcze, zmieniające drogi w błotniste, nieprzejezdne grzęzawiska. Gdyby to był romans, powinna teraz umierać z niepokoju o życie i zdrowie męża, a także już za nim tęsknić. Ale to nie był romans. To było jej małżeństwo.

Tego dnia kolację jadła sama, pozostawiwszy córkę pod opieką Katarzyny, ale kiedy już niemal skończyła posiłek, składający się z sera oraz ryb, do sali jadalnej wszedł Grzegorz.

- Pani... – Skłonił się nisko niczym ambasador na królewskim dworze.
- Witam, mistrzu. Czemu mi nie towarzyszyliście podczas posiłku?
- Praca, praca, praca. Czasami zapominam przy niej o całym świecie.
- Rozumiem, kamień filozoficzny.

Alchemik odchrząknął, gładząc brodę.

- Akurat moje myśli dotyczą teraz innej kwestii.
- A jakiej to? – Amalia odstawiła kubek z winem. – Jeśli można zapytać?
- Gwiazd.

– Ach. – Mądrze pokiwała głową. – A jakich konkretnie? Może spoczniecie? Wina?

Odsunął jedno z krzeseł, podciągnął poły swego karmazynowego płaszcza, po czym usiadł naprzeciwko niej.

- Za wino dziękuję – rzekł z roztargnieniem. – Mąci umysł.
- Czasami to całkiem przyjemne uczucie – odparła z uśmiechem. – I co z tymi gwiazdami?

– Dotyczą waszej córki.

Uśmiech na jej twarzy zgasł.

- Małgorzaty?
- Owszem.
- Mówcie.

– Pani, teraz, kiedy wasz małżonek wyjechał, mogę wam o tym powiedzieć – oznajmił ściszym głosem, jakby mimo wszystko Zbigniew krył się gdzieś za kotarą. – Pozwoliłem sobie sporządzić horoskop urodzeniowy dziecka.

Amalia się zdumiała.

- Mój mąż o to prosił?
- Nie do końca.
- Cóż to znaczy: nie do końca? Tak czy nie?
- Prosił o jego sporządzenie, ale tylko w przypadku...
- Narodzin syna, czyż tak? – przerwała mu niecierpliwie.
- Tak, pani.
- Dlaczego zatem sporządziliście horoskop?

Grzegorz się zmieszał.

– Nie zapominajcie, pani, że jestem nie tylko alchemikiem, ale też i astrologiem – odparł po chwili milczenia. – Narodziny tak ważnej istoty to

dla mnie niepowtarzalna okazja do naukowych badań w zakresie gwiazdnych wpływów.

Spodobała jej się ta „ważna istota”. Podejście jakże różne od lekceważącej postawy męża.

– Mówcie zatem, co wyczytaliście – powiedziała, mimo wszystko nieco spięta, gdyż udzielił jej się nastrój uczonego. Mistrz nie wyglądał na kogoś, kto przybył z radosnymi nowinami. O cóż mogło chodzić? Dziecko jest przekłęte? Czeka je rychła śmierć? Nie, to przecież bzdury...

Tymczasem astrolog zaczął wyjaśniać:

– Pojawiły mi się dziwne rzeczy w obliczeniach. Sprawdzałem setki razy, ale za każdym razem wychodzą te same, że tak powiem, konfiguracje. Miałem już nawet to porzucić...

– Czy możecie, mistrzu, wreszcie przejść do rzeczy? – Amalia nie wytrzymała, patrząc na niego groźnie. Horoskop nie horoskop, sprawa dotyczyła jej córki, a przez to stawała się w tej chwili najistotniejsza na świecie.

I czy ten człowiek musiał mieć teraz taką grobową minę?

– Pani, zapytam wprost: czy pośród waszych przodków znajdował się ktoś królewskiej krwi? – wypalił Grzegorz.

Serce zabiło jej mocniej.

– Słucham?

– Wybaczcie, pani, ale musiałem zapytać, zanim wrzucę wykresy i obliczenia w ogień – dodał szybko.

– Nie było nikogo takiego – odparła drżącym głosem. – Skąd to pytanie?

– W takim razie horoskop jest błędny. – Astrolog jak gdyby odetchnął z ulgą.

– Co takiego pokazał?

Nabrał tchu, po czym oświadczył uroczyście:

– Że Małgorzata pochodzi z królewskiego rodu. I ta linia prowadzi nie od ojca, tylko od matki, czyli, krótko mówiąc, od was.

Amalia prychnęła śmiechem, jednakże było w nim dużo mniej wesołości, niż miał on w zamierzeniu przekazywać. Poczowała, że dłonie zaczynają jej się pocić, i dyskretnie wytarła je pod stołem w delikatny materiał sukni.

– Naprawdę tak wykazały gwiazdy?

Przytaknął poważnie. On zresztą chyba nigdy się nie śmiał, zapewne oduczono go na uniwersytetach okazywania wesołości.

– Jednak coś musiałem pomylić, choć doprawdy nie wiem co.
– Najwidoczniej. Mimo wszystko jestem zafrapowana.
– No cóż, nie chcę tutaj wygłaszać astrologicznego wykładu, zatem skupię się na rzeczach najprostszych. Córka wasza urodziła się szóstego grudnia, przed południem, w wyniku czego mamy koniunkcję Księżyca z Jowiszem... Jowisz panuje nad Księżycem, a koniunkcja jest na szczycie tego horoskopu, czyli dotyczy matki dziecka...

Wprawdzie niewiele z tego rozumiała, lecz przytakiwała cierpliwie, jednocześnie doznając sprzecznych uczuć, czegoś, co stanowiło mieszaninę zaskoczenia, przestachu, ale i dziwnej radości.

– Księżyc symbolizuje matkę – kontynuował Grzegorz – a Jowisz dobrobyt i królestwo, co mogłoby oznaczać, że matka dziecka, czyli wy, pani, pochodzi z królewskiego rodu. Samo to nie jest jeszcze przesądające, rzecz jasna, lecz dodatkowe wykresy wzmacniają ów rodowód. Tak wynika z horoskopu. Nie rozumiem, jakim cudem, ale tak to właśnie wygląda wedle mojej najlepszej wiedzy.

– Zapomnijmy o tym – powiedziała Amalia. – Możecie wrzucić pergamin do kominka. Sami też chyba rozumiecie, że mój mąż nie może się o tym wszystkim dowiedzieć.

– Naturalnie.

Nie musieli tego mówić na głos, obydwójce doskonale wiedzieli, że Zbigniewa raczej nie uradowałaby wiadomość, iż według gwiazd to matka jest bardziej znaczącą figurą na sekretnych mapach pochodzenia i przeznaczenia Małgorzaty.

Wciąż nie potrafiła ochłonąć, wracając mrocznymi korytarzami do swojej komnaty. Nigdy nie wierzyła w horoskopy, wydawały jej się mętnymi przepowiedniami lub tanimi pochlebstwami, przedstawianymi naiwnym ludziom przez sprytnych badaczy gwiazd.

Z drugiej strony skąd mistrz Grzegorz wiedział, którą strunę potrącić, aby wywołać odpowiedni rezonans w duszy Amalii? Jej przecucia znała tylko Milda. A zresztą nawet ona sama nie do końca ufała swym domysłom, a w ostatnich miesiącach w ogóle przestała o nich myśleć. Zadziwiające, jak ten dziwny horoskop zgadzał się z jej przypuszczeniami! Nie mogła

w to uwierzyć, odżyły dawne wyobrażenia. Co prawda w obecnej sytuacji wiedza ta nie dawała Amalii żadnych korzyści, ale sama świadomość, że matka mogła mówić prawdę, przyprawiała młodą kobietę o zawrót głowy.

Królewska krew! A więc jednak?

Tak, tylko czy horoskop jest jakimkolwiek dowodem w tej sprawie?

Kiedy weszła do swojej sypialni, córeczka słodko spała, a czuwająca nad nią Katarzyna siedziała obok, z opuszczoną głową, jakby pogrążona w drzemce. Szybko się jednak ocknęła i z przeproszającym uśmiechem odgarnęła włosy z czoła. Amalia dała jej znak ręką, że wszystko w porządku, po czym z czułością popatrzyła na śpiące dziecko. Horoskop nie sprawił, że stało się dla niej cenniejsze – bo już było najcenniejsze na świecie – lecz przez chwilę popatrzyła na córkę z innej perspektywy.

Obok kołyski czuwał też Platon. Podniósł łeb na widok Amalii i przyjaźnie zastukał ogonem w podłogę. Pies pokochał maleństwo od jego pierwszego krzyku. To jego czułe i delikatne liźnięcia po buzi potrafiły uspokoić niemowlę, zanim podeszła matka, bo to właśnie on pierwszy pojawiał się przy kołysce, kiedy mała Małgorzata zaczynała się wiercić i postękiwać. Amalia z czułością przyglądała się tej rodzącej się wzajemnej miłości dziecka i psa. Wiedziała, że przy takim opiekunie córeczce nie grozi żadne niebezpieczeństwo.

Odprawiła Katarzynę i zaczęła powoli przygotowywać się do snu. Zanim się rozebrała, podeszła jeszcze do okna i otworzyła je, aby wpuścić do środka wilgotne, pachnące mokrą ściółką powietrze. Gęsty las podchodził niemal pod same mury zamku. Było już ciemno, ale nie całkowicie. Natychmiast zwróciła jej uwagę czerwona poświata nad horyzontem. Luna rozplómieniała niebo ponad czarnymi lasami. Amalię przeszedł dreszcz. To pożar, pomyślała. I natychmiast skojarzyła ów ogień z wyprawą swego męża. Spalili dwór albo zamek.

Cały jej dobry nastrój prysnął. Coś w głębi duszy mówiło teraz Amalii, że właśnie zaczynają się naprawdę złe dni.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

KRAKÓW 1392

Ponieważ na Wawelu rozeszła się pogłoska, że wraz z tatarskim poselstwem do Krakowa przybyły najprawdziwsze wielbłądy, większość dworu wyczekiwała przyjazdu cudzoziemców przy oknach.

Nawet królowa Jadwiga nie potrafiła ukryć ciekawości i gdy tylko na dziedziniec wjechali poganie, dyskretnie wyjrzała na zewnątrz, ubrana w szatę z bogato haftowanego złotogłowiu, z zausznicami i w srebrnej obręczy okalającej wysokie czoło pod zaczesanymi do tyłu włosami. Ostatnio ubierała się nieco na ruską modłę, zachęcana do tego przez królewskiego małżonka, wielbiącego wszystko, co pochodziło z tamtych stron. Choć, szczerze powiedziawszy, lepiej się czuła w skromniejszych strojach, od czasu do czasu należało sprawić mężowi przyjemność, zwłaszcza przy takich okazjach jak dzisiejsza.

Chyba podobnie jak wszyscy inni Jadwiga rozczarowała się odrobinę, bo Tatarzy jednak nie przyjechali na wielbłądach. Te, jeśli w ogóle takie były, pozostały pewnie na nadwiślańskich pastwiskach i łąkach, gdzie część egzotycznych gości założyła obóz. Ci, którzy wjechali przez zamkową bramę, dosiadali małych myszatyh koników. Przybysze znad brzegów Wołgi nosili skórzane pancerze narzucone na wielobarwne chałaty oraz baranie czapy lub stożkowate wysokie hełmy, na których kołysały się czuby z końskiego włosa lub furkotały pióra i małe proporczyki. Dużo większe proporce dzierżyli w dłoniach; przedstawiały głównie słońce i księżyc. Dziwnie było patrzeć na tych stepowych wojowników o śniadych twarzach i wąskich oczach, przybywających do siedziby chrześcijańskiej królowej i prowadzących swe nieduże koniki tuż obok wawelskiej katedry.

Cóż, polityka.

Jadwiga była już na tyle z nią zaznajomiona, iż nie dziwiły jej żadne układy. Jagiełło negocjował ze wszystkimi – no, może z wyjątkiem Turków

– jeśli tylko owe układy mogły wzmocnić polskie królestwo. Posłańcy od Tochtamysza byli teraz, jak słyszała, w niezbyt dobrym położeniu, gdyż całkiem niedawno pobił ich w wielkiej bitwie Timur, zwany też Tamerlanem, inny tatarski wódz, chyba jeszcze bardziej przerażający. Dlatego szukali sojuszników. Władysław zapewne wysłucha posłów i coś im obieca, choć na pewno nie za darmo – coś z tego będzie musiał mieć dla siebie.

Na przykład pomoc zbrojną w razie kolejnego zatargu z Zakonem.

Nieco zawiedzeni brakiem wielbłądów dworzanie zaczęli się rozchodzić po korytarzach. Jadwiga miała jeszcze trochę czasu, gdyż audiencję w sali królewskiej zaplanowano dopiero na wieczór. Główną rolę podczas tego spotkania i tak będzie odgrywał jej małżonek, mający w kontaktach z Tatarami duże doświadczenie, więc nie musiała jakoś specjalnie się przygotowywać. Jej zadaniem było godnie i pięknie się prezentować u boku króla. Przywykła do takich sytuacji, czasami cieszyły ją nawet, bo wtedy nie wymagano od niej nuzących przemów. A że była już wystrojona, miała czas dla siebie.

Akurat na załatwienie pomniejszych spraw.

Na schodach dostrzegła prawnika Konrada i kiedy ich spojrzenia się spotkały, przywołała go gestem dłoni.

– Byliście u Mildy? – spytała.

– Tak, Najjaśniejsza Pani. – Mężczyzna zgiął się w ukłonie, zamiatając posadzkę czarnym kapeluszem z szerokim rondem.

– I co?

– Obawiam się, że wszystkie pogłoski na jej temat są prawdziwe – odparł szybko.

Królowa zmarszczyła brwi.

– To znaczy?

– Przebywa w złym towarzystwie i ma bardzo złą opinię w ratuszu.

– Trudno w to uwierzyć. Rozmawialiście z nią?

– Unika rozmów. Pracuje teraz w podejrzanej gospodzie, ludzie mówią, że...

– Nie obchodzą mnie uliczne plotki. Powiedzieliście jej o bracie?

– Tak.

Problem z Varnasem był dużo poważniejszy, niż to się na początku wydawało. Niedawno królowa otrzymała list od pięknego biskupa Henryka,

który pojechał na Litwę z tajną misją dyplomatyczną. Duchowny informował w nim, że pierwsze rozmowy z Witoldem przebiegły pomyślnie i dobrze wróżyły na przyszłość, lecz nie udało mu się, niestety, przyczynić do uwolnienia Varnasa, bowiem kiedy pojawił się w Kownie, Litwina nie było już na zamku Ritterswerder. Na polecenie samego mistrza miano go przewieźć do Malborka.

– Posłuchajcie uważnie – rzekła królowa. – Jutro pójdziecie do miasta i przyprowadzicie Mildę do mnie.

– Ale ona...

– Nie przerywajcie mi z łaski swojej.

– Proszę o wybaczenie.

– A więc powiecie Mildzie, że chcę ją widzieć. Mam wysłać kogoś innego zamiast was?

– Nie ma takiej potrzeby, Najjaśniejsza Pani. Osobiście uczynię zadość waszej prośbie.

– Doskonale. Jutro do południa.

– Tak będzie.

– Możecie odejść.

Skłoniwszy się raz jeszcze, Konrad oddalił się pospiesznie, chyba zbyt pospiesznie jak na gust Jadwigi. Zaczynała powoli żałować, że właśnie jego wybrała do tego zadania.

Sala tronowa bardzo wypiękniała, od kiedy królewska para postanowiła gruntownie ją odnowić, i teraz zupełnie nie przypominała swym wystrojem tej, którą dworzanie pamiętali jeszcze z czasów panowania Ludwika i jego żony Elżbiety. Białe ściany przechodziły w górze w barwnie malowany fryz – dzieło specjalnie sprowadzonych w tym celu przez Jagiełłę ruskich artystów – pyszniący się na prawdziwie wschodni sposób tuż pod belkowanym pułapem, wspartym na smukłych kolumnach.

Tego wieczora salę rozświetlały dziesiątki świec, kładąc migotliwe odbłaski na zdobieniach sprzętów i szat, a pod ścianami tłoczyli się ludzie – dworzanie, dostojnicy, przedstawiciele Kościoła. Jadwiga siedziała na swym tronie, na trzystopniowym podwyższeniu, obok drugiego tronu, który

zajmował jej mąż. Patrzyła na tatarskich posłów z mieszaniną zafascynowania i pewnego instynktownego lęku.

Najważniejszy z nich był bardzo otyły, miał na sobie czerwoną kamizelkę nałożoną na koszulę o szerokich rękawach i wysokim kołnierzu, na głowie nosił spiczastą czapczkę z purpurowego jedwabiu, z nausznikami z gronostajowego futra. Zdjął ją teraz przed królewską parą i trzymał sztywno w zagięciu ręki. Na pierś spływała mu rozdwojona czarna broda, włosy miał splecione w warkoczyki. Wprawdzie przedstawiono go królewskiej parze na początku audiencji, lecz Jadwiga nie zapamiętała jego imienia, zresztą było ono niemożliwe do wymówienia. Z niczym jej się nie kojarzyło.

A właściwie to kojarzyło się, tyle że z samymi złymi rzeczami – z czymś dzikim, obcym oraz bezbożnym. Ci ludzie, z przymilnymi minami, zgięci teraz w ukłonach, tak naprawdę byli przecież okrutnikami, nieznającymi prawdziwego Boga.

Wojownikami samego diabła.

Bo przecież nie z ludzkiej namowy ich czambuły gnębiły chrześcijan.

Niechybnie z rozkazu samego Księcia Piekiel targnęli się niegdyś na węgierskie i polskie ziemie. Dowodem choćby to, że, jak powiadano, najzacieklej atakowali żeńskie klasztory. Straszniejsi niż czarne powietrze, ponad sto lat temu swymi zakrzywionymi szablami zabijali mniszki. Jakże inaczej mogło dojść do takich okrucieństw, jeśli nie za szatańskim podszeptem, czyli diabolo instigante?

Ci sami pokorni teraz mężczyźni dziesięć lat temu bez mrugnięcia okiem spalili Moskwę, Włodzimierz, Perejasław, Kołomnę i wiele innych ruskich miast. Kiedy się na nich patrzyło, zdawało się zgoła niemożliwe, by kiedykolwiek mogli przyjąć prawdziwą wiarę.

Na ich widok Jadwidze przypomniał się straszny sen, który nawiedził ją kilka tygodni temu.

Ujrzała w nim czarta w postaci olbrzymiego kosmatego psa. Diabeł patrzył na nią długo żółtymi ślepiami, po czym rzekł chrapliwym głosem: „Ve, ve, Hungaria”.

Co znaczyło: „Biada ci, Węgierko”.

Na wspomnienie owego snu monarchini poczuła teraz dreszcz.

Jednakże król nie dbał o ich religię ani diabelskie przymierza.

– Cieszą nas wielce te oznaki przyjaźni – mówił po rusku, podczas gdy tłumacz przekazywał Tatarom słowa w ich diabelskim języku – a i my pragniemy przekazać wielkiemu chanowi zapewnienie, iż nijakiej wrogości do niego nie czujemy, póki nie narusza granic naszego królestwa ani naszym kupcom gwałtów nie czyni.

Zrobił pauzę, by dać odpowiedzieć posłom Złotej Ordy. Ci uczynili to, dziękując w sposób tak kwiecisty i zawiły, że w połowie przemowy wszyscy obecni w pomieszczeniu Polacy i Litwini zdążyli się już pogubić.

Potem znów mówił król:

– Wszelako dość mamy problemów u swoich granic, by jawnie się angażować w wasze spory z podstępny i dufnym Timurem. Nie przystoi też chrześcijańskiemu władcy stawać po którejkolwiek stronie w tym pogańskim sporze. Zatem posłuchajcie uważnie, jakie jest nasze stanowisko: jeśli chcecie kupować broń, konie czy też żywność w naszych miastach, nie będę się temu sprzeciwiał – choć mniemam, że na ziemiach ruskich lepsze zrobicie interesy – ale żadnych działań politycznych od nas w tej chwili nie oczekujcie, gdyż cenimy sobie obecny spokój na wschodnich granicach.

Mówił spokojnie, dosyć cicho, zachowując nieprzenikniony wyraz twarzy. Tego dnia ubrał się bardziej uroczyście niż zazwyczaj, w czerwony, złotem haftowany płaszcz.

Wyglądał jak prawdziwy władca.

Jadwiga nie słuchała zbyt uważnie, bo odpowiedzi Jagiełły były do przewidzenia, pozostawały całkowicie formalne, nikt nie wątpił, że tatarskie wojenki na stepach niewiele go obchodzą, jeśli nie zagrażają Koronie. Timur koncentrował swe zbrojne działania na ziemiach leżących w pobliżu Kaukazu, czyli, z punktu widzenia Polaków, gdzieś na końcu świata.

Królowej tym trudniej było skupić całkowitą uwagę na przemowie małżonka, że od jakiegoś czasu zaczęło ją rozpraszać pewne zabawne stworzenie, które przybyło do sali wraz z Tatarami, prawdopodobnie

w charakterze prezentu. Była to małpka w bufiastej zielonej kamizelce, trzymana na rękach przez prześliczną tatarską dziewczynę w baśniowo kolorowym stroju. Jadwiga dostrzegła zwierzątko kątem oka i potem wciąż dyskretnie zerkąła w jego stronę, starając się nie poruszać przy tym głową ani nie zmieniać wyrazu twarzy. Nie było to łatwe. Zwłaszcza że małpka od jakiegoś czasu zaczęła się niecierpliwić i kręcić, zerkając na boki rozbieganym spojrzeniem zaaferowanego dziecka. W pewnym momencie otrzymała od swej opiekunki kawałek arbuza, chwyciła go w dwie łapki i natychmiast podniosła do zabawnego pyszczka, przekrzywiając głowę i otwierając usta, aby jak najszybciej pożreć swą zdobycz. Jednocześnie śledziła bacznie otoczenie, czy ktoś nie zechce jej tego arbuza odebrać.

Tymczasem wymiana uprzejmości między królem a gośćmi trwała w najlepsze, jakby każda strona chciała pokazać drugiej, że jest bardziej od niej uprzejma i elokwentna.

– Niech więc Bóg da nam... – zaczął uroczyście Jagiełło, ale coś odwróciło jego uwagę.

Jadwiga podążyła za spojrzeniem małżonka i zobaczyła, że zebrani w sali tronowej zaczynają dyskretnie zerkać w drugi koniec sali, gdzie wcześniej stała dziewczyna z małpką. Zapanowało tam nagle jakieś zamieszanie, a chwilę później rozległy się piski dam dworu.

Małpka w zielonym kubraczku wyrwała się opiekunce i wciąż trzymając w jednej łapce resztki arbuza, a także mając za nic dworską etykietę oraz powagę chwili, zaczęła przeskakiwać po ramionach tureckich posłów prosto w stronę okna. Tam wspięła się natychmiast po grubej aksamitnej zasłonie na samą górę, skąd, zadowolona, zaczęła wydawać skrzekliwe dźwięki. Zbity z tropu Jagiełło przerwał w pół zdania i zgubił wątek, Jadwiga natomiast z trudem usiłowała zapanować nad sobą, by nie wybuchnąć głośnym śmiechem.

Dość długo trwało, zanim opiekunce udało się namówić małpkę do zejścia z kotary. Ostatecznie zwierzątko dało się skusić jakimś bliżej nieokreślonym owocem, który dziewczyna wyjęła z kieszeni swoich szat. W końcu zapanował spokój i rozmowy mogły zostać zakończone. Jagiełło zaprosił gości na poczęstunek i wszyscy, kłaniając się nisko, zaczęli opuszczać salę tronową.

Jadwiga rozdawała uprzejmie uśmiechy, jednocześnie usiłując ściągnąć spojrzeniem Krystynę, z którą chciała jeszcze raz porozmawiać na temat

Mildy. Ochmistrzyńi nie zwracała jednak na nią uwagi i rozglądała się wokół, jakby kogoś szukając. Nagle obok niej wyrósł Konrad, jakby i on jej szukał. Zaskoczona królowa zauważyła, że dyskretnie musnęli się delikatnie dłońmi i wymienili porozumiewawcze spojrzenia. To nie było zachowanie dwojga obojętnych sobie ludzi, dworzan, którzy przypadkiem znaleźli się w tym samym miejscu.

Tak dotykają się i patrzą na siebie tylko kochankowie.

Wieczorem, kiedy już wszystko ucichło, Jadwiga postanowiła wezwać do siebie ochmistrzyńię. Krystyna pojawiła się w jej komnatach zaczerwieniona i dziwnie podniecona, jakby oderwano ją od czegoś bardzo przyjemnego. Z trudem udało jej się przybrać usłużny i przymilny wyraz twarzy.

– Słucham, miłościwa pani. – Ukłoniła się nisko w drzwiach. – Chcieliście ze mną mówić?

Jadwiga spojrzała na nią chłodno.

– Tak. Powiedz mi teraz całą prawdę o Mildzie.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

ROŻNÓW, CZERWIEC 1392

Co my tu mamy?

Jaśko, młody ogrodnik Amalii, zerwał drobny kwiatek i przystawiwszy go sobie do nosa, udał, że głośno kicha. Zachwycona Małgorzata roześmiała się natychmiast, prezentując wyrzynające się dolne ząbki w zaślinionej buzi. Z początku patrzyła nieufnie na wysokiego i trochę niezgrabnego w ruchach chłopaka, przyzwyczajona do obecności samych kobiet, lecz ten już dawno zdążył ją do siebie przekonać.

Co więcej, był niemal tak zabawny jak Platon, a to samo w sobie stanowiło spory wyczyn.

Teraz też postanowił nie dawać dziewczynce wytchnienia; zaszedł ją z drugiej strony i powiedział: „A kuku!”. Małgorzata zaczęła gwałtownie wymachiwać rączkami i nóżkami, jakby chciała wyskoczyć z koszyka, w którym nosiła ją matka. Zaaferowana gulgotała coś przy tym w swoim języku.

Amalia z uśmiechem przyglądała się temu wszystkiemu. W przeciągu kilku ostatnich miesięcy bardzo się zbliżyła do mieszkańców zamku oraz wsi. W ostatnich dniach spotykała się z nimi jeszcze częściej. Jej małżonek, zakończywszy, jak przypuszczała, spór ze swoim bratem, znów musiał opuścić Rożnów. Tym razem wezwał go sam król, który zbierał wojsko przed wizytą na Litwie. Pod jego nieobecność, czyli od niecałego tygodnia, młoda kobieta czuła się dużo swobodniejsza, nie musiała nikomu się tłumaczyć ze swoich spacerów i rozmów z pogardzanymi przez Zbigniewa „prostakami”.

Ludzie ci, z początku bardzo nieufni, przy bliższym poznaniu okazali się poczciwi i serdeczni. Dla Węgierki stanowiło to nowe doświadczenie, bo ani na dworze w Budzie, ani na Wawelu nie miała szans poznać mieszkańców wsi.

Wiele rzeczy ją w nich zaskakiwało, choćby wierzenia. Niby byli bardzo religijni, chodzili na msze, niemal na każdym kroku żegnali się znakiem krzyża, a mimo to pozostawali pod wpływem najprzeróżniejszych zabobonów.

Jeśli chodzi o diabła, rozróżniali wiele jego postaci.

Jak powiadali, ich wieś nie była jakimś znaczącym miejscem, więc to nie najznamienitsi Książęta Piekieł ją nawiedzali, tylko pospolite biesy. Wieśniacy znali nawet ich imiona: Oksza, Natoń, Rozeń. Ten ostatni podpalił piorunem drewniany kościółek przy zagajniku, na szczęście udało się ugasić pożar. Biesy przeobrażały się w różne zwierzęta, a to w psa, a to w świnie, a to w czerwonego koguta.

Lecz na tym nie koniec.

Tutejsi ludzie z całą powagą opowiadali Amalii o topielicy, która żyła podobno w wodach Dunajca, o strzygach, zmorach, kołtunach, amuletach chroniących od Złego Oka. Wyglądało na to, że wierzą w te pogańskie stwory równie mocno jak w Matkę Boską. Amalia musiała do tego przywyknąć, co nie okazało się trudne, i już po paru tygodniach bez zdziwienia reagowała na opowieści o wodnej pannie, której zielone włosy, wystające spod wody, ktoś znowu ujrzał z brzegu Dunajca.

Jaśko nie należał do tych najbardziej zabobonnych. Całymi dniami pracował w ogrodzie, lecz gdy tylko Amalia wychodziła z dzieckiem na spacer, natychmiast się uśmiechał i zaczynał zabawiać Małgorzatę.

A odkąd zrobiło się ciepło, coraz więcej czasu spędzała na zewnątrz: w ogrodzie czy też nad brzegiem rzeki. Zachwycone dziecko obserwowało poruszające się nad nim listki i kwiaty, a równie szczęśliwy Platon buszował wśród roślin. Przeganiany przez ogrodnika, wracał natychmiast między krzaki, skuszony mnogością drobnych zwierzątek i owadów, które mógł radośnie gonić. Jaśko nie miał dla niego tyle cierpliwości, co dla Małgorzaty.

Widać było, że dziecko skradło mu serce.

– Lubicie dzieci – bardziej stwierdziła niż spytała Amalia, patrząc teraz na rozbawiającego Małgorzatę ogrodnika.

– Tak, bardzo.

– To widać.

– Niedługo pewnie i sam będę je miał, bo mam zamiar w tym roku oświadczyć się takiej jednej Danuśce. – Jaśko zaczerwienił się jak panienka. – Znamy się od dzieciaka i rodzice dawno już nas swatali ze sobą.

– Zgadzaście się z ich decyzją? Nie jest wam ona niemiła?

– A co bym się miał nie zgadzać, ojcowie wiedzą najlepiej.

– Kochacie ją, tę waszą Danuśkę?

Jaśko w odpowiedzi wzruszył ramionami, nagle zakłopotany.

– Miłością gęby się nie nakarmi, tak mówią ojciec. A Dana jest dobra i robotna, poza tym dostanie w posagu kawałek pola, co to przylega do naszego. Będziemy bogaci.

Czyż miłość już w ogóle się nie liczy, nawet wśród biednych? – westchnęła w duchu Amalia. Zamknęła oczy i wystawiła twarz do słońca. Z ogrodu napływały zapachy kwiatów i ziół. Gdzieś zabrzęczała pszczoła, w pobliżu rozległ się głośny gwizd kosa. Uwielbiała jego śpiew, budził ją codziennie i przypominał beztroskie poranki z dzieciństwa, a później z Wawelu. Zawsze wtedy starała się jak najdłużej nie otwierać oczu, żeby zatrzymać w locie to cudowne poczucie bezpieczeństwa i szczęścia. Do kosa dołączyła synogarlica ze swoim gardłowym, melodyjnym gruchaniem.

Zmęczona nadmiarem wrażeń, Małgorzata zasnęła, Jaśko zajął się własną pracą, a Amalia postanowiła przejść się nad rzekę. Lubiła tam chodzić, zwłaszcza teraz, gdy Zbigniewa nie było w zamku. Nikt jej nie obserwował, nie kontrolował każdego kroku. Potrzebowała tej szczególnej ciszy, zakłócanej tylko szmerem płynącej wody. Z trudem dźwignęła coraz już cięższy koszyk ze śpiącym dzieckiem i ruszyła w dół przez ogród, w stronę znajdującej się tam furtki. Zaraz za nią, w odległości zaledwie kilkunastu kroków od murów, płynął Dunajec, tworząc wokół zamku szerokie rozlewisko.

Słońce przebijało przez gałęzie rosnących nad brzegiem drzew, kładąc na trawie delikatne, drgające prążki. Amalia ustawiła koszyk z Małgorzatą w miejscu, gdzie był większy cień, żeby nie narazić dziecka na poparzenie słoneczne, a sama usiadła obok i z podciągniętymi pod brodę kolanami

zapatrzyła się w płynącą wodę. Platon buszował w pobliskich krzakach, znacząc każdy podniesieniem tylnej łapy i węsząc, czy jakieś zwierzę nie zostawiło tam podobnej informacji o swoim istnieniu.

Wokół czuło się mocną i duszną woń rozgrzanej trawy.

Panował niesamowity spokój.

Przypomniwały jej się wianki puszczone na Wiśle, te cudowne czasy, gdy miała jeszcze przy sobie Mildę. Tak, to też był czerwiec. Piękna pogoda, płomyki na rzece, śmiech i beztroska utraconego już dzieciństwa. Jak sobie teraz radzi Milda? – ta myśl wracała do niej coraz częściej. Od dawna nie miała żadnych wieści od przyjaciółki, ostatnią były gratulacje z okazji urodzin Małgorzaty, przekazane Amalii przez astrologa Grzegorza, który wybrał się do Krakowa w swoich sprawach i na jej prośbę odwiedził dziewczynę. Znała już dobrze język polski, potrafiła też czytać, niestety, z pisaniem szło jej znacznie gorzej. Dlatego też Amalia wysyłała do niej list, w którym dużo napisała o sobie, a Milda odpowiadała przez posłańca.

Teraz dotarło do Amalii, że już od dawna nie miała z Krakowa żadnej wiadomości ani od Jadwigi, ani od Mildy. Niedawno wprowadzie wrócił stamtąd zamkowy kucharz, który odwiedzał swoją rodzinę, ale, niestety, nie zastał dziewczyny w domu. Dowiedział się tylko, że pracowała teraz w jakiejś gospodzie, a na szukanie Litwinki nie miał już czasu.

Dlaczego Milda nie pracuje już z praczką, u której mieszkała? Co się wydarzyło, że musiała szukać zajęcia w takim miejscu? Te pytania dręczyły Amalię coraz bardziej. Nie miała dobrego zdania o gospodach i szynkach, chociaż nigdy w takich miejscach nie bywała i znała je tylko z opowiadań. To jej jednak wystarczało.

Rozmyślania młodej kobiety przerwał bolesny skowyt Platona, który przybiegł do niej z uniesioną łapą. Wyglądało na to, że wbił mu się tam jakiś ostry kolec.

– Chodź, obejrzymy to – powiedziała łagodnie Amalia.

Pies wrywał się odruchowo, widać było, że boi się bólu, jednak udało jej się dostrzec gruby, czarny cień wbity w delikatną opuszkę łapy Platona. Na szczęście wystawał na tyle, że zdołała go uchwycić palcami i wyciągnąć tak, że zwierzę nawet nie zdążyło się zorientować. Ruch, jaki zrobił się przy tej akcji ratowniczej, sprawił, że Małgorzata się obudziła. Niemal natychmiast usiadła w koszu. Zdobyła tę umiejętność niedawno i chociaż jeszcze chwiała się na boki, siadała już coraz pewniej.

Czas zmienić koszyk na coś większego, pomyślała Amalia z dumą matki obserwującej postępy dziecka. Za chwilę nauczysz się z niego uciekać.

– Oho – uśmiechnęła się z czułością, podnosząc małą – ktoś tu potrzebuje suchej pieluszki. Chodź, mama się tym zajmie.

Ponad ramieniem dziecka zauważyła biegnącego w jej stronę chłopaka ze wsi, wyraźnie czymś zaaferowanego. Był to Gniewko, dzieciak, który kiedyś wskazał jej drogę do chaty Hanny. Oby tylko nie chodziło o to, że ujrzał topielicę czy inną strzygę, pomyślała z lekkim uśmiechem. Nie znajdzie chyba siły, aby się tym odpowiednio przejąć. Nie w tak leniwy dzień.

Chłopak przybiegł boso, bez czapki, a potargane włosy upodabniały go do stracha na wróble. Był tak zdyszany, że przez chwilę nie mógł wykrztusić zdania. Schylił się i opierając dłonie na kolanach, wyrównywał oddech.

– Cóż to, diabli cię jacyś gonili? – zażartowała Amalia. – Wyglądasz, jakbyś samego czorta zobaczył.

– Pani... – Gniewko odzyskał głos, choć wciąż jeszcze sapał. – Jacyś zbrojni kręcą się w lesie koło zamku!

Poczuła, że serce podchodzi jej do gardła.

Zbrojni?

Naraz wszystko wokół, przed chwilą jeszcze takie przyjazne i sielskie, jakby pociemniało.

– Jesteś pewien?

– Tak.

– Obcy?

– Obcy.

Nie musiała pytać kto. Przeczynała, że to ludzie Emeryka, brata Zbigniewa, których zimą zaatakował jej mąż. Zaatakował, a potem opuścił zamek, lekkomyślnie pozostawiając tylko skromną załogę.

Zerwała się na równe nogi, ze strachu ugięły się pod nią kolana.

– Leć szybko do wioski! – poleciała, mocniej przygarniając do siebie dziecko. Koszem postanowiła nie zawracać sobie głowy. – I powiedz ludziom, że mają szybko uciekać z domów.

– Gdzie? W las?

– Niech przyjdą do mnie na zamek, tam będą bezpieczni.

– Ale dlaczego?

– Dlatego że tamci za chwilę zaczną palić ich chaty.

– O Jezusie Nazareński...

– Powiedz też, żeby wzięli tylko najważniejsze i najcenniejsze rzeczy z domu. Ile zdołają udźwignąć. Nic poza tym.

– A gadzina? – Gniewko już miał biec, zgodnie z przykazaniem pani, ale odwrócił się jeszcze przez ramię.

Gadzina, czyli zwierzęta domowe, jak je tutaj nazywano. Cenne na równi z domownikami, często jedyny majątek tych biednych ludzi. Zwłaszcza krowy, żywicielki.

– Niech rozpuszczą po lesie, potem będą szukać – krzyknęła głośno, sama już biegnąc w stronę zamkowej bramy. Choć ta była blisko, Amalii zdawało się, że trwało w nieskończoność, zanim do niej dotarła.

– Szykować się do obrony! – krzyknęła w kierunku opierającego się o mur strażnika.

Wiedziała, że po chatach wieśniaków, które zapewne niedługo spłoną, przyjdzie kolej na nich, właścicieli zamku. Musiała jak najszybciej zorganizować obronę i zabezpieczyć twierdzę przed napadem. Bo co do tego, że właśnie szykuje się atak w odwecie za wcześniejsze działania Zbigniewa, nie miała żadnych wątpliwości.

Świątobliwy Emeryk postanowił oddać cios.

Chcieliście wykorzystać nieobecność pana i to, że w zamku została tylko bezbronna białogłowa? – pomyślała, równie wściekła jak przestraszona.

No to zobaczymy...

Wiadomość o zbrojnych ludziach Emeryka szybko rozeszła się wokół. Zapanował chaos.

– Co teraz będzie? – Katarzyna podbiegła do Amalii i wzięła od niej dziecko. – Co będzie, pani?

To samo pytanie zaczęli jej zadawać inni, gromadzący się teraz przy niej jak dzieci wokół matki.

– Nie ma pana, jesteśmy bezbronni.

Amalia weszła na schody, wiodące do zamkowej sieni, i zawołała gromkim głosem:

– Uspokójcie się, natychmiast! Nie czas teraz na płacze. Pana nie ma, ale ja wciąż tu jestem. I nie pozwolę, żeby choć jeden obcy wszedł na teren zamku.

Zauważyła powątpiewające spojrzenia wymieniane przez zgromadzonych mężczyzn. Nie dodały jej one otuchy.

– Boicie się? Nie potraficie walczyć?

Poruszenie, jakie zapanowało po tych słowach, wskazywało, że uderzyła w odpowiedni ton.

– Ja wprawdzie nie potrafię walczyć, ale wiem, jaką obmyślić strategię.

Wcale jeszcze tego nie wiedziała, uznała jednak, że nie mogą dać się pokonać przerażeniu oraz rezygnacji. A jej samej ta wojownicza przemowa pozwalała choć odrobinę opanować obezwładniający strach.

– Razem damy sobie radę – dodała. – Będą mi potrzebni wszyscy, niewiasty i mężczyźni.

Ludzie wciąż stali, spoglądając po sobie, jakby każdy z nich bał się pierwszy podjąć jakąś decyzję. Niewiasta miałaby nimi dowodzić?...

– Dobrze. – Amalia poczuła, że ogarnia ją bezsilność, ale nie mogła tego po sobie pokazać. – Kto się boi, może wracać do siebie i schować się w jakiś ciemny kąt. I niech lepiej zakryje głowę pierzynami, bo będzie głośno.

– Ja jestem gotowa walczyć. – Kucharka zdjęła fartuch i z hardą miną postąpiła krok w kierunku Amalii.

– I ja – dołączyła do niej podkuchenna.

Za nimi zaczęły występować inne kobiety, młode i stare. Nie było ich dużo, bo Zbigniew nie miał zbyt licznej służby, jednakże zgłosiły się wszystkie.

– W takim razie – Amalia uśmiechnęła się do nich z wdzięcznością – niech część z was zajmie się przygotowaniem miejsca dla ludzi ze wsi, którzy zaczną się tu zaraz schodzić. Musimy dać im bezpieczne schronienie. Reszta niech postawi gary na ogniu i poszuka jakichś kamieni, koło kaplicy leży ich mnóstwo.

Grupka mężczyzn stała niezdecydowana na środku dziedzińca. Spoglądali po sobie spode łba, widząc, że pani Amalia przestała się już nimi interesować. Wydawała polecenia tylko kobietom.

Pierwszy nie wytrzymał kowal, ciemnowłosy olbrzym w skórzanym fartuchu.

– Dobrze. – Splunął pod nogi i wystąpił z szeregu. – Gadajcie, pani, co mam robić.

Za nim powoli i z ociąganiem podążyli inni. Widać było, że każdy z nich tylko czekał na tego pierwszego odważnego.

Na dziedziniec zszedł zasapany astrolog Grzegorz. Najwidoczniej wiedział już, co się dzieje.

– Widziałem z wieży trzech konnych nad rzeką – rzekł. – Trzeba zamknąć bramę.

– Czekamy na mieszkańców wioski – odparła.

– Nic im nie pomoże, jeśli zaraz tu wjadą te zbiry od Emeryka i opanują zamek.

– Nie zamknę bram przed nosem kobiet i dzieci.

– Ich mężowie powinni bronić chałup.

– Czym, mistrzu? Motykami i grabiami?

– Wasze bezpieczeństwo jest najważniejsze.

– Nie. Nie jest. Odpowiadam teraz za tych ludzi. Jeśli macie mi dawać takie rady, wracajcie lepiej do pracowni i badajcie plamy na Księżycu.

Pierwsi uciekinierzy pojawili się już przy bramie. Rozpoznawała ich twarze, znała też imiona wielu z nich: Ofka, Dobiesława, chuda Tomka, rudowłosa Piechna, rybak Kajetan, ksiądz Piotr. Wszyscy byli przerażeni. Amalia dostrzegła Hannę, z koszem przewieszonym przez ramię, dźwigającą pod pachą coś, co wyglądało jak... księga?

Nie miała jednak głowy, by teraz się nad tym zastanawiać.

– Jesteście wszyscy? – zapytała głośno, rozglądając się. – Obcy są już w wiosce?

– Jeszcze nie – odparła Hanna.

– Jeszcze nie wszyscy czy jeszcze nie ma zbrojnych?

– I jedno, i drugie.

– Kogo nie ma?

– Zofii i jej synka. Mieszkają w lesie.

Amalia przypomniała sobie młodą kobietę, której dziecko miano przekazać Węgierce, gdyby jej własne okazało się martwe albo kalekie.

– Trzeba po nią posłać – zadecydowała.

– Pani, musimy zamykać bramę – rzekł wartownik.

– Kto pójdzie po Zofię? – zapytała Amalia, spoglądając na mężczyzn.

Wszyscy odwrócili wzrok.

– Nikt? Tacy z was rycerze?

– Zofia ucieknie w głąb lasu – odparł jakiś łysy wążacz.

– Tak? Ucieknie? I co? Będzie się tam w czasie oblężenia karmić jagodami i korzonkami? Ma małe dziecko.

– Zawsze się trzymała na uboczu.

Amalia nie wytrzymała:

– Skoro mąż pozostawił ze mną tylko nieudaczników, pójdę sama.

– Pani... – Astrolog chwycił ją za ramię. – Nie pozwolę...

– Nie dbam o wasze pozwolenie.

Podeszła do niej Hanna.

– Wiem, jak do niej trafić, omijając wieś – oświadczyła. – Przy furtce jest zarośnięta ścieżka przy samym murze. Tak nawet będzie szybciej. Pójdę z wami.

Zanim ktokolwiek zareagował, były na zewnątrz.

– Możecie zamykać – rzekła Amalia do strażnika. – Jak wrócimy, otworzycie nam.

– Ja też idę. – Astrolog odzyskał odwagę.

Brnęli przez kolczaste krzaki, przy samym murze. Amalia czuła, jak w głowie jej dudni, jakby ktoś uderzał w bęben. Nie wiedziała, czy robi dobrze, czy nierozsądnie. Nie było czasu na zastanawianie się. Grzegorz wyglądał dziwnie w swej cudacznej szacie pośród tych krzaków, które strącały mu z głowy kapelusz.

Cała trójka przeszła przez strumyk i przecięła łąkę schodzącą w kierunku lasu. Po lewej był staw, a za nim drewniany kościół z cmentarzem. Jeśli najeźdźcy znaleźli się już w wiosce, zapewne zaraz ich dostrzegą. Lecz Amalia nie słyszała żadnych ludzkich głosów. Miała nadzieję, że nie był to jeszcze napad, tylko rekonesans, a ci trzej jeźdźcy nie odważą się atakować.

Nękani przez owady, zeszli między drzewa, w chłodny cień sosnowego lasu.

Dopiero wtedy Amalia zauważyła, że przy jej nodze biegnie wierny i nieustraszony Platon.

– To tam. – Hanna wskazała na szałas, który, gdyby go nie pokazała, zlałyby się w oczach Amalii z otaczającą go roślinnością.

– Zofio! – krzyknęła żona Zbigniewa. – Uciekaj na zamek!

Żadnej odpowiedzi.

Gdy dotarli do szałasu, ujrzeli, że jest pusty.

Na klepisku leżała wiązka słomy, z belki zwisał jakiś zakopcony garnek. Całe to nędzne schronienie nie wyglądało na miejsce, które daje osłonę przed wiatrem czy tym bardziej deszczem. Amalia poczuła dreszcz na myśl, że ta kobieta i jej synek musieli mieszkać tu również w zimie. A ona narzekała na swój los, wylegując się w dobrze nagrzanym komnacie, w łóżu z baldachimem!

Panowała cisza, jeśli nie liczyć brzęczenia owadów.

– Może zdążyła już uciec i jest u nas? – powiedział zasapany astrolog.

Amalia rozejrzała się bezradnie.

Należało szybko podjąć decyzję – szukać Zofii dalej, coraz bardziej narażając zamek na atak, czy wrócić za mury? Nienawidziła w tej chwili swojego męża za to, że dopuścił do sytuacji, gdy ona musi stawać przed takimi wyborami. Tyle razy przekonywał ją, iż sprawa z bratem jest raz na zawsze załatwiona. Pysznił się spalaniem jego wioski niczym Ryszard o Lwim Sercu podbojem Palestyny, a ona – głupia – przytakiwała mu, by nie wprawić małżonka w złość, przytakiwała, zamiast odważnie zapytać, co będzie, jeśli jego brat nie uzna jednak sprawy za „załatwioną”. Jakim brakiem wyobraźni trzeba się odznaczać, by wyjechać z Roźnowa, pozostawiając zamek praktycznie bez obrony?

– Wracamy – wyszeptała zrezygnowana Amalia. – Bóg widzi, że próbowaliśmy...

Już mieli odejść, gdy Platon zaczął merdać ogonem i z radosnym poszczekiwaniem w kilku susach dopadł ciernistych krzaków za szałasem.

– Są – z westchnieniem ulgi rzekła Amalia.

Dobrze znała swego psa – wiedziała, że tak zachowuje się wtedy, kiedy odnajduje czyjąś kryjówkę i wyczuwa obecność dzieci.

W istocie, pomiędzy gałęzi rozległ się płacz malca.

– Zofio, jesteś tam? – Amalia postąpiła krok do przodu. – Nie bój się, to my. Musisz iść do zamku.

W krzakach zaszleściło i po chwili jej oczom ukazała się przestraszona czarnowłosa dziewczyna z dzieckiem na ręku.

Chuda, blada, rozczochrana, w podartej przez zarośla sukni, wyglądała trochę jak czarownica i Amalia bezwiednie pomyślała, że nic dziwnego, iż ukrywa się na uboczu – mieszkańcy wsi zapewne jej się bali, jak zresztą każdego, kto nie był do nich podobny. Platon kręcił się koło jej nóg, zachwycony tą zabawą w chowanego i najwidoczniej czekając na jej dalszy ciąg.

– Obcy... – wyszeptała. Oczy miała wielkie z przerażenia i rozpacz.

– Tak, wiem – łagodnie odpowiedziała Amalia. – Ale jesteś już bezpieczna. Chodźmy na zamek.

– Na zamek?

– Tak. Właśnie tam.

Jeszcze nigdy pani na Rożnowie nie modliła się tak gorąco jak podczas drogi powrotnej do twierdzy. Złożyła Bogu wszelkie możliwe przyrzeczenia, byle tylko zdążyli wejść na dziedziniec i zamknąć za sobą bramę. Szła najszybciej, jak potrafiła, z opuszczoną głową, nawet nie rozglądając się na boki, czy ktoś za nimi jedzie. Jakby to, iż nikogo nie widzi, oznaczało, że naprawdę nikogo nie ma. Nie reagowała na ukąszenia komarów i płaczącego się pod nogami Platona.

Bóg wysłuchał jej modlitw, dotarli bezpiecznie, a strażnicy opuścili za nimi ciężką kratę.

Radość Amalii nie trwała jednak długo, młoda kobieta musiała zacząć się zastanawiać, co dalej. Od jej decyzji zależał los wielu ludzi.

Ponieważ jej małżonek okazał się skończonym głupcem, ona powinna użyć całego swego rozumu.

ROZDZIAŁ ÓSMY

KRAKÓW, CZERWIEC 1392

Chyba tylko w gospodzie Pod Czarnym Psem mogło się zdarzyć, by przy wspólnym stole pili ze sobą piwo bogaty Izraelita z żydowskiej gminy oraz dominikanin z kościoła Świętej Trójcy.

Gdy tylko do ich wspólnego biesiadowania dochodziło, a działo się tak przynajmniej raz w tygodniu – z wyjątkiem, rzecz jasna, sobót, niedziel oraz innych dni dla któregoś z nich świętych – wokół zbierało się mnóstwo ludzi.

Nic w tym dziwnego, zarówno Jakub z Przemyśla, jak i ojciec Kleofas należeli do najbarwniejszych postaci Krakowa, a ich na pół zacięte, na pół żartobliwe dysputy zdawały się ciekawsze niż popisy ulicznych igrców.

Zwłaszcza gdy obaj trochę sobie wypili.

A lubili wypić.

Ojciec Kleofas, korpulentny, łysawy i zawsze uśmiechnięty, mimo kościelnych zakazów lubił zachodzić do karczmy i pić piwo, póki nie trzeba go było wyciągać z izby i odprowadzać do klasztoru, wysłuchując po drodze kazań, które postawiłyby na nogi cały podzielony teraz na dwie części Kościół, gdyby ktokolwiek w Rzymie lub Awinionie przypadkiem któreś z nich usłyszał.

Teraz przysiadł się do niego jakiś łaziebnik w spiczastym, czerwonym kapturze, niemłody już mężczyzna z orlim nosem.

– A mój syn, ojcze, właśnie nabył w Magdeburgu kości Świętego Wincentego. Część jego prawego ramienia.

– Gratuluję – odparł Kleofas.

– Ile to może być warte w Krakowie, wie może ojciec?

– Pytacie ile?

– Ano. Z Niemiec przecież. Z pisemnym potwierdzeniem.

– Niechaj się zastanowię.

Przez jakiś czas wszyscy wpatrywali się uważnie w marszczącego czoło dominikanina.

– Tyle co kacze gówno – zawyrokował wreszcie zakonnik.

Słuchacze zamarli ze zdumienia.

– Jakże to? – wybąkał mężczyzna. – Przecież rzecz święta.

– Ani trochę.

– Oszukali go?

– Oto moja dobra rada – rzekł poważnie Kleofas, upiwszy łyk piwa, czwartego już tego popołudnia. – Zaprawdę powiadam wam, nie kupujcie relikwii od Niemców. Chytrzy to ludzie. A jak już kupicie coś w Magdeburgu, to przepadliście z kretelem. Zamiast kości świętego sprzedadzą wam tam szczątki doczesne jakiegoś kaleki czy innego połamańca, którego jedynym w życiu osiągnięciem było to, iż ustrzelił z procy wiewiórkę. I to dopiero za trzecim strzałem.

– Nie może być, ojczy – zdumiał się łaziebnik.

– Ano może, przyjacielu. Klnę się na swój habit. Sam byłem świadkiem, jak pewna dama z Florencji, powabna skądinąd istotka, za ciężkie pieniądze zakupiła w tymże Magdeburgu wskazujący palec wisielca powieszzonego za kradzież koni, mniemając, iż to nic innego jak Palec Boży.

Wszyscy ryknęli śmiechem, w tym Jakub, wystrojony jak zwykle, w zawoju na głowie, który mógł nasuwać myśl o poganiaczach wielbłądów na pustyni.

Ten również był na językach całego miasta.

Żydzi, jak powszechnie wiadomo, mieli swoją gminę w okolicach kościoła Świętej Anny. Dało się tam wejść tylko przez furkę, gdyż cały teren został odgradzony od reszty miasta ceglany murem. W jego obrębie mieli własne domy, warsztaty, jedną synagogę, a może i więcej – kto to mógł sprawdzić? – własny sąd i radę starszych. Wszyscy trzymali się razem, opuszczali swój świat tylko w interesach.

Ale nie Jakub.

On swobodnie wędrował po Krakowie, zaglądał do karczem, a już zwłaszcza do tej Pod Czarnym Psem.

Mówiono o nim najdziwniejsze rzeczy. Że jest wyklętym przez swoich rabinem albo ormiańskim szpiegiem. Albo że jest bratem Lewki, największego krakowskiego bankiera, właściciela żup wielickich, wielkiego pana, który pożyczał pieniądze wawelskim monarchom od czasów króla

Kazimierza i pożyczka je wszystkim do dzisiaj, na lichwiarski sposób biorąc grosz od grzywny każdego tygodnia spłaty.

Najprawdopodobniej jednak zajmował się tym, czym trudniła się większość Izraelitów, czyli przepływem towarów i gotówki. Mówiono, że u Jakuba można załatwić wszystko – od zakupu kusz po uniewinnienie za kradzież.

– Czcigodny Kleofasie – powiedział teraz Jakub, gładząc siwą, sięgającą piersi brodę. W przeciwieństwie do dominikanina był chudy jak tyczka i już równie jak tamten podchmielony. – Mój ty stary przyjacielu. Mowa twoja jest czystym złotem i kadzidłem, słodką pieśnią cytry, lecz...

– Lecz?

– Ośmielam się sądzić, iż nigdy nie byłeś w Magdeburgu, a co więcej, nie wiesz nawet, gdzie on się znajduje.

– Tak powiadasz, potomku Abrahama? – odparł duchowny, gotów już do kolejnej słownej potyczki.

– Owszem, albowiem nikt tego nie wie – z powagą odparł Izraelita. – Miasto owo nie jest wymienione ni razu w Piśmie. A to, wedle wszelkich praw Tory, oznacza po prostu, że nie istnieje.

Znowu rozbrzmiały śmiechy, zgromadzeni przy stole kaletnicy, murarze i kapelusznicy poklepywali się po kolanach.

Właśnie po to tutaj przychodzili.

Ponieważ Milda знаła aż nazbyt dobrze powiedzonka zarówno Jakuba, jak i Kleofasa, uśmiechała się tylko pod nosem, krążąc między stołami, z dzbanem piwa w rękach. Od miesięcy była milcząca i zamknięta w sobie, jakby nieobecna. Nie reagowała na prostackie zaczepki podpitych klientów, często nie słyszała nawet poleceń Marcina. Niektórym wydawało się, że jest trochę słabowita na umyśle, lecz jej nie dokuczano. Wydawała się taka niewinna, no i była piękna. Grubiańskie odzywki zwykle zamierały ludziom na ustach.

Nie przestawała myśleć o Varnasie.

Jej przeczucia co do niego się potwierdziły, kiedy zimą została wezwana przez ciemnowłosego mężczyznę do królowej na Wawel. Jadwiga przekazała Mildzie to, o czym ta właściwie już wiedziała: Varnas został

pojmany pod Wilnem przez Krzyżaków. Dowiedziała się również, że przeniesiono go z Kowna, prawdopodobnie do Malborka. Czy tam dotarł, nikt na dworze nie miał pojęcia, podobno szpiedzy nie potwierdzili, aby Litwin znajdował się w krzyżackiej stolicy. Ale też nikt nie potwierdził jego śmierci.

Nikt nie musiał tego robić, Milda bowiem była pewna, że jej brat żyje.

Żył, ale nie potrafiła go nigdzie dostrzec. Ostatni raz, gdy nawiązała z Varnasem bliższy kontakt, słyszała szum rzeki i czuła lodowaty chłód. Dodawała mu wtedy otuchy i chyba to słyszał, bo odpowiadał myślami.

Najważniejsze jednak, że żył.

Jeśli chodzi o pierwsze po wielu miesiącach spotkanie z Jadwigą, to odbyło się ono w dziwnej, by nie rzec: chłodnej atmosferze.

Milda natychmiast się zorientowała, że królowej musiano naopowiadać o niej najgorszych rzeczy, i nawet wiedziała, kto za tym stał. Monarchini rozmawiała z nią oficjalnie, zimnym tonem. Wypytywała, gdzie Milda mieszka, z kim się zadaje, czemu pracuje w karczmie. Litwinka odpowiadała ostrożnie, nie chcąc wyjawiać wszystkiego. Mówiła o paserce oraz o napadzie, lecz nie podzieliła się podejrzeniami, iż napastnik prawdopodobnie działał z polecenia Krystyny. Gdy Jadwiga zapytała, czy jej nie trzeba pieniędzy, odparła dumnie, że zarabia na swoje utrzymanie uczciwą pracą. Po tym rozmowa szybko się skończyła, królowa na odchodnym tylko życzyła Mildzie szczęścia.

I tyle.

Ani cienia dawnej przyjaźni.

Dystans między nimi powiększył się do niesamowitych rozmiarów. Dziewczyna zrozumiała, że ta część jej życia, która była związana z wawelskim dworem, to już zamknięta przeszłość.

No i dobrze. Milda nie wyobrażała sobie powrotu na zamek, do tego gniazda żmij. A już zwłaszcza teraz, gdy nie było tam ukochanej Amalii. Przywykła do nowego, prostego życia. Nie tęskniła za bogatymi sukniami, w których zawsze czuła się jak wystrojona lalka, ani za tańcami i próżniaczym trybem dnia, polegającym głównie na tym, by zabić czas

i pokonać jakoś wszechobecną nudę. W jej obecnym życiu nie było miejsca na próżnowanie, każdego dnia pracowała, jadła, spała.

Naraz na zewnątrz rozległy się kobiece śpiewy.

Wszyscy w karczmie umilkli, wpatrzeni w drzwi. Wiadomo było, kto właśnie nadchodzi.

– To znowu oni – mruknął Marcin, spojrzawszy na Mildę, która również znieruchomiała nad klientem i jego kuflem.

Nadchodzili „bosi”.

Kaznodzieja Barnaba i jego świta.

Po raz pierwszy pojawili się w Krakowie zimą i od razu po przekroczeniu Bramy Świętego Floriana zawitali do karczmy Pod Czarnym Psem. Było ich troje – dwóch mężczyzn i kobieta. Usadowili się wtedy w kącie izby i zamówili tylko chleb oraz wodę. Mężczyźni nosili mnisie habity z kapturami naciągniętymi na twarze. Zachowywali się bardzo pokornie i cicho, sprawiając trochę wrażenie wędrownych żebraków. Lecz o nic nie żebrali. Towarzysząca im kobieta nie była stara, lecz miała całkiem białe, rozpuszczone włosy. Kiedy się posilili, zapłacili za chleb, jeden z mężczyzn uczynił znak krzyża i wyszli.

Potem wracali do karczmy przynajmniej raz w tygodniu, jakby właśnie tu czuli się najbezpieczniej. Tyle że za każdym razem towarzyszyło im coraz więcej osób, głównie młodych kobiet. Jak się okazało, byli to znaleźieni w Krakowie nowi wyznawcy. Bo mężczyzna, wokół którego się gromadzono, sam siebie nazywał prorokiem – Barnabą Czarnym.

Wieść o ich pobycie w mieście rozeszła się błyskawicznie, a o Barnabie zaczęły krążyć najdziwniejsze, czasami sprzeczne ze sobą historie. Powiadano, że to zbiegły z klasztoru mnich. Inni mówili, że nie jest duchownym, tylko prostym chłopem z Mazowsza, który doznał objawienia na polnej drodze. Jeśli mu się bliżej przyjrzało, łatwo było w to uwierzyć. Na pierwszy rzut oka zdawał się niepozorny, trudno było nawet odgadnąć jego wiek. Nie wydawał się starcem, to na pewno, ale ile tak naprawdę mógł mieć lat – nie wiadomo. Niski, drobny, zgarbiony, o długich czarnych włosach i gęstej czarnej brodzie, z cofniętym czołem, słowem, był brzydki jak noc.

Kiedy jednak spojrzęło mu się w oczy, dostrzegęło się w nich coś niezemskiego. Spojrzenie miał rozświetlone, a jednocześnie niezwykle przenikliwe, jakby przeszywające każdego na wylot.

Ten niepozorny człowieczek rzucał na innych czar.

Odczuła to również Milda – co najgorsze, nie potrafiła dostrzec, kim jest Barnaba, jakby patrzyła w nocne niebo.

Podobno szedł z północy, a Kraków był tylko przystankiem na jego drodze, bowiem podążał do samego Rzymu, na spotkanie z papieżem, niczym Święty Franciszek. Wszędzie po drodze wygłaszał kazania, w miastach, miasteczkach, we wsiach, na łąkach i pastwiskach. Pachniały one herezją: nazywał biskupów faryzeuszami, nauczał, że każda osoba świecka może głosić słowo Boże i odpuszczać innym grzechy. O zgrozo, mogą to robić również kobiety.

Prawdopodobnie z tego powodu kręciło się wokół niego dużo niewiast, najczęściej bardzo młodych, wpatrzonych w Barnabę jak w święty obrazek i śpiewających radosne pieśni.

Właśnie takie jak w tej chwili.

Barnaba wszedł do karczmy, jak zwykle zgarbiony, wsparty na kosturze. Uśmiechnął się do Marcina, ukazując zadziwiająco zdrowe zęby.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – rzekł z daleka.

– A żeby cię tak obesrało – mruknął pod nosem właściciel, ale skłonił się lekko i odpowiedział: – Na wieki wieków, amen.

– Czemu po prostu nie wyrzucisz go na ulicę? – spytał Żyd, gdy Barnaba zasiadł na swoim zwykłym miejscu w kącie.

– Nie mam powodu. Burd nie urządza, kazań tutaj nie głosi. Poza tym słyszałem, że kiedy ktoś go usunął z przydrożnej gospody, to potem owa gospoda spłonęła od pioruna.

– Tobie piorun nie grozi – zapewnił ojciec Kleofas.

– A wiadomo, czy był to piorun? Może te rozśpiewane południce podłożyły ogień? Wyglądają mi na opętane.

Jak na zawołanie „południce” właśnie pojawiły się w karczmie, każda uśmiechnięta, o nieobecny spojrzeniu. Najmłodsza z nich nie mogła mieć więcej niż czternaście lat. Najstarsza, z białymi włosami, może ze czterdzieści. Wszystkie wyglądały na kobiety z najuboższych warstw. Zamiast czepców nosiły na głowach kwietne wianki.

– Czują się adorowane – powiedział Jakub. – To zapewne skrzywdzone i odrzucone dziewczki, które przy nim czują się piękne i bezpieczne.

– A co w tym złego? – spytała Milda. – Chyba każdy tego pragnie.

– Ano nic, łasiczko – odparł Izraelita. – Wszelakoż nikt tego na tym padole łez nie osiągnie. Popatrz na mnie, nie jestem dziewczką, noszę długą, patriarchalną brodę, pamiętam jeszcze króla Kazimierza i mam w mieście jaki taki szacunek. Ale w każdej chwili zwykli żacy mogą spalić mój dom, bo ktoś rozpuści pogłoskę, że oto Żydzi zabili chrześcijańskie dziecko. Albo zatruli studnie. Co do tych pięknych dam: przy nim akurat nie są bezpieczne. Wykorzystuje je do własnych celów. A one, no cóż, prędzej czy później trafią razem z nim na stos.

– Rzekłeś – odparł nadspodziewanie poważnie ojciec Kleofas.

– Oho. – Jakub spojrzał na kompana czujnie spod swych siwych krzaczastych brwi. – Zdaje mi się, że ktoś wie tu coś więcej niż my.

– Nic nie powiedziałem.

– Powiedziałeś wystarczająco wiele. Czyliż twój zakon nie jest głównym oparciem dla rzymskiej inkwizycji? Uczni jesteście w teologii i w prawie, nie mam racji?

– Zmieńmy temat.

– A więc jakiś dominikański inkwizytor pojawił się już w kościele Świętej Trójcy? – nalegał Izraelita.

– Pojawił się albo i nie.

– Czyli się pojawił. Dla starego Żyda lepiej więc będzie nie siedzieć w jednym pomieszczeniu z heretykami. Na stos mi niespieszno, jeszcze aż tak mi stare kości nie marzną.

Jakub podniósł się z ławy, zgarnął swą długą szatę w kolorowe pasy i odprowadzany przestraszonymi spojrzeniami gawiedzi, skierował się do wyjścia.

– I wam, przyjaciele, też radzę przenieść się do innego szynku – rzekł na pożegnanie, nie odwracając nawet głowy.

Ludzie zaczęli w pośpiechu dopijać piwo i także podnosili się ze swoich miejsc. Po chwili – ku wściekłości właściciela – karczma niemal się wyludniła.

– Brakowało mi tu tylko heretyków, inkwizycji oraz papieża – syknął gospodarz, kręcąc głową.

Milda nie mogła opuścić karczmy, chociaż słowa Izraelity także ją trochę zaniepokoiły. Miała przykre doświadczenia z duchownymi oraz ich sądem. Delikatnie mówiąc. Nie pozostawało jej jednak nic innego, jak obsłużyć gości.

Kiedy przyniosła chleb i wodę do stołu Barnaby – goście tylko to spożywali – starała się nie okazywać, że gdyby to od niej zależało, wygnałaby ich wszystkich precz.

– Jest w tobie wielki smutek, dziewczyno – odezwała się na jej widok białowłosa.

Powiedziała to łagodnie i z miłym uśmiechem. Jej towarzyszki tylko pokiwały udekorowanymi kwieciami głowami.

– Słucham?

– Przepraszam, nie chciałam cię przestraszyć – odparła kobieta. Jej oczy były wyblakłe i przywodziły na myśl osobę obłąkaną. – Po prostu widzę w tobie samą siebie w młodości.

– Wątpię, byśmy miały podobną młodość.

– Ja również utraciłam wszystkich...

Litwinka zamarła.

– Skąd wiecie, że...

– Barnaba to dostrzegł już pierwszego dnia, gdy cię zobaczył, siostrze. On czyta w ludziach jak w otwartej księdze.

Kaznodzieja podniósł głowę znad misy z chlebem i spojrzał na Mildę, aż musiała odwrócić wzrok.

– Muszę iść – rzekła szybko.

– Utracić wszystkich, siostrze, to jeszcze nie najgorsze, co może się zdarzyć – rzekł Barnaba głębokim basem. – Gorzej jest utracić samego siebie.

– Nic o mnie nie wiecie.

– Żyjesz jak w klatce – ciągnął cichym głosem mężczyzna. – Twoja nieśmiertelna dusza miota się w tym więzieniu. To miasto jest więzieniem, a jego mieszkańcy strażnikami. Przyłącz się do nas, siostrze, zacznij żyć naprawdę.

– Nie dam się nabrać na te sztuczki, powinniście stąd wyjść.

Na pomoc Mildzie przyszedł właściciel karczmy. Stał za jej plecami, założywszy potężne ramiona na piersi.

– Nie chcemy tu kłopotów – oświadczył, próbując nadać swej przemowie groźny ton; mimo imponującej postury był raczej lękliwy. – Zostawcie dziewczynę w spokoju. Radzę wynieść się z miasta, bo już mają was na oku. Inaczej spłoniecie jak chochoły.

Drzwi do karczmy się otworzyły i stanął w nich podróżny w szarym płaszczu i kapeluszu z szerokim rondem, lecz nikt teraz nie zwrócił na niego uwagi.

– Nie ziemskiego ognia się lękamy, mój bracie – oświadczył spokojnie Barnaba, przeżuwając chleb – lecz tego, który niebawem strawi ziemię. Nadchodzą dni ostatnie, a przeżyją tylko pokorni i ubodzy. Wyzwoleni z ziemskich klatek. „Hoti chronos ouketi estai”, powiada anioł. Nie będzie już zwłoki.

Papieski inkwizytor, pięćdziesięcioletni dominikanin ojciec Gwidon, miał doprawdy paskudną podróż.

Przez cały ostatni etap drogi z Wrocławia do Krakowa nękała go biegunka, ponieważ zepsuł sobie żołądek marnym winem w przydrożnym zajęździe. Nie pomagało śpiewanie psalmów ani ziołowe napary, wciąż musiał robić postoje, aby znaleźć jakieś zarośla przy drodze i sobie ulżyć, przez co podróż bardzo się wydłużyła. Kiedy wreszcie dotarł do bram Krakowa, czuł się wyczerpany i słaby.

Jednakże nie zamierzał się nad sobą użalać, przez lata nauczył się ignorować bolączki ciała, podobnie jak i duchowe zwątpienia, ponieważ był narzędziem w ręku Boga, a narzędzie się nie skarży, tylko wykonuje swą pracę. Działał na zlecenie samego papieża i jego zadaniem było wyplenić herezję, która zawitała do stolicy Królestwa Polskiego. Na Gwidonie spoczywała olbrzymia odpowiedzialność, ponieważ w swej misji był niezależny zarówno od krakowskiego biskupa, jak i od własnego zakonu w tym mieście. Choć miał za sobą autorytet Ojca Świętego i całego Kościoła, między heretyckie wilki musiał wejść samotnie.

Zresztą, szczerze powiedziawszy, nie potrzebował pomocy tutejszego duchowieństwa. Miał o nim jak najgorsze zdanie. Doszły go wieści, iż

mnóstwo tutejszych księży bardziej dba o przyjemności ciała niżli o zbawienie wiernych. Nie był to naturalnie problem wyłącznie stolicy, lecz tutaj, gdzie pozycja Kościoła zdawała się tak silna, szczególnie raził. Duchowni żyli w związkach z kobietami, mieli z nimi nieślubne dzieci, chodzili do karczem, gdzie się upijali lub grali w kości. Wyjawiali tajemnice spowiedzi, a nawet sprzedawali święconą wodę. Tak, to prawda, że w zachodnich krajach moralne zepsucie sięgało jeszcze głębiej – bo był to w ogóle nikczemny czas dla całego Kościoła – mimo wszystko Gwidon czuł głównie obrzydzenie wobec polskiego kleru.

Sam uważał się za przedstawiciela „dawnego” pokolenia bożych wojowników, tych, którzy odzyskiwali w Palestynie Grób Pański. Już sam jego wygląd wzbudzał respekt: dominikanin był wysokim mężczyzną, z szerokimi barami i mocnym, rzymskim nosem, po którego obu stronach wiodły wzdłuż policzków głębokie bruzdy. Spojrzenie jego szarych oczu wydawało się zimne i twarde jak skuwający rzekę lód. Grzesznicy pod wpływem tego człowieka tracili ducha.

Kto, jeśli nie on, mógłby skutecznie stawić czoła nieprzyjaciołom Wiary?

Natychmiast po przyjeździe do Krakowa Gwidon udał się do klasztoru Dominikanów. Nie odpoczywał długo. Poszedł na mszę, przespał trzy godziny w celi, zjadł skromny posiłek, a następnie nakazał przekazać sobie wszystko, czego dowiedziano się do tej pory o działaniach sekty plugawego Barnaby.

O nim samym wiedział już to i owo z raportów napływających do Wrocławia z innych miejscowości. Miał do czynienia z fałszywym prorokiem, wiejskim oszustem z Mazowsza. Barnaba pochodził z wioski Czarne Błota, naprawdę nosił imię Tomasz, był synem bednarza Jaśka i już we wczesnej młodości skazywano go za oszustwa i drobne kradzieże. Kilka lat temu ogłosił, iż doznał nad rzeką objawienia, w którym Jezus Chrystus nakazał mu ratować ziemski Kościół.

Gwidon wątpił w to, że prosty chłopiek mógł sam coś takiego wymyślić.

Wedle inkwizytora Tomasz alias Barnaba musiał spotkać na swej krętej drodze życiowej jakiegoś waldensa, który go wtajemniczył w szczegóły

herezji. Nauki samozwańczego kaznodziei zbyt bowiem przypominały właśnie niebezpieczne poglądy waldensów, aby mógł to być przypadek.

Gdy Gwidon dowiedział się wszystkiego, czego miał się dowiedzieć, opuścił mury kościoła Świętej Trójcy i udał się na poszukiwania sekty. Nie musiał długo szukać, przechodnie szybko wskazali mu drogę do gospody Pod Czarnym Psem. Dotarł na miejsce po południu, w skwarze czerwcowego słońca, w zakurzonym podróżnym płaszczu oraz kapeluszu z szerokim rondem.

Kiedy tylko wszedł do mrocznego, dusznego wnętrza, od razu ujrzał Barnabę otoczonego młodymi niewiastami. Większość z nich miała na głowie pogańskie wianki, a jedna – najładniejsza z nich – biały czepek. Nikt nie zauważył jego wejścia, ludzie wbijali wzrok w fałszywego proroka, jakby patrzyli na samego Zbawiciela.

Pierwsze słowa, jakie usłyszał inkwizytor po przekroczeniu drzwi karczmy, pochodziły z ust samego przywódcy, lecz w uszach Gwidona zabrzmiały jak dźwięk trąby:

– Hoti chronos ouketi estai.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

ROŻNÓW, CZERWIEC 1392

Zamek, który do tej pory wydawał się Amalii czymś w rodzaju małżeńskiego więzienia, nagle przeistoczył się w bezpieczne schronienie.

Godzinę po tym, jak wszyscy mieszkańcy wsi schronili się w obrębie murów, w Rożnowie pojawili się ludzie Emeryka. Prowadził ich sam duchowny, otyły ponad wszelką miarę, z obliczem zbirą, ubrany w złoto i szkarłaty. Dosiadał czarnego konia, który zdawał się uginać pod tak wielkim ciężarem. Pomiędzy drzewami i zaroślami metalicznie połyskiwały pancerze i kolczugi.

Gdy napastnicy zorientowali się, że ludność uciekła, a bramę zamknięto, zaczęli objeżdżać mury w poszukiwaniu słabych punktów. Nikt nie starał się rozmawiać z załogą, nie było żadnych żądań ani ultimatum.

Amalia obserwowała napastników z okna wieży, w towarzystwie mistrza Grzegorza oraz dowódcy straży, Mściwoja, potężnego jak żubr i dosyć jeszcze młodego mężczyzny z rzadką bródką.

– Ilu ich może być? – spytała. Miała narzucony na ramiona długi brązowy płaszcz z wyhaftowanym roślinnym wzorem.

– Na moje oko dwudziestu – odparł rycerz – ale nie widzimy wszystkich. Reszta jest z tyłu.

– Nie palą zabudowań?

– Nie opłaca im się. Zamierzają pewnie rozłożyć się we wsi i czekać.

– Na co?

– Aż zacznie nam brakować jedzenia.

– Czyli nie będą zdobywać murów?

– Nie mają czym. To nie zakonni.

– A ile mamy żywności?

Tutaj wtrącił się astrolog.

– Biorąc pod uwagę, że przygarnęliśmy całą wieś – powiedział, kierując w okno spojrzenie bez wyrazu – to przy ostrożnych rachunkach starczy na kilkanaście dni.

Amalia westchnęła.

– Czyli nie przetrwamy do powrotu Zbigniewa?

– Nie – odpowiedział Grzegorz. – I oni o tym wiedzą.

Dotknęła kciukami skroni, starając się pozbiierać myśli.

Wszystko to wyglądało beznadziejnie. Jak się okazało, zamknięcie się w zamku nie oznaczało jeszcze ratunku, ale oznaczało jedynie dłuższe obłączenie. Wcześniej czy później będą musieli otworzyć bramy, jeśli nie chcą umrzeć z głodu. Oczami wyobraźni ujrzała, jak z całą załogą urządzają polowanie na szczury, aby móc je opiekować nad ogniskami – i natychmiast odrzuciła od siebie ten odrażający widok.

– Ludzie Emeryka też potrzebują jedzenia, prawda? – spytała wreszcie.

– Tak – odrzekł Mściwój, gładząc się po byczym karku – ale mają zapasy ze wsi, zwierzęta gospodarskie, rzekę, no i las.

Amalia odeszła od okna i zaczęła krążyć po pomieszczeniu, splótłszy dłonie za sobą. Musiało być jakieś wyjście z tej sytuacji, tyle że w tej chwili nie widziała żadnego. Absolutnie żadnego.

– Gdybym wiedziała, że mamy więcej czasu, kazałabym zabrać im ze sobą zwierzęta i ziarno – powiedziała bezradnie.

– Nikt tego nie mógł wiedzieć – odparł ponuro astrolog, poprawiając zwisającą mu z ramienia wzorzystą pelerynę.

Tak, tego akurat nikt nie mógł wiedzieć, pomyślała Amalia.

W przeciwieństwie do faktu, iż Emeryk w każdej chwili może chcieć się zemścić. O tym powinni wiedzieć wszyscy, od Zbigniewa poprzez Amalię i Grzegorza, załogę aż do mieszkańców wsi. Lecz nikt się na to nie przygotował. Chociaż to pan zamku w pierwszej kolejności powinien zadbać o bezpieczeństwo swych ludzi, inni też nie zrobili nic, aby zapobiec takiej sytuacji.

Teraz nadeszła kara za niefrasobliwość.

Po zapadnięciu zmroku we wsi zapłonęły ogniska.

Zgodnie z przewidywaniem Mściwoja zbrojni Emeryka rozłożyli się tam obozem. Słysząc było śpiewy oraz pijackie krzyki, oblegający zdawali się bardzo pewni siebie. Nic w tym dziwnego, myślała Amalia. Bo czego mieli się obawiać? Wystarczyło poczekać, aż załoga zamku, przyciśnięta przez głód, sama otworzy bramę.

Z drugiej strony skąd mogli wiedzieć, że Zbigniew przed wyjazdem nie zaopatrzył zamku w żywność? Jeśli nie mieli tu żadnego szpiega, nie pozostawało im nic innego, jak opierać się na przypuszczeniach. Tłustemu Emerykowi zapewne nie uśmiechało się zbyt długie koczowanie w wiosce. Może po kilku dniach straci cierpliwość? Może skończy im się piwo i wino, więc awantura przestanie być zabawna? W końcu nie było to regularne wojsko, tylko zbieranina zbirów.

Może...

Ponieważ do zamku przybyło tak wiele osób, okazało się niemożliwe pomieszczenie ich wszystkich pod dachem. Większość mieszkańców wsi utworzyła na dziedzińcu coś w rodzaju obozowiska, kolejnego już w Rożnowie. Na szczęście było ciepło, noc pod gołym niebem nie wydawała się więc taka straszna. Rozpalono ogniska, przyniesiono z zamku pochodnie. Wydzielono wszystkim jedzenie i trochę wina. Aby nieco rozweselić kobiety i dzieci, Amalia przyniosła na dół swoją lutnię i zaczęła grać neapolitańskie pieśni ludowe, te same, których nauczyła się od włoskiego nauczyciela jeszcze w Budzie. Palce utraciły dawną sprawność, mimo to jej występ poprawił wszystkim humory, do tego stopnia, że młode dziewczyny nabrały odwagi i piskliwymi głosami odśpiewały kilka piosenek – przodowały w tym zwłaszcza Ofka, Piechna i Tomka – a Amalia na poczekaniu dołożyła do tego swój akompaniament.

W pewnym momencie na dziedzińcu zrobiło się niemal wesoło, niczym podczas jakiegoś ludowego święta.

Słyszając owe śpiewy i śmiechy, zbiry Emeryka zaczęły gwizdać i wykrzykiwać wulgarne teksty, jak to zaopiekują się tymi sikoreczkami, kiedy wreszcie dostaną się do środka. Kilku nawet podeszło pod mury, ale ludzie Mściwoja oraz mężczyźni ze wsi odpędzili ich strzałami z kusz

i kamieniami. Wprawdzie w ciemnościach nikogo nie trafiono, lecz skutecznie ostudziło to zapal żołądków. Odeszli w mrok, złorzeczając.

Potem część ludzi ułożyła się do snu, na słomie, owinięta w przyniesione z zamku koce oraz narzuty. Ci, którzy nie spali, rozmawiali ściszymi głosami. Jakieś małe dziecko cicho płakało, uspokajane czule przez matkę. Może to był nawet synek Zofii, Amalia nie mogła tego dostrzec w ciemnościach.

Ona sama nie zamierzała spędzać tej nocy w swojej sypialni, w miękkiej pościeli. Uznała, że powinna być tutaj ze wszystkimi. Nie chciała odgrywać niedostępnej księżniczki, kryjącej się w wieży. Zresztą nie sądziła, by mogła teraz zasnąć. Tak więc zajrzała tylko na chwilę do córeczki, nad którą czuwała Katarzyna, po czym wróciła na dół, przysiadła na kocu, owinięta wełnianym płaszczem, i zapatrzyła się w iskry strzelające z najbliższego ogniska. Czuć było zapachy dymu, słomy i końskiego nawozu – słowem, zwykłe zapachy wojennego obozowiska.

– Wasza lutnia, pani, przypomniła mi czasy dzieciństwa – usłyszała cichy głos Hanny. – Matka na niej grała.

– Wasza matka? – zdziwiła się Amalia.

– Tak. – Hanna usiadła ciężko obok niej. – W Pradze.

– Jesteście Czeszką?

Stara pokiwała głową.

– Teraz to już od dawna Polką. Nie pamiętam nawet języka czeskiego. Ale tak, urodziłam się w Pradze.

Amalia wyciągnęła nogi w stronę ogniska.

– Szczerze powiedziawszy, od początku wydawało mi się, że nie pochodzicie stąd – rzekła. – Od naszej pierwszej rozmowy.

– Wiem. Widziałam, że się domyślacie. Tylko nie miałyście śmiałości, pani, by zapytać. Pora chyba na powiedzenie wam prawdy. Jeśli i tak mamy wszyscy...

– Przestańcie, Hanno. Wyjdziemy z tego cało.

– Nieważne. Będzie, co ma być. Przez pół życia się ukrywałam przed takimi ludźmi jak Emeryk, zniosę i to.

Amalia spojrzała na Hannę, ale się nie odezwała. Czekwała. Nie chciała jej przynaglać. Jeśli dźwięk lutni przywołał u staruszki wspomnienie dawnego życia, nie chciała tego psuć swoją natarczywością. Wyglądało na to, że kobieta sama chce mówić – nieważne, czy dlatego, iż myśli o beznadziejnej

sytuacji, w jakiej wszyscy się znaleźli, czy po prostu tej nocy uczucia wzięły górę.

– Lutnia mojej matki była równie piękna jak wasza. – Hanna westchnęła.
– Cudownie malowana w ptaki i kwiaty. I te miękkie, czarodziejskie dźwięki pod palcami... Jako dziecko byłam nią zafascynowana, próbowałam sięgnąć do półki, na której leżała, ale ojciec nie pozwalał mi jej dotykać. Wcale się nie dziwię, to delikatny instrument, a w rękach niezdarnej, krzywej dziewczynki, takiej pokraki jak ja, nie wydawał się bezpieczny.

Pojawił się Platon i złożył pysk na kolanach swej pani, gdzieś w pobliżu jakiś mężczyzna chrapał głośno, wydając najdziwniejsze w świecie dźwięki, od świstu do basowego warkotu.

– Wasi rodzice byli bogatymi ludźmi? – spytała wreszcie Amalia, aby przerwać ciszę, jaka nastąpiła po ostatnich słowach Hanny.

– O, tak. Ojciec złotnik, dziadek magister prawa.

– Więc dlaczego...?

– Dlaczego opuściłam swój dom? Przez ten mój bagaż na plecach. – Poklepała się po wydatnym garbie. – Wiadomo. Byłam za brzydka, by wydać mnie za mąż, ojciec patrzył na mnie z odrazą, pozostał więc tylko klasztor. I to nawet nie w Czechach, bo byłabym chyba za blisko. Postanowił ukryć mnie przed światem na Śląsku. W Głogowie.

Amalia słuchała tego z wielkim smutkiem. Doskonale potrafiła sobie wyobrazić ojca wstydzącego się swojego dziecka, jeszcze do niedawna modliła się przecież, by jej własne urodziło się zdrowe. Aby dodać staruszce otuchy i odwagi, położyła dłoń na jej dłoni, szorstkiej i twardej jak u każdej wiejskiej kobiety. Ta drgnęła, prawdopodobnie zaskoczona tym życzliwym gestem, ale nie cofnęła ręki.

– To był klasztor klarysek – kontynuowała swą historię. W pomarańczowym świetle ogniska wyglądała równie staro jak zawsze, ale Amalia dostrzegła w niej teraz – chyba po raz pierwszy – jakiś blask, jakby ukryte piękno, coś, czego na co dzień ludzie chyba nie dostrzegali albo nie chcieli dostrzec w tej starej, garbatej kobiecie. To było coś w spojrzeniu Hanny, gdzie kryła się jej dusza.

– Nie czułam nigdy powołania, więc pierwsze lata okazały się ciężkie, zwłaszcza że byłam wtedy bardzo młoda. Ale w miarę upływu lat przywykłam i to miejsce stało się moim domem.

– Jednak nim nie pozostało? – cicho wtrąciła Amalia, bezwiednie głaszcząc psa, który też już zaczął cicho chrapać, przyłączając się do odgłosów z dziedzińca.

– Nie. Nie pozostało. Dziwne, ale nikomu jeszcze tego nie opowiadałam.

– Jeśli nie chcecie do tego wracać, Hanno, nie musicie.

– Za dużo już powiedziałam, żeby teraz się zatrzymywać w połowie, prawda? – Twarz kobiety zmarszczyła się w nieoczekiwanym uśmiechu. – Miejmy to za sobą. To w pewnym sensie wyjątkowa noc.

– O, tak. – Amalia rozejrzała się wokół. – Jesteśmy wszyscy tak blisko siebie, jak jeszcze nigdy nie byliśmy.

– To miejsce było moim domem, póki nie wzięły go w posiadanie demony – oświadczyła wreszcie Hanna głuchym głosem.

– Demony?

– A jak to inaczej nazwać? Potem, podczas kościelnego śledztwa, mówiono nawet o demonie Asmodeuszu. Ja tam nigdy go nie widziałam, ale wiele sióstr przysięgało, że do nich przemawiał.

Amalia nigdy nie słyszała tego imienia, lecz samo jego brzmienie wzbudziło w niej dreszcz, więc szczelniej otuliła się płaszczem. Na różne historie była dzisiaj gotowa, lecz nie na opowieści – o biblijnych zapewne – demonach.

– Było jakieś śledztwo? – spytała.

– I to niejedno.

To wszystko brzmiało coraz bardziej niepokojąco i złowrogo. Amalia doskonale pamiętała jeszcze wawelskie śledztwo, podczas którego ją i Mildę oskarżano o jakieś pogańskie czary i spowodowanie śmierci ojca Alberta. Wiedziała, jak to mniej więcej wygląda.

– Szukali demonów? – spytała.

– Bardziej tego, kto je sprowadził do klasztoru.

– I znaleźli?

– Zawsze znajdują. Prysłano do zbadania sprawy słynnego inkwizytora.

– I kogo oskarżono?

– Proste go plebana z sąsiedniego kościoła. Hugona.

– To on nasłał demony?

– Tak zeznały niektóre siostry i przeorysza. Ale mówiły też wiele innych rzeczy: że w ich ciałach znajduje się po siedem diabłów, a owe diabły podsuwają im plugawe i lubieżne myśli. Kilka mniszek obnażyło się podczas śledztwa, rzuciło z krzykiem na podłogę i zaczęło tarzać u stóp zakonnika. To było istne szaleństwo.

– A pleban?

– A pleban był jedynym mężczyzną w okolicy, jakiego w ogóle widywały. Zresztą jeszcze niestarym i wcale powabnym. Musiało więc paść na niego. Naturalnie pod wpływem tortur przyznał się do kontaktów z piekielnymi mocami i skończył na stosie. Lecz inkwizytorowi to nie wystarczyło, zaczął wyganiać demony z zakonnic, a w efekcie jego zabiegów dwie z nich zmarły z wycieńczenia. Uznał zatem, że klasztor jest we władaniu szatana, a mogło stać się tak tylko za zgodą sióstr. Słowem, to one go w dalszym ciągu przywoływały, utworzywszy coś w rodzaju sekty. Na pierwszy ogień poszły Czeszki i Niemki, w tym przeorysza. Szukano na ich ciałach śladów diabelskich pazurów. Ja byłam najmłodsza, w dodatku nie mówiłam nic o siedzących we mnie diabłach, nie tarzałam się nago, dzięki czemu nie zwróciłam na siebie większej uwagi. No, ale wiedziałam, że nadejdzie pora na moje przesłuchanie. A to – Hanna znów wskazała ręką na swój garb – w oczach śledczego raczej nie świadczyłoby na moją korzyść. To przecież ewidentnie szatański dotyk. Bardziej wymowny nawet niż jakiegokolwiek diabelskie pazury.

– No tak. I doszło do tego przesłuchania?

– Na szczęście nie. Pośród mieszkańców Głogowa mieliśmy kilku ludzi, którzy dobrze nam życzyli, a przy okazji nie znosili obcych, zwłaszcza zakonników. Zanim przesłuchano wszystkie Czeszki, umożliwiono nam ucieczkę z klasztoru. Umknęłyśmy nocą, pod samym nosem śledczego. Moje towarzyszki powróciły do swoich rodzin, ale ja nie miałam dokąd iść, bo ojciec nie przyjąłby mnie z powrotem, w dodatku w sytuacji, gdy ciążyły nade mną podejrzenia o diabelskie konszachty. Jeden z woźniców przywiózł mnie do Małej Polski.

– Tutaj?

– Rożnów nie był pierwszym miejscem, w jakim się zatrzymałam. Ze wszystkich poprzednich mnie przeganiano. Wiadomo, pokraka, przybyła nie wiadomo skąd, niepotrafiąca nawet dobrze mówić po polsku. Czyli na pewno czarownica. Ale w Rożnowie było inaczej, bo zastałam wielu

chorych, a w klasztorze pracowałam w infirmerii i nauczyłam się co nieco o ziołach. Uznano, że będę przydatna. I tak zostałam.

– Mój mąż nic nie wiedział o pochodzeniu?

– Oczywiście, że nie. Nawet jego poprzednia żona nie wiedziała. Jesteście pierwszą osobą, której o tym opowiadam.

– Doceniam to, Hanno. I dziękuję za zaufanie.

– Jesteście dobrą osobą, dlatego postanowiłam to z siebie wyrzucić. W dodatku wiedziałyście od razu, że nie pochodzę z tych stron. Że coś ukrywam. A ja już nie chcę dalej się ukrywać.

– Czy ta księga, którą przyniosłyście, pochodzi z klasztoru?

– Tak, to psalterz. Jedyna rzecz łącząca mnie z tamtym życiem.

Amalia w zadumie pokiwała głową.

– Hanno? – spytała.

– Tak?

– Chcecie potrzymać moją lutnię?

Kobieta spojrzała na Amalię, tak dziwnie, że ścisnęło jej się serce; ujrzała nagle małą, niekochaną przez rodziców dziewczynkę, która chciała sięgnąć do półki, gdzie leżał magiczny instrument.

– A mogę...?

– Oczywiście, że tak.

Amalia zasnęła tuż przed świtem, na siedząco.

Miała męczące sny, w których to nie ludzie Emeryka oblegali zamek, lecz piekielne demony.

Ranek wstał chłodny i wietrzny. Ludzie kręcili się po dziedzińcu osowiali i niepewni, nocna atmosfera święta ulotniła się bez śladu. Wszyscy z niepokojem nasłuchiwali odgłosów zza muru, zastanawiając się, czy dojdzie do szturm, czy też Emeryk dalej będzie wyczekiwał, aż sami otworzą mu bramy.

Mimo że Amalia była nieco odrętwiała po nocy spędzonej w niewygodnej pozycji, a także niewyspana po złych snach, natychmiast zaczęła działać. Odwiedziła Mściwoja, aby zapytać go, jak się przedstawia obronność zamku. Dowódca załogi nie ukrywał, że mury są w nie najlepszym stanie, niektóre kamienie można z nich wydłubać za pomocą młota i dłuta,

w dodatku kusznicy nie mają dobrego schronienia. Wszystkie furtki zostały jednak zabezpieczone i obstawione strażą, słowem, najsłabsze miejsca umocniono, inne zaczęto już pospiesznie remontować.

Po wizycie u Mściwoja odwiedziła spichlerze i spiżarnie. Tam zdążono już posegregować żywność. Powinno jej wystarczyć na jakieś dwa tygodnie, ale pod warunkiem, że będą wydzielane bardzo skromne racje. To nie brzmiało najgorzej. Może do tego czasu Emeryk nie wytrzyma we wsi, na ubożuchnej diecie?

Kiedy zamierzała wyjść ze spiżarni, natknęła się na Jaśka, ogrodnika.

Nióśł ze sobą klatkę pełną kur i wyglądał na bardzo z siebie zadowolonego.

– A gdzie ty to niesiesz? – zapytała.

– No, do nas.

– Skąd?

– Ze wsi – odparł z uśmiechem.

– Jak to ze wsi?

– Byłem tam w nocy i zabrałem, co nasze.

Amalia stanęła osłupiała.

– Wyszedłeś poza zamek?

– Ano...

– W jaki sposób?

– Przy ogrodzie jest mała furtka. Z drugiej strony niewidoczna, bo ją krzaki obrosły, w dodatku jest tam gnojówka, to nikt obok się nie kręci. I ja tamtędy wychodzę.

Amalia poczuła złość. Miała wrażenie, że nad wszystkim panuje, tymczasem ludzie robili, co chcieli, bez jej wiedzy.

– A kto ci pozwolił?

– Ano nikt.

– Mogli cię przecież złapać. I dostać się tą furtką do środka.

– Nie złapałoby. Byli pijani.

– Jaśku...

– I tak sobie od nocy myślę, wielmożna pani, czyby nie można się tą furtką wydostać i wezwać pomoc?

Popatrzyła na niego, wciąż wściekła na tę ryzykowną samowolę, lecz również zafrapowana.

– Mówisz, że komuś udałoby się dotrzeć do Krakowa?

– Nie komuś, a mnie. – Ogrodnik błysnął zębami. – W sąsiedniej wsi, tam, za lasem, mam rodzinę. Gdyby mi się udało do nich dotrzeć, daliby mi konia. W mig bym dojechał do stolicy.

– Naprawdę mógłbyś to zrobić? – zapytała, wciąż nie dowierzając. Poczła jednak coś na kształt nadziei. Jeśli Jaśko dotarłby do Krakowa, królowa mogłaby im pomóc. Ten pomysł sprawił, że Amalię ogarnęła ekscytacja.

– Posłuchaj, Jaśko, na razie nigdzie nie wychodzisz. Ani się waż opuszczać mury, zrozumiałeś? Muszę porozmawiać z mistrzem Grzegorzem i załogą.

Natychmiast zwołała ich do sali jadalnej zamku.

Zarówno mistrz Grzegorz, jak i Mściwój i jego najważniejsi ludzie uznali, że warto podjąć ryzyko. Skoro Jaśkowi udało się niepostrzeżenie zabrać kury sprzed samego nosa Emeryka, to istniały duże szanse, że przemknie niezauważony do swojej rodzinnej wsi, a stamtąd dostanie się do Krakowa.

– Musimy spróbować – powiedziała.

– Tak – odparł Grzegorz. – Nasi przeciwnicy chyba poczuli się tutaj zbyt pewnie. Ale czy ten...

– Ogrodnik – podpowiedziała.

– Właśnie. Ale czy wpuszczą go do miasta? I czy będzie umiał dotrzeć do samej królowej? Przecież to zwykły wieśniak. Może wyznaczyć kogoś innego?

Amalia zastanawiała się chwilę.

– Wy z nim pojedziecie – rzekła wreszcie.

Astrolog aż poczerwieniał z nadmiaru emocji.

– Ja? – spytał słabym głosem.

– Tak.

– A nie powinienem zostać z wami?

– Do niczego tutaj nie jesteście przydatni, bo horoskopy nam w obecnej sytuacji wiele nie pomogą. Na niczym innym się nie znacie, bez urazy, mistrzu. Nie wyślę Mściwoja, bo jest tutaj potrzebny. Zatem udacie się z Jaśkiem. On zna drogę do swoich, wyprowadzi was stąd, a jak już

będziecie w Krakowie, to właśnie wy, mistrzu, postaracie się jak najszybciej dostać na Wawel.

– Ale...

– Nie ma żadnych ale.

Z całą akcją trzeba było zaczekać do zapadnięcia zmierzchu.

Do tego czasu Amalia zdążyła napisać dwa takie same listy do królowej, jeden miał ukryć przy sobie Jaśko, drugi wziął mistrz Grzegorz. Najlepiej, jak potrafiła, opisała sytuację w Rożnowie. Jadwiga powinna zrozumieć.

No chyba...

No, chyba że nie było jej teraz w stolicy.

Ale nie mieli nic do stracenia. A wiele do zyskania.

Kiedy zrobiło się ciemno, Grzegorz – na szczęście odziany w podróżną opończę i bez swego ekstrawaganckiego kapelusza – oraz Jaśko, jak zwykle pełen optymizmu, przemknęli przez furtkę i zanurzyli się w ciemności.

Ci dwaj, jakże różni od siebie mężczyźni, byli teraz jedyną szansą na ocalenie zamku w Rożnowie.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

PRUSY, CZERWIEC 1392

Tę rzekę miejscowi nazywali Białym Potokiem.

Nie była ani szczególnie szeroka, ani też głęboka, ale na pewno największa w promieniu wielu mil na tej pruskiej ziemi. Toczyła swe szare wody między piaszczystymi brzegami, lasami i zagajnikami, mijała dom rybaka Kuźmy, potem zaś skręcała na zachód, gdzie rozlewała się szerzej pośród pastwisk, tworząc coś w rodzaju małego jeziora, płytkiego i pełnego łąch piachu oraz wystających spod wody kęp zieleni.

Varnas lubił przychodzić nad jej brzeg i usiadłszy w cieniu rozłożystej wierzby, wpatrywał się w nurt rzeki. To ona ocaliła mu życie, choć o mało co nie pozostał w niej na zawsze. Tamtego zimowego popołudnia, pół roku wcześniej, wydawało się, że wszystko sprzysięgło się przeciwko niemu – no a potem pojawiła się rzeka, która swym lodowatym prądem odgrodziła uciekiniera od prześladowców. Dlatego też Varnas często przychodził nad jej brzeg, jakby składał podziękowania jej starożytnym pogańskim duchom. Mimo że dawno już został ochrzczony w nowej wierze, to była teraz jego prawdziwa świątynia.

– A, tutaj jesteś. – Spomiędzy łożyn wyłoniła się jasnowłosa Sońka, siedemnastoletnia córka rybaka. – Znowu się ukrywasz?

Varnas uśmiechnął się na jej widok.

– Wypatruję jakiejś pięknej topielicy – rzekł.

– A na co ci topielica? W dodatku piękna? Ja nie wystarczę?

Usiadła obok Litwina i oparła głowę o jego ramię.

– Brr, chłodno dzisiaj – dodała po chwili.

Rzeczywiście, po wielu dniach upałów nastaly chłodne dni. Dzisiaj wprawdzie nie padało, lecz niebo było zaciągnięte, ziemia zrobiła się wilgotna i miękka, dokoła pachniało mokrym lasem. W dodatku od czasu do czasu zrywał się wiatr, kołyszający kępami wiklin.

– Trzeba było coś na siebie zarzucić – powiedział Varnas, obejmując ją ramieniem.

Sońka miała na sobie białą koszulę z długimi rękawami, utkaną z lnu, obszytą przy szyi krajką i spiętą brązową zapinką, a także wełnianą spódnicę i łapcie z łyka. Kobiety pruskie na co dzień zbytnio się nie stroiły, tylko podczas świąt i obrzędów zakładały biżuterię, najczęściej niezbyt kosztowną: bransolety z brązu, zausznice z drucików czy też naszyjniki ze szklanych paciorków. Również Sońka nosiła się skromnie, na szyi miała tylko mały amulet.

– Nie zdążyłam. Szukałam ciebie.

– Po co? Myślałaś, że ucieknę?

– Wydaje mi się, że znów zaczynasz tęsknić za domem.

– Ja nie mam domu, kochana. Mój rodzinny spalili Krzyżacy, ten drugi, w Wilnie, również.

– Wiem.

– A Kraków to obce miejsce.

– Jak tam jest?

– Jak w ulu. W kamiennym ulu.

Uśmiechnęła się, ukazując dołeczki w policzkach.

– A cóż to znaczy?

– No, że rojno. Głośno. Poza tym pod zamkiem mieszka smok.

– Nieprawda.

– Albo i mieszkał. Sam już nie wiem.

– A białogłowy tam ładne?

– Paskudne – odparł poważnie Varnas.

– Nie wierzę ci.

– Uwierz. Wszystkie mają wyłupiaste oczy i spłaszczony nosy. Poza tym przypominają beczki na kaczych łapach.

Ze śmiechem pchnęła go na ziemię. Upadli obok siebie na wilgotną trawę, twarz przy twarzy.

– Mój dom jest teraz tutaj – powiedział cicho Varnas, dotykając jasnych włosów dziewczyny, splecionych w warkocz, związany rzemykiem.

– Naprawdę? – Sońka popatrzyła mu prosto w oczy.

– Przecież wiesz.

Nie kłamał.

Już od dawna uważał to miejsce za swój dom. Nie tylko dlatego, że przypominało mu tamto, w którym urodził się i wychował, lecz głównie z powodu samej Sońki. Tak, to ona sprawiła, iż nie chciał już stąd odejść. Odmieniła go zupełnie, jakby rzuciła nań czar. Aż sam był zdziwiony, jak gwałtowna okazała się ta zmiana. Po śmierci Iny nie wyobrażał sobie związku z jakąś inną kobietą, nawet nie chciał o tym myśleć, ale w tej wesołej dziewczynie dostrzegł wszystko, czego przez te lata samotności potrzebował, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Sońka opiekowała się nim przez długie tygodnie, kiedy był na granicy śmierci, ranny, przemarznięty i wycieńczony. Tamtego okresu prawie nie pamiętał.

Lecz pamiętał widok jej twarzy i wyraz oczu, kiedy wreszcie odzyskał zmysły i zorientował się, że jednak nie umarł.

Jakby ujrzał boginię.

Tak, powrócił do żywych.

Nie pamiętał, jak wydostał się z rzeki, jak trafił do chaty Kuźmy. Rybak sam musiał mu opowiedzieć. Wyjaśnił, że znalazł Varnasa rankiem, zakopanego w stogu siana. Tak więc uciekinier po wyjściu na brzeg musiał przejść przez las i dotrzeć na pole, a to był spory kawałek. Jakim cudem mu się udało, nie wiadomo. Chyba był niezwykle silny, wytrzymały i zdeterminowany. Zwykle po podobnej kąpieli ludzie w przeciągu kilku chwil umierali z wyziębienia.

Stóg siana znajdował się na polu, które nie należało do rybaka, tylko do leżącego za zagajnikiem lauksu, będącego czymś w rodzaju pruskiej wsi. Ale Kuźma każdego ranka przechodził tamtędy, by dotrzeć nad rzekę. I tego właśnie dnia dostrzegł coś dziwnego – rozgrzebane siano i wystającą z niego rękę. Nie był tchórzem, więc zamiast uciec od nie swoich spraw, zbliżył się do stogu.

Szybko się zorientował, że ma do czynienia z Litwinem – przybysz mamrotał coś po rusku z wileńskim akcentem – i to zadecydowało, że mimo sporych obaw oraz wątpliwości Kuźma przyjął rannego pod swój

dach. Otóż on sam także pochodził z Litwy, w dzieciństwie został stamtąd uprowadzony przez Prusów jako niewolnik. Spędził resztę życia na obcej ziemi i nawet kiedy już odzyskał wolność – długo by o tym opowiadać – postanowił tutaj zostać.

Osiedlił się nad Białym Potokiem, wybudował chatę na uboczu, na tyle daleko od rybackiej osady, by mieć spokój od jej mieszkańców, ożenił się z Polką, urodziła im się Sońka. Potem żona zmarła na febrę, córka dorosła, on posiwał. Jednak pamięć o rodzinnej ziemi na zawsze pozostała w jego sercu, więc gdy rozpoznał w zarośniętym mężczyźnie Litwina, nie umiał go pozostawić na niechybną śmierć.

Nie chciał też, by znaleźli tego człowieka ludzie z lauksu, ponieważ Prusowie z tych stron mieli odwieczne zatargi z sąsiadami ze wschodu, zwłaszcza gdy ich ziemie zaczął najeżdżać ówczesny książę – Jogaiła.

Tak więc Kuźma zabrał rannego do siebie. Nie żałował swojej decyzji, choć z początku, rzecz jasna, miał obawy, kogo wzięł do domu: może jakiegoś zbója? Nie chciał mieć też kłopotów z zakonnikami, którzy panoszyli się po całych Prusach ze swoimi czarnymi krzyżami i rzymską wiarą w złowrogiego Krista. Coś mu jednak podpowiadało, że ten człowiek – mimo dzikiego wyglądu – nie jest żadnym zbirem, można by rzec: wyczytał to z twarzy rannego. A zawsze miał nosa do ludzi.

Co do zakonnych, Kuźma się nie mylił. Kilka dni po tym, jak przygarnął Litwina, pojawiło się trzech zbrojnych na koniach, z zapytaniem, czy aby przypadkiem nie widział w okolicy kogoś obcego. Na szczęście Kuźma zobaczył ich już z daleka, kiedy wyłaniali się zza lasu, zdążył zatem z pomocą córki zaprowadzić rannego Litwina z powrotem na pole i ukryć w tym samym stogu siana, który już kiedyś biedakowi uratował życie. Krzyżacy nie byli zbyt skrupulatni, sprawdzili tylko chatę i szopę, dwóch z nich nawet nie zsiadło z bojowych rumaków, po czym szybko odjechali. Chyba nie bardzo wierzyli, aby zbieg mógł się zatrzymać przy samym brzegu.

Wtedy jednak przez kilka dni zastanawiał się, z pewnym, co tu kryć, niepokojem, dlaczego Litwin jest poszukiwany przez zakonnych rycerzy. Wyjaśnił mu to dopiero sam Varnas, kiedy już odzyskał zmysły. A odzyskał je po dwóch tygodniach gorączki. Najpierw zdawało mu się, że jest w krzyżackim więzieniu, i Kuźma długo musiał go przekonywać, iż chata to nie cela. Potem chory majaczył coś o wilkach i dawnych litewskich

bóstwach oraz demonach, takich jak Wdowia Wiedźma. Nie tyle słowa rybaka ostatecznie uspokoiły obcego, ile widok Sońki. Odkąd ją zobaczył, bardzo mu się polepszyło. Po dwóch dniach od odzyskania przytomności opowiedział im swoją historię.

Kuźma uwierzył, że ten młody mężczyzna był litewskim wojownikiem, któremu udało się uciec z krzyżackiej niewoli. Nawet wyglądał na wojownika, ze swoimi ranami i starymi bliznami na szczupłym, umięśnionym ciele.

Zadziwiająco szybko dochodził do siebie. Ledwie stanął na nogi, a już chciał udać się w dalszą drogę. Ostrzyżony, z przyciętą brodą, trochę odżywiony, choć jeszcze słaby, wrywał się do Krakowa. Ale kilka wypadów na trakt przekonało go, iż jeszcze na to za wcześnie. Za dużo kręciło się tam Krzyżaków, najwidoczniej wciąż go szukano. Powiadomiono też zapewne wszystkich okolicznych mieszkańców oraz właścicieli gospód, żeby zwracali uwagę na czarnowłosego obcego mężczyznę. Varnas zrozumiał, że na razie nie ma mowy o ucieczce z Prus. Nie przetrwałby nawet jednego dnia. Musiał czekać, aż wszyscy o nim zapomną.

I tak, chcąc nie chcąc, młody Litwin zaczął żyć nowym życiem. Pomagał gospodarzowi w polu, a także wypływał z nim na połów ryb. Okazał się pracowity, zaradny, a po kilku miesiącach Kuźma przyłapał się na tym, że traktuje tego młodego milczącego wojownika jak własnego syna.

Zwłaszcza że Varnas i Sońka bardzo się do siebie zbliżyli, co wprawdzie starali się ukrywać, ale Kuźma nie był głupi, o nie. Z początku spoglądał na to nieufnie, czujny jak pies. Córka była jego największym skarbem, jedyną osobą na świecie, którą kochał, a wiedział, jak wojownicy traktują dziewczęta – jak przelotne przygody. Nie zniósłby, gdyby ten Litwin skrzywdził Sońkę. Lecz w miarę upływu czasu dostrzegł, iż to, co ich łączy, nie ma nic wspólnego z wojacką beztroską, że jest poważniejsze i szlachetniejsze. Czarnowłosy przybysz szanował dziewczynę i widać było, że umie zachować się godnie wobec niewiasty. Świadczył też o tym sposób, w jaki wypowiadał się o młodszej siostrze – zawsze z uczuciem i dumą.

Kuźma nie miał nic przeciwko związkowi tych dwojga. Lepszej partii dla jego pięknej córki w okolicy nie było, same ciamajdy i wywłoki w opadających z tyłków portkach. Varnas przewyższał ich we wszystkim.

Oj, przydałby mu się ktoś taki w gospodarstwie, uczciwy i robotny, bo sam był już coraz słabszy, łamało go w kościach, cierpiał na ciągłe bóle żołądka i męczył się przy każdym większym wysiłku. Słowem, potrzebował pomocy. Tyle że Varnas wciąż zamierzał wracać do Polski. Opowiadał o Krakowie i o królu, któremu służył. A także o swojej siostrze, Mildzie, przekonanej zapewne, że jej brat nie żyje. Im dłużej jednak mieszkał z nimi, tym mniej już o nich wszystkich mówił. Co więcej, rybak widział, jak mężczyzna walczy sam z sobą, z zaciśniętymi pięściami chodzi wokół chaty albo na długie godziny znika nad rzeką, gdzie – jak opowiadała Kuźmie córka – z furią ciskał kamyczkami w wodę. Nocami rzucał się na swoim posłaniu, jakby wróciła mu zimowa gorączka, której nabawił się podczas kąpieli w Białym Potoku.

W końcu pewnego dnia, gdy wieczorem siedzieli przy ogniu, oświadczył:

– Jeśli pozwolicie, bym został, zostanę.

– Jesteś pewien? – zapytał nieufnie Kuźma. – Naprawdę tego chcesz?

– Miałem wiele czasu na przemyślenia. Wracać nie mam po co. W oczach króla jestem nieudolnym dowódcą, który wygubił swój oddział, a na dodatek dał się złapać niemal we własnym domu. Nie wrócę na swoje stanowisko, to pewne. A co do Mildy...

– Tak?

– Prędzej czy później znajdę kogoś, kto udaje się do Krakowa. Wtedy prześlę jej wiadomość. Ona mnie tam nie potrzebuje, żyje na dworze, jest bezpieczna.

Rzeczywiście, całkiem niedaleko od rzeki znajdował się kupiecki trakt, wiodący znad Bałtyku na południe i zachód. Najczęściej przewożono tamtędy bursztyn i zwierzęce futra. Litwin zamierzał więc kiedyś, gdy zrobi się bezpieczniej, poszukać tam kogoś, kto mógłby zawieźć wiadomość do stolicy Polski.

Udało mu się to z nadejściem wiosny, zaraz po święcie Pergrūbri, czyli zaślubin Ziemi, kiedy otwierają się pączki brzozy i nie można już wytaczać soku ze ściętych gałązek. Podczas samotnej wyprawy Varnas trafił na kupieckie wozy jadące z Rygi do Krakowa. Przekonał jakiegoś brodatego sprzedawcę złotogłowiu i skór, by ten odnalazł Mildę i powiedział jej, że brat żyje i jest bezpieczny, ale nie może teraz wrócić. Nie miał pewności, czy tamten dotrzyma obietnicy, lecz nic więcej nie mógł zrobić. Kiedy kupcy odjechali, poczuł wielką ulgę.

Prawdę mówiąc, miał już dość wojaczki, życia w drodze i obozowania pod gołym niebem.

Chciał spokoju.

I Sońki u boku.

– Wracamy? – spytała córka rybaka, patrząc na rzekę.

– Tak – odparł Varnas. – Wiatr jest coraz zimniejszy.

– Spódnica mi przemokła na tej trawie.

– Trzeba było się nie kłaść.

– Sam się położyłeś.

– Ale ja przynajmniej nie narzekam.

Ruszyli po mokrym piachu, a potem pomiędzy wikliną. Niebo nad lasem już czerwieniało.

– Wracamy do domu – powiedział cicho Varnas, czując, że naprawdę tak uważa.

Sońka nie odpowiedziała, tylko chwyciła go za rękę.

Przeszli przesieką po grubych korzeniach i wydostali się na polanę, gdzie znajdowało się gospodarstwo Kuźmy. Rybak był pracowity i zaradny, nie mieszkał więc w nędznej ziemiance, niby jakiś dzikus, tylko w solidnym, dwuizbowym domu z grubych bierwion, postawionym na kamiennym fundamencie, z dwuspadowym dranicowym dachem. Obok domu znajdowały się inne zabudowania: spichlerz, łaźnia oraz maltuve, czyli miejsce, w którym wypiekało się chleb. Kuźma miał dwie kozy, krowę, świnie i trochę drobnego ptactwa. Całe to gospodarstwo było ogrodzone płotem.

Słowem, żył sobie tutaj jak król.

Varnas pierwszy dostrzegł stojącego w progu gospodarza.

Rosły mężczyzna, chudy i kościsty, z długimi włosami, w nieprzepasanej koszuli, przystawiał otwartą dłoń do czoła, spoglądając gdzieś w kierunku traktu. Widocznie musiał tam kogoś ujrzeć.

Jak zawsze w takich przypadkach, Litwin poczuł lekkie ukłucie niepokoju. Nie mógł zapominać o tym, że znajduje się na obcej ziemi, gdzie zabił dwóch Krzyzaków. Wprawdzie od miesiący nikt o niego nie pytał, lecz każdy niespodziewany gość stanowił zagrożenie. Zawsze mógł się potem taki wygadać gdzieś w karczmie przy piwie czy w jakiejś wiosce, że spotkał w chacie rybaka dziwnego cudzoziemca. I przypomnieć ludziom, że całkiem niedawno kogoś takiego właśnie szukano.

Należałoby gdzieś się schować, tyle że oboje stali już na otwartej przestrzeni, zatem jeśli ktoś nadchodził, dawno zdążył ich ujrzeć. Wycofanie się teraz do lasu byłoby jeszcze bardziej podejrzane.

Zamiast więc zawrócić, Varnas przyspieszył kroku.

– Zbrojni? – zawołał w kierunku Kuźmy.

Tamten pokręcił głową.

– Jakiś dziad. Gałganiarz – odparł, marszcząc krzaczaste brwi.

– Sam?

– Sam.

Litwin stanął koło rybaka i spojrzał w kierunku drogi. Wzrok miał dużo lepszy niż Kuźma, ale i tak niewiele mógł dostrzec z tej odległości, zresztą przybysz miał zachodzące słońce za plecami, więc jego postać wydawała się w tej chwili ciemna.

– Rzeczywiście dziad jakiś. Choć nie bardzo stary – powiedział wreszcie Varnas. – Co go tu niesie?

– Pewnie chce przenocować.

– Czemu nie zajrzy do osady?

Gospodarz wzruszył ramionami.

– A bo ja wiem? Może jakichś wieści ze świata się nasłuchamy?

– Byle tylko nie śpiewał.

Obok mężczyzn stanęła też Sońka, jeszcze bardziej zaniepokojona niż oni. Bała się o swojego Varnasa.

Tymczasem sylwetka wędrowca rosła w oczach. Człapał w błocie, dzierżąc w ręce kij zakończony krzyżem. Wiatr targał jego długimi, żółtawymi włosami. Minął już dęby i brzozy przy drodze i wszedł na polanę. Był słusznego wzrostu, lekko przygarbiony, w brązowej opończy bez kaptura.

– Bądźcie pozdrowieni – powiedział głębokim basem. – W imię Jezusa Chrystusa.

Kuźma wciąż wierzył w pogańskich bogów, więc nie odpowiedział na niemieckie pozdrowienie.

Rzekł tylko:

– Tą drogą nigdzie nie dojdziecie. Do osady trzeba iść w górę rzeki.

Wędrowiec przystanął przy płocie, obok żerdzi, na której zatknięta była końska czaszka. Miał szeroką twarz z przełamanym, podobnym do siodła nosem i uważne oczy. Wyglądał staro, lecz nie był aż tak wiekowy, jak mogłoby się na pierwszy rzut oka wydawać.

– Dobrzy ludzie – odezwał się, skłoniwszy głowę. – Niewiele mi trzeba, jedynie trochę słomy w szopie. O wschodzie słońca już mnie tu nie będzie.

– Dokąd się udajecie? – spytał nieufnie rybak.

– Na północ.

– A skąd idziecie?

– Z Mazowsza.

– Bez przewodnika?

Gospodarzowi zdało się to dziwne, by obcy człowiek odnalazł drogę w tej podmokłej i dzikiej krainie, gdzie niewiele było stałych traktów i gdzie należało znać miejsca, w których znajdowały się wytyczone belkami przejścia przez bagna. Bez miejscowych przewodników, samotnie, w lasach pełnych dzikiego zwierza, bez łodzi i konia, przedarcie się przez Prusy wyglądało na rzecz niemożliwą.

– Bóg mnie prowadził – odparł przybysz.

– Albo regularnie chodzicie tą trasą.

– Jestem tu po raz pierwszy, czcigodny Butta rikians.

Niespodziewanie obcy użył pruskiego słowa na określenie gospodarza domu.

– Umiecie mącić w głowie – rzekł Kuźma.

– Pan nasz i Zbawiciel wynagrodzi wam gościnność – odparł wędrowiec.

– Powiedzmy... – mruknął gospodarz.

Sońka odnalazła dłonią nadgarstek Varnasa i ścisnęła go lekko. Litwin poczuł, że dziewczyna drży.



Część trzecia

PRÓBA OGNIA

ROZDZIAŁ PIERWSZY

KRAKÓW, CZERWIEC 1392

Królowa Jadwiga od godziny już klęczała, zatopiona w modłach w swojej kaplicy. Była to maleńka komnata, przylegająca do jej sypialni, skromnie, wręcz surowo urządzona. Wprawdzie królewski małżonek, rozmiłowany w ruskim malarstwie cerkiewnym, proponował Jadwidze usługi mistrza Nikodema z Perejaśławia, specjalnie sprowadzonego do ozdobienia zamkowych komnat i kościoła, ale odmówiła. Nie chciała, jak mu tłumaczyła, żeby zbyt przepychność i blask złota, którym ów malarz hojnie uświetniał swoje obrazki na ścianach, odwracały jej uwagę od modlitwy. Poprzestała tylko na ozdobnikach w formie plecionek złożonych z dwóch liter „M”.

Mimo upalnej czerwcowej pogody w kaplicy było zimno. Od grubych murów i kamiennej posadzki bił chłód. Jadwiga poprawiła się na klęczniku, żeby nieco ulżyć obolałym kolanom. Nie chciała podkładać pod nie poduszki, aby wzorem świętych niewiast, o których czytała każdego wieczora, choć w ten sposób się umartwiać.

Wiedziała jednak, że nigdy nie dorówna tym piastowskim ideałom sprzed ponad wieku, czyli z przeszłości tak odległej, że aż nierzeczywistej. Z epoki czystej wiary oraz cudów. Od zawsze z podziwem, ale też z narastającą zgrozą, a potem, gdy stała się dorosła, także z lekkim powątpiewaniem czytała o Świętej Jadwidze, swojej imienniczce, a także o Kindze czy Salomei.

Te opowieści zdawały się cudowne, a zarazem nieludzkie. Święta Jadwiga, na przykład, zaczynała dzień od skropienia oczu wodą, pozostała po ablucjach klasztornej służki, a potem ustami zmiatała pył z krążanków. Jadała tylko chleb posypany popiołem. Ramiona, pokaleczone od nieustannych samobiczowań, okrywała byle łachmanem.

Inna święta, Kinga, latem odziewała się grubo, a zimą lekko. Nosiła trzewiki pozbawione podeszew i przypiekała skórę płomieniem świecy. Jolanta spała na gołej desce, Salomea zaś z anielskim uśmiechem wysysała wrzody chromym i włóczęgom. Dzięki tym umartwieniom mogły dokonywać cudów: pod ich stopami zimą topniał śnieg i wyrastały w tym miejscu kwiatki oraz zioła, strumykom nakazywały odwrócić swój bieg, uzdrowiały nieuleczalnie chorych, a nawet wskrzeszały zmarłych.

Czy stać by mnie było na coś takiego? – pytała samą siebie królowa i bała się odpowiedzi. Nie chodziło o cuda, tylko o znoszenie podobnych cierpień.

Kto wie, czy nie powinna zakosztować większych niewygód niż do tej pory? Może gdyby bardziej się umartwiała – naturalnie nie aż tak jak heroiczne Piastówny – Bóg nagrodziłby ją upragnionym potomkiem? Mijał szósty rok małżeństwa z Władysławem, a ona wciąż nie była w błogosławionym stanie.

Co miała zatem robić? Spać na gołej posadzce? Jeść chleb z popiołem? Nie wydawało się to zbyt mądre. Jako dziecko podchodziła do takich przykładów z nabożnym podziwem, lecz teraz, będąc już dorosłą kobietą, stała się dużo bardziej sceptyczna, podejrzewała nawet, że autorzy żywotów świętych pozwalali sobie na wiele przesady, chcąc za wszelką cenę zrobić wrażenie na maluczkich. Pamiętała, że Amalię, jej przyjaciółkę z dzieciństwa, jej ukochaną lilię, wręcz bawiły opowieści o świętych, na klęczkach wciągających ustami kurz z krążganków. Stroiła sobie z tego żarty, co wtedy Jadwigę bardzo oburzało, lecz dzisiaj już mniej.

Wiedziała, że nie tędy droga do świętości. Żywotów dawnych świętych nikt nie był w stanie naśladować, a już na pewno nie władczyni wielkiego Królestwa Polskiego.

Jak więc przebłagać niebios, żeby okazały się dla niej łaskawe w tej materii? Gdzie popełniła błąd, czym zawiniła? Kogo skrzywdziła, choćby niechcący, swoim zaniedbaniem, niesprawiedliwą oceną?

– Mateczko Przenajświętsza – Jadwiga błagalnie wzniosła oczy ku sklepieniu kaplicy – daj mi, proszę, zakosztować radości macierzyńskiej, jakiej sama zaznałaś. Daj, Pani, jakiś znak, podpowiedz, co powinnam zrobić. Uczynię wszystko.

Wypowiedziawszy te słowa, zrobiła znak krzyża na piersi i podniosła się z klęcznika.

Kiedy wyszła z kaplicy, natychmiast zaczęła jednak myśleć o tym, co ma do zrobienia. Każdy jej dzień, od rana do wieczora, wypełniony był obowiązkami. Teraz też czekał już na nią w królewskiej komnacie urzędnik odpowiedzialny za zakup oraz wydawanie nowych szat i tkanin.

– Miłościwa pani zażądała spisu wydatków z ostatniego miesiąca, na prezenty dla możnych panów – przypomniał jej, kłaniając się nisko. Mimo gorąca ubrany był w gruby czarny kaftan i nosił biret.

– A, tak. – Machinalnie kiwnęła głową.

Usiadła na krześle z wysokim, rzeźbionym oparciem i baldachimem. Poczowała ulgę w obolałych od klęczenia kolanach.

– Mówcie zatem, ile i na co ostatnio wydaliśmy pieniędzy. Nie jest wam za gorąco? – Spojrzała na niego z troską. – Cali jesteście spoceni.

– Nic mi nie jest, miłościwa pani.

Urzędnik otworzył księgę i zaczął odczytywać dostojnym i pełnym namaszczenia głosem, świadom swojej wartości i znaczenia na dworze:

– Panu ochmistrzowi dworu i panu Hinczce, podskarbiemu króla jegomości, wypłacono po pięć grzywien, żeby sobie na zimę kupili lisie kożuchy.

– A czemuż to? – spytała. – Nie stać ich na odzież?

– Polecenie waszego dostojnego małżonka. Król chce im wynagrodzić pewną przysługę.

– Aha. Słusznie.

Władysław potrafił zjednywać sobie ludzi.

– Co dalej? – spytała, tłumiąc ziewanie.

Nudziły ją takie wyliczenia, zwłaszcza gdy wysłuchiwała ich przy upalnej pogodzie. Ostre słońce wpadało przez otwarte okno, tworząc na posadzce płonący światłem prostokąt. Sennie bzycały muchy. Jedna z nich zaczęła spacerować po złożonej na oparciu krzesła dłoni monarchini. Jadwiga przez chwilę obserwowała owada, zanim go przegoniła.

– Dwie księżniczki, które przybyły tu z wizytą, również otrzymały lisie kożuchy w darze. – Urzędnik otarł pot z brwi. – Niestety, nie zanotowano ich imion.

– Uzupełnijcie to zatem. Nie będę tolerować bałaganu w księgach.

Dwór wawelski o każdej porze roku pełen był gości i prawdę mówiąc, sama Jadwiga nie pamiętała imion nawet połowy przybyłych. Byli to goście nie tylko jej, ale i króla Władysława.

– Księżna Anna otrzymała jedenaście łokci czarnego aksamitu oraz po jedenaście łokci sukna w trzech kolorach, białym, czerwonym i zielonym – czytał dalej urzędnik, nieco speszony reprimendą.

– Tak, wybierała się na Węgry, więc musiała być odpowiednio zaopatrzona. – Jadwiga znów zatwierdziła wydatek. – Kto jeszcze został przez nas obdarowany?

– Pietrasz Szafraniec. Jemu podarowaliście, miłościwa pani, dwanaście łokci sukna brukselskiego i podszycie ze skórek z kun. Prócz tego zostało zakupione, już nie dla konkretnych osób, ale do rozdzielenia pomiędzy potrzebujących, sukno czarne, osiem łokci, oraz dziesięć szarego. Trzydzieści brukselskiego na strój uroczysty, dwadzieścia gierzynku na podszewkę, jeden postaw barchanu, pięć łokci materii bielonej na żupan atlasowy, podszycie do sukni brzuszka wiewiórek...

Przyłapała się na tym, że od jakiegoś czasu przestała go słuchać.

Odkąd w kaplicy przypominała sobie o Amalii, dawna dwórka nie opuszczała myśli królowej. W zasadzie Jadwiga miała teraz przed oczami dwie dawne przyjaciółki: Węgierkę i Litwinkę. Milda. Właśnie. Czy skrzywdziłam kogoś zaniedbaniem i zapomnieniem? – pytała Matkę Boską w kaplicy. Otóż tak. Nareszcie to do niej dotarło.

Skrzywdziła Mildę, jedną z jej ulubionych kiedyś lilii. Nie wyjaśniła do końca sprawy z Krystyną, a podczas ich poprzedniego spotkania zachowała się w stosunku do Litwinki chłodno i z rezerwą. To prawda, wtedy jeszcze nie do końca wierzyła w winę swojej ochmistrzyni, teraz jednak była już pewna, że Milda nie kłamała.

Trzeba to natychmiast wyjaśnić.

Należy posłać po dziewczynę i skonfrontować ją z Krystyną. Teraz, kiedy już wyszły na jaw związki ochmistrzyni z Konradem, sprawa zaczęła wyglądać inaczej.

– Starczy na dzisiaj. – Jadwiga poczuła nagle, że nie zniesie kolejnych pozycji na liście spoconego urzędnika. – Zostawcie mi tę księgę, przejrzę ją później sama.

– Są jeszcze wydatki na konie, uprzęż, siodła...

– Zostawcie mi księgę, powiedziałam.

Kiedy nareszcie została sama w komnacie, mogła już myśleć tylko o Mildzie.

Niezałatwiona sprawa uwierała ją jak kamyk w ciżmie.

Nie namyślając się długo, wezwała pokojową i poleciła, żeby dziewczyna przyprowadziła do niej dowódcę straży. Gdy przybył, powiedziała mu, że któryś z jego ludzi ma iść do miasta, do karczmy Pod Czarnym Psem i wezwać na zamek Mildę. A najlepiej niech pójdzie dwóch strażników, aby dziewczyna miała należyłą eskortę. Trzeba było to załatwić jeszcze dzisiaj, bo Jadwiga lada chwila wybierała się znów do Wieliczki.

Ostatnio dwór prowadził bardzo ruchliwe życie, często wyjeżdżano w odwiedziny, jak choćby do Boturzyna, majątku ochmistrza królowej, do opata tynieckiego na obiad, do biskupa włocławskiego na śniadanie czy do Melsztyna. Goście, którzy przebywali w tym czasie na Wawelu, również podróżowali z królewską parą. Teraz przyszła kolej na Wieliczkę, niezwykle ważną dla Krakowa z powodu żup solnych, jednego z głównych źródeł dochodu Królestwa.

To dlatego zapomniałam o Mildzie, usiłowała się tłumaczyć przed samą sobą Jadwiga. Z powodu tego całego zamieszania. Dzisiaj odsunie od siebie wszystkie inne obowiązki, będzie więc mogła rozmówić się z dziewczyną. I raz na zawsze wyjaśnić sprawę zachowania Krystyny.

Poprawiła włosy pod siatką z cieniutkich jak pajęczyna złotych drucików, przybrała godny wyraz twarzy i zeszła do ogrodu. Potrzebowała trochę świeżego powietrza i kontaktu z przyrodą. Nic jej tak nie wyciszało jak śpiew ptaków i szum wiatru w gałęziach drzew. Tylko tam mogła zebrać rozbiegane myśli. Tam też najlepiej radziła sobie z samotnością.

Król znów wyjechał na Litwę i nikt nie wiedział, nawet on sam, kiedy stamtąd powróci. Kręcący się po zamku goście męczyli Jadwigę coraz bardziej, zwłaszcza młode matki z małymi dziećmi. Ich widok zaczął wręcz sprawiać jej ból. Tymczasem wyjazd Władysława znów przesunął na czas nieokreślony starania o wymarzonego potomka.

Jadwiga poczuła piekące łzy pod powiekami.

Milda w asyście dwóch roślących rycerzy z królewskimi herbami na pancerzach wspinała się na wawelskie wzgórze. Była bardzo przejęta, gdyż przypuszczała, iż królowa wzywa ją do siebie w związku z Varnasem. Pewnie czegoś się o nim wreszcie dowiedziano. Nie obawiała się wiadomości o śmierci brata – wiedziała, że on żyje. Czekwała raczej na dobre wieści: być może ludziom króla udało się wykupić Varnasa z niewoli? Albo sam się uwolnił, co byłoby do niego bardzo podobne.

W każdym razie sprawa musiała tego dotyczyć, skoro Jadwiga wzywała ją już po raz drugi na Wawel, w dodatku za pośrednictwem zamkowej straży.

Jakież było zdziwienie klientów karczmy, a i samego Marcina, gdy w tej speluncie pojawiło się dwóch rycerzy, którzy oznajmili, iż litewska posługaczka natychmiast ma się stawić przed królową.

Samą królową Jadwigą.

Także ludzie na ulicach miasta przyglądali jej się natrętnie: oto młode dziewczę, w skromnym czepcu i poplamionej tłuszczem szarej sukni, maszeruje z dumnie uniesioną głową, poprzedzane przez strażników wawelskich. Zatrzymywano się i wskazywano na Mildę palcami. Od karczmy na zamek był kawałek drogi, można było zatem rzec, iż widziało ją całe miasto. Szła w upale i duszącym kurzu, pośród ulicznych wyciewów, które szczególnie latem dawały o sobie znać: zapachów odpadków, zgniłych jarzyn oraz zepsutych owoców, nawozu, brudnych i spoconych ludzkich ciał, koni, wołów, świń, bezdomnych psów. Atakowały ją roje much, muszek oraz komarów, czuła także, jak pod suknią leniwie spływa po plecach strużka potu.

Ale była pełna sił, podekscytowana.

Stojący przy bramie strażnicy pozdrowili ją z szerokimi uśmiechami. Widać było, że szczerze się ucieszyli na jej widok, dziewczyna była ogólnie lubiana i większość mieszkających tu osób żałowała, że musiała opuścić dwór.

Teraz pewnie im się wydawało, że Milda wraca do łask królowej, skoro już drugi raz po wygnaniu została zaproszona na dwór. Ona jednak wcale nie była taka pewna.

Na powrót do łask już chyba za późno.

– Zbliż się do mnie, Mildo. – Jadwiga uśmiechnęła się przyjaźnie do przestraszonej Litwinki. Ładnie wyglądała w błękitnej, lekkiej sukni lamowanej atłasem.

Przyjmowała Mildę nieoficjalnie, w zamkowym ogrodzie. Słońce przeświecało przez liście drzew, tworząc na żwirowej ścieżce i trawniku świetlne desenie.

Minę też miała królowa nieoficjalną, zupełnie różną od tej, jaką przybrała przy ostatnim ich spotkaniu.

– Czy wiadomo już coś o Varnasie? – spytała przez ściśnięte gardło Litwinka.

Królowa jakby speszyła się nieco.

– O Varnasie? Nie, moja miła. Ale nie zapominamy o tej sprawie.

Wyraz rozczarowania na twarzy Mildy sprawił, że Jadwiga podeszła do dziewczyny i przytuliła ją do siebie.

– Nie martw się, wyciągniemy go – powiedziała. – Król jest na Litwie, nie spocznie, póki nie uwolni twego brata.

Nie było to dla Jadwigi aż tak oczywiste, bo król, zdaje się, zdążył zapomnieć o swoim wiernym wojowniku, lecz musiała teraz to powiedzieć, nawet jeśli te słowa miały być kłamstwem.

– Więc po co tu przyszłam? – Milda chłodno przyjęła uścisk, jej ciało było sztywne.

– Wybacz, kochanie, że tak długo zwlekałam z wyjaśnieniem twojej sprawy z panią Krystyną. Obowiązki mnie od tego odciągnęły, co jednak nie znaczy, że o wszystkim zapomniałam.

– Ach, chodzi o Krystynę...

Jadwiga odstąpiła od Mildy.

– Tak. Musimy tę rzecz do końca wyjaśnić. Czuję, że zostałam skrzywdzona. Przeze mnie również. Usiądźmy.

Jadwiga wskazała kamienną ławeczkę w cieniu rozłożystej jabłoni, niedaleko wodotrysku. Od wody bił przyjemny chłód.

– Krystyna zaraz się tu pojawi.

– Nie.

– Tak – oświadczyła stanowczo królowa. – Musisz przez to przejść. Musimy wszystkie wreszcie przez to przejść.

Usiadły.

– Pamiętasz, ile czasu spędzałyśmy tu kiedyś razem? – spytała z uśmiechem Jadwiga. W jej ręce pojawił się barwnie malowany wschodni wachlarz. Widniały na nim pawie.

– Tak, dawne czasy.

– Tęsknię za nimi.

Milda nie odpowiedziała. Nastąpiła niezręczna cisza, przerywana tylko natrętnym brzęczeniem owadów.

Na szczęście nie trwała długo, bo u wylotu alejki pojawiła się ochmistrzyni. Miała na sobie zieloną suknię, sznurowaną po bokach, zapiętą pod samą szyję, a na głowie rogaty czepiec z welonem.

Była aż czerwona od upału.

A może też i ze złości, ponieważ gdy tylko ujrzała Mildę, jej twarz wykrzywiła się, jakby szacowna dama nadgryzła cytrynę.

– Miłościwa Pani, nie uprzedzono mnie, że ta osoba... – zaczęła, ale królowa przerwała jej szybko:

– Siadajcie, Krystyno. Zapomniałam wysłać do was pismo z nakreślonym planem naszego spotkania, wybaczcie.

Ochmistrzyni umilkła wobec tej ironicznej i ostrej odpowiedzi, pochyliła głowę w ukłonie i posłusznie usiadła w pewnej odległości od Mildy.

– Mamy parę spraw do wyjaśnienia – rzekła Jadwiga przyjaźniejszym już tonem. – Usłyszałam wersję zdarzeń was obu, pora je teraz skonfrontować, bo czuję, że ktoś chce mnie oszukać.

– Powiedziałam już wszystko – oznajmiła Milda.

– Ja również – rzekła Krystyna. Po jej twarzy zaczęły spływać jakieś upiększające mazidła.

– Zatem będziecie musiały to powtórzyć. – Jadwiga westchnęła. – Tym razem w obecności drugiej strony. Rada bym nareszcie zrozumieć, co się dzieje. Zaczynaj ty, Mildo.

Litwinka niechętnie, głuchym głosem, wpatrując się w żwir alejki, opowiedziała o wszystkim, co się wydarzyło po opuszczeniu przez nią Wawelu. O Szymku, Dorocie, kradzionym towarze, napadzie, Justynie, o pracy w karczmie. Nie wspomniała tylko, że zachodziła pod szpital, by śledzić Krystynę. Nie chciała wyjawiać teraz swoich podejrzeń, jako że wciąż jeszcze nie miała dowodów.

Potem przyszła kolej na ochmistrzynię.

Ta zaczęła mówić o złej reputacji Mildy w ratuszu i pośród mieszczan, o paserstwie, o podejrzaniach o pogańskie czary, o tym, że Litwinka kusi swym ciałem klientów karczmy – słowem, powtarzała to samo, co opowiadała w poprzednich rozmowach z królową. Milda słuchała w milczeniu, nie przerywając ochmistrzyni.

Kiedy Krystyna skończyła, nastąpiła cisza.

– No dobrze – rzekła wreszcie królowa. – Wszystko to już rzeczywiście słyszałam. Teraz czas na wyjaśnienie pewnych wątpliwości. Zdajecie się, Krystyno, dużo wiedzieć o Mildzie, o tym, co sądzą o niej ludzie w mieście. Skąd to zainteresowanie?

– Słucham pogłosek.

– Macie na to czas podczas swoich wizyt u chorych? A może specjalnie dopytujecie? Zdajecie się bowiem wiedzieć więcej niż dowódca straży miejskiej. Nie przypominam sobie, bym prosiła was o szpiegowanie mojej byłej dwórki.

Ochmistrzyni przełknęła ślinę.

– Miasto jest małe.

– A wy każdą plotkę bierzecie za prawdę?

– Żal mi tej poganki...

– Nie jest już poganką.

– W głębi duszy...

– Nie macie wglądu w jej duszę.

Krystyna podniosła się z ławki.

– Miłościwa Pani, z całym szacunkiem, ale nie zasługuję na takie traktowanie. Nie mam zamiaru wysłuchiwać...

Oddychała ciężko, jej piersi poruszały się gwałtownie pod mocno zasnuowaną suknią.

– Pozwolicie, że to ja będę o tym decydować. I nie zapominajcie, że stoicie w obliczu królowej.

Tamta tylko zagryzła wargi na te słowa.

– Otóż – kontynuowała spokojnie królowa – posłałam swoich ludzi do miasta i dowiedziałam się o kilku sprawach. Na przykład jeśli chodzi o pogańskie czary, nikt nie potwierdził tych pogłosek. Po drugie, co do kuszenia klientów w karczmie. Według moich informatorów Milda podaje do stołów, nalewa piwo, sprząta i pomaga w kuchni, niczego nieobyczajnego w tym nie dostrzeżono.

Litwinka zdumiała się, że obserwowali ją jacyś wysłannicy z Wawelu, ale nic nie rzekła.

– Jeśli zaś chodzi o napad na Mildę, to ustalono, że ów zbój, jak mu tam?

– Szelma bez Ucha – szepnęła Litwinka.

– Właśnie. Kontaktuje się z niejakim Konradem, którego wy, Krystyno, wydajecie się znać bliżej, niżliby wymagały tego dworskie obyczaje.

– Cóż to ma znaczyć? – Ochmistrzyni z trudem łapała oddech.

– Sami przyznaliście, po tatarskiej wizycie na Wawelu, gdy przyłapałam was oboje na nadmiernej chyba poufałości, że łączy was coś więcej niż tylko zwykła znajomość, prawda? I żeby była w tej kwestii całkowita jasność: nie obchodzi mnie więź między wami, jesteście dorosłymi ludźmi. Tyle że dziwnie się składa, iż zarówno Konrad, jak i wy, Krystyno, zaangażowani jesteście w sprawę oczerniania Mildy. Co więcej, ataku na nią.

– Miłościwa Pani, to pomówienia.

– Może tak, może nie. Pozwoliłam sobie zaprosić na naszą pogawędkę także czcigodnego Konrada. Zaraz powinien tu być.

Twarz ochmistrzyni wyglądała teraz jak pośmiertna maska. W dodatku na policzkach kobiety pojawiły się kolejne smugi z roztopionego mazidła.

– Nie powinnam w tym uczestniczyć – wyszeptwała.

Mildzie niemal zrobiło się jej żal. Nie podejrzewała „smoczycy” o jakieś romanse i wszystko, co usłyszała przed chwilą, było dla niej szokiem. Ale układało się w pewną całość.

– O tym, czy powinnaś tu być, pani, decyduję ja – odparła bezlitośnie Jadwiga. – Dość już mam kłamstw.

– Muszę się oddalić.

– Nie, zostaniesz. Do końca.

– Słabo mi...

– Już raz tłumaczyliście się niedyspozycją. Podczas sądu w sprawie śmierci ojca Alberta. Do tego też będziemy musieli wrócić. Już wtedy miałam wątpliwości, czy dobrze zdecydowałam, no a teraz, w obliczu nowych faktów, sprawa stała się jeszcze mniej jasna, toteż...

– Słabo...

Na ścieżce pojawił się prawnik Konrad. Szedł ostrożnie, wyglądał na przestraszonego. Na widok Krystyny i Mildy zatrzymał się gwałtownie.

– Śmiało, panie Konradzie – zachęciła go królowa. – Nie będę was przedstawiać, bo chyba wszyscy się tu dobrze znacie. Zwłaszcza wy z Krystyną.

– Pani, ta kobieta jest mi obojętna – wybąkał prawnik. – Jak już wcześniej mówiłem, to zdarzenie podczas audjencji... to chwilowa słabość.

– Doprawdy? – Królowa uniosła brwi.

– Byłem pijany.

– I co z tego?

– Ta kobieta jest mi wstrętna – wyrzucił z siebie gorączkowo. – Zarówno jej ciało, jak i – tym bardziej – jej zepsuta dusza.

W tym momencie Krystyna osunęła się bezwładnie na ścieżkę.

Nastąpiło zamieszanie. Królowa i Milda poderwały się z ławki, aby pomóc ochmistrzyni. Zza drzew wybiegli strażnicy, którzy do tej pory, w dyskretnym oddaleniu, pilnowali bezpieczeństwa Jadwigi.

– Trzeba podłożyć jej coś pod głowę – powiedziała spokojnie Milda, uklękawszy przy zemdlonej.

Jeden z mężczyzn zdjął czerwoną pelerynę i zwinął ją w rulon.

– To się nada?

– Tak – odrzekła Litwinka. – I podnieście jej nogi.

– Jak wysoko? – spytał któryś z mężczyzn.

– Żeby były wyżej niż głowa. Zdejmijcie jej ten czepiec.

– Ona tylko udaje – rzekł Konrad. – Znam te jej sztuczki.

– Bądźcie teraz cicho – upomniała go królowa. – I przynajmniej nie przeszkadzajcie.

Wezwano medyka, w ogrodzie zaroilo się od dworzan, jakaś dziewczynka rozplakała się, przekazując komuś wiadomość, że „pani ochmistrzyni nie żyje”. Po chwili jednak Krystyna zaczęła odzyskiwać przytomność. Przyniesiono jej wody, a na czole rozpostarto wilgotną chusteczkę. Dworzanie chcieli pomóc jej wstać, ale Milda ich powstrzymała.

– Jeszcze nie. Niech chwilę poleży w takiej pozycji. Przesuńcie ją tutaj, bardziej do cienia. O, tak dobrze.

Bez szemrania słuchali poleceń tej skromnie ubranej młódki, jakby rozkazywała im sama królowa. Milda emanowała spokojem i pewnością

siebie. Nawet Jadwiga nic nie mówiła, tylko obserwowała z podziwem opanowanie swojej byłej dwórki. Ta dziewczyna zawsze taka była. Przestała być dzieckiem chyba natychmiast po ataku Krzyżaków na jej wioskę.

Nadszedł medyk, niski człowieczek z kozią bródką. Pierwsze, co zrobił, to przegonił wszystkich gapiów, potem nachylił się nad Krystyną i otworzył swoją sakwę. Jadwiga i Milda także się oddaliły.

– Mam wyrzuty sumienia, że nie przyjąłem was w środku, zamiast na tym upale, i że byłam taka...

– Zasłużyła – szybko odrzekła Milda.

– Może i tak. Lecz mimo wszystko to, co powiedział Konrad, było okrutne.

– To zwykły tchórz. Powie teraz każdą niegodziwość, aby tylko ocalić własną skórę.

– Nie uda mu się. Ani jej, ani jemu nie ujdzie to na sucho, obiecuję. Gdy tylko wrócę z Wieliczki, doprowadzę tę sprawę do końca. Swoją drogą zapomniałam już, że potrafisz udzielać ludziom pomocy.

– I nie potrzeba do tego pogańskich czarów. – Milda uśmiechnęła się kwaśno.

– Jeszcze raz cię przepraszam. Powinnam była wam zaufać. Ci wszyscy duchowni oraz prawnicy tak mnie omotali, a potem nawet nie miałam czasu, by się zastanowić. Jak widzisz, bycie królową nie oznacza, że jest się we wszystkim najmądrzejszym i zawsze postępuje się słusznie.

Milda zastanawiała się, co odpowiedzieć, aby nie popsuć tego nieoczekiwanego porozumienia między nimi, a jednocześnie zachować dumę, lecz nie musiała nic mówić, bo nagle pojawił się przed nimi siwobrody dowódca straży.

– Najjaśniejsza Pani – powiedział.

– Tak, Sieciechu? – zapytała królowa.

– Przed bramą stoi dwóch mężczyzn. Dziwnych jakichś. Jeden cudak, drugi chyba wieśniak.

– I uznałeś, że powinnam się o tym dowiedzieć? Teraz nie mam czasu na takie rzeczy, zajmijcie się tym sami.

– Chcą się widzieć z wami, Najjaśniejsza Pani.

– Jak większość włóczęgów oraz obłąkańców.

– Mówią, że przybyli z Rożnowa i mają do was listy.

Jadwiga zmarszczyła czoło.

– Z Roźnowa?

– Amalia... – wyszeptała Milda.

Spojrzały na siebie z nagłym przestraszeniem.

ROZDZIAŁ DRUGI

PRUSY, CZERWIEC 1392

Natychmiast po święcie Rasas, czyli po dniu przesilenia letniego, kiedy roślinność na ziemi rozwija się z pełną mocą, a bogini Saule jest u szczytu swej potęgi, nadchodzi czas Ragany.

Bogini śmierci i przeistoczenia.

Ragana nadchodzi, by przypomnieć mieszkańcom tego świata, że natura jest śmiertelna i że nie ma życia bez unicestwienia, nie ma światła bez ciemności. Od tego dnia bowiem noce stają się dłuższe i każą myśleć o kolejnej nadchodzącej jesieni, a następnie o zimie.

Ragana przybywa więc do ludzkich siedzib, przybierając najróżniejsze formy: węża, sowy, ropuchy lub ryby. Można też ją ujrzeć pod postacią kobiety, raz to piękna dziewczyna, rozczesująca złociste włosy w koronie przybrzeżnej wierzby, a kiedy indziej wiedźma, jakby prosto z nocnego koszmaru.

Ma ona bowiem wiele twarzy.

Ale czy zmiennokształtna bogini śmierci potrafi też przybrać kształt wędrowca?

Nad tym pytaniem zastanawiał się Varnas, przyglądając się przybyszowi z orzechowym, zakończonym krzyżem kijem, obcemu, który stanął przed progiem chaty Kuźmy, prosząc o nocne schronienie.

Jego pojawienie się tego wieczora wywołało w umyśle Litwina niepokój większy, niż wojownik skłonny był sam przed sobą przyznać. Nie żeby kiedykolwiek miał intuicję tak silną jak jego młodsza siostra. Nie, co to, to nie, zwykle był ślepy i głuchy na znaki pochodzące od bogów. Jednak

w tym przypadku czuł, że wraz z przybyciem wędrowca do domu Kuźmy wkracza mrok.

– Jeśli już musicie, możecie przespać się w szopie – niechętnie zezwolił gospodarz, chmurny, ponieważ i jemu ten gość wcale a wcale się nie podobał. Rzadko ktoś zaglądał do jego domu, a odkąd ukrywał się w nim Varnas, każdy obcy stanowił zagrożenie.

– Nie zauważycie nawet mojej obecności.

– Już ją zauważyliśmy – odburknął rybak. – Jak was zwą?

– Andrzej.

Rozmawiali mieszaniną ruskiego i polskiego, wtrącając przy tym pojedyncze miejscowe słowa z mowy Prusów; widać było, że wędrowiec bywał w świecie i poznał wiele języków.

Varnas wciąż milczał. Nie podobały mu się oczy Andrzeja, o ile ten naprawdę tak miał na imię. To było nieufne spojrzenie człowieka nawykłego do zabijania, nie do pokory i modlitwy. Litwin potrafił rozpoznać wojownika, wszak przez większość swojego życia tylko wśród takich przebywał. Kto wie, może ten pielgrzym kiedyś wojował, a teraz porzucił swe rzemiosło i wybrał los wędrownego dziada?

Może tak, może nie.

W każdym razie nie należało spuszczać go z oczu.

Tymczasem zaczęło się ściemniać; wszystko wokół – dom, szopa, spichlerz, opłotki, drzewa i ludzie – stopniowo rozmywało się i zlewało w jedną mroczną szarzyznę. Co gorsza, znów zaczął padać deszcz. Wędrowiec wszedł do szopy, a Varnas, Kuźma i Sońka udali się do domu, gdzie na palenisku i w zatkniętym na ścianie łuczywem płonął już święty ogień Gabetty.

Kuźma zbudował swój dom wiele lat temu, sam jeden, bez niczyjej pomocy. Fundament był kamienny, całą konstrukcję zaś podtrzymywały pionowo wbite pale, w których gospodarz wyłobił podłużne, szerokie otwory. W te właśnie pazy wpasował potem przycięte końce poziomych bierwion, tworząc boczne ściany. Varnas nie mógł się nadziwić, jak solidnie to wszystko zostało wykonane. Szpary między bierwionami Kuźma zatkał

mchem, a wszystkie wewnętrzne ściany wylepił gliną, dzięki czemu w zimowe dni i noce pomieszczenia zachowywały ciepło.

W domu były dwie izby przedzielone ścianką z dranic. W jednej, zajmowanej teraz przez gospodarza i Varnasa, znajdowało się kamienne palenisko, a wzdłuż ścian ciągnęły się przykryte skórą ławy, służące do siedzenia i spania. W drugiej izbie, nieco mniejszej, mieszkała Sońka. Dominował tam postawiony na podwyższeniu kamienny piec. To tutaj przesiadywano najczęściej w zimowe wieczory. Pod ścianą stały jeszcze krosna oraz skrzynia na ubrania Sońki.

Teraz cała trójka zebrała się w pomieszczeniu z paleniskiem.

– Biesy go nadały – mruknął gospodarz, podchodząc do zawieszzonego na żerdzi kociołka z bulgoczącą rybną polewką.

– Te jego oczy... – powiedziała Sońka.

– Wszystkiemu już się przyjrzał. – Varnas pokiwał głową.

– Bo to woj, a nie żaden chrześcijański kriwe. – Kuźma potwierdził przypuszczenia Litwina.

– Tak.

– Nie wiem tylko, czemu udaje świętego.

– Szpieg – orzekł Varnas, wyciągnąwszy dłonie do ognia.

– Albo były wojownik idący z pokutą.

– Dużo o sobie nie mówił...

Przez chwilę cała trójka milczała, pogrążona w obawach. Ta niespodziewana wizyta ciążyła każdemu z nich, zwłaszcza że ukrywali przed światem swoją tajemnicę.

– To może wypytajmy go odrobinę – odezwał się w końcu gospodarz. – Trochę mnie męczą te wszystkie podejrzenia. Jak go napoimy miodem, może język mu się rozwiąże.

– Wątpię – odparł Varnas. – Wygląda na chytrą sztukę.

– Warto spróbować.

– Chcecie go, ojczulku, zaprosić tutaj? – spytała słabym głosem Sońka, siedząca z podciągniętymi pod brodę kolanami. Nadal wydawała się przestraszona.

– Nic nam nie zrobi – stwierdził Kuźma. – Nawet jeśli nie jest tym, za kogo się podaje. A może się mylimy? Może to uczciwy człowiek, tylko wygląda na gada?

– Uczciwy na pewno nie – skomentował Varnas.

– Wszyscy mamy coś na sumieniu – odrzekł twardo Kuźma. – Ale to nie powód, by wyganiać człeka na deszcz. Bogowie zalecają dawać schronienie wędrowcom. Pada, dach w szopie przecieka, niechby coś gorącego zjadł. Nad tą chatą czuwa Perkun, jego godło wisi na drzwiach.

– Ten przyniósł ze sobą znak ich boga, Krista. Krzyż – powiedziała cicho dziewczyna.

– Niech więc zostawi go w szopie.

– Mam go zawołać, ojczy?

– Wołaj.

– To błąd – mruknął Varnas.

– Ja decyduję, chłopcze. Dlaczego mamy się go bać? Może nam się bliżej przedstawi. Jak to jakiś przybłęda i krętacz, wyrzucę jak psa. Ale musimy to sprawdzić.

Andrzej przyszedł bez kija, cały w pokornych ukłonach. W świetle ognia mogli lepiej się przyjrzeć wędrowcowi. Był gładko wygolony, szpetny z oblicza, miał też bliznę w okolicy prawego ucha.

– Dobry człecze – rzekł. – Prawdą jest to, co mówią o Prusach, że gościnność jest ich drugą naturą.

– Nie jestem Prusem – mruknął Kuźma.

– A kim? – Przybysz usiadł ostrożnie i sztywno, jakby miał obolałe plecy.

– Nie wasza sprawa.

– Chyba wiem.

– Tak?

– Litwinem – stwierdził z uśmiechem przybysz, ale jego oczy pozostały czujne jak u sowy wypatrującej ofiary. – Poznaję.

– Czego szukacie w tych stronach? – przerwał mu gospodarz, nalewając rybną polewkę do drewnianej miski.

– Przynoszę prawdziwego Boga.

– A zakonni przypadkiem już go tutaj nie przynieśli? – Kuźma podał misę i łyżkę Andrzejowi.

Ten podziękował, po czym rzekł:

– Zakonni źle się do tego zabrali, bo nawracają mieczem, a nie słowem. A przemoc to rzecz naszemu Panu niemiła. Najpierw trzeba dotrzeć do serc miłością. Przygotować ludzi. Bo jeśli winogrono niedojrzałe, żadna tłocznia słodczy z niego nie wycisnie. A oni przybyli z sierpem i ogniem, płomieniami wypalają winorośl. Ja zaś, przyjaciele, przychodzę do was z radosną nowiną i pieśnią na ustach.

– Piękne słowa – odparł Kuźma. – Widzi mi się jednak, że jeśli chcecie ludzi nawracać, to dziwnie wędrujecie.

Andrzej spojrział na niego znad miski, jedząc pospiesznie, jakby od dawna nie miał nic w ustach.

– A to czemu?

– Bo unikacie ludzkich siedzib.

– Nie unikam.

– Musieliście widzieć dymy nad rzeką, tam jest osada rybacka, chłopci do nawrócenia, żniwo dla was i waszego Boga. Winogron, jak to powiadacie, pod dostatkiem. A nie zaszliście do nich po przytułek, tylko tutaj, pod moją strzechę.

Mężczyzna przełknął kolejną porcję polewki i otarł brodę.

– Słyszałem, że tamtejsi ludzie wrodzy są Jezusowi.

– Jak wszędzie na tych leśnych i bagnistych ziemiach. Tu od wieków czci się Perkuna.

– Właśnie dlatego zmierzam na północ. Zanim zagrzmia trąby i nastanie dzień ostatni, zamykając tym ludziom drogę do zbawienia. Idzie o życie wieczne...

– Nasłuchałem się dość takiego gładzenia – przerwał mu niecierpliwie Varnas. – A dwa palce gdzie straciliście?

Od jakiegoś już czasu przyglądał się okaleczonej lewej ręce wędrowca.

Andrzej uśmiechnął się i uniósł dłoń na wysokość twarzy – przypominała ptasi szpon.

– Tam, gdzie wy nabawiliście się swoich blizn, wojowniku – odparł, patrząc Varnasowi prosto w oczy.

Litwin drgnął.

– Na wojnie? – spytał.

- Ano.
- Po jakiej stronie walczyliście?
- Po stronie Zbawiciela.
- To niewiele nam mówi.
- Króla polskiego.
- Czyżby?
- Ale nie obecnego. Ludwika Andegawena. Madziara.
- Stare czasy. A teraz udajecie mnicha?
- Wy też już nie wojujecie, tylko ryby łowicie, przyjacielu.

Tak jak się tego obawiał Varnas, tamten szybko go przejrzał. Być może nawet wiedział, kim dokładnie jest Litwin. Bo chyba wcale nie był wędrownym kaznodzieją. Pewność siebie tego gałganiarza zbijała z tropu. Podobnie jak jego spostrzegawczość. No cóż, sprawy przybrały zdecydowanie zły obrót. Jeśli ten włóczykij zacznie opowiadać po drodze o byłym litewskim wojowniku, który teraz rozpina u Kuźmy rybackie sieci, zguba nadejdzie szybciej, niż do tej pory Varnas przypuszczał.

Tylko co robić?

Nie mógł zabić tego człowieka. Dość już miał śmierci na swojej drodze. Gdziekolwiek się pojawił, ktoś musiał odejść z tego świata. Nie chciał też zabijać nikogo przy Kuźmie, a przede wszystkim przy Sońce. Nie dość, że ukazałby im swą prawdziwą naturę, to jeszcze naraziłby ich na niebezpieczeństwo.

No, ale puścić wolno tego włóczęgę... Myśli kłębiły mu się w głowie.

– Nie mówimy o mnie. – Spojrzał groźnie na przybysza. – To wy przybywacie tutaj nie wiadomo skąd i nie wiadomo po co.

– Nie obawiajcie się mnie, dobrzy ludzie. – Andrzej odstawił pustą miskę. Oblizał wargi. – Jestem tylko skromnym sługą Bożym. Nie ciekawi mnie, jak tu sobie wspólnie gospodarujecie, co was łączy. Jak już odgadliście, unikam ludzi z tych okolic, nie opowiem nikomu o litewskim wojowniku żyjącym nie ze swoją żoną i nie ze swoim teściem nad rzeką...

– Prrr! – przerwał mu Kuźma. – Zwolnijcie nieco, powsinogo. Zdaje mi się, że zanadto wściubiacie nos w nie swoje sprawy. Kim on dla mnie i dla mojej córki, nie wasza to rzecz. Odkąd tylko tu zaszliście, wężycie niby myśliwski pies.

– Chyba lepiej uczynię, jeśli odejdę w noc – odparł wędrowiec.

– Nie tak szybko – wyrwało się Varnasowi.

W oczach wędrowca naraz zgasła pewność siebie. Zaczął nerwowo rozglądać się po izbie.

– Nie pozwolicie mi odejść?

– Nie teraz.

– Zamierzacie mnie tu zabić? Bezbronnego wędrowca?

– Nikt nikogo nie zabije – rzekł Kuźma. – A jeśli jesteście uczciwym człowiekiem, za jakiego się podajecie, żadna przemoc wam tu nie grozi.

– W oczach tego młodego mężczyzny czytam co innego – odparł cicho Andrzej.

– To mój dom, ja decyduję, nie on – odparł gospodarz. – Pójdziecie do szopy, położycie się na sitowiu, a jutro stąd odejdziecie.

– Wydaje mi się, że przestało padać – powiedział pielgrzym. – Chyba jednak dziękuję wam za gościnę i ruszę w swoją drogę.

– Nocą? – zdziwił się Varnas.

– Przywykłem.

– Coś spieszno wam się zrobiło.

– Wyczuwam pogańskie demony w tym domu. Za silne są dla mnie, słabego.

Chciał wstać, lecz Varnas chwycił go za ramię. Obaj na chwilę zastygli w bezruchu. Spojrzeli na siebie w ten sposób, iż wiadome już było, że źle się to zakończy. Pod materiałem opończy Litwin wyczuł nie ciało Andrzeja, lecz coś ukrytego w rękawie – coś grubego i miękkiego.

– Co tam macie? – wysyczał.

– Puść. To opatrunek.

– To żaden opatrunek.

– O co chodzi, Varnasie? – zapytał zdumiony Kuźma.

– To szpieg albo posłaniec – wyjaśnił Litwin. – Przenosi listy.

– Listy? – Gospodarz powoli uniósł się ze swojego miejsca.

– Pisma kościelne – odparł Andrzej i znów zaczął się rozglądać gorączkowo wokół. – Nie macie prawa.

– Pokażcie to – nakazał gospodarz. – Nie jesteście duchownym, więc ciekawi mnie, jaki biskup powierzył wam kościelne pisma. I po co.

Tymczasem Varnas szybko obmacał pierś i plecy wędrowca. Jego podejrzenia się potwierdziły.

– Ma tego więcej – oznajmił.

– Kim właściwie jesteście? – spytał Kuźma, nerwowo szukając czegoś wzrokiem w kącie izby.

Sońka również się podniosła, zdezorientowana tym wszystkim. Oddychała szybko, jej piersi pod białą koszulą podnosiły się i opadały.

– Radzę mnie puścić – rzekł spokojnie Andrzej. – Jeśli zrobicie coś niegodnego, będziecie zgubieni.

– Kim jesteście? – powtórzył Kuźma.

Odnalazł to, czego szukał. Kamienny toporek. Chwycił za trzonek, nie spuszczać oczu z przybysza.

– Mam potężnych protektorów – oświadczył obcy, już nie pewnym siebie, lecz lekko drżącym głosem, obserwując, jak gospodarz waży w ręce broń. Teraz zapewne zrozumiał, że nocleg w tym miejscu nie był najlepszym pomysłem. – Odłóżcie to.

– Jakich protektorów?

– Za mocnych dla was.

– Zakon?

Andrzej nie odpowiedział.

– Wiedziałem – powiedział cicho Varnas. – Niesie pisma do krzyżackich psów. I to tajne pisma, skoro nie są ślane przez zwykłych posłów. Od kogo, ścierwo, te wiadomości?

– Jesteś już martwy – mruknął Andrzej.

– Odpowiadaj.

Tamten jednak nie odpowiedział.

Błyskawicznie, niczym atakujący wąż, wyszarpnął spod oponczy sztylet. Następnie, z szybkością, jakiej nikt by się po nim nie spodziewał, ruszył w kierunku Sońki, chcąc zapewne wziąć ją za zakładniczkę. Lecz nie zdążył, ponieważ Varnas podłożył mu nogę i napastnik runął na klepisko.

Dziewczyna jęknęła, przerażona i blada.

– Uciekaj do swojej izby! – krzyknął jej ojciec.

Tymczasem Andrzej przeturlał się pod ścianę izby i błyskawicznie zerwał się na nogi, wyciągając sztylet przed siebie. Widać było, że potrafi walczyć.

Wtedy Kuźma pokazał, co potrafi. Niemal nie robiąc zamachu, cisnął toporkiem w kierunku przybysza. Kamienne ostrze trafiło w skroń i Andrzej ponownie upadł, tym razem nieprzytomny.

Chwilę potem Varnas przyciskał kolanem jego pierś.

– Nie zabijaj go – nakazał Kuźma. Podszedł i położył czarnowłosemu wojownikowi dłoń na ramieniu. – Może coś więcej wyśpiewa, jak się obudzi spętany. W dodatku nie chcę splamić tego domu krwią i morderstwem.

– Nie mam zamiaru zabijać gada – odrzekł Litwin. – Niech sam zdechnie, najlepiej w gnojówce.

Chwycił za sztylet, który napastnik wypuścił z dłoni, i szybko rozciął opończę Andrzeja. Tak jak się spodziewał, pod nią ujrzał zwoje pergaminu. Były przymocowane do ciała rzemieniami. Odciął jeden z nich, podniósł rulon. Nie potrafił czytać, więc tylko sprawdził pieczęcie.

Te akurat umiał rozpoznać, uczono go tego na krakowskim dworze.

Pieczęć należała do Władysława, księcia opolskiego, wroga króla Jagiełły.

– Co to jest? – zapytał cicho gospodarz. On również był niepiśmienny, zresztą w odległości wielu mil nie było nikogo, kto umiałby czytać.

– Opolczyk knuje przeciwko Polsce – odparł Varnas, podnosząc się oszołomiony. – Układa się z Zakonem.

Sprawdził resztę listów i rozpoznał także czeskie pieczęcie. Wyglądało to coraz poważniej.

W tym momencie zarówno Kuźma, jak i Varnas zrozumieli dwie rzeczy.

Po pierwsze, Andrzej nie może opuścić żywy ich domu.

Po drugie, Varnas będzie jednak musiał wrócić do Krakowa.

ROZDZIAŁ TRZECI

KRAKÓW, CZERWIEC 1392

Plotka szerząca się wśród służby na Wawelu przybrała postać stugębnego potwora.

Szeptano po kątach, przekazywano sobie najnowsze wieści nad parującymi saganami, przy wozach z owocami i warzywami, a nawet w ustronnych miejscach. Potwór milkł tylko na widok ochmistrzyni. Cichły wówczas wszelkie rozmowy, ucinane w pół zdania, panny służebne uciekały spojrzeniem w bok, nagle bardzo zajęte swoimi powinnościami. Mężczyźni zaś zaciskali szczęki i kiedy tylko tamta się odwróciła, spluwali przez ramię, jakby spotkali wiedźmę.

Inni zegnali się dyskretnie znakiem krzyża świętego, gdy wchodziła do wspólnego pomieszczenia.

Krystyna wiedziała, że to już koniec.

Odkryto jej romans z Konradem, a wkrótce, jeśli tchórzliwy kochanek zacznie mówić, królowa zapewne wznowi śledztwo w sprawie śmierci ojca Alberta. Wprawdzie nie przyznała się ukochanemu do otrucia duchownego, ale lekkomyślnie, podczas jednej z upojnych nocy, gdy nie myślała rozsądnie, opowiedziała mu o swoich truciznach. Było to głupie, lecz wydawało jej się wtedy, że taka wiadomość jeszcze bardziej podnieci Konrada.

Pragnęła, by uważał ją za kobietę niebezpieczną i tajemniczą. Wszechwładną. Tak jak była wszechwładna przy chorych, decydując, czy mają dalej cierpieć na ziemskim padole, czy też powinna już uwolnić ich od bólu, pomóc spotkać się ze Zbawicielem. Dreszcz, jaki czuła w takich sytuacjach, kiedy to od niej zależały sprawy życia i śmierci, cierpienia oraz zbawienia, pragnęła przenieść do łoża, w którym przyjmowała Konrada.

Pamiętała, że gdy usłyszał o jej umiejętnościach sporządzania trucizn, wydawał się zdumiony i chyba lekko rozbawiony. Oboje wypili wtedy za

dużo wina i być może Konrad nie potraktował jej zwierzeń zbyt poważnie. Teraz jednak nie będzie mu zapewne do śmiechu i aby ratować własną głowę, podzieli się swą wiedzą z królową oraz duchownymi. O ile już tego nie zrobił.

No cóż, to wcześniej czy później musiało się tak skończyć. Wiedziała o tym od samego początku, od dnia, kiedy uwolniła od cierpień dwunastoletnią dwórkę, jasnowłosą Hankę, nękaną przez gorączkę. Jednakże gdy jej kolejne akty miłosierdzia nie zwróciły niczyjej uwagi, poczuła się pewnie i stała się nieostrożna. Zapewne nawet taki brak czujności uszedłby jej na sucho, gdyby nie dociekliwość tej diablidy z Litwy, tego pogańskiego demona o anielskiej twarzyczce.

Tej więdźmy.

Gdy tylko Milda pojawiła się na wawelskim dworze, Krystyna od razu rozpoznała w niej słuźebnicę Lucyfera. Lecz popełniła błąd, lekceważąc dziewczynę. Skąd mogła wiedzieć, iż to jasnowłose, zagubione dziecko może jej kiedykolwiek zagrozić? Jej, Krystynie, która była narzędziem w ręku Boga i pomagała duszom wchodzić do Jego Królestwa? Jeden jedynty raz zdarzyło jej się zostawić kubek z resztką trucizny w szpitalu, a ta poganka natychmiast go odkryła. Krystyna powinna była zacząć od niej, pozbyć się diabelstwa z chrześcijańskiego dworu.

Powinna...

Lecz nie zrobiła tego, a teraz było już za późno na cokolwiek, więdźma triumfowała.

A jej, Krystynie, przyjdzie zapłacić za czyny, których ci wszyscy wokół nie potrafią zrozumieć. Nawet dobra królowa nie pojmie do końca jej szlachetnych pobudek i szczeręj chęci ulżenia nieszczęśnikom. Tylko słodki Jezus mógłby zrozumieć. Tak więc Krystynę czekała jedyna w takim przypadku kara. Wszelkich morderców – aż się skrzywiła na samą myśl, że ktoś mógłby ją tak nazwać – karano tylko w jeden sposób.

Śmiercią.

Ciekawe, jaki rodzaj śmierci zostanie dla niej wybrany? Powieszenie, ścięcie toporem?

Nie bała się śmierci, w końcu obcowała z nią niemal przez całe swoje życie. W dzieciństwie widziała bolesny koniec swoich bliskich i była świadkiem odchodzenia chorych w szpitalach. Nie, nie obawiała się umierania. Jedyne, czego naprawdę się bała, to bólu. Pamiętała ukąszenia

szczurów i gdyby jej wtedy nie znaleziono w opuszczonym domu, leżącej pod trupami rodziców oraz młodszego rodzeństwa, te wstrętne stworzenia zjadłyby ją żywcem. Dotąd czuła ich zęby na swoim ciele. I ten ból. Ostry, szarpiący, budzący ją nocami.

Zniesie wszystko oprócz bólu.

Tego wieczora najbardziej cierpiała jednak jej dusza, a to z powodu zdrady Konrada. Jedyne go mężczyzny, jakiego kiedykolwiek zdołała pokochać. Który obiecywał jej wspólną przyszłość, obudził w niej kobietę, pozwolił zakosztować nieznanych Krystynie do tej pory rozkoszy w łóżnicy. Rozpalił zmysły, pozwolił uwierzyć, że jest piękna i godna pożądania.

I to wszystko miało być udawane?

To, co powiedział w ogrodzie, w obecności królowej i wiedźmy, było niczym cios sztyletem prosto w serce. A może nawet i gorsze, bo jej nie zabiło, pozostawiło tylko krwawiącą ranę. Straciła przytomność. Podli ludzie mniemali pewnie, że Krystyna udawała, aby wzbudzić współczucie Jadwigi. Lecz naprawdę zrobiło jej się wtedy ciemno przed oczami. Podli ludzie nie wiedzą, czym jest miłość.

Za chwilę Konrad miał się pojawić w jej komnacie.

Po południu, tuż po obiedzie, przysłał jej przez dwórkę liścik z prośbą o ostatnie spotkanie. Czy chciał się pożegnać, wytłumaczyć, czy też uśmierzyć wyrzuty sumienia – w tej chwili nie było to ważne.

Musiała się przygotować.

Zamknęła się w sypialni, ale nie na klucz. W tej samej sypialni, gdzie przeżyła z Konradem tyle upojnych nocy.

Ze smutkiem rozejrzała się po komnacie, w której spędziła najpiękniejsze lata swojego życia. Popatrzyła na wygodne sprzęty, kominek dający przyjemne ciepło w zimowe i jesienne wieczory, wygodne łóżce, kojarzące jej się z rozkoszą i szczęściem.

Minionym szczęściem...

W zamyśleniu zdjęła z głowy czepiec i odłożyła go starannie na taboret pod oknem. Palcami rozczesała włosy i pozwoliła im spłynąć swobodnie na plecy. Uniosła do oczu kosmyk spadający jej na twarz i uśmiechnęła się z rozmarzeniem. Konrad uwielbiał jej włosy, zawsze to powtarzał. Mówił, że są piękne, lśniące jak miedź. Dbała o nie, myła w specjalnych ziołowych mieszankach o tylko jej znanym składzie. Cesała specjalnym grzebieniem z kości słoniowej, prezentem od...

Nie, wspomnienie tamtego mężczyzny wciąż sprawiało jej ból, nie chciała przywoływać dawnego uczucia. Podeszła do drewnianej skrzyni z metalowymi okuciami i otworzyła ciężkie wieko. Rzadko tam zaglądała, ale teraz nadszedł odpowiedni czas. Musi być piękna na najważniejsze spotkanie w swoim życiu.

Na samym wierzchu leżała, starannie złożona, suknia ślubna, ozdobiona perłami. Sama ją haftowała, naszywała perły, które dostała również od... Nie dało się jednak zapomnieć o Miłoszu, jej dawnym narzeczonym i niedoszłym mężu. Pogładziła lekko poząłkły od leżenia w skrzyni materiał i zamknęła oczy. Nie kochała Miłosza tak jak Konrada, nawet nie była teraz pewna, czy kiedykolwiek naprawdę go kochała, ale czuła się szczęśliwa, naprawdę szczęśliwa, kiedy poprosił o rękę jej opiekunów. Był zamożnym kupcem, młodym i przystojnym, zasypywał ją prezentami.

A potem nie pojawił się przed ołtarzem w małym kościółku.

Do dziś nie wiedziała dlaczego. Początkowo myślała, że coś mu się stało, że miał wypadek w drodze na ślub, kilka miesięcy później dowiedziała się jednak, że ożenił się z inną. To właśnie wtedy postanowiła wyjechać ze swojej rodzinnej miejscowości i szukać szczęścia w Krakowie. Dzięki rekomendacji bogatych opiekunów dostała się na Wawel i została ochmistrzynią na dworze królowej Jadwigi.

Na wierzchu sukni leżał zasuszony wianek z polnych kwiatów.

Tak jak go wtedy położyła.

Kiedy go teraz dotknęła, rozsypał się w rękach. Wyjęła ostrożnie suknię ze skrzyni, zdmuchnęła z niej resztki suchego bukietu. Jedna z pereł, którymi wyszyta była suknia, zawadziła o brzeg i odpadła, potoczyła się z cichym stukotem po kamiennej posadzce. Widocznie nici już zetlały, pomyślała obojętnie Krystyna. Suknia wciąż leżała na niej jak ulał. Wyglądało na to, że udało jej się zachować smukłą sylwetkę przez te wszystkie lata. Podeszła do lustra z wypolerowanej miedzi i uśmiechnęła

się z zadowoleniem. Gładka powierzchnia litościwie zamazywała wszelkie zmarszczki na jej twarzy i blizny na ramionach i szyi.

W końcu odważyła się je odsłonić.

Przed oblubieńcem.

Miała zamiar włożyć suknię na ich ślub, ale tak się już nie stanie.

Powolnymi ruchami zaczęła czesać swoje długie włosy. Nie zauważyła, że przez ostatnie lata zdążyły zmatowieć i przerzedzić się, a siwe, sztywne pasma straciły dawny blask błyszczącej miedzi. W jej wspomnieniach wciąż były gładkie i lśniące. Odłożyła grzebień na stolik z otwartym modlitewnikiem. Obok niego stały dwa kielichy z winem.

Wino, odpowiednio doprawione, przygotowała niedawno, gdy tylko otrzymała liścik od Konrada.

Na ostatni toast.

Konrad przemykał korytarzami zamku, starając się unikać wzroku mijanych po drodze dworzan i dwórek.

Owszem, lubił być obiektem zainteresowania niewiast, młodych i starszych, ale na takiej popularności, jaką ostatnio niechcący zyskał, bynajmniej mu nie zależało. Najbardziej irytująca była myśl, że łączono go z podstarzałą ochmistrzynią, jakby nie potrafił zdobyć miłości młodej i pięknej kobiety. Kiedy zdecydował się na ten dziwny związek, nie sądził, że sprawa wyjdzie kiedyś na jaw. Przecież widywali się w tajemnicy przed wszystkimi, nocą, w jej komnacie. Zresztą nie przywiązywał do tych spotkań szczególnej wagi. Skorzystał z okazji, bo Krystyna była chętna, łatwa, nie musiał się specjalnie o nią starać. Co z tego, że brzydka jak noc i odrobinę dziwaczna, by nie powiedzieć szalona jak marcowy zajac? Były też inne, znacznie ważniejsze korzyści wypływające z takiej znajomości, mógł więc bez trudu przymknąć oczy na całą resztę.

W ciemnościach nie widać niedoskonałości ciała, można zaspokoić żądzę, myśląc o innych kobietach.

Nerwowym ruchem poprawił swoje czarne, starannie utrefione z rana włosy, wystające spod aksamitnego beretu. Dyskretnie pociągnął nosem i poczuł zapach własnego zastarzałego potu pod pachami strojnego kaftana. Żałował teraz, że nie włożył innego, ale ten wydawał się najbardziej

odpowiedni na spotkanie z tą kobietą. Miał zamiar po raz ostatni zrobić na niej wrażenie, żeby wiedziała, co traci. Trudno, Krystyna musi znieść rozstanie, nie przewidywał więcej spotkań. Wiedział, że nie będzie już miał z niej żadnego pożytku.

Kobieta, z którą wcześniej wiązały go korzyści w postaci bliskiej znajomości z królową, możliwości awansu i tym podobne benefity, popadła w niełaskę i jej wpływy na dworze już się skończyły. Definitywnie. Nie miał zamiaru ani chwili dłużej trwać w związku z tą starą, wzbudzającą w nim wstręt babą. Teraz tylko musi jej wyjaśnić, że ich znajomość nie ma już przyszłości, a on nie zamierza zadawać się z osobą podejrzewaną o trucicielstwo.

I zapewne słusznie podejrzewaną.

Być może wszyscy ci głupcy na dworze niczego się nie domyślali, ale on miał swój rozum. Odkąd zaczęła paplać o truciznach, obserwował ją bacznie. Szybko domyślił się, co robiła w szpitalu stradomskim, ćwierkały już o tym niektóre ptaszki z miasta. Opowieści o pomocy chorym, chęci ulżenia im w bólu mogły może omamić młodą i naiwną królową, nie jego. Teraz będzie musiał lojalnie powiedzieć Krystynie, że wszystkimi swoimi spostrzeżeniami podzielił się z monarchinią, gdy ta tylko wróci z Wieliczki. Tak trzeba, to szaleństwo musi się skończyć.

I ponieważ – choć tego akurat nie miał zamiaru powiedzieć byłej kochance – musiał się wkupić w królewskie łaski. Władczyni powinna zrozumieć, że wiążąc się z tą kobietą, działał pod wpływem obawy, że i jego otruje.

Że nie miał innego wyjścia.

Nawet teraz musiał się przecież pilnować. Na wszelki wypadek nie tknie u niej żadnego poczęstunku. Strzeżonego Bóg strzeże.

Podszedł do drzwi sypialni Krystyny i zapukał w umówiony sposób, tak samo jak za każdym razem, gdy przychodził do jej łóżka.

Krystyna usłyszała pukanie i drgnęła lekko.

Już czas, pomyślała.

– Chwileczkę – zawołała półgłosem – jeszcze nie jestem gotowa, zaczekaj.

Konrad uśmiechnął się z politowaniem. Ona naprawdę szykuje się na miłosne igraszki, pomyślał. W istocie jest szalona. To spotkanie może być trudniejsze, niż przypuszczał.

– Pani, niestety nie mam wiele czasu – rzekł, starając się nadać tej wypowiedzi twarde i zdecydowane brzmienie.

– To nie potrwa długo.

– Przyszedłem tylko się rozmówić.

– Wiem.

– Wchodzę.

– Poczekaj!

– Nie mogę tu tak stać. Ktoś mnie zobaczy!

Krystyna ułożyła się na wzorzystej kapie przykrywającej łożo, udrapowała wdzięcznie fałdy pięknej sukni i zalotnym gestem poprawiła włosy.

– Możesz wejść.

Konrad wszedł do sypialni i z niepewną miną zbliżył się do łoża. Zaniemówił na widok Krystyny, ubranej w zszarzałą, rozpadającą się ze starości suknię ślubną. Ochmistrzyni sięgnęła po stojący obok łoża kielich z winem, a drugi, przeznaczony dla kochanka, wylała na dywan.

– Twoje zdrowie, mój drogi – powiedziała, z uśmiechem unosząc wino do ust i wychylając jednym haustem. Była gotowa na spotkanie z prawdziwym Oblubieńcem – Jezusem Zbawicielem. Ten nigdy jej nie zawiódł i nigdy nie sprawił jej bólu.

Z początku poczuła tylko gorzki smak, lecz zaraz po tym twarz zaczęła jej cierpnąć. Potem pojawiły się duszności, łydkami szarpnęły bolesne skurcze.

Konrad stał jak zamurowany, niezdolny do jakiegokolwiek reakcji. Mógł tylko bezradnie obserwować wykrzywioną straszliwie twarz kochanki.

Przecież miało nie boleć, zdążyła jeszcze pomyśleć zaskoczona Krystyna.

Miało nie boleć...

ROZDZIAŁ CZWARTY

KRAKÓW, CZERWIEC 1392

Słońce wstawało już ponad miastem, oświetlając pokryte blachą wieże kościołów i gontowe dachy kamienic i stopniowo wydobywając z szarości poranka ulice i place. Zapowiadał się kolejny upalny czerwcowy dzień.

Zwykle o tej porze rozbrzmiewał w Krakowie osobliwy koncert. Do uszu mieszczan dobiegały odgłosy miarowych uderzeń w miedziane miednice. Nieśli je miejscy pacholki, ubrani w wąskie kaftany z rozcinanymi i sznurowanymi rękawami oraz spodnie z różnokolorowymi nogawicami. Hałas ów oznaczał, że łaźnie gotowe są na przyjęcie pierwszych klientów, że łaźiebnicy zdążyli rozgrzać kamienie do czerwoności, a woda jest już gorąca.

Rozpoczynał się czas porannych kąpieli.

Wtedy na ulice zaczynali wychodzić ludzie. Pojedynczo i w małych grupkach, często też całymi rodzinami. Sunęli wzdłuż murów kamienic z głośnym ziewaniem, a niezmordowane o każdej porze dnia dzieci biegały na golasa wokół rodziców. Dorośli tylko symbolicznie okrywali rękami swoją nagość i choć Kościół piętnował podobną swobodę obyczajów, nikt specjalnie się tym nie przejmował, wiedziano bowiem, że pozostawienie ubrania w łaźni najczęściej oznaczało jego utratę. Odzież była droga, więc zazwyczaj pozostawiano ją w domach. Chociaż łaźiebnikom płaciło się grosz za opiekę nad pozostawionymi w szatniach spódnicami oraz kaftanami, bynajmniej nie chroniło to przed kradzieżą.

Milda starała się brać kąpiel co najmniej kilka razy w tygodniu, tak jak była do tego przyzwyczajona na Wawelu, a wcześniej na Litwie. Tam niemal każda rodzina miała swoją łaźnię i było to całkiem naturalne.

Zawsze dbała o higienę osobistą, pomna nauk matki, że kobieta powinna mieć nie tylko czyste myśli, ale i ciało, a później ojca Alberta, który czytał dziewczętom dworskim ustępy z dzieła znanej włoskiej medyczki, Trotuli de Ruggiero z Salerno. Uczona ta kładła duży nacisk na utrzymywanie w czystości narządów kobiecych, bowiem brud i zaniedbanie higieny, według niej, były przyczyną większości chorób kobiecych, a nawet śmierci od zakażeń podczas porodu.

Ojciec Albert, sam raczej stroniący od kąpieeli, specjalnie podkreślał podczas tej lektury, że te zasady i zalecenia dotyczą wyłącznie kobiet, co wyraźnie jest tam napisane. Księga była po łacinie, on zaś tłumaczył dziewczętom na bieżąco tylko wybrane fragmenty, nie mogły więc same tego sprawdzić. Milda widziała kilka razy ową księgę w rękach królowej Jadwigi, lecz nigdy na ten temat nie rozmawiały. Wiadomo było jednak, że królowa kąpała się często – czyli zapewne znała zalecenia Trotuli.

W Krakowie Milda musiała korzystać z publicznej łaźni, jako że właściciel gospody swojej własnej nie miał. Na prywatne łaźnie, z wodą dostarczaną rurami do domów, mogli sobie pozwolić jedynie najzamożniejsi mieszczanie. Na co dzień więc poprzestawała tylko na obmyciu twarzy i reszty ciała w miednicy stojącej we wnęce jej izdebki. Jednak takie mycie nie wystarczało. Zimna woda jedynie pozwalała się rozbudzić i zmyć resztki snu, natomiast ciepła, w łaźni, nie tylko lepiej zmywała brud, ale i przyjemnie rozluźniała całe ciało.

Tego poranka Milda ukryła włosy pod białą chustą i zarzuciła na siebie tylko wierzchnią suknię. Na bieganie półnago po mieście była zbyt wstydliva. Idąc do łaźni, specjalnie wybierała stare już i zniszczone ubrania, na które nikt nie powinien się poślakomić. Na palcach, żeby nie obudzić właściciela gospody, zbiegła z pięterka i wyszła na ulicę. Dołączyła do grupki mieszkańców z sąsiedniej kamienicy, odzianych najwyżej w nocne koszule lub wręcz nago, z ręcznikami pod pachą albo zakrywającymi wstydlive części ciała. Spuściła wzrok i udając, że wcale jej ten widok nie gorszy, ruszyła wraz z nimi do najbliższej łaźni. Słońce świeciło coraz mocniej, pachniało końskim nawozem, a środkiem ulicy płynęły wszelkiego typu śmieci, niesprzątnięte jeszcze przez czyszcicieli rynsztoków.

W przedsionku murowanego domu, gdzie znajdowała się łaźnia, panował tłok.

Okazało się, że czekała tam spora grupka osób towarzyszących parze narzeczonych. Wszyscy oni musieli wejść na tę popularną ostatnio kąpiel przedślubną pierwsi, żeby zdążyć na ceremonię zaślubin tego samego przedpołudnia.

Milda westchnęła z lekkim zniecierpliwieniem.

Co za pech.

Nie miała pewności, czy w takiej sytuacji zdąży się wykąpać przed powrotem do Kazimierza, a przecież nie mogła się spóźnić do pracy. Na szczęście większość weselników przeszła od razu do łaźni parowej, więc ta z kadziami i wannami była jeszcze dostępna. Za przedsionkiem znajdowały się szatnie, Milda zrzuciła więc szybko suknię i zakrywając się wstydliwie ręcznikiem, poszła w stronę ogromnej kadzi.

Korzystała z części dla ubogich, gdzie wanny i kadzie były wspólne. Bogatsi mogli korzystać z osobnych wanien, a nawet ze specjalnych izb, ale jej nie było na to stać. Kąpiele, z których korzystała, opłacał właściciel gospody. Wprawdzie pracodawcy mogli fundować wizyty w łaźni swoim pracownikom nie częściej jak raz na czternaście dni, ale Marcin cenił sobie bardzo Mildę i jej zamiłowanie do czystości, więc zdecydował się na odstępstwo od reguły.

Zadbana i czysta dziewczyna podająca do stołów bardziej przyciągała klientelę niż brudny flejtuch.

Odłożyła ręcznik i nago wkroczyła do kadzi. W ciepłej wodzie siedziało już kilka kobiet, łaźnienicy pilnowali, żeby nie było ich tam zbyt dużo naraz. Mildzie udało się jeszcze wejść i z błogim uśmiechem zanurzyła się w wodzie aż po szyję.

Zza drewnianej, niesięgającej sufitu ścianki, która oddzielała łaźnię męską od kobiecej, słychać było głośne parskania, okrzyki, rubaszne śmiechy i pluskania. Milda, przyzwyczajona już i obeznana z łaźniowymi praktykami, nie zdziwiła się zbyt, słysząc za ścianą również piskliwe kobiece głosy. Dla nikogo nie było tajemnicą, że w tym przybytku korzystano nie tylko z kąpeli. Nie bez przyczyny powtarzano sobie z porozumiewawczym uśmiechem rubaszną rymowanekę:

„Nie ma to jak łaźnia na męki bezpłodności; czego nie da kąpiel, zrobi któryś z gości”.

Ale łaźnie nie były miejscem, gdzie zażywano jedynie cielesnych uciech oraz przyjemności. Często przeżywano w nich męki, i to w sensie

całkowicie dosłownym. Cyrulicy wyrywali tu zęby, przecinali wrzody, puszczała krew czy też stawiali bańki. Ponadto można było się ostrzyć u balwierza. No a przede wszystkim napić wina, posłuchać muzyki i dowiedzieć się najnowszych plotek oraz wieści ze świata.

Właśnie teraz dwie kobiety siedzące obok Mildy rozprawiły żywo o ostatnich wydarzeniach w mieście:

- Wszyscy kacerze podobno już wyłapani.
- Trzymają ich w ratuszu?
- Nie. Gdzieś indziej. To tajemnica.
- Czemu tajemnica?
- Nie chcą pewnie, by tłum ich uwolnił. Ten prorok omamił wielu. Nawet mojego starego.
- Jego nietrudno omamić.
- Prawda.
- Ale po mojemu trochę racji ten święty ma.
- Ciii... głupia.
- No co? Czemu biskupi są tacy bogaci, a my biedujemy? Z lepszej gliny ulepieni? Mało się słyszy o ich bezceństwach?
- To nie nasza sprawa. Lepiej trzymać się z daleka.
- Ano prawda. Ogniem będą ich palić.
- Niechybnie.
- Muszę to zobaczyć na własne oczy.
- Ja też.

Milda jednym uchem słuchała ich rozmowy, w milczeniu, zanurzona w wodzie, z przymkniętymi oczami, rozluźniona i przyjemnie rozleniwiona. Nie były to dla niej żadne nowe wiadomości, o aresztowaniach wśród heretyków opowiadał już w gospodzie ojciec Kleofas. Podobno śledztwo prowadził inkwizytor z Wrocławia, na zlecenie samej kurii papieskiej.

Zdaniem dziewczyny kacerze sami się o to prosili. Ostrzegano ich, lecz nie chcieli słuchać, pozostali w mieście i dalej mamil ludzi. Jeśli ktoś szuka męczeństwa, to czyż można mu tego zabronić?

Tymczasem kobiety zmieniły temat.

– No a na Wawelu to już w ogóle najgorsze plugastwa – rzekła jedna z nich, chuda, o płaskich piersiach i sterczących obojczykach.

– Coś niecoś słyszałam – odparła jej towarzyszka, dla odmiany tęga i z potężnym biustem.

Milda zmarszczyła brwi. Na Wawelu?

– Uwiodła dużo młodszego, a niby taka z niej była święta – szepnęła chuda.

– To musiało wyjść na jaw.

– Pewnikiem stąd ta trucizna.

Litwinka otworzyła oczy i gwałtownie wynurzyła się, rozchlapując wodę.

Lecz kobiety akurat zamilkły, bo małe drzwiczki w ścianie dzielącej obie części łaźni uchyliły się i stanął w nich służący z koszyczkiem mydła. Za niewielką opłatą, uiszczaną oczywiście przy wyjściu, jako że trudno było mieć przy sobie pieniądze, będąc bez ubrania, można było skorzystać ze zwykłego mydła, niezbyt wykwintnego. Wielkie damy i bogate mieszcзки przynosiły ze sobą swoje drogie mydełka. Milda też kiedyś miała takie, jeszcze z wawelskich zapasów, niestety, w tajemniczy sposób zniknęło ono z jej kufierka w domu Doroty.

Dzisiejszego ranka, zanim udała się do łaźni, postanowiła, że jeszcze tego samego dnia kupi sobie podobne na targu. Miała już swoje pieniądze, u praczki pracowała teraz tylko do południa, a akurat dzisiaj był dzień targowy. Z tego, co słyszała w karczmie, koło Wawelu urządzono nawet coś w rodzaju jarmarku.

Jednakże w tej chwili nie myślała już o tym.

Bezwiednie sięgnęła po szare i maziste mydło.

Czy te kobiety wspomniały coś o truciznie? Na Wawelu? A może jest tak przewrażliwiona, że się przesłyszała? Tak czy owak, natychmiast pomyślała o Krystynie.

Taka niby święta...

Trucizna...

Tak, to by mogło do niej pasować. Ciekawe, kogo tym razem otruła. Jeśli to rzeczywiście o nią chodziło.

Tamte nie ciągnęły już tego tematu, rozmawiały teraz o cenach mięsa na targu, a Milda nie miała śmiałości ich wypytywać. Od początku ją ignorowały, jakby była niewidzialna.

Wybada sprawę w inny sposób. Jeśli nie ojciec Kleofas, to Żyd Jakub powinien coś wiedzieć.

O ile w tych plotkach jest cokolwiek z prawdy.

Zza przepierzenia, za którym znajdowała się łaźnia parowa, dolatywały odgłosy uderzania brzoźowymi witkami i stłumione okrzyki smaganych gałązkami gości. Milda spróbowała kiedyś wejść do takiej łaźni, ale bardzo szybko stamtąd wyszła. Było tam dla niej stanowczo zbyt gorąco. Poza tym w pomieszczeniu wypełnionym parą tak, że nie było nic widać na wyciągnięcie ręki, jakaś obca dłoń zaczęła dotykać jej piersi. Uciekła stamtąd z krzykiem, goniona rubasnym śmiechem jakiegoś żartownisia. Albo gwałciciela.

Szybko umyła się starannie.

Potem wyszła z wody i zaczęła się wycierać. Był już najwyższy czas, żeby wracać do Kazimierza, jeśli nie chciała wysłuchiwać narzekań Doroty.

Opuściła łaźnię czysta i odświeżona, lecz z głową pełną myśli i najdziwniejszych przypuszczeń.

Oczywiście wymówek Doroty nie uniknęła, ale była już przyzwyczajona do wiecznych utyskiwań gospodyni. Zdążyła spłacić jej cały dług za utracone łyżki, tak że przestała być od tamtej całkowicie zależna. Pracowała teraz krócej, dopłacając do czynszu z tego, co zarobiła w karczmie.

Tego dnia uwinęła się z robotą szybciej niż zwykle i jeszcze przed południem ruszyła na jarmark. Wciąż nie mogła przestać myśleć o tym, co usłyszała w łaźni. Słowo „trucizna” wciąż rozbrzmiewało w jej głowie i nie dało się przegonić. Miała nadzieję, że wieczorem w karczmie dowie się czegoś więcej.

Prawdę mówiąc, nie mogła już się tego doczekać.

Tłum mieszkańców kłębił się na placu na Okole, aż trudno było się przebić do kramów. Jak zwykle w dzień targowy przyjechało dziś spoza Krakowa sporo handlarzy i prostych chłopów chcących sprzedać swój towar. Można było też kupić tańsze mięso z tak zwanej wolnicy, czyli ze sprzedaży wolnej. Nie było to w smak krakowskiemu rzeźnikom, którzy jako członkowie cechu w normalne dni mieli wyłączne prawo do sprzedaży

mięsa, ale w ten sposób miasto pomagało uboższej ludności. Milda nie miała zamiaru kupować żywności, jedzenie w gospodzie było dobre i za darmo, chciała tylko pooglądać wyroby rękodzielnicze.

Zachwycona jak małe dziecko oglądała wystrugane z drewna zabawki, gliniane ptaszki, sznury koralu, pierścienie, zausznicę oraz inne cacka. Teraz, gdy należała do biedoty, nie miała prawa do noszenia bogatych ozdób, przepisy dotyczące tej kwestii były jasne. Ale któż mógłby jej zabronić oglądania owych cudeniek? Rozglądała się przy okazji za kramem mydlarza, koniecznie musiała kupić sobie lepsze mydło, takie, które nie będzie zostawiało szarego osadu na skórze. Co biedniejsi sprzedawcy, zwłaszcza ci spoza Krakowa, rozkładali towary na prowizorycznych ławkach czy wręcz na ziemi. Aby ustawić kram, należało mieć miejskie obywatelstwo.

Słońce przypiekało coraz mocniej, zrobił się upał.

Milda poczuła, jak spod ciasno splecionego warkocza zaczyna jej spływać na plecy strużka potu. Ciemna suknia z wełnianej materii koloru brudnego wiślanego piasku miała długie obcisłe rękawy i spódnicę w fałdy przyszytą wysoko do stanika. Taki strój był wygodny i dobry do pracy w gospodzie, teraz jednak sprawiał, że z trudem się poruszała. Z zazdrością spoglądała na bogate mieszczki w kolorowych sukniach z lepszego gatunkowo materiału, z pewnością bardziej przewiewnego.

Z westchnieniem przypominała sobie swoje barwne stroje z czasów, gdy była dwórką na Wawelu; kolorowe ubiory zostały zarezerwowane tylko dla wyższych sfer.

W pewnym momencie zatrzymała się przed kramem z kobiecymi ozdobami. Uwagę jej przyciągnęły grzebienie z kości słoniowej i piękne szpile do włosów.

Podniosła jedną z nich, cieniutką, z pięknym kamieniem na końcu.

– To złoto i opal. – Sprzedawca spojrzał niechętnie na Mildę i wyjął szpilę z jej ręki. – Nie dla takich jak ty.

– To prawda – usłyszała nagle jakiś męski głos za sobą – do takich niewiast jak ta nie pasuje fałszywe złoto i równie fałszywy kamień, sprzedawane przez oszustów.

– Że co? – zaperzył się sprzedawca, ale jeden rzut oka na dumną postawę właściciela głosu kazał mu natychmiast spuścić z tonu. – Przepraszam – burknął zmieszany – wcale nie zamierzałem...

Milda odwróciła się zaskoczona i spojrzała w zielone, przejrzyste oczy, które nie mogły należeć do nikogo innego...

To znowu on! Syn rajcy, bogatego kupca żelaznego z rynku.

Młody człowiek miał na sobie ubiór z drogiego materiału koloru ciemnej zieleni, która pięknie kontrastowała z jego czarnymi włosami i podkreślała kolor oczu.

I tak już była czerwona od gorąca, ale teraz poczuła, jak jej twarz oblewa rumieniec wstydu.

– Dzień dobry, Mildo. – Młodzieniec uśmiechnął się do niej przyjaźnie, nie zwracając już uwagi na sprzedawcę.

O bogowie, pomyślała spłoszona, znowu przypominając sobie, w jak krępujących okolicznościach go poznała...

– Dzień dobry.

– Często na siebie wpadamy, prawda?

– Istotnie, często. – Z lekkim wyzwaniem uniosła brodę.

Niech sobie nie myśli, że ona wciąż czuje się winna tamtej sytuacji. Jest uczciwą dziewczyną i nie ma sobie nic do zarzucenia.

– Tym razem jednak specjalnie cię szukałem, Mildo.

Już poprzednim razem przyzwyczała się do poufałości młodego kupca, więc nie zareagowała na to, że znów mówi do niej po imieniu, jakby byli starymi przyjaciółmi.

Spytała tylko:

– Doprawdy? W jakim celu?

– Lubię ten śpiewny ruski akcent.

– I to z tego powodu szukaliście mnie, panie?

– Nie. Oczywiście, że nie. Mówiąc już całkowicie poważnie, musimy porozmawiać.

– Musimy?

– Tak.

Uśmiech zniknął z jego twarzy.

– Przejdźmy może gdzieś na bok, z dala od tego tłumu.

Ruszyli między straganami w kierunku kępy drzew, gdzie wydawało się spokojniej, a co ważniejsze, można było pod nimi się schronić przed

bezlitosnym słońcem. Na widok Mikołaja prości ludzie schodzili im z drogi, zginając się w ukłonach. Dla Mildy był to dziwny widok, gdyż dawno już odzwyczaiła się od takiego zachowania innych.

– Mam dwie wiadomości – oznajmił młody kupiec, gdy stanęli w cieniu.

– Tak? – Poczowała, że mocniej bije jej serce.

– Mogą być trochę... trudne.

– Mówcie wreszcie!

Mężczyzna potarł nos.

– Ochmistryni Krystyna, ta, która cię prześladowała, oddała ducha Bogu – rzekł w końcu.

Milda zaniemówiła na chwilę.

– Oficjalnie: umarła podczas snu – dodał Mikołaj. – Nieoficjalnie wypięła truciznę, kiedy wyszły na jaw jej grzechy.

– Nie... – Była zbyt oszołomiona, aby powiedzieć cokolwiek mądrzejszego. Z podsłuchanej w łaźni rozmowy wynikało, że ktoś został otruty, teraz okazało się, że kobiety miały na myśli samą Krystynę.

– Tak. Nie żyje.

– Nie mogę w to uwierzyć.

Poczowała, że kręci jej się w głowie.

– W porządku? – Młodzieniec dotknął jej ramienia. – Oddychaj głęboko.

– Kiedy?

– Kilka dni temu.

– To jest... – nie umiała znaleźć odpowiedniego słowa.

Od miesięcy żyła nienawiścią do ochmistryni i pragnieniem zemsty, ale teraz, gdy usłyszała tę wiadomość, nie poczuła żadnej ulgi, przeciwnie, ogarnął ją chłód.

– Rozumiem, że trudno ci w to uwierzyć, jednak wiadomość jest pewna. Teraz królowa, kiedy tylko wróci z Wieliczki, będzie mogła oczyścić cię z dawnych zarzutów.

– Znalaziono dowody na jej zbrodnię?

– Są obciążające ją zeznania. Wystarczająco wiarygodne.

W dalszym ciągu to do niej nie docierało.

– Druga sprawa jest dużo poważniejsza. – Mikołaj nie dał jej ochłonać. – Proces tych kacerzy zatacza niebezpiecznie szerokie kręgi.

– A co mi do tego?

– Posłuchaj, dziewczyno. Szczególnie często widywano ich w waszej gospodzie. Mam informacje, że inkwizytor chce złowić więcej ryb w tym stawie. Kto wie, może Ojciec Święty płaci mu od sztuki, a może ten dominikanin po prostu lubi gnębić ludzi. Krótko mówiąc, lepiej byłoby dla ciebie, abyś opuściła to miejsce.

– Nie mogę. To moja praca.

– Ponawiam swoją propozycję z naszego ostatniego spotkania. Przyjmę cię do sklepu, przynajmniej na czas, gdy ten papieski pies będzie przebywał w Krakowie. Potem, jeśli zechcesz, wrócisz do karczmy.

– Nie wiem...

– Radziłbym szybko podjąć decyzję.

– I tak muszę tam dzisiaj pójść.

– Po co?

– Ostrzec Marcina.

Zastanowił się chwilę.

– No dobrze. Ale niech to będzie twój ostatni dzień u niego.

– Tego nie mogę obiecać.

– Przemyśl sobie wszystko bardzo poważnie.

– Tak uczynię. Dziękuję za te wieści. Muszę już iść, naprawdę.

Tego dnia była jak nieprzytomna. Nadmiar wrażeń i nowych wiadomości sprawił, że nie potrafiła rozsądnie myśleć.

Krystyna się otruła? Jeszcze do niedawna Milda uważała, że sama mogłaby jej podać tojad do wypicia, lecz tak naprawdę nigdy nie pragnęła jej zgonu, tylko sprawiedliwości. Śmierć ochmistrzyni nie była dla niej żadnym zwycięstwem, a jeśli już, to bardzo gorzkim. Co do inkwizycji, nie bardzo wierzyła, by Kościół zainteresował się zwykłą posługaczką. Była nikim. A polowano, zdaje się, na grubsze ryby.

Kiedy powiedziała Marcinowi o obawach kupca Mikołaja, karczmarz tylko machnął lekceważąco ręką.

– Jakby nas chcieli przesłuchiwać, dawno by to zrobili – powiedział. – W dodatku przecież ojciec Kleofas jest dominikaninem. Nie pozwoli nam zrobić krzywdy.

Pod wpływem tych słów i jego spokoju trochę się rozluźniła. Może rzeczywiście Mikołaj przesadzał? Widać było, że ewidentnie wpadła mu w oko i już od dawna, zanim jeszcze pojawiła się inkwizycja, bardzo chciałby mieć ją u siebie.

Wieczorem, kiedy zamknięto karczmę, a Milda skierowała się ku schodom wiodącym do jej pokoiku, właściciel ją zatrzymał.

– Był tu jakiś posłaniec i kazał ci to oddać. – Wręczył jej jakiś mały pakunek, zawinięty w czyste płótno.

Zaskoczona, wzięła go do ręki, nie bardzo wiedząc, co z nim zrobić.

– Dla mnie?

– A pracuje tu jakaś inna Milda?

– Dziwne.

– Nie otworzysz go?

Drgnęła i ostrożnie, jakby się obawiała, że wychynie stamtąd jakiś jadowity wąż, zaczęła odwijać płótno. Po chwili oczom zaskoczonej dziewczyny ukazało się wytworne mydełko i...

– To złoto? – Karczmarz nie wytrzymał. – Kto ci to przysłał?

W zawiniątku była piękna szpila do włosów, zrobiona ze złota, ozdobiona opalem najlepszej jakości. Milda nie miała wątpliwości, że tym razem złoto i kamień były prawdziwe.

– Nie wiem – skłamała z kamienną twarzą.

Nie miała zamiaru opowiadać swojemu pracodawcy o bogatym młodym kupcu. Mógłby ją opacznie zrozumieć.

– Ale domyślam się i jutro mam zamiar oddać prezent ofiarodawcy. Myślę, że ten ktoś się po prostu pomylił.

ROZDZIAŁ PIĄTY

ROŻNÓW, CZERWIEC 1392

Zofię obudził płacz synka.

Skrzywiła się z niechęcią na widok wiercącego się tłumoczka spoczywającego obok niej na wiązce słomy, służącej za legowisko. Wszyscy leżeli na dziedzińcu, w tych samych miejscach, w których wczoraj siedzieli do późna przy ogniskach. Noc była ciepła, więc nawet nie musiała się okrywać kapotą, którą zdążyła ze sobą zabrać z szałas.

Była zła, że dzieciak nie daje jej się wyspać, wiecznie marudzi, czegoś chce. Chwilami miała go dość. Żałowała, że nie udało jej się wtedy, w grudniu, podrzucić go tej możnej pani. Hanna obiecywała jej złote góry, że dzieciak zostanie w przyszłości dziedzicem tego majątku, a ona już nigdy nie zazna biedy. W końcu była przecież jego prawdziwą matką, a o matce się nie zapomina.

Ale nie, ta wytworna, rozkapryszona paniusia wołała swoją nic niewartą córkę zamiast jej syna. Spojrzała z niechęcią na zbliżającą się w jej stronę Amalię i z trudem przywołała uśmiech na twarz.

– Jak tam, Zofio? – spytała żona pana Zbigniewa. – Niczego wam nie brakuje? Dziecko nie jest głodne?

Nachyliła się nad płaczącym coraz głośniejszym chłopcem i wzięła go na ręce.

– Oj, wygląda na to, że jesteś głodny. Nie karmisz go już piersią? – Odwróciła się zaskoczona do Zofii.

Ta spieszyła się i odruchowo dotknęła nabrzmiątych piersi. Owszem, karmiła i wciąż miała dużo pokarmu, ale przecież nie przyzna się tej wielkiej pani, że dopiero co się obudziła i nie miała jeszcze czasu zająć się dzieckiem. Najpierw sama chciała coś zjeść, właśnie rozdawano posiłki na dziedzińcu. Czuć było zapach polewki i wędzonki.

– Karmiłam, ale on by wiecznie tylko jadł i jadł, stale mu mało – burknęła niechętnie. – Ja też jestem głodna i nikt się tym nie przejmuje.

– Służba już roznosi skromne śniadanie, zaraz i ty dostaniesz. – Amalia odebrała słowa Zofii jak wyrzut. – Najpierw zajęłam się małymi dziećmi. Wybacz, ale byłam pewna, że nakarmisz go piersią, więc tu wcześniej nie podchodziłam.

Do kobiet zbliżyła się Hanna. Staruszka wspierała się na kosturze, ale wciąż jeszcze starała się zachowywać postawę pełną godności. Widać było, że usłyszała część rozmowy.

– Widocznie za mało zjadł – powiedziała do Zofii – nakarm go jeszcze raz. Widzę, że zostało ci sporo pokarmu. Piersi masz nabrzmięte jak krowie wymiona przed dojeniem.

Tamta odebrała dziecko Amalii i przystawiła je do piersi. Maluch rzucił się na nią, jakby nie jadł od poprzedniego dnia – co zresztą, zdaniem pani zamku, było bardzo prawdopodobne. Natychmiast się uciszył i słychać było tylko jego pełne zadowolenia sapanie. Kiedy opróżnił jedną pierś, z grymasem bólu przystawiła go do drugiej.

Dziecku zaczynały się już wyrzynać pierwsze zęby, co natychmiast dało się odczuć podczas karmienia.

– Pokaż no ten pokarm, dziewucho. – Hanna miała już odejść, kiedy zobaczyła spływającą z kącika ust dziecka strużkę mleka. – No nie! Nic dziwnego, że chłopaczek ciągle głodny, spójrzcie tu, pani. Toż to sama woda!

Przywołana Amalia podeszła bliżej.

Pokarm, który spływał teraz z drugiej piersi Zofii, był rzadki, niemal niebieski. Przy takim odżywianiu, na jakie mogła sobie pozwolić w lesie, nie mogło tam być nic tłustego ani wartościowego.

– To tak, jakby człowiek pił mocno rozcieńczone wino – stwierdziła stara. – Napić się napije, ale nasycić się nie nasyci.

– W takim razie musi już dostawać normalne jedzenie – zawyrokowała Amalia. – Idź teraz do kuchni, tam się wami obojgiem zajmą. Powiedzcie, że ja was przysłałam. I jedno, i drugie potrzebuje lepszej stawy. A jak się skończy oblężenie, nie wróćcie już do lasu. Coś wymyślimy.

Nie wiedziała jeszcze co i wcale nie była taka pewna, że oblężenie szybko się skończy. Wszystko zależało teraz od tego, czy Grzegorzowi i Jaśkowi udało się dotrzeć do królowej.

Kiedy Amalia odeszła do swoich obowiązków – musiała dopilnować, żeby wszyscy zgromadzeni na dziedzińcu wieśniacy dostali coś do jedzenia

– Zofia została sama ze swoimi niewesołymi myślami. Nikt w całym jej życiu nie był dla niej dobry, nie znała więc uczucia wdzięczności. Nie wiedziała jeszcze, co dla niej będzie oznaczało zamieszkanie na zamku. Pewnie każą jej ciężko pracować, zdążyła już się nauczyć, że nic nie ma za darmo.

A może jednak będzie dobrze?

Pozna jakiegoś możnego pana, w końcu wciąż jeszcze jest młoda i powabna, wyjdzie za mąż... Gdyby tylko nie ten bękart, pomyślała, spoglądając na jasną główkę dziecka. Synek był delikatny, zupełnie niepodobny do swojego ojca. Tfu, splunęła w myślach, wspominając grubego bednarza, u którego służyła. Chodził za nią, łąsił się jak pies i obiecywał, że zostawi swą jałową jak ugór żonę i ożeni się z nią, Zofią. Ale kiedy brzuch jej napęczniał i trudno go już było ukryć przed ciekawskimi, wygonił jak psa. Rodzice nie chcieli jej przyjąć, bo ją zepsuł i wstyd im było przed sąsiadami, musiała więc uciekać do lasu.

Dobrze, że spotkała tam Hanneę. Stara kobieta przyjęła na świat jej dziecko i na zimowe miesiące dała obojgu schronienie w ciepłej chacie. Kiedy zaś zrobiło się cieplej, pomogła zbudować szałas. Nauczyła młodą matkę radzenia sobie i przygotowywania stawy z tego, co można znaleźć w lesie. Sama od czasu do czasu dawała Zofii kozie mleko, żeby ta miała lepszy pokarm.

Ale i tak to nie pomogło, pomyślała teraz ze złością.

A potem pojawiła się nadzieja na jakąś odmianę losu. Młoda małżonka pana Zbigniewa miała wziąć jej synka, ale nic z tego nie wyszło, oszukała ją. A teraz udaje taką dobrą. Mogła wcześniej się zainteresować jej losem, wielka pani. Dobrze, pójdzie do tej kuchni i przeniesie się z dzieckiem na zamek, w końcu od początku jej się to należało.

Nagle drgnęła. Wśród uwijających się na dziedzińcu ludzi rozpoznała znajomą sylwetkę. Ten brzuch, te nogi jak kłody, ten ciężki krok poznałaby wszędzie... Po raz pierwszy od wielu miesięcy zobaczyła ojca swojego dziecka, bednarza Wojciecha. Zupełnie jakby przywołała go myślami.

I on ją zauważył.

Rozejrzał się spłoszony, ale nie miał dokąd uciekać, udał więc, że się cieszy na jej widok.

– Szukałem cię od dawna – powiedział, podchodząc do młodej kobiety. Był w samodziałowej koszuli i narzuconej na nią sznurowanej kamizelce. –

Zapadłaś się jak pod ziemię, a ja stęskniłem się za tobą. To moje? – Głową wskazał na chłopca.

– A czyje by miało być? – prychnęła tak głośno, że przestraszone dziecko zaczęło płakać. – Przecież z nikim innym nie legałam.

– Bądźże cicho, pyskata niewiasto... – Wojciech przestraszył się, że Zofia zacznie mu robić głośne wymówki. – Co było, to było. Nie odmieni się tego teraz, los tak chciał. Nie mogłem inaczej, przecież wiesz, że jestem żonaty. Jak mu dałaś na imię?

– Bartosz.

– No, ładnie! – Uśmiechnął się, ukazując braki w uzębieniu. – A i chłopaczek ładny, podobny do mnie.

– Chyba z tych zębów – mruknęła złośliwie.

– Niekoniecznie musi mu być źle na świecie – rzekł tajemniczo bednarz.

– Ale na to się zanosi.

– Można odmienić jego los.

– Niby jak? – Podniosła się z barłogu i otrzepała spódnicę ze słomy.

Chwilę przyglądał jej się w milczeniu, jakby rozważał coś w głowie.

– Jest możliwość – ściszył głos. – Ale nie chcę o tym gadać tutaj.

Byli w miejscu, który zdążono już nazwać babińcem, bo spały tu same kobiety.

– Nigdzie z tobą nie pójdę – burknęła. – Raz już poszłam i do dzisiaj żałuję.

– Głupiaś. Nie chcesz się wzbogacić, to twoja rzecz.

Mimo że Zofia nie zmieniła niechętnego wyrazu twarzy, jej oczy zabłyśły.

– Jak wzbogacić? Skarb w lesie odkopałeś czy co?

– Mówię, chodź gdzieś na bok, tam ci powiem.

Wzięła małego na ręce i z posępną miną ruszyła za Wojciechem, wymijając posłania innych kobiet, które w większości już się posilały.

Stanęli przy kruszejącym murze, z dala od wartowników.

– No gadaj – ponagliła go. – Bom głodna.

– Możemy się stąd wydostać cało – oznajmił ściszoneg głosem mężczyzna, rozglądając się uważnie, czy ktoś nie nadchodzi. – I jeszcze przy tym wyjść na swoje. Ale musisz mi pomóc.

– No pewnie, żeby nas tamci za murami od razu zabili. – Z politowaniem pokręciła głową. – Przecież tylko na to czekają.

– Nie. Żadna krzywda nam się nie stanie. Wprost przeciwnie. Ludzie pana Emeryka obiecują złoto i wolność temu, kto znajdzie sposób, by weszli do zamku. Kto ich cichaczem tu wpuści.

– Od tego jest brama.

– Głupia jesteś jak koza.

– Tyś nie lepszy.

– Posłuchaj mnie. Brama jest zamknięta i strzeżona. To musi być coś, o czym inni nie wiedzą. W każdym zamku jest takie miejsce, którym można niepostrzeżenie uciec w razie oblężenia. Albo dostać się do środka. Przez lochy albo pod murami. No, musi tu gdzieś być coś takiego.

Zofia przekrzywiła głowę, namyślając się.

– Nic o tym nie wiem. Niby jak miałabym ci pomóc? I dlaczego?

– Bo jak pan Emeryk zdobędzie zamek, to nagrodzi tego, co mu w tym pomógł. I ten ktoś będzie bogaty. Pomyśl tylko. Byłabyś wielką panią, może nawet zostawiłby tę swoją i ożenił się z tobą.

– To on ma żonę? – zdumiała się. – Przecież to biskup.

– Biskupom dzisiaj wszystko wolno. Co ty na to? A i Bogdan miałby ojca.

– Bartosz.

– A tak, Bartosz. Co za różnica. Musisz tylko rozpytać wśród służby, ludzie na pewno coś wiedzą.

– Nie wiem. Zastanowię się.

Zofia wiedziała o furtce w murze ogrodowym, tej samej, przez którą Jaśko i Grzegorz wydostali się z zamku i pojechali po pomoc do Krakowa. O tym, że tam właśnie się udali, akurat nie miała pojęcia, ale tajemne przejście znała. Korzystała z niego kiedyś, kiedy spotykała się po kryjomu z młodym ogrodnikiem. Potem okazało się, że chłopak będzie się żenić, i schadzki ustały.

– Zastanowię się – powtórzyła.

Nie miała najmniejszego zamiaru dzielić się swoją wiedzą z tym opasłym knurem. Sama pójdzie za mury i osobiście pokaże przejście panu Emerykowi. A kiedy dostanie złoto, wyjedzie z dzieckiem z tego przeklętego miejsca i rozpocznie nowe życie. I jak wyjdzie za mąż, to za kogoś młodego i powabnego, nie za niedojdę albo starucha.

– Zawsze wiedziałem, że jesteś sprytna – przymilał się bednarz.

Po jej zachowaniu dostrzegł, że dziewczyna coś wie, bo także był sprytny, postanowił więc jej pilnować, żeby nie próbowała go przechytryć.

Nagrodą nie miał zamiaru z nikim się dzielić. A już zwłaszcza z Zofią. Na co jej złoto? Zakopie je w jakiejś norze?

– Idź już do swoich – nakazała. – Nie chcę, żeby nas razem widywano, bo pomyślą, że coś knujemy. Jak się czegoś dowiem, to dam ci znać.

Akurat, pomyślała. Nie będę się dzielić z kimś takim jak ty.

– A teraz – dodała z wyniosłą miną – muszę iść do kuchni, żeby zjeść jakiś porządniejszy posiłek niż to, co tu dają. Sama pani Amalia mnie zaprosiła.

– Uważasz się za lepszą? – zapytał z ironią Wojciech.

– Bo taka jestem. Ale nie bój się, zrobię, co chcesz. Będę jeszcze lepsza. I bogata.

Rozeszli się zadowoleni z przebiegu rozmowy, każde z nich przeświadczone, że udało mu się przechytryć to drugie. I żadne nie zauważyło, że z murów przygląda im się ze zmarszczonymi brwiami pani Amalia.

Amalia oparła się dłońmi o blanki.

Wyszła tam, żeby osobiście się przekonać, jak wygląda sytuacja pod zamkiem i w nadziei, że zobaczy z daleka nadciągającą odsiecz królowej. Niestety, horyzont był pusty, ani śladu zbrojnych. Kiedy się odwróciła w stronę dziedzińca, jej uwagę zwróciła Zofia, która rozmawiała z jakimś grubym wieśniakiem. Sprawiali wrażenie spiskowców, chociaż Amalia nie umiałaby wyjaśnić, dlaczego tak pomyślała. Może chodziło o sposób, w jaki pochylali głowy, rzucając jednocześnie spojrzenia wokół siebie, jak ludzie, którzy chcą coś ukryć.

Co do samej Zofii, ta dziewczyna nie spodobała jej się od samego początku. Już od momentu, gdy zgodziła się oddać swojego synka. Amalia próbowała tłumaczyć sobie tę decyzję miłością do dziecka i chęcią zapewnienia mu lepszego losu, ale przychodziło jej to z trudem. Kiedy zobaczyła po raz pierwszy swoją córeczkę, natychmiast ją pokochała i nie wyobrażała sobie, że mogłaby ją komukolwiek oddać. Nawet w lepsze warunki, do majątnej rodziny. Skąd miałaby pewność, że oprócz bogactwa dadzą jej dziecku taką miłość, jaką mogła mu dać tylko ona.

Teraz, kiedy osobiście poznała Zofię, ta tym bardziej nie wzbudziła w niej zaufania. Chytre, rozbiegane spojrzenie, jakiś wyraźnie odczuwalny chłód w stosunku do dziecka – wszystko to sprawiło, że chociaż Amalia chciała ją polubić, nie była w stanie się do tego zmusić. Nabrała też podejrzeń, że młoda matka niezbyt dobrze zajmuje się synkiem.

Maluch, który miał tylko jeden dzień więcej niż Małgorzata, był chudziutki i kruchy jak ptaszek. Kiedy go wzięła na ręce, wyraźnie wyczuwała drobne kosteczki. A teraz ta dziwna rozmowa z mężczyzną na dziedzińcu. Amalia znów zmarszczyła brwi.

W południe Zofia zostawiła dziecko pod opieką kucharki, a sama pobiegła w głąb ogrodu.

Nie pamiętała już dokładnie, w którym miejscu znajdowała się ukryta furtka, widywała ją zwykle tylko nocą, ale z grubsza wiedziała, gdzie się kierować. Powoli, rozglądając się czujnie za siebie, ruszyła wzdłuż muru. W tej części ogród był zarośnięty jakimś czepliwymi pnączami i bluszczem, musiała więc od czasu do czasu rozgarniać dłońmi gęste listowie, żeby móc coś zobaczyć. Ostre kłujące rośliny boleśnie drapały jej ręce. Niestety, wszędzie był tylko lity mur. Westchnęła zniecierpliwiona. Czyżby furtkę zamurowano? Ale kiedy? Jeszcze wczoraj wyszedł przez nią Jasek z tym dziwolągim od liczenia gwiazd na niebie. Widziała ich doskonale.

Nie, niemożliwe.

Znów ogarnęła ją złość.

I wtedy to zauważyła – niewielki, łatwy do przeoczenia uskok w murze. Tkwiąca w nim furtka wyglądała podobnie jak kiedyś, może teraz była bardziej zakryta roślinnością. Chociaż... Zofia przyjrzała się dokładniej pozrywanym pędom bluszczu i poruszonej ziemi przy murze – ktoś musiał niedawno korzystać z tego przejścia. I to wcale nie Jaśko z czarodziejem. Ktoś był tu później, czuła to w kościach.

Czyżby ktoś ją ubiegł? Czyżby ktoś inny wskazał to miejsce oblegającym i teraz to on, a nie ona, zgarnie złoto?

Nie miała jednak czasu, żeby się nad tym zastanawiać, tym bardziej że nagle usłyszała za sobą trzask gałązki. Obejrzała się przestraszona, nikogo

jednak nie zauważyła. Pewnie jakieś zwierzę, pomyślała. Może ten głupi pies pani Amalii, który wczoraj chciał polizać Bartosza. A może zajęce przedostające się do ogrodu z lasu.

Skobel zazgrzytał lekko, więc znów się obejrzała przestraszona, że ktoś to usłyszy. Otworzyła furtkę i ostrożnie, jakby wchodziła do rwącej rzeki, postąpiła krok do przodu. To było takie łatwe. Już miała zamiar ruszyć w stronę wsi, by zawołać tamtych ludzi, gdy nagle zdała sobie sprawę, że przecież straż może ich dostrzec z murów, wartownicy musieli patrzeć na wszystkie strony, czy nie nadchodzi wróg.

Musiała poczekać do zmroku i modlić się do Jezusa, aby nikt jej nie ubiegł, a zwłaszcza już Wojciech, ten cuchnący wieprz, aby go wreszcie piorun trafił!

Godziny jej się dłużyły, nigdzie nie mogła znaleźć sobie miejsca.

Unikała kontaktów z innymi, szczególnie nie chciała się rzucać w oczy pani, bo ta mogłaby coś po niej poznać. Co do mieszkańców wioski, nienawidziła ich z całego serca. Dlatego też nie miała wyrzutów sumienia, że wyda ich wrogom. Wypędzili ją ze wsi i traktowali z jawną pogardą, zasłużyli na najgorsze.

Kiedy wreszcie zapadł zmierzch i zaczęto rozdawać ostatni tego dnia posiłek, zostawiła dziecko jakiejś świniarce, prosząc, by ta miała na nie oko, i szybkim krokiem ruszyła do ogrodu. W ciemnościach jeszcze trudniej było jej znaleźć furtkę, lecz w końcu namacała skobel.

Najciszej, jak potrafiła, wyszła z zamku i po omacku, z wyciągniętymi przed siebie rękami, by ochronić twarz przed zaroślami, ruszyła w kierunku, z którego dochodziło słabe światło ognisk. Oddech miała szybki i krótki, ale nie bała się, że ktoś ją złapie, tylko tego, że Wojciech też odnalazł furtkę i już jest we wsi.

– Zofia gdzieś się zapodziała – rzekła Hanna do Amalii, gdy ludzie odnosili puste miski do kuchni.

– Jak to zapodziała się?

– Zostawiła dziecko i już od jakiegoś czasu jej nie ma.

Amalia ruszyła na „babiniec”. Miała złe przeczucia. Być może chodziło o potajemną schadzke z tym otyłym chłopem, z którym widziała Zofię rano przy murze, ale mogło to być coś naprawdę złego.

Przeczucie mówiło jej, że raczej to drugie.

– Gdzie Zofia? – zapytała młodą świniarkę, która kołysała małego Bartosza.

– Nie wiem – odrzekła przestraszona dziewczyna. – Odeszła tak szybko, jakby ją, za przeproszeniem, przycisnęło do wychodka. Nie mówiła, gdzie idzie. A długo już jej nie ma.

Nagle Amalia zeszywniała. Przypomniała sobie, że kiedy Jaśko i Grzegorz opuszczali zamek, przy furtce kręciła się również Zofia. Znała więc ukryte przejście! Myśl, że ona i jej gruby kompan zamierzają pokazać tę drogę zbirom Emeryka, wydała jej się teraz tak oczywista, że młoda kobieta aż westchnęła.

– Straże! – krzyknęła w kierunku bramy. – Za mną! Do ogrodu! Zabrać pochodnie!

Zofia dwa razy potknęła się o korzenie; przy drugim upadku boleśnie stłukła sobie kolano. Zaciśnęła zęby i tylko syknęła. W tych ciemnościach nie można było iść za szybko, jeśli nie chciało się skrócić nogi w kostce. Ale pokonała już niemal połowę drogi do wsi. Teraz powinno być łatwiej, bo zacznie się łąka, tam nie ma się o co potknąć. Owinęła się szczelniej chustą i przyspieszyła kroku. Gdzieś za plecami usłyszała ujadanie psa i męskie podniesione głosy.

Musieli się zorientować, że wyszła. Tak więc nie było odwrotu.

Widziała już wyraźnie ogniska między chatami. I kręcących się przy nich ludzi. Wydawało jej się, że panuje tam jakieś poruszenie – chyba dosiadali koni. Czyżby Wojciech zdążył już ich powiadomić o sekretnym przejściu? Zaczęła niemal biec.

– Tutaj! – krzyknęła. – Chodźcie, tutaj! Pokażę wam furtkę!

Albo jej nie słyszeli, albo nie zwracali na nią uwagi. Ujrzała, że kilku konnych wjechało na drogę, lecz – dziwna rzecz – skierowali swoje wierzchowce nie w stronę zamku, lecz do lasu. Czyżby uciekali?

– Panowie, stójcie!

Wpadła między chaty zdyszana i cała spocona. Jakiś pacholek spojrział na nią przelotnie, bez cienia zainteresowania ani nawet zdziwienia. Wyglądał raczej na przestraszonego. Potem też wskoczył na konia i ściągnął lejce.

Gdzieś z oddali Zofia usłyszała ochrypy głos rogu.

Pochodnie oświetliły uchyloną furtkę w murze.

– Więc jednak – rzekła cicho Amalia.

– A wy, pani, specjalnie po nią szłyście do lasu – mruknęła Hanna, która przybyła do ogrodu wraz z żoną Zbigniewa i trzema zbrojnymi z zamkowej załogi. Był też Platon, poszczekujący groźnie, jakby zdawał sobie sprawę z powagi sytuacji.

– Zrobiłabym to jeszcze. Nie dla niej, lecz dla dziecka.

– Wiem, pani.

– Mamy ją złapać? – spytał jeden ze zbrojnych.

– Za późno – odrzekła Amalia. – Może ludzie Emeryka już tu nadchodzą. Trzeba zasypać to miejsce kamieniami i obsadzić ludźmi. Może uda się je utrzymać. Niech każdy zdrowy wieśniak przyniesie jak największe kamienie z dziedzińca.

– I jakieś pale do podparcia – dorzucił mężczyzna w kolczudze.

– Racja. Jak myślicie? Czy...

Nie zdążyła zapytać, bo dobiegł ich donośny głos rogu.

Wszyscy umilkli i spojrzeli po sobie.

– To nie ludzie Emeryka – cicho rzekł strażnik z rudą brodą.

– Królewskie wojsko? – zapytała Amalia tak niepewnym głosem, jakby bała się wypowiedzieć na głos swoje przypuszczenie.

Lecz od strony zamkowego dziedzińca zaczęły już docierać radosne krzyki:

– Królewscy!

– Ocalenie!

– Przychodzi pomoc!

I wszystko było jasne.

Amalia przysiadła na ogrodowej ławeczce, czując, że nie ustoi na nogach. Zaląła ją fala radości. Chciało jej się jednocześnie i śmiać, i płakać. Oparła

łokcie na kolanach, twarz złożyła w dłoniach. Wszystko to zdawało się zbyt piękne, by mogło być prawdziwe. Plan się powiódł: Jaśko i Grzegorz dotarli na Wawel, a Jadwiga wysłała do Rożnowa swoich ludzi, by uratowali obleganych.

– Udało się – wyszeptała. – Obroniliśmy zamek. Zrobiliśmy to.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

KRAKÓW 1392

Dzień wstał pogodny, lecz wkrótce się zachmurzyło i zaczął padać deszcz.

Milda wróciła z karczmy do Kazimierza wcześniej rano i od razu rozpałała ogień pod kotłem. Doroty nie było w domu, podobno, jak przekazano dziewczynie, o świcie poszła do Krakowa, co było raczej do niej niepodobne, gdyż rzadko ruszała się gdzieś dalej niż na sąsiednią ulicę albo na kazimierzowski rynek. Litwinka nie bardzo się interesowała, co też mogło wyciągnąć tę jędzę z domu, cieszyła się, że nie będzie musiała wysłuchiwać jej zwykłych pretensji oraz obmawiania wszystkich sąsiadów. Wprawdzie miała przez to więcej pracy, lecz taką cenę chętnie zapłaciła za kilka spokojnych godzin, podczas których mogła sobie w samotności przemyśleć parę spraw.

A trochę się tego uzbierało, nie ma co.

Po pierwsze, wciąż nie mogła ochłonąć po samobójczej śmierci Krystyny. Pomijając już samo to zdarzenie – zaskakujące i niemieszczące się w głowie – trzeba było przemyśleć jego konsekwencje. Zastanawiała się, co będzie teraz, gdy królowa wróci do Krakowa. Swoim czynem ochmistrzyńi niejako przyznała się do winy, poza tym były też podobno obciążające ją zeznania. A to oznaczało, iż podejrzenia rzucone kiedyś na Mildę oraz Amalię powinny zostać cofnięte. Odzyskały honor. Wprawdzie nie oznaczało to całkowitego zaleczenia ran ani nawet powrotu do łask królowej na dawnych zasadach, lecz sprawa wydawała się załatwiona. Nikt już nie może nazywać Mildy pogańską wiedźmą, trucicielką. A przecież o to przede wszystkim chodziło, prawda? Pragnęła oczyszczenia z zarzutów. Sprawiedliwości.

Tak więc jeden ciężar spadł jej z serca.

Inna sprawa, o której często myślała w ostatnich dniach, łączyła się z Mikołajem. Ten mężczyzna wywoływał spore zamieszanie w umyśle

Mildy. Co tu kryć, irytował ją trochę, a jednocześnie budził jakieś dziwne przyjazne uczucia. Jego pewność siebie, swoboda na granicy bezczelności, a przy tym autentyczna troska o jej los tworzyły dziwną mieszankę. Chwilami miała wrażenie, że ten bogaty i zepsuty młodzieniec bawi się jej kosztem, wykorzystując swą pozycję społeczną, innym razem zaś widziała w nim jedyną – może prócz Marcina – przyjazną duszę w tym mieście. Wybawił ją od kłopotów, gdy starła się z Justynem i jego pacholkami, zaproponował pracę, ostrzegwał przed śledztwem w sprawie kacerzy. No, ale ten nieszczęsny prezent...

Tego było zbyt wiele.

Potraktował ją jak pozbawioną honoru głupią dziewczkę, łasą na świecidełka. A przecież prawie się nie znali. Takich podarunków nie czyni się obcym dziewczętom. Może i miał dobre intencje, ale Milda poczuła się urażona, jakby Mikołaj chciał ją przekupić. Czego oczekiwał w zamian? No cóż, łatwo się domyślić, wszak nie była już dzieckiem. Nie była też naiwna, choć pewnie za taką ją uważał. Dlatego też od razu następnego dnia poszła na rynek, do jego sklepu i oddała zawiniątko w ręce jakiegoś Mikołajowego sługi, prosząc, by przekazał je swojemu pracodawcy. Jeśli spotka Mikołaja raz jeszcze – a było to wielce prawdopodobne, bo chyba za nią chodził – powie mu, co myśli o takich postępkach.

Z drugiej strony jakaś jej część czekała na kolejne spotkanie...

Tak rozmyślając, dość szybko uporała się z praniem, tego dnia wyjątkowo nie było go dużo. Musiała jednak poczekać, aż przestanie padać, by móc rozwiesić mokrą bieliznę.

Gdy skończyła, poprawiła wilgotne włosy pod chustą i natarła zaczerwienione, piekące dłonie łojem, tak jak to zwykle robiły kobiety z jej wioski. Dorota z początku uważała to za fanaberie „dworskiej panny”, kiedy jednak sama w tajemnicy spróbowała tego sposobu, uznała, że chociaż łój niezbyt przyjemnie pachnie, ale jest „może trochę skuteczny”, i przestała narzekać. Milda sprawdziła jeszcze, czy ogień pod kotłem został dokładnie wygaszony, i wyszła z domu. Ruszyła w kierunku krakowskich murów.

Od strony miasta dobiegał głuchy głos dzwonów. Usiłowała sobie przypomnieć, jakie tego dnia przypada święto, ale nic jej nie przychodziło do głowy. Tych chrześcijańskich świąt było tak wiele, że nawet sam ksiądz mógłby się pogubić. Ale trochę ją zaniepokoił ów dźwięk, bo w pewnym momencie uświadomiła sobie, że od rana nie spotkała żadnego z miejscowych rzezimieszków – ani Liszki, ani jego kompanów. A przecież na ogół codziennie przewijali się przez dom Doroty. Dzisiaj wszyscy nagle gdzieś zniknęli. Coś się działo w mieście.

W bramie zatrzymali ją znużeni strażnicy, ale ponieważ znali już dziewczynę, zrobili to tylko z poczucia obowiązku. Spyтали o coś żartem, a Milda odpowiedziała im machinalnie, nawet nie bardzo wiedząc, o co pytają. Jej niepokój narastał. Od Wisły, oddzielającej Kazimierz od Krakowa, dmuchał przyjemny wiaterek.

Kiedy już znalazła się w mieście, dostrzegła, że większość sklepów i warsztatów jest zamknięta, co tylko utwierdziło ją w przypuszczeniach, że ten dzień nie jest zwyczajny. Niewielkie grupki ludzi w pośpiechu zmierzały w kierunku rynku.

– Co się dzieje? – spytała jakiegoś chłopaka, który wypadł z bramy domu i niemal gubiąc po drodze ciżmy, biegł przed siebie. Zrównała się z nim, kiedy w końcu musiał przykucnąć, żeby zawiązać ciągnące się po ziemi rzemyki.

– Nie wiesz? – Podniósł głowę zdumiony, ale jednocześnie dumny, że może podzielić się z kimś sensacyjną wiadomością. – Będą palić kacerzy pod kościołem na rynku. Mam nadzieję, że jeszcze się nie zaczęło.

Milda stanęła jak wryta, czując nagły ucisk w żołądku.

Naraz przypomniała sobie i o heretykach, i o ostrzeżeniach Mikołaja. W ostatnich dniach śmierć Krystyny tak zajęła myśli dziewczyny, że nie pozostało już miejsca na nic innego. Teraz jednak uświadomiła sobie z przerażającą jasnością, że ludzie, którzy odwiedzali jej karcznię, zaraz zostaną straceni.

Poczuła strach i wstręt, lecz nie mogła teraz jak gdyby nigdy nic zawrócić i przeczekać to wszystko u Doroty. Miała przecież pracę. Zapewne po egzekucji gawieź natychmiast zajrzy do karczmy, aby napić się piwa i na

gorąco omówić wrażenia, karczmarz sam jeden nie poradzi sobie z taką klientelą. Pomyślała, że może uda jej się szybko przecisnąć przez tłum na rynku, aby dotrzeć na odchodzącą w bok ulicę, gdzie pracowała.

Szybko pozbyła się tych złudzeń.

Nie dość, że nie dało się przejść, to jeszcze świeżo napływający ludzie zaczęli popychać Mildę w kierunku miejsca kaźni. Poczowała się tak, jakby porwała ją rzeka. Ścisk był niesamowity. Wszyscy się przepychali, trącali łokciami, wpadali sobie na plecy. Mężczyźni stawali na palcach i sadzali na ramionach dzieci, słyhać było przekleństwa. Śmierdziało czosnkiem, piwem, nieświeżą bielizną, przetłuszczonymi włosami, a nade wszystko potem. Co gorsza, Milda poczuła, że sama jest już spocona, leniwa strużka spod chusty spływała jej po policzku. Nie dbała o to teraz, uważała tylko, aby nie upaść, bo wtedy niechybnie zostałaby stratowana.

Wreszcie ludzka fala, która ją niosła, zatrzymała się, natrafiając na zapórę w postaci kordonu zbrojnych, oddzielających tłum od miejsca kaźni.

Egzekucja miała się odbyć w pobliżu kościoła Mariackiego, u wylotu Siennej.

Pomiędzy plecami stojących przed nią ludzi Milda ujrzała drewnianą platformę ze schodkami i sterzcący z niej pal – na razie pusty. Pod platformą i pod palem leżało porąbane drewno i sterty chrustu. Obok znajdował się żelazny pojemnik z żarem, a dalej stali dwaj pomocnicy kata, obaj w skórzanych fartuchach, z niezapalonymi na razie pochodniami w rękach. Wyglądali na lekko znudzonych. Sam mistrz ceremonii – potężny mężczyzna w czerwonej opończy ze spiczastym kapturem, zasłaniającym nie tylko głowę, lecz i twarz, jedynie z wyciętymi otworami na oczy – rozmawiał z jakimś siwowłosym rajcą, który wskazywał niebo, jakby rozprawiali o pogodzie.

Po prawej stronie, kilkanaście kroków od stosu, również na podwyższeniu, pod zielonym baldachimem, ustawiono krzesła, na których siedzieli przedstawiciele Kapituły, członkowie Rady i Ławy, wszyscy w swych atłasach i aksamitach, a także duchowieństwo. Najbardziej rzucały się w oczy białe habity dominikanów.

– Oby znowu nie zaczęło padać – odezwała się jakaś dziewczka stojąca obok Mildy.

– No tak – odparł jej towarzysz w filcowej czapce. – Ciężko by się wtedy paliło, jak mi się zdaje.

– Ile można czekać? – zapytał inny mężczyzna, niemłody już, w opończy przepasanej rzemieniem. – Jestem tu od świtu. Egzekucje zawsze są rano, jak Bóg przykazał, a tu jak nie deszcz, to kata nie ma, z Miechowa trzeba go przywozić, bo ponoć do swojej dziewczki tam pojechał. Organizacja gówniana, mówię wam. Za króla Ludwika było lepiej.

– Ja też od rana – odparła dziewczka. – Nic nie jadłam jeszcze.

Gapie znajdowali się wszędzie, nie tylko na placu. Rozsiedli się na pobliskich murach, dachach przybudówek i okolicznych drzewach. Najwięcej było tam wyrostków, którzy spychali się wzajemnie na dół pośród śmiechów i przekleństw.

Nagle rozległo się wycie i podniecone okrzyki, tłum zafalował – znak, że wyprowadzono skazańców. Zwykle owi nieszczęśnicy spędzali ostatnią noc przed egzekucją w kaplicy Złoczyńców, mieszczącej się na parterze wyższej wieży kościoła Mariackiego. Tam każdy z nich mógł się pojednać z Bogiem, a kapłani mieli obowiązek wysłuchać ich spowiedzi. Nikt jednak nie wiedział, jak to się odbyło dzisiaj, w przypadku heretyków.

Milda jeszcze ich nie widziała, domyślała się tylko, z której strony nadchodzą, bo wszystkie głowy skierowały się w lewo. Rozległy się gwizdy i śmiechy, kobiety i mężczyźni zaczęli rzucać w kierunku kacerzy wyzwiska, ktoś cisnął zgniłym jabłkiem.

– Psie syny! Doczekaliście się!

– Już niedługo smołę w piekle będziecie pić!

– Zdychajcie!

Jeśli to prawda, że Barnaba zjednał sobie wielu ludzi w Krakowie, to teraz żadnego z nich nie dało się dostrzec, wszystkie twarze były albo roześmiane, albo wykrzywione nienawiścią. Milda dostrzegła również, że wielu mężczyzn jest już kompletnie pijanych. Poczwała dreszcz obrzydzenia. Jeszcze raz popatrzyła, czy ma szansę na wycofanie się z tego miejsca, ale rzut oka wystarczył, by zapomnieć o ucieczce – ludzie stali przy sobie tak ciasno jak słupki w palisadzie.

Chcąc nie chcąc, musiała być świadkiem kaźni.

Wreszcie ujrzała skazańców. Było ich tylko dwoje. Szli otoczeni orszakiem, pośród ponurego śpiewu mnichów niosących zapalone świece. Milda rozpoznała natychmiast kobietę o długich, splątanych białych włosach, tę samą, która przychodziła do karczmy Pod Czarnym Psem, a także samego Barnabę. Oboje mieli na sobie śmiertelne koszule żółtej

barwy, jarzące się teraz jakby własnym blaskiem w promieniach przebijającego się przez chmury słońca. Byli przeraźliwie bladzi i niepewnie stawiali kroki.

Wydawali się całkowicie oszołomieni.

– Całkiem jeszcze młoda, a siwa – skomentowała dziewczka.

– Tak to jest z diabolicami – oświadczył jej towarzysz.

– A co oni w ogóle zrobili?

– Pluli na księży.

– Na księży?

– Że za bogaci są. I że niby zepsuci.

– A to ścierwa. Zasłużyli sobie na śmierć.

– Ano racja.

Kiedy orszak dotarł do stosu, mnisi ze świecami rozdzielili się i stanęli po obu jego stronach. Śpiew umilkł, umilkły też dzwony. Tłum ucichł. Widowisko się zaczęło, ludzie chcieli usłyszeć każde słowo i każdy jęk nieszczęśników.

Milda patrzyła na to wszystko, czując się, jakby śniła – tak wydawało jej się to nieprawdziwe. Na Litwie oglądała płonące stosy, lecz nigdy nie palono na nich żywych ludzi. Na platformie z palem przysiadły dwa gołębie, pospacerowały trochę, po czym z trzepotem skrzydeł zerwały się do lotu, całkowicie obojętne na ludzkie i boskie sprawy. Tylko to wskazywało, że ten dzień jest taki sam jak inne.

Lecz nie dla kacerzy.

Z jednego z krzesel na podwyższeniu podniósł się teraz wysoki, barczysty mężczyzna w białym habicie dominikanina. Milda domyśliła się, że to ów inkwizytor, którego przysłano z Wrocławia. Miał minę człowieka przekonanego o swojej wielkości. Rozwinął trzymany dotąd na kolanach pergamin, odchrząknął, spojrział na tłum, po czym donośnym głosem zaczął odczytywać po łacinie wyrok.

Nikt nic z tego nie rozumiał, a już w szczególności nikt z pospólstwa, ale samo brzmienie głosu zakonnika i uroczystych kościelnych słów sprawiło, że nastąpiła całkowita, nabożna cisza, którą przerywał tylko cichy płacz jakiegoś dziecka.

Gdy inkwizytor skończył, sięgnął po krucyfiks, ostrożnie zszedł z podwyższenia i zbliżył się do skazańców.

Uniósł krzyż i już po polsku przemówił donośnym basem, bardziej jednak chyba do zebranych niż do kacerzy:

– Teraz jeszcze możecie się wyrzec swoich błędów, a wasza śmierć będzie lekka i – po odbyciu pokuty w czyścicu – da wam nadzieję na dostąpienie wiekuistej światłości.

W odpowiedzi na jego słowa skazańcy uczynili coś, co wszystkich zdumiało – zaczęli cicho śpiewać psalm. Kobieta wpatrywała się przy tym natarczywie w inkwizytora.

Tłum niemal zawył z wściekłości. Rozległy się wrzaski i przekleństwa, ludzie wymachiwali rękami, wygrażali pięściami, w kierunku kacerzy znów poleciały jakieś przedmioty, aż czcigodny inkwizytor musiał się cofnąć o dwa kroki.

Odczekał cierpliwie, aż tłum się uspokoi, a heretycy przestaną śpiewać. Widać było, że nawykł do takich ceremonii i panuje nad wszystkim. Odwrócił krucyfiks postacią Chrystusa ku sobie na znak, że Kościół odwraca się od skazanych, a mnisi cisnęli swoje świece na ziemię.

Dało się słyszeć kolejne westchnienie tłumu, który poczuł, że kaźń odbędzie się już zaraz, bez dalszych rytuałów.

Wówczas inkwizytor odezwał się podniesionym głosem:

– Kościół brzydzi się krwią, dlatego oddajemy tych zatwardziałych kacerzy w ręce władzy świeckiej. Kacie, czyn swoją powinność!

Jakaś kobieta w ciżbie zasłabła, ale nikt oprócz Mildy nawet nie odwrócił w jej kierunku głowy. Wszyscy jak zaczarowani wpatrywali się w scenę odbywającą się pod stosem. Pomocnicy kata chwycili skazańców pod ramiona i popychając ich brutalnie przed sobą, poprowadzili na schodki wiodące na platformę, ku wznoszącemu się tam palowi. Kacerze z trudem wspięli się na górę, Milda widziała wyraźnie, jak trzęsą im się kolana.

Tam czekał już kat.

Wprawnymi ruchami przymocował skazańców dopała powrozem i łańcuchem, tak że byli ustawieni do siebie plecami. Oboje spuścili głowy. Pomocnicy szybko zeskoczyli na dół, chwycili pochodnie i przytknęli je do kotła z żarem. Potrwało chwilę, nim się zapaliły. Tamci weszli z powrotem na podest, a jeden z nich podał swoją pochodnię katu. Ten odczekał chwilę, po czym zbliżył płomień do sterty chrustu, usypanej pod drewnem.

Suche gałązki zajęły się niemal natychmiast, początkowo jednak dawały więcej dymu niż ognia.

Tłum zamarł w oczekiwaniu na jęki i krzyki heretyków, ale słycać było tylko trzask rozpalających się głowni. W dodatku dym przesłonił im kacerzy.

Rozległy się pomruki niezadowolenia.

– Nic nie widać – jęknęła dziewczka.

– Źle to robią – skomentował mężczyzna w opończy. – Gówniana robota. Ten kat to pijak i niedołęga.

Nagle gwałtowniejszy podmuch wiatru rozwiął dym, a pod bierwionami ukazały się jaskrawopomarańczowe płomienie. Na to właśnie czekano. Milda wzdrygnęła się – pamiętała, jak niedawno oparzyła się płomykiem świecy, toteż ból, którego mieli doświadczyć kacerze, wydał jej się niewyobrażalny.

Tymczasem ogień zaczął rosnać z niespotykaną siłą.

Szybko wspiął się w górę stosu i sięgnął do pala oraz przywiązanych do niego skazańców. Tłum doczekał się wreszcie pierwszych okrzyków bólu. Potem powietrze przeszył nieludzki wrzask. Na szczęście nie trwał długo. Poprzez huczące płomienie widać było teraz kurczące się i wykręcające od żaru dwa ciała. Kłęby gęstego czarnego dymu uniosły się w powietrze, Milda poczuła zapach spalenizny.

Nikt już nie krzyczał, nikt się nie śmiał ani nie gwizdał. Ludzie przyglądali się płomieniom w absolutnym milczeniu, nagle poważni i odrętwiali.

I jakby przerażeni.

Uwięziona jeszcze w tłumie Milda stała jak zamurowana.

Czuła wzbierające wymioty, nie tylko z powodu potwornego, zatykającego płuca smrodu. Miała wrażenie, że od tej chwili już nigdy nie będzie w stanie przełknąć ani kawałka pieczonego na rożnie mięsa. Przede wszystkim jednak wciąż nie mogła się otrząsnąć po brutalnych scenach, jakich była świadkiem. Chwilę minęło, nim ludzie zaczęli się powoli rozchodzić. Dopalające się ciała nie wzbudzały już takich emocji. Trzeba było wracać do swoich obowiązków albo przepłukać gardło w gospodach. Jacyś żacy dowcipkowali, choć ich wesołość zdawała się wymuszona, jakby pragnęli pokryć nią wstrząs, jakim mimo wszystko był dla nich

widok ludzkiej męki. Notable i duchowni podnieśli się ze swoich miejsc, rozprostowując plecy, robotnicy zaczęli już rozmontowywać podwyższenie, na którym tamci siedzieli. Sam inkwizytor wdał się w pogawędkę z innym dominikaninem, nikt nie patrzył już w kierunku dopalającego się stosu.

Życie wracało do normy.

Milda powoli ruszyła w kierunku karczmy, szła ze spuszczoną głową, oddychając głęboko mimo smrodu. Drgnęła, gdy ktoś chwycił ją za ramię.

Był to Żyd Jakub.

Stał za nią w tym swoim wschodnim zawoju na głowie oraz w płaszczu spiętym na piersi srebrną broszą. Jego zwykle uśmiechnięta twarz teraz była poważna.

– Dokąd idziesz? – zapytał bez ogródek.

– Do pracy – wybąkała.

– Zły pomysł. To ostatnie miejsce, w którym powinnaś być.

Spojrzała na niego zdumiona i przestraszona.

– Jak to?

– Inkwizytorzy zamknęli dzisiaj „Czarnego Psa”. Zabrali też ze sobą Marcina.

– Co?

– Dla nich to nie koniec sprawy. Ciebie również szukają.

– Mnie? Dlaczego?

– Bo mieliście pecha, że ten zasrany Barnaba upodobał sobie tę karczmę. I tyle. Nie pytaj, tylko chodź za mną.

– Dokąd mam iść?

– Musisz zniknąć do czasu, aż inkwizytor opuści Kraków. Nie jesteś bezpieczna ani tutaj, ani w Kazimierzu.

– Przecież nie spalą mnie na stosie – odrzekła słabym głosem.

Wcale nie była tego taka pewna, zwłaszcza teraz, gdy dopiero co zobaczyła, do czego są zdolni dominikanie.

– Spalić cię nie spalą, ale rozmowy z tymi fanatycznymi ludźmi nie należą do przyjemności, uwierz mi. Takich rozmów też można nie przeżyć. Chodź za mną.

Ruszyła posłusznie za Izraelitą, czując się całkowicie bezradna. Szli w kierunku Sukiennic i ratusza. Minęli kramy, budynek Wielkiej Wagi, opuścili rynek. Dotarli do kościoła Świętej Anny, gdy Milda zobaczyła

w pobliżu furtkę w ceglanym murze. Wtedy zrozumiała, dokąd prowadził ją Jakub.

Do oddzielonej od miasta żydowskiej gminy.

Chciała coś powiedzieć, ale jej nie pozwolił.

– Tam będziesz teraz bezpieczna – oświadczył.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

PRUSY, CZERWIEC 1392

Biały Potok miał się mu przysłużyć już po raz kolejny.

Dzień pożegnania wstał chłodny i wietrzny, w słabym świetle rzeka wydawała się szara i nieprzyjazna. Kuźma, Varnas i Sońka stali na piaszczystym brzegu, pośród kołyszących się wiklin, prawie się do siebie nie odzywając. Wszystko, co było do powiedzenia, rzekli sobie już poprzedniego wieczora. Dziewczyna wciąż miała twarz opuchniętą od płaczu, lecz teraz zachowywała się dzielnie.

Pamiętała słowa Varnasa, gdy odwiedził ją przed snem w jej izbie.

- Wiedz, że do ciebie wrócę – oznajmił, biorąc ją za rękę.
- Nie wierzę w to.
- Przysięgam. Załatwię swoje sprawy, powrócę i ożenię się z tobą.
- Kiedy tylko przypomnisz sobie dawne życie, zapomnisz o nas.
- Dawne życie było dla mnie niewdzięczne.

Pociągnęła nosem.

- Jesteś wojownikiem. Znowu zapragniesz wyzwania.
- Już mi to przeszło. Dość się nawojowałem.
- Tylko tak mówisz.
- Zaufaj mi.
- Co za demony przygnały tu tego włóczęgę – westchnęła. – Było nam tak dobrze.
- I jeszcze będzie.

Tak, tajny posłaniec zakłócił ich życie, ale też jego pojawienie się nad Białym Potokiem otworzyło przed Varnasem szansę zrehabilitowania się w oczach króla. W innym przypadku Litwin wstydziłby się wracać do Krakowa w niesławie, po tym, jak utracił swój oddział, a sam dał się pojmać Krzyżakom. Jednakże teraz...

Teraz sprawa przedstawiała się zgoła odmiennie.

Varnas miał w rękach dokumenty, które dla Wawelu mogły się okazać niezmiernie ważne. Wprawdzie nie potrafił ich przeczytać, niemniej rozpoznał widniejące na nich pieczęcie, a także słyszał przedśmiertne majaczenia Andrzeja. Szpieg umierał dwa dni, leżał ukryty w szopie, a tuż przed tym, jak zamilkł na zawsze, zdawało mu się chyba, że dotarł do Malborka. Mówił o Władysławie Opolczyku, zwanym przez Krzyżaków Naderspanem, i coś o sprzedaży Wielkiemu Mistrzowi, Konradowi von Wallenrode, ziemi dobrzyńskiej. Co jakiś czas wykrzykiwał kwotę: pięćdziesiąt tysięcy węgierskich florenów! – krztusząc się przy tym śliną i wybałuszając oczy. Wprawdzie wiele mogło się roić w jego uszkodzonej toporkiem Kuźmy głowie, lecz te słowa układały się w pewną niepokojącą całość.

Sędziwy już Naderspan, książę opolski i niegdyś palatyn węgierski, od lat bruździł Polakom. Początkowy sojusznik Jagiełły odwrócił się od niego, nastawiał wrogo do Jadwigi ludność Rusi Czerwonej, kiedy królowa wybrała się tam na wyprawę wojenną. Rzeczywiście należał do niego Dobrzyń, posiadał też część Kujaw. Jeśli zatem chciał sprzedać owe ziemie Zakonowi, a na dodatek zamieszani byli w to także Czesi, a także Węgrzy – bo chyba im służył teraz Opolczyk – mogło to oznaczać jedno: za plecami Jagiełły jego wrogowie planowali rozbiór polskiego królestwa.

Takich wiadomości nie można było zachować dla siebie.

Zanim jeszcze przekłęty Andrzej wyzionął ducha, a jego ciało spłonęło na stosie w lesie, Varnas wiedział już, że będzie musiał zawieźć te listy na Wawel. Kuźma nawet nie próbował odwozić go od tego pomysłu, rozumiał bowiem dobrze bezskuteczność takich prób. Od razu zaoferował Litwinowi swoją najlepszą łódź, jako że wędrówka drogą lądową dawała niewielkie szanse na wydostanie się z pruskich ziem, zwłaszcza gdy było się cudzoziemcem ściganym przez Krzyżaków. Ustalono zatem, że Varnas podąży szlakiem Biały Potok–Narew–Bug–Wisła, a będąc już na terenie Mazowsza, zejdzie na brzeg i trzymając się rzeki, powędruje do Krakowa. Gospodarz nie zaproponowałby tego rozwiązania, gdyby nie wiedział, że Varnas od dzieciństwa był zaznajomiony z rzeczną żeglugą, umiał pływać oraz manewrować łodzią w najtrudniejszych nawet warunkach.

Uznano także, że wyruszyć musi natychmiast, nie tylko ze względu na pilność sprawy, ale i dlatego, by zdążyć przed pierwszymi lipcowymi deszczami, które podniosą poziom wód w rzekach.

Teraz wszyscy stali na brzegu obok łodzi.

Nie była to żadna prymitywna dłubanka, wydrążona z jednego pnia, lecz całkiem spora łódź klepkowa, z ławą wzdłuż prawej burty, płaskodenna i o małym zanurzeniu, co ułatwić miało żeglugę po płyciznach oraz podpływanie do piaszczystych brzegów. Na jej pokładzie, tuż przy rufie, leżały już pakunki z prowiantem, a także wiewiórcze, kunie i bobrowe futerka, które miały Varnasowi zastąpić monety, gdy będzie przepływał przez komory celne, no i potem, gdy zejdzie na ląd, będzie mógł wynająć za nie jakiś środek transportu.

Varnas był wzruszony troskliwością i ofiarnością Kuźmy, który oddał mu przecież część swojego dobytku.

- Nie wiem doprawdy, jak dziękować – mruknął.
- Po prostu dopłynij bezpiecznie do celu. Załatw sprawy, a potem wróć.
- Wrócę.
- I pilnuj listów.

Varnas pokiwał głową. Dwa dni temu Sońka zaszyła mu je w podróźnej opanczy.

Uściskał dziewczynę, potem podał dłoń gospodarzowi i zaczął spychać łódź na rzekę. Drewno przez chwilę szorowało po piasku, Sońka rozplakała się cicho.

Varnas wszedł na środek rozchybotanej łodzi, stanął w rozkroku i wysokim kijem odepchnął się od brzegu.

– Do zobaczenia! – krzyknął jeszcze, zanim z ciężkim sercem ruszył w górę rzeki.

Nie obejrzał się ani razu, było to dla niego zbyt trudne.

Pierwszego dnia nie spotkał na szlaku nikogo, jeśli nie liczyć płynącej tuż przy brzegu rybackiej dłubanki. Biały Potok szybko rozlał się w zamulone trzęsawisko pełne trzciny, gdzie rezydowało tylko wodne ptactwo, uciekające z trzepotem skrzydeł przed łodzią Litwina. Dopiero po południu rzeka wróciła do zwykłego koryta obramowanego wysokimi piaszczystymi brzegami, nad którymi rosły wyniosłe sosny, świerki i jodły. Nie dostrzegł ani śladu ludzkich siedzib, jakby znalazł się na końcu świata. Tuż przed wieczorem minął polanę, a na niej kamienne baby, czyli prastare posągi

pruskich wojowników. W świetle zachodzącego słońca wydawały się groźne i obce, toteż szybko odwrócił od nich wzrok.

Na nocleg zatrzymał się na niewielkiej wysepce na środku rzeki. Idealne miejsce, gdzie nie musiał się obawiać ani ludzi, ani zwierząt, a najwyżej niematerialnych mieszkańców tej dzikiej krainy. Rosła tam wysoka trawa i rozłożysta wierzba. Varnas wyciągnął łódź z wody, za pomocą krzesiwa rozpałił ognisko, zjadł kawałek koziego sera i szybko zasnął, wsłuchany w szum fal, zmęczony całym dniem wiosłowania oraz sterowania łodzią.

Tuż przed świtem ruszył w dalszą drogę.

Dzień ten przypominał do złudzenia poprzedni: wokół nic, tylko iglaste lasy, urwiste, niedostępne brzegi, tereny zamieszkane zapewne tylko przez miejscowe duchy oraz demony. I żadnych ludzi. Pogoda się popsowała, zaczął kropić deszcz. Ale na rzece było to lepsze niż nieustannie prażące słońce, które szybko pozbawiłoby Varnasa sił. Dwa razy łódź osiadła na mieliźnie, więc musiał wejść do wody i ją spychać, raz natrafił na jakieś zasieki i godzinę zajęło mu rozplątanie wszystkich gałęzi.

Tym razem nocował na brzegu, pod skalnym nawisem. Już nie spał tak dobrze jak poprzednio, bowiem w okolicy były wilki, a ostatnie doświadczenie z nimi wciąż budziło niemiłe wspomnienia. Nawiedzały go płytkie i męczące sny, wyruszył więc w dalszą żeglugę, zanim jeszcze niebo zaróżowiło się od brzasku.

Trzeciego dnia trafił na pierwszą ludzką siedzibę. Rzeka znów utworzyła rozlewisko i na prawym jego brzegu, w znacznej odległości, Varnas dostrzegł grupkę chat, ustawionych na wbitych w dno palach. Zapewne rybacka osada. Jeśli nawet mieszkańcy go dostrzegli, był za daleko, by rozpoznali w nim obcego.

Teraz zrozumiał, że odtąd będzie już trudniej, gdyż skończyły się głuche knieje oraz mateczniki i coraz częściej będzie spotykał ludzi na swej drodze. I nie mylił się. Lasy iglaste ustąpiły miejsca liściastym, te zaś szybko przeszły w zwykłe przybrzeżne zarośla, pełne paproci i mchu, a potem w łąki i pastwiska, gdzie pasło się bydło oraz owce. Nie miał pojęcia, czy wciąż znajduje się na terenie Prus, czy też wypłynął już na tereny zamieszkane przez wojowniczych Mazowszan. Zupełnie nie znał tych ziem, a nie zamierzał kontaktować się z miejscowymi. Zresztą prócz kilku łowiących ryby nad brzegiem rzeki wyrostków nie spotkał żadnych ludzi.

Kolejnego dnia pojawiły się pierwsze kupieckie łodzie. Pozdrawiał płynących machnięciem ręki, a ci odpowiadali mu tym samym, nie interesując się zbytnio, kim jest. Podejrzywał, że to handlarze skór, futer i wosku, którzy przypłynęli tutaj szlakiem wiodącym z Rusi.

Później znów zaczęły się bagna i torfowiska, podmokłe równiny zarośnięte olchami, wierzbami oraz osiką. Tuż przed końcem trzeciego dnia podróży rzeka, która go niosła, wpłynęła do dużo większej.

Przypuszczał, że to Narew.

Miał rację.

Była to Narew, rzeka płynąca osobliwie, bo podzielona na wiele równoległych koryt. Wyszukiwał najlepsze szlaki, spokojniejszy już, gdyż wiedział, że jest coraz bliżej granic polskiego królestwa. Na Narwi zaroilo się od łodzi i małych stateczków, lecz tym się nie przejmował, gdyż łatwiej było się ukryć pośród nich, niż płynąc samotnie. Na południe zdążali kupcy z futrami, na północ sprzedawcy soli i miedzi. Przed ujściem rzeki do Bugu Varnas przepłynął przez komorę celną; jego skromne zwierzęce futerka i skórki nie zwróciły szczególnej uwagi i szybko go przepuszczono. Jeśli kiedykolwiek trafiły tutaj wieści o litewskim zbiegu mordercy, to najwidoczniej już dawno o nich zapomniano.

W tym momencie poczuł, że jego ryzykowna wyprawa może zakończyć się powodzeniem. Najgorsze było za nim. Wprawdzie do Krakowa pozostał jeszcze szmat drogi, ale im bardziej oddalał się od Prus, tym mniej prawdopodobne było, że ktoś go rozpozna i zatrzyma. Wpłynął na fale Bugu, a wkrótce potem znalazł się już na Wiśle.

Tutaj kończyła się pierwsza część jego drogi. Do tej pory płynął sobie wygodnie z prądem, ale teraz mocne fale pchały go na północ, czyli w kierunku odwrotnym, niż zamierzał. Dobił do brzegu, gdzie znajdowała się jakaś większa osada. Miejscowi przyglądali mu się nieufnie, kiedy wyciągał łódź. Dał im do zrozumienia, że chce ją sprzedać. Nie od razu zorientowali się, o co mu chodzi, a kiedy wreszcie pojęli, sprowadzili właściciela wioski. Ten okazał się chudym mężczyzną z długimi włosami, splecionymi po bokach w warkoczyki. Spojrzał na Varnasa, potem na łódź, splunął i odezwał się po polsku:

- Ile za to chcesz?
- Dajcie mi konia. Dopłacę tymi futerkami.
- Konia?
- Ano.
- Nie ma mowy.
- Czemu?
- Konia wam nie dam. Łódź dobra, z klepek, ale niewarta aż tyle.
- Dam futerka i ten sztylet.

Wyjął broń, a kilku mieszkańców osady cofnęło się w przestraszu.

Długowłosa namyślał się, pocierając złamany nos.

– Niech będzie – rzekł wreszcie. – Łódź, futra i nóż.

Gwizdnął na jakiegoś otroka, coś do niego krzyknął, a ten po kilku chwilach przyprowadził chudego, ale niestarego srokacza.

– Dajcie do tego jakieś siodło – powiedział Varnas. – Na oklep jechać nie będę.

– Siodło to za dużo.

Litwin westchnął.

Sięgnął do woreczka zawieszzonego pod opończę na piersi i wyjął z niego duży kawałek bursztynu, który również dostał na drogę od Kuźmy. Tracił tym samym prawie wszystkie dobra, jakie miał przy sobie, ale rozumiał, że bez osiodłanego konia daleko nie zajędzie.

Na widok bursztynu mężczyźni zaświeciły się oczy. Już na nikogo nie gwizdał, tylko sam poszedł po siodło. Było proste, lecz Varnas jeździł już na gorszych. Ważne też, by mieć do czego przytroczyć tobołki z jedzeniem.

– Jakie tu najbliższe miasto na południe? – spytał jeszcze, siodłając konia.

– Werszawa.

Pierwszy raz słyszał o takim, ale przecież nie znał tych terenów.

– Daleko?

– Nie za bardzo. Nie przeoczycie go, bo leży po obu brzegach rzeki.

– Bóg zapłać!

Varnas sprawnie wskoczył na siodło, zakręcił wierzchowcem – jakaż to przyjemność znów dosiadać konia! Wszyscy patrzyli ze zdziwieniem, jak ktoś, kogo do tej pory brali za rybaka, siedzi w siodle pewnie niczym dziki Tatar ze stepów.

Spiął srokacza i ruszył między chałupami na drogę, która miała go zaprowadzić do tej Werszawy czy też Warszawy, pal licho, nie pamiętał już

dokładnie.

W mieście kupi trochę jedzenia, a potem już do Krakowa!

Poganiał konia, czując wiatr we włosach i na twarzy, i po raz pierwszy od wielu miesięcy był naprawdę wolny.



Część czwarta

POWROTY

ROZDZIAŁ PIERWSZY

KRAKÓW, LIPIEC 1392

Od momentu, gdy zatrasnęła się za nią furtka w murze, nazywana szumnie Żydowską Bramą, Milda poczuła się, jakby weszła do innego miasta, ba, do innego świata.

Bo ten odgrodzony od reszty Krakowa kwartał rzeczywiście był miastem w miniaturze, niby podobnym do reszty grodu, a jednak odmiennym. Coś takiego zdarza się zwykle w snach, kiedy okazuje się, że znajome okolice nagle mają w sobie coś dziwnego i obcego. Naturalnie Litwinka słyszała wcześniej o istnieniu gminy żydowskiej, lecz nigdy nie przypuszczała, że dane jej będzie tu zawitać, słyszała bowiem, iż Żydzi bardzo niechętnie patrzyli na gojów, więc zapewne nie za bardzo pragnęli ich oglądać u siebie w domu.

No i nie miałyby żadnych szans na takie odwiedziny, gdyby nie Jakub, który bezceremonialnie zgarnął ją z rynku tuż po egzekucji heretyków. Poszła za nim bezwolnie, gdyż po pierwsze, wciąż była oszołomiona po pokazie okrucieństwa Świętej Inkwizycji, po drugie zaś, wiadomość, że gospoda została zamknięta, a Marcina zabrano na przesłuchanie, sprawiła, iż dziewczynie ziemia niemal dosłownie zapadła się pod nogami. Może i Milda była silna, lecz w tym momencie nie miała pojęcia, co ze sobą zrobić, a w pobliżu nie było nikogo, do kogo mogłaby się zwrócić o pomoc.

– Dlaczego to dla mnie robicie? – zapytała Jakuba, gdy znaleźli się za murem.

– Powiedzmy, że Marcin jest moim przyjacielem – odparł Izraelita – a tobie dobrze z oczu patrzy, nie chcę więc, aby męczył cię jakiś stary fanatyk. Poza tym my, Żydzi, dobrze rozumiemy, czym jest wygnanie, odrzucenie, gniew chrześcijan. Wiesz, dlaczego nasze gminy zostały ogrodzone? – Wskazał głową na mury z czerwonej cegły.

– Bo nie lubicie innowierców?

Żyd uśmiechnął się lekko.

– Trochę też. Ale głównie z obawy przed pogromami. Kilkadziesiąt lat temu na świecie szalała potworna zaraza. Czarna śmierć.

– Słyszałam o tym.

– Ludzie na zachodzie zaczęli oskarżać o jej wywołanie moich współwyznawców. A to zakończyło się wieloma strasznymi czynami. Jednego tylko roku w Erfurcie, Kolonii oraz Norymberdze wymordowano tysiące Żydów. Spalono ich domy. Nie oszczędzono nawet dzieci. Mój ojciec przyjechał właśnie z Kolonii, wcześniej mieszkał trochę w Pradze, ale i tam zrobiło się niebezpiecznie. W każdym razie od tej pory mury chronią nas przed motłochem. Zanim tutaj wtargnie, jest czas na wezwanie królewskiej pomocy.

– A więc nawet inkwizycja nie może tu wejść?

– Przede wszystkim inkwizycja, moje dziecko. Łatwiej byłoby naszemu dominikaninowi wejść na dwór tureckiego sułtana. Mamy tu własne prawo, swój kahał, a miejska jurysdykcja u nas nie działa.

– Ale niedługo powróci do Krakowa królowa. Przecież ona nie pozwoli, by...

– Nie byłbym taki pewien – przerwał jej Jakub. – Król nie chce zadzierać z Rzymem. Jak każdy władca boi się utraty papieskiej przychylności, a ta jest dzisiaj niezmiernie ważna w sporach sądowych z Zakonem. Poza tym Ojciec Święty ma jeszcze jedną potężną broń w zanadrzu: może rzucić klątwę.

Dziewczyna pobladła jeszcze bardziej, zdając sobie sprawę, że sytuacja jest dużo poważniejsza, niż dotychczas przypuszczała. Jeśli nawet Jadwiga mogła się okazać bezsilna wobec papieskiej bulli, oznaczało to, że ten siwobrody Żyd właśnie uratował Mildzie życie.

– A jeśli inkwizytor nie wyjedzie?

– Kiedyś będzie musiał. Gdyby to się jednak miało przedłużyć, jest kilka możliwości. Zdobyłem już pismo od kahału gminy sandomierskiej. Tam też mogłabyś przeczekać niebezpieczny czas.

Sandomierz, pomyślała. Kolejne nowe, obce miejsce na mapie jej tułaczki, która zaczęła się na Litwie, a teraz doprowadziła ją na ulicę Żydowską.

Ulica ta była zresztą bardzo zadbana, kamienice po obu jej stronach wyglądały na zamieszkałe przez ludzi majątnych.

Jakub dostrzegł, że Milda rozgląda się ciekawie.

– Po lewej stronie – tłumaczył – mieszkają najgrubsze ryby, bankierzy i lichwiarze. Jest tu dom samego Lewki. Jeden z jego domów.

Słyszała o tym Izraelicie, który pożyczał pieniądze już królowi Kazimierzowi, a ostatnio udzielił podobno pożyczki Jadwidze – chodziło o niewyobrażalną sumę dziesięciu tysięcy grzywien. Lewko był jednym z najpotężniejszych i najbardziej wpływowych ludzi w mieście, postacią niemal mityczną, krążyły legendy, że posiada czarodziejski pierścień, dzięki któremu pomnaża swoje bogactwa. Należały do niego żupy wielkie, mennica, browar, był też właścicielem wielu domów i placów w Krakowie.

– Jego pewnie nawet nie ujrysz na oczy – kontynuował Jakub. – Natomiast możesz zobaczyć innych lichwiarzy, takich jak Ossman, Drobny i Smerl. Mimo wszystko lepiej nie rzucać się im w oczy.

– Pozwolą mi tu zostać?

– Moja w tym głowa. Musisz jednak poznać panujące u nas zasady. Są bardzo surowe i bardzo szczegółowo opisane. Chrześcijanom wystarczy przestrzegać dziesięciu przykazań, natomiast my, Żydzi, musimy się stosować do sześciuset trzynastu nakazów Tory.

Nie brzmiało to zbyt pocieszająco, ale nie skomentowała.

– Zamieszkasz u Akiby, który jest krawcem. Ma trzy córki i to głównie z nimi będziesz spędzać czas. Od świata mężczyzn, a już szczególnie od rytuałów religijnych, trzymaj się z daleka. Kobiety nie studiują Tory. Akiba na pewno znajdzie dla ciebie jakieś zajęcie, to poczciwy człowiek.

– Jak długo tu zostanę?

– Ile będzie trzeba. Tak jak mówiłem, do momentu, aż inkwizytor wyjedzie z Krakowa. Ja będę się w tym czasie dowiadywał, jak przebiega śledztwo.

– Dziękuję wam.

– Nie bój się, nieszczęścia przemijają, Żydzi dobrze to wiedzą. Mówi się u nas, że jest czas próby, czyli zaćmienia Boga. To jak z zaćmieniem słońca. Gdyby się nie wiedziało, że słońce istnieje dalej i wcale nie zniknęło, wypadałoby czekać tylko na to, aż ziemia zamarznie. Podobnie z Bogiem – jeśli myślisz, że gdzieś odszedł i pozostawił nasz świat, bezcelowa jest wiara i zwracanie się ku Niemu. Lecz On, tak jak i słońce, wciąż przecież jest. Po prostu Jego oblicze czasami jest zakryte.

Krawiec Akiba przyjął ją gościnnie; także jego małżonka, Rachela, o oczach obwiedzionych ciemną kreską, oraz trzy kilkunastoletnie córki – Gołda, Chwałka i Lelka – nie okazywały niechęci z powodu pojawienia się jasnowłosej Litwinki. Były raczej zaciekawione, gdyż wszystkie miały mało okazji, by poznać kogoś spoza gminy.

A właściwie nie miały żadnej.

Od strony ulicy dom krawca wyglądał dość zwyczajnie, ale wewnątrz okazał się całym labiryntem pomieszczeń, przybudówek, niezadaszonych korytarzy i dziedzińców. Można w nim było pobrać.

Milda dostała na obiad miskę barszczu i chleb z gęsim smalcem.

Potem musiała wysłuchać, co jej wolno, a czego nie wolno w tym żydowskim świątku. Zakazów było tak wiele, że dziewczyna doszła do wniosku, że najlepiej nie robić nic i nigdzie nie wychodzić, jeśli nie chce się narazić gminie.

Lecz już od następnego dnia zaczęła zwiedzać kwartał. Oprowadzała ją Lelka, najmłodsza z sióstr, czarnooka i najbardziej żywa ze wszystkich. Milda zakryła głowę ciemną chustą, aby nie zwracać zbyt uwagi swoimi jasnymi włosami. Właściwie to w ogóle nie powinny opuszczać domu, ale obie dziewczyny – choć tak różne – nie umiały trzymać się nakazów.

– Tutaj jest browar Smerla. – Lelka wskazała na jeden z budynków.

– To Żydzi piją piwo? – zdziwiła się Milda. Wprawdzie wiedziała, że Jakub chętnie je pije, tyle że on nie wydawał się typowym przedstawicielem swojego narodu.

– Tak, ale w większej części nim się handluje. Za browarem jest nasza piekarnia, potem łaźnia, a pod murem rzeźnia. A także studnia. Na prawo mamy synagogę, tam nie wchodzi pod żadnym pozorem.

– Nie zamierzam.

– To dobrze. Ale na kirkut możemy wejść.

Kirkut, czyli cmentarz, przypominał mały park. Pomędzy starymi drzewami wyrastały z ziemi kamienne tablice pokryte hebrajskimi napisami – macewy. Dziewczyny przysiadły w cieniu dębu i Lelka zaczęła wypytywać Mildę o zwyczaje panujące na zewnątrz. Słuchała z otwartymi ustami, jakby to były opowieści z zamorskich krain, a przecież od tamtego świata dzieliło je tak niewiele.

Po dwóch tygodniach pobytu w gminie Milda mniej więcej poznała już rytm życia mieszkańców.

Zwłaszcza szabat, który trwał od piątkowego wieczora aż do końca soboty. Wtedy nie wolno było ani pracować, ani handlować. Mężczyźni, prawie wszyscy brodaci, odziani w odświętne płócienne chałaty lub długie szaty z frędzlami, zbierali się w synagodze, a potem w domu rabina Szmula, syna Lewki, który, ubrany w białą sobotnią kapotę, objaśniał im wersety Tory. Okazało się, że Żydzi bardzo lubią śpiewać, a ich pieśni, w odróżnieniu od kościelnych, wcale nie były ponure, niektóre z nich brzmiały wesoło i skocznie, zwłaszcza gdy towarzyszyły im dźwięki grzechotek i fletów. Tuż przed szabatem, gdy mężczyźni brali rytualną kąpiel w mykwie, Milda wraz z innymi kobietami przygotowywała posiłki, głównie ryby. Nauczyła się też piec chałki.

Czas płynął leniwie – jak to mówili Izraelici: „Wszystkie nasze dni przemykają szybko jak cień, a każdy z osobna długo się ciągnie”. Lubili prowadzić dysputy na takie tematy jak: „Czy czas płynie szybciej, gdy nic się nie dzieje, czy raczej wtedy, kiedy jest wypełniony wydarzeniami”. To byli naprawdę dziwni ludzie. Dla Mildy czas jak gdyby się zatrzymał. Brak kontaktu ze światem na zewnątrz, ustalony rytm życia każdego dnia, ci sami ludzie i to samo otoczenie, wszystko to sprawiało, że każdy dzień stawał się podobny do poprzedniego. Nawet inaczej tu nazywano miesiące – poza murami zaczął się sierpień, tutaj zaś trwał miesiąc aw i szykowano się już do corocznego święta Tisza be Aw, upamiętniającego zburzenie jerozolimskiej świątyni.

Nie tylko z Lelką prowadziła rozmowy.

Krawiec Akiba próbował jej czasami wyjaśniać zasady ich wiary. Zwykle działo się to wieczorami, kiedy siadał przy stole w swojej jarmułce i przy blasku świec oraz lampek pił wino. Dowiedziała się, że według Izraelitów Jezus nie był prawdziwym Mesjaszem i że na nadejście Pomazańca trzeba jeszcze czekać, a będzie nim Syn Dawidowy. Wtedy nastaną szczęśliwe Dni Dawidowe, trwające tyle samo lat, ile upłynęło od czasów Noego do dzisiaj.

Pewne stwierdzenia były dziwne, jak choćby to, że do piekła, a raczej do Szeolu, prowadzi troje drzwi; jedno są na pustyni, drugie na morzu,

a trzecie w Jerozolimie. Dowiedziała się też, dlaczego w niektórych domach nie ma okien wychodzących na kościół Świętej Anny: było tak z powodu zaleceń księgi *Sefer chasidim* i miało zapobiec sytuacji, że ktoś stojący przy oknie przypadkiem skłonił głowę i niezamierzenie oddał hołd bałwanom.

Wszystko to wydawało się Mildzie dziwne i tajemnicze, ale zamknięcie w tym rządzącym się swoimi prawami świecie dawało jej poczucie bezpieczeństwa.

Podczas gdy w gminie żydowskiej zaczynały się przygotowania do święta Tisza be Aw, do Krakowa przybył czarnowłosa jeździec w zakurzonej opończy, na srokatym koniu.

Mężczyzna był wyczerpany, miał za sobą wiele dni w siodle, kiedy to zatrzymywał się tylko na chwilę, by trochę się zdrzemnąć, dać koniowi owsa i przetrzeć mu słomą spocone boki. Zaraz po przekroczeniu Bramy Świętego Floriana jeździec skierował wierzchowca ku zamkowi.

Varnas nie zastał króla w stolicy.

Początkowo miał nawet trudności z wejściem na zamek, nie rozpoznano go. Musiano dopiero przywołać kapitana straży, z którym służył kiedyś w jednym oddziale. Gdy wreszcie został wpuszczony, dowiedział się, że Jagiełło nie powrócił jeszcze z Litwy. Varnas nie zamierzał oddawać dokumentów, które przywiózł, jakimś dworskim urzędnikom czy pracownikom królewskiej kancelarii – nigdy im nie ufał, a chodziło o sprawę wagi państwowej – więc poprosił o spotkanie z królową.

Na jego widok Jadwiga zaniemówiła.

Z jej twarzy Varnas wyczytał nie tylko zaskoczenie i radość, lecz również napięcie. Ogarnął go niepokój.

– Czy Milda zdrowa? – spytał cicho.

Wtedy dowiedział się wszystkiego o śmierci Alberta, wygnaniu siostry z dworu, o szczegółach jej pobytu w Kazimierzu, knowaniach Krystyny i Justyna, napadzie na Mildę, jej pracy w karczmie, wreszcie o procesie

heretyków, którzy byli częstymi gośćmi w gospodzie. Jadwiga poinformowała go również, że od dnia egzekucji kacerzy Milda nie dała znaku życia i nikt nie wiedział, gdzie przebywa. Nawet królewscy szpiedzy byli bezsilni.

Varnas słuchał tego wszystkiego z narastającą zgrozą, nie potrafiąc objąć rozumem nadmiaru złych wieści. Czuł się, jakby ktoś uderzył go pałą w głowę. Nie takiego powrotu wyczekiwał z utęsknieniem. Przez długie miesiące był przekonany, że siostra jest bezpieczna pod opieką samej królowej, teraz zdał sobie sprawę, jak bardzo się mylił. Milda przeszła przez prawdziwe piekło. Nawet jego przeżycia nie mogły się z tym równać, bo on przynajmniej spędził spokojnie czas nad Białym Potokiem. Jadwiga zapewniła go tylko, że siostra na pewno nie wpadła w ręce inkwizycji, a królewscy szpiedzy uważają, iż po prostu gdzieś się ukryła i jest tylko kwestią czasu, kiedy ją odnajdą. Według nich dziewczynie mogli pomóc albo mnisi, albo Izraelici, albo pewien bogaty kupiec, z którym ją ostatnio widywano. Znała też wielu łotrzyków ze środowiska przestępczego Kazimierza, tamci też byli w stanie ukryć ją w jednej ze swoich melin.

Choć Varnas starał się nie okazywać swoich uczuć, był wściekły na królewską parę, że oboje tak łatwo dali wiarę oskarżeniom jakiejś podłej oszustki i że tak młodą dziewczynę wypędzono z dworu do miasta, samą między wilki. Jadwiga wyglądała na zmieszaną i – co jej się rzadko zdarzało – nie patrzyła mu w oczy.

Oddał królowej dokumenty, mówiąc tylko, że jej małżonek powinien się z nimi koniecznie zapoznać, po czym bez chwili zwłoki udał się na poszukiwania siostry.

W Piwnicy Świdnickiej pod krakowskim ratuszem jak zwykle po południu panował ścisk. Brakło już miejsc przy stołach, wszędzie siedzieli klienci, pijąc albo grając w kości. Varnas musiał stanąć przy szynkwasio. Ponieważ nigdy wcześniej tu nie był, kilka głów obróciło się w jego stronę i musiał wytrzymać jawnie niechętnie spojrzenia stałych bywalców. Zwrócił też na siebie uwagę dwóch roześmianych dziewczek, towarzyszących jakiemuś bogato odzianemu tłuściochowi, zapewne miejskiemu rajcy. Pomachały do niego, lecz Litwin odwrócił się do nich plecami.

Nie szukał kłopotów.

Szukał siostry.

A raczej kogoś, kto znał miejsce jej pobytu.

Nie było to rzeczą prostą. Tego dnia Litwin zdążył już odwiedzić Kazimierz, kamienicę, gdzie mieszkała Milda, a także kilka tamtejszych spelunek, gdzie na podwórzach urządzano walki psów lub kogutów. Wszędzie pytał o siostrę, lecz nikt nie wiedział, gdzie może się znajdować Milda. Zaszedł też do gospody Pod Czarnym Psem, aby się przekonać, że królowa miała rację, mówiąc mu, iż ta została zamknięta przez inkwizytorów.

– Co podać? – spytał właściciel gospody, niski człowieczek z wielką brodawką na policzku, patrząc nieufnie na nieznanomego przybysza.

– Świdnickie – odparł Litwin.

– Masz pieniądze?

Varnas położył na ladzie monetę. Zanim ruszył na poszukiwania, sprzedał zasłużonego srokacza – w mieście koń nie był mu potrzebny.

Mały brzydał napełnił kufel i podsunął go Varnasowi.

– Nie jesteście tutejsi – mruknął. – I rozglądacie się jak szpieg. Szukacie kogoś?

– Tak.

– To tutaj tego kogoś nie ma. Skończcie piwo i wynoście się stąd.

Varnas spokojnie zanurzył usta w gęstej pianie. Świdnickie piwo było zimne i rzeczywiście dużo lepsze od tego, które warzono w Krakowie.

– Posłuchaj, mądralo – rzekł do gospodarza, przełknąwszy dwa małe łyżki. – Wyjdę, kiedy uznam, że załatwiłem swoją sprawę.

– Nie, przyjacielu, wyjdiesz dużo szybciej. Albo cię wyniosą z połamanymi nogami.

Człowieczek skinął na kogoś głową i po chwili przy Litwinie wyrósł potężny, łysy mężczyzna w koszuli rozsznurowanej na – chyba dla przeciwwagi – obficie zarośniętej piersi.

– Coś nie tak? – spytał, wypluwszy na podłogę jakąś pestkę.

– Węszy – mruknął gospodarz. – I szczeka.

– Czego szukasz? – Łysy spojrzał badawczo na Varnasa. Od razu dostrzegł, że ma do czynienia z kimś, kto nie da się łatwo wyciągnąć z lokalu za kołnierz.

– Pewnej Litwinki – odparł Varnas.

– Litwinki?

– Ano. Ma na imię Milda albo Anna.

Łysy wypluł kolejną pestkę.

– Albo jak jeszcze?

– Słuchaj, łysa pało, wiele znasz tu Litwinek?

– Wiesz, do kogo mówisz, psie? Jestem hutmanem.

– Nic a nic mnie to nie obchodzi.

– Twoja Litwinka siedzi pewnie w jakimś kazimierzowskim zamtuzie, bo tylko to...

Nie zdążył dokończyć, ponieważ nagle znalazł się na podłodze, pośród pestek, które dopiero co wypluł. Hutman był wielki i silny, ale powolny, nawet nie zauważył ruchu ręki Varnasa, który błyskawicznie posłał Justyna na ziemię. Wszyscy w sali zamarli. Potem mężczyźni podnieśli się z ław. Kilku z nich trzymało w rękach pałki. Zrobiło się nerwowo, lecz nagle przed Varnasem wyrósł starzec z siwą brodą, w długiej szacie z szerokimi rękawami i zawoju w kształcie kaptura na głowie.

Wyglądał na Izraelitę i rzeczywiście nim był.

– Pax! – nakazał, podnosząc do góry rękę, ozdobioną w przegubie miedzianą bransoletą. – Zbądźcie się gniewu, cni mieszczanie. Chłopak za dużo wypił.

Najwidoczniej starzec miał wśród klientów spory autorytet i posłuch, gdyż mężczyźni usiedli na powrót, dysząc ciężko. Hutman podniósł się na nogi, wciąż oszołomiony, lecz nie zamierzał zrewanżować się teraz Litwinowi, tylko także patrzył z respektem na Izraelitę. Tymczasem Siwobrody położył dłoń na ramieniu Varnasa i rzekł:

– Chyba powinieneś się przewietrzyć, chłopcze. Wyjdźmy na zewnątrz.

Varnas poszedł więc posłusznie za dziwnym starcem, wyglądającym jak wschodni mędrzec z biblijnej opowieści. Miał przeczucie, że od tego człowieka może dowiedzieć się więcej niż od wszystkich innych w piwnicy. Wyszli z piwnicy i opuścili budynek ratusza. Słońce już zachodziło, rynek powoli się wyludniał.

– Szybko – powiedział Izraelita. – Nie chcę, by za nami poszli. To tylko tępe opijusy, ale niech za wiele nie widzą.

– Kim jesteście? – spytał Litwin.

– Przyjacielem.

Weszli w labirynt przejść pomiędzy zamkniętymi już kramami. W pewnym momencie siwobrody przystanął.

– Jesteś bratem Mildy? – zapytał nieoczekiwanie.

– Tak. Wiecie, gdzie ona jest?

– Jak cię zwa?

– Gdzie ona?

– Odpowiadaj.

– Varnas.

– Mówiła, że jej brat jest teraz gdzieś na Litwie, w rękach zakonnych.

– Ale im zbiegłem. Dwóch z nich gryzie ziemię.

Izraelita spojrział na niego swoimi starczymi, lecz przenikliwymi oczami spod krzaczastych brwi.

– Po tym, co zobaczyłem w piwnicy, skłonny jestem w to uwierzyć. Zresztą moi ludzie obserwują cię od rana. Inaczej bym się do ciebie nie odezwał.

– Co z Mildą?

– Jest bezpieczna.

– Skąd wiecie?

– Powiedzmy, że wyczytałem to z wątroby specjalnie w tym celu zabitej owcy. Zadowolony?

– Powiecie wreszcie...?

– Cierpliwości.

Tego popołudnia Milda jak zawsze pomagała żonie krawca, Racheli, w przygotowaniu wieczerzy. Żydówka, pogodna kobieta, w czepku ze zwisającą spod niego na kark chustą i sukni w wąskie podłużne pasy, ściśle opinającej jej obfity biust, mieszała zupę w kociołku.

– Ach, zapomniałam, że miałaś mi podać przepis na tego łososia, którego przyrządzałaś w karczmie – powiedziała teraz.

– To proste – odparła Litwinka.

– No dobrze. Przypomnij mi: koper, pieprz, szafran?

– Tak. Może być jeszcze gorczyca, piołun i goździki.

– Goździki? Nie wiem, czy mam. I z jakim chlebem?

– Najlepiej pełnoziarnistym.

- To może być trudne...
- Znam dobrą piekarnię niedaleko.
- Gdzie?
- Na rynku.
- A, to podam z naszym.

Do obszernej kuchni wkroczył pan domu, tykowały, w chałacie, z rzadką, lecz szeroką i długą szpakowatą brodą. Na palcach, leciutko jak tancerz, podbiegł do paleniska i spoza pleców Racheli zajrzał do bulgoczącego kociołka.

– A ty tu czego? – zirytowała się jego małżonka. – Nie wsadzaj mi nosa do garnków. Jeszcze nie jest gotowe.

– Ale tak pachnie w całym domu, że nie mogłem się powstrzymać – odparł pokornie krawiec. – To silniejsze ode mnie, rzekł pies, rzucając się w pogoń za kotem.

– Tylko nie próbuj mi mydlić oczu przypowieściami.

– Miszle są mądrością narodu – odparł, przeczesując palcami rzadką, ale długą szpakowatą brodę i przyglądając ją na piersi.

– Ale opowiadane przy byle okazji irytują. Wynocha stąd! I nie chodź boso. Załóż sandały.

Krawiec odwrócił się, chcąc wyjść, ale w drzwiach zderzył się z Lelką.

– Mildo – powiedziała dziewczyna. – Przyszedł Jakub. Mówi, abyś się ubrała i gdzieś z nim poszła.

Litwinka zamarła. Czyżby niebezpieczeństwo minęło? Czy może wrócić do miasta? Z jednej strony ucieszyłaby się z tego, z drugiej... Co tu kryć, dobrze jej było tutaj, w żydowskiej gminie. I dokąd miałyby teraz wracać? Do Doroty?

Wytarła dłonie o fartuch, zdjęła go i przewiesiła przez poręcz krzesła.

– Jeśli to już – rzekła do milczącej Racheli – to jeszcze przyjdę się pożegnać.

Na zewnątrz panowała ciemność. Ulica Żydowska była nieoświetlona, po zapadnięciu mroku było tam czarno jak w kopalni. Milda bardziej domyśliła się niż ujrzała, że stoi przed nią Jakub.

– Już? – zapytała cicho.

– Jeszcze nie. Jeszcze kilka dni. Ale ktoś koniecznie chce się z tobą zobaczyć.

Mikołaj, pomyślała od razu. W jakiś sposób dowiedział się, gdzie znalazła schronienie. Ogarnęły ją dziwne emocje. Syn kupca kojarzył jej się z tamtym światem, groźnym i niebezpiecznym, lecz mimo to chciałyby raz jeszcze go ujrzeć.

Niemal po omacku posuwali się w kierunku furtki.

– Przywitasz się – poinstruował ją Izraelita – a potem grzecznie wrócisz do domu.

– Dobrze.

Stanął przy bramie, Jakub pociągnął za żelazny uchwyt, wrota się uchyliły.

Tutaj też panowała ciemność. Milda wyteżyła wzrok. Ujrzała niewyraźną męską postać, ale nie był to Mikołaj... Chwilę potrwało, nim się zorientowała, kto przed nią stoi.

– Varnas... – wyszeptała.

ROZDZIAŁ DRUGI

ROŻNÓW, WRZESIEŃ 1392

Zofię wytropiono na samym początku września, dwa tygodnie po powrocie Zbigniewa z wyprawy.

Kiedy tylko się dowiedział, że ta dziewczyna miała zamiar pokazać ludziom Emeryka tajemne przejście do zamku i sprzedać obleganych za obiecane przez wroga złoto, aż pobladł z wściekłości. Teraz to on wyznaczył nagrodę za jej schwytanie i nie musiał zbyt długo czekać na efekt. Zofia ukrywała się w sąsiedniej wsi, w domu kołodzieja. Mężczyzna uznał jednak, że bardziej mu się opłaci wydać uciekinierkę, niż ukrywać w nieskończoność kobietę, która i tak już zdążyła mu się znudzić, więc szybko przyszedł po nagrodę.

Tak więc pewnego wrześniowego popołudnia Amalia zauważyła z okna swej komnaty zbliżającą się do murów zamku grupkę ludzi, jednego konnego i troje pieszych, wśród których rozpoznała spętaną powrozem Zofię. Dziewczyna słańiała się na nogach i potykała, ale podnoszono ją brutalnie i zmuszano do dalszego marszu.

Kiedy Amalia zeszła na dziedziniec, mogła jej się lepiej przyjrzeć: Zofia ubrana była w jakieś łachmany i brudna od ciągłego przewracania się na pokrytej kurzem drodze. Miała poranione dłonie i stopy, a włosy potargane i splątane.

Wszystko to wzbudziło w Amalii współczucie.

Dla niej była to tylko pożałowania godna istota, która w jedyny znany sobie sposób usiłowała poprawić własny los. Kobieta, która nie wierzyła już nikomu, zgorzkniała i nieszczęśliwa.

Powiadomiono pana zamku, że złapano i przyprowadzono zdrajczynię, ale Zbigniew nawet nie zszedł na dół ze swojej wieży, aby spojrzeć na uciekinierkę, tylko kazał ją wrzucić do lochu, do czasu, aż podejmie decyzję, jaką karę wymierzy Zofii.

Gdy Zbigniew wrócił pod koniec sierpnia z wojennej wyprawy Jagiełły, wiedział już o próbie przejęcia zamku przez Emeryka. Mówiono o tym w gospodach i wsiach, które mijał, wychwalając odwagę Amalii i jej umiejętność podejmowania decyzji. Zwłaszcza tej najważniejszej, kiedy to zdecydowała się poprosić o pomoc królową Jadwigę. W tych opowieściach jawiła się jako legendarna święta wojowniczką. Emeryk musiał się tłumaczyć przed dowódcą królewskich hufców, które przybyły do Rożnowa na odsiecz, czekał go również proces sądowy. Można by powiedzieć, że zagrożenie z jego strony zostało raz na zawsze oddalone.

Lecz sama Amalia wcale nie miała pewności, jak przyjął jej działania małżonek. Po pierwsze, zapewne pragnął powrócić do domu w glorii zwycięskiego wojownika, tymczasem cała okolica, a co gorsza, także Kraków i wawelski zamek – słowem, wszyscy zobaczyli, jak nieodpowiedzialnie się zachował, pozostawiając swą rodową siedzibę bez należytej ochrony. Po drugie, proces, który miał się odbyć z powodu owych rodzinnych zatargów, zapewne wydobędzie na światło dzienne również grzeszki Zbigniewa, przede wszystkim barbarzyńskie spalenie wsi należącej do brata. Tak więc pozycja Zbigniewa po tym wszystkim raczej nie wzrośnie, przeciwnie, Jagiełło będzie miał do niego jeszcze mniejsze zaufanie.

Zamek rożnowski, wraz z tymi w Nowym Sączu, Czchowie i Melsztynie, miał z rozkazu królewskiego strzec bezpieczeństwa na gościńcu wiodącym z Węgier, głównie przed bandami zbirów i złodziei, tymczasem wkrótce może wyjść na jaw, że Zbigniew sam zachowywał się jak rozbójnik.

A bezprawie niepokoiło kupców.

Jagiełło nie mógł tego tolerować. Jeśli więc pan na Rożnowie nie odznaczył się podczas kampanii szczególnym męstwem, w co wątpiła jego żona, czekały go kłopoty.

Dlatego też Amalia bardziej niż dumę z powodu utrzymania zamku czuła teraz wstyd za małżonka, który przyczynił się do spadku znaczenia ich rodziny oraz siedziby. Zdawała sobie sprawę, że i on to rozumiał i że może wyładować na niej wściekłość z tego powodu.

Z początku jednak nic na to nie wskazywało. Jeśli był zły, nie dał tego po sobie poznać podczas powitania na dziedzińcu.

– Jestem z ciebie dumny, moja najdroższa żono. – Ku jej uldze otworzył szeroko ramiona i mocno ją uściskał. – Widzę, że od tej chwili mogę już spokojnie powierzać zamek twojej opiece, kiedy mnie tu na jakiś czas nie stanie.

Wyszczupłał podczas wojennych trudów, choć nigdy nie był otyły, nosił teraz dłuższe włosy i brodę, a jego spojrzenie było jeszcze bardziej zgaszone niż zwykle. Na kolczugę miał zarzuconą szarą, ubłoconą tunikę.

Na dowód swojej wdzięczności i tego, że bardzo tęsknił, podarował Amalii złotą broszę wysadzaną rubinami, perłami i szmaragdami.

– Noś to teraz, pani, jako order za swoje zasługi. Bowiem zasłużyłaś jak mało kto. Będiesz wzorem dla naszego syna, który, mam nadzieję, teraz szybko pojawi się na świecie.

Amalia z jednej strony była uszczęśliwiona, że mąż nie jest na nią zły, z drugiej poczuła ukłucie strachu. Zatem Zbigniew nie porzucił marzeń o synu i znów będzie się o niego starał. A ją czekają nieprzyjemne i bolesne wizyty w sypialni. Najgorsza jednak była świadomość, że nawet jeśli uda jej się zająć w ciążę, może to być kolejna córka.

Szybko dostrzegła, że stosunek męża do małej Małgorzaty nie zmienił się ani trochę pod wpływem wielotygodniowej rozłąki. W dalszym ciągu niemal jej nie zauważał. Córeczka kończyła właśnie dziewięć miesięcy, próbowała nawet stawiać pierwsze kroki i była najśłodszym stworzeniem pod słońcem ze swoją wiecznie uśmiechniętą buzią i burzą ciemnych loczków wokół głowy. Jednak drugiego dnia po jego powrocie doszło do sytuacji, która mogła dać nadzieję na przyszłość. Amalia przysła z małą do sali jadalnej i posadziła sobie dziecko na kolanach. Gdy wkroczył Zbigniew – w zielonym kaftanie i obcisłych pludrach – początkowo zmarszczył brwi na ten widok; nie lubił, gdy płacz małej przeszkadzał mu w posiłku. Nie skomentował jednak jej obecności i usiadł naprzeciwko przy stole.

Na widok ojca Małgorzata rozjaśniła się i wyciągnęła w jego stronę rączki, zupełnie jakby go rozpoznawała, a wtedy odrobinę się zmieszała.

– Jak się chowa dziecko? – spytał, zapewne tylko z poczucia obowiązku.
– Mam nadzieję, że pozostaje w dobrym zdrowiu?

– Tak, panie mężu, dziękować Bogu. I spójrzcie tylko, jak się cieszy na widok swojego ojca.

Przez twarz Zbigniewa przebiegł cień uśmiechu.

– Naprawdę tak sądzisz, Amalio? Taki malutki człowiek potrafi już rozpoznawać ludzi?

– Oczywiście – odparła zgodnie z prawdą.

Dziecko w tym wieku bezbłędnie rozpoznawało już ludzkie twarze, nie miała jednak pewności co do tego, czy wiedziało, kto jest kim. Mała cieszyła się na widok każdego człowieka, który zwrócił na nią uwagę. Zwłaszcza na widok mężczyzn, gdyż ci pewnie kojarzyli jej się z zabawnym i zawsze pełnym pomysłów Jaśkiem ogrodnikiem.

Zbigniew powoli podniósł się z krzesła, okrążył stół, podszedł do córki, wyciągnął rękę i ostrożnie pogładził małą po buzi.

– Tata! – ucieszyła się dziewczynka, znów wyrrywając się do niego. Miała na sobie białą, długą do kolan koszulkę, z koronką przy szyi i koronkowymi mankietami. – Tata!

– Ona naprawdę mnie rozpoznaje – zdumiał się Zbigniew, tym razem biorąc dziecko na ręce.

Trzymał ją sztywno i niepewnie, jakby zaraz miała się rozsypać w jego dłoniach na drobne kawałeczki, ale widać było, że sprawiało mu to niejaką przyjemność. Mała zaczęła szarpać go za brodę, zanosząc się przy tym śmiechem.

– Dbaj o nią, Amalio – powiedział łagodnie, oddając jej w końcu córkę. – To mądra dziewczynka. Widać, że moja krew.

Amalia nie miała odwagi powiedzieć mężowi, że Małgorzata woła „tata” na każdego spotkanego mężczyznę. Postanowiła dopilnować, żeby nigdy nie był świadkiem takiej sceny.

Rodzinna sielanka nie trwała jednak długo.

Po kilku dniach stało się to, czego Amalia obawiała się najbardziej – Zbigniew dowiedział się o zdradzie Zofii, a także o tym, że dziewczynę sprowadziła na zamek jego żona.

– To było bardzo nierozsądne – oświadczył podczas kolacji, a Amalia spuściła wzrok. – Sprowadziłaś tego wyrzutka wbrew zaleceniom kapitana straży. Podczas gdy ty chodziłaś po lesie, brama była wciąż otwarta.

– Ta kobieta miała małe dziecko... – bąknęła.

– I co z tego?

– Chłopca – dodała, sądząc, że to nieco ułagodzi męża.

Ale nie ułagodziło.

– Mały wiejski bękart wart jest dla ciebie więcej niż mój dom?

– Nie.

– No właśnie. A jeśli już ta wywłoka znalazła się na zamku, należało mieć na nią baczenie. O mało co nie doprowadziłaś do nieszczęścia.

Nie miała odwagi odpowiedzieć, że napad Emeryka oraz pozostawienie nielicznej załogi naraziły zamek na dużo większe niebezpieczeństwo, wiedziała bowiem, że nie należy dolewać oliwy do ognia. Zbigniew najwidoczniej tak wyparł własną winę w tej sprawie, iż sam uwierzył, że nie ma sobie nic do zarzucenia. Winien był jego brat, wieśniacy, nawet Amalia przestawała odgrywać w całej historii pozytywną rolę, skoro lekkomyślnie wpuściła do zamku konia trojańskiego.

Oczywiście, miał trochę racji: mogła być ostrożniejsza, bardziej przewidująca, tyle że nie czuła się ani wojowniczką, ani dowódcą straży, wychowywano ją na dwórkę, nie miała doświadczenia w kierowaniu obroną zamku. Zamiast jednak docenić, że mimo wszystko sobie poradziła, Zbigniew wolał wytykać jej błędy i udzielać reprimendy. Nie zamierzała drażnić jego męskiej dumy.

A ta duma, w połączeniu ze złością, że w sprawę zaangażowała się sama królowa Jadwiga, potrzebowała teraz ujścia. Krótko mówiąc, Zbigniew musiał schwytać Zofię i przykładowie ją ukarać na oczach wszystkich.

Jeszcze tego samego dnia, w którym Zofię sprowadzono na powrozie do zamku, późnym wieczorem, Amalia, w tajemnicy przed mężem, zeszła wąskimi kamiennymi schodami do lochu, żeby zobaczyć, w jakich warunkach dziewczyna jest tam przetrzymywana. Drżała o jej życie, bo choć Zbigniew jakby o niej zapomniał, dobrze rozumiała, że na ciemnicy cała sprawa się nie skończy.

Chciała jej też przekazać wieści na temat synka, powiedzieć, że dziecko ma dobrą opiekę, jest zdrowe, ale tęskni za matką. I żeby ukorzyła się przed Zbigniewem, by poprosiła o łaskę, a wtedy może pan zlituje się nad nią i wypuści z lochu.

Niestety, Zofia nie miała najmniejszego zamiaru korzyć się przed kimkolwiek. Czy to z głupoty, czy z zaciekłości, uważała się za ofiarę, niewinnie ściganą i uwięzioną.

– Nic złego nie zrobiłam – burknęła tylko, siedząc w kącie celi, gdzie nie docierało światło trzymanej przez Amalię pochodni. – Zobaczyłam tylko furtkę w murze i chciałam się przekonać, dokąd ona prowadzi. Ten, kto mówi, że zamierzałam wpuścić tamtędy ludzi pana Emeryka, łże jak pies.

– Nie mówiłam nic o panu Emeryku...

Zofia chyba się zmieszała, bo na chwilę umilkła.

– No to po co mnie ścigaliście? Bo zostawiłam dzieciaka? Takie to straszne przestępstwo? Niech się nim zajmie jego ojciec, ta tłusta świnia. Ja chciałam sobie ułożyć życie na nowo, bez niego. Ten bachor tylko zawiązał mi życie. Nie mam prawa do szczęścia, bo jestem biedna? Takim ludziom to już nic się nie należy? Tylko wam, bogaczom...

– Czyli nic nie wiedziałaś o nagrodzie, nie szukałaś ludzi Emeryka za murami, nie wołałaś, że pokażesz im furtkę? – Amalia poczuła ogromny smutek.

Ta nieszczęsna istota nijak nie dawała sobie pomóc.

– Klnę się na...

– Nie bluźnij. Zofio, przede mną nic się nie ukryje. Ani przed moim mężem. Zawsze znajdą się ludzie, którzy coś widzieli i coś słyszeli... – Po szeleście dobiegającym z kąta celi Amalia poznała, że tamta skuliła się na swoim barłogu ze słomy.

Zofia nie była aż tak głupia, żeby nie zdawać sobie sprawy, że dalsza rozmowa nie ma sensu. To już koniec, była stracona. Czuła, że to Wojciech na nią doniósł. Drań musiał ją śledzić.

Rzeczywiście, przepytany przez Amalię bednarz od razu opowiedział jej o planach Zofii, oczywiście zrzucając całą winę na dziewczynę i starając się jak najbardziej pomniejszyć swój udział w całej sprawie. Nawoływania Zofii słyszeli też strażnicy pełniący wartę na murach zamku.

Amalia wróciła do siebie z ciężkim sercem. Nie wiedziała, jak pomóc Zofii, nie miała też pojęcia, jaką karę zaplanował dla zdrajczyni Zbigniew.

Postanowiła zapytać o to wprost.

Okazja nadarzyła się następnego dnia przy kolacji.

Zastała męża w jadalni, niemal kompletnie już upojonego winem, w towarzystwie Grzegorza. Astrolog rzucił jej przeproszające spojrzenie, jakby chciał w ten sposób dać do zrozumienia, że nie ma z tą sytuacją nic wspólnego. Siedział przy stole, bo pan domu tak mu nakazał. Zbigniew nie lubił pić w samotności, a od powrotu z Litwy pił codziennie.

– O! – Czknął głośno na widok wchodzącej do pomieszczenia Amalii. – Moja droga, nieustraszona i mądra małżonka zaszczyca nas swoją obecnością. Patrz, Grzegorzu.

Astrolog spuścił tylko głowę, wyraźnie czuł się coraz niezręczniejszy w tej sytuacji.

– Dostała za to order! – dodał Zbigniew. – Czemu nie założyłaś mojej broszy, dzielna żono?

– Noszę ją tylko na specjalne okazje – odparła.

– No tak, po co się stroić dla męża – zaśmiał się ponuro. – A ty, Grzegorzu, znawco gwiazd, też przecież zasłużyłeś na podarunek. A nie upominasz się o nagrodę. Tak dzielnie pojechałeś do Krakowa, żeby ucześcić się szaty naszej Najjaśniejszej Pani i błagać o pomoc. Uciekanie przez dziurę w murze lepiej ci wychodzi niż tworzenie złota. Winien ci jestem jakieś świecidełko.

– Nie potrzebuję prezentów – z dumą oświadczył astrolog. – Zrobiłem to dla pani Amalii.

Zanim jeszcze wypowiedział te słowa, zarówno on sam, jak i Amalia zrozumieli, że popełnił błąd.

Uśmiech na twarzy Zbigniewa zgasł, jego oczy stały się czujne.

– I oczywiście dla całego zamku – dodał nieprzekonująco Grzegorz.

– Tak, dla zamku – powtórzył cicho gospodarz. – Tak wam na nim zależy, mistrzu, jakby był wasz? Może czujecie się jego panem?

– Mistrz Grzegorz zachował się bardzo właściwie i odważnie. – Amalia postanowiła zareagować, widząc, że rozmowa zbacza w złym kierunku. – Mieszka tu od dawna i...

– Odważnie, odważnie. Jacy wy jesteście sobą zauroczeni – przerwał jej Zbigniew. – Prawdziwa para bohaterów. Ale powiem wam coś.

– Panie mężu...

– Bądź teraz cicho, Amalio.

Zbigniew napełnił znów puchar winem, rozlewając przy tym połowę, ujął go w dłoń i z całej siły uderzył nim w stół, ochlapując się pozostałą resztą.

– Powiem wam coś zatem – przerwał na chwilę. – Albo raczej: powiem coś tobie, najmilsza małżonko. Mistrzu Grzegorz, czy zechciałbyś zostawić nas samych?

Astrolog skwapliwie podniósł się ze swojego krzesła, zgarnawszy swój malowany w złote gwiazdy i księżycy płaszcz. Zapewne w duchu dziękował Bogu, że może wreszcie opuścić jadalnię. Kiedy zamknęły się za nim wysokie drzwi, Zbigniew wstał również i sztywnym krokiem pijaka podszedł do Amalii.

– Moi ludzie opowiedzieli mi o tym całym wydarzeniu. Twierdzą, że wystarczyło przeczekać tydzień, a Emeryk musiałby się wycofać, bo nie miał ani odpowiedniej liczby ludzi, ani zapasów. Tydzień! Rozumiesz?

– Nie mogliśmy wtedy o tym wiedzieć – odrzekła cicho, czując, że poca jej się dłonie.

– Nawet tygodnia nie wytrzymałicie. Wystarczyłoby żarcia dla całej tej hołoty! Ale nie. Woliałaś zrobić ze mnie durnia.

Jego twarz zrobiła się czerwona od wina i złości.

– Musieliście wciągnąć w to wszystko Wawel. Pewnie teraz naśmiewają się tam ze mnie po cichu, że nie potrafiłem zadbać o bezpieczeństwo moich ziem, że musiała to za mnie zrobić baba i ten... – szukał przez chwilę odpowiedniego słowa – i ten szarlatan, ten niewydarzony alchemik, wyglądający jak mała z jarmarku. Czemu nie słuchałaś kapitana straży?

Nabrała głębiej powietrza.

– Kapitan straży nie miał w tym czasie żadnych pomysłów. Może teraz, po szkodzie jest mądry, ale wtedy nie udzielał mi rad.

– A może po prostu nie chciałaś ich słuchać?

– To nie tak.

– Poczulaś się panią tego zamku? – wybełkotał, rozglądając się za służącym z winem. Ale w pomieszczeniu nie było nikogo prócz nich. Wrócił więc do swojego miejsca i sam sobie dolał.

– Nie, panie mężu, nie myślałam tak o tym. Moim jedynym celem było powstrzymanie Emeryka przed zagarnięciem zamku i uratowanie ludzi. Żaden inny cel...

Nie dał jej dokończyć.

– A więc uznałaś, że ja, pan tego zamku, nie zabezpieczyłem go należycie przed wyjazdem?

Tak. Tak właśnie uważała, miała jednak na tyle rozumu, żeby nie wypowiedzieć swojego zdania na głos.

– Więc pragnę cię poinformować, miła małżonko, że od dzisiaj do Rożnowa wracają stare porządki. Pokażę wam wszystkim, kto jest tutaj prawdziwym panem.

Zrozumiała, że to najgorszy moment, aby pytać o Zofię.

Los dziewczyny był już chyba przesądzony.

ROZDZIAŁ TRZECI

ROŻNÓW, WRZESIEŃ 1392

Następnego dnia rano Zbigniew zdawał się nie pamiętać o swoim wybuchu. Był nawet w dobrym humorze, gdy spotkał Amalię i Małgorzatę na schodach.

Ostrożnie, jakby bał się oparzyć, pogładził włosy córki i rzekł:

– Ubierz ją ciepłej, żono. Zrobiło się chłodno.

Nie dała się zwieść. Być może jej mążnek zapomniał o tym, co wygadywał po pijanemu, jak to zwykle mu się zdarzało, lecz było tylko kwestią czasu, kiedy upije się znowu i powrócą do niego wszystkie demony. A upijał się zwykle już około południa.

Nie zamierzała tracić czasu. Lecz nie o Zofię jej teraz chodziło. Ta zapewne była już zgubiona. Amalia nie wiedziała, co czeka dziewczynę, ale mogła spodziewać się najgorszego. Zofii już nic nie pomoże, zresztą ona sama nie dała sobie pomóc. Nawet gdyby uwolniła tę dziewczynę i pozwoliła jej uciec, to po pierwsze, ludzie Zbigniewa i tak by ją szybko schwyтали ponownie, po drugie zaś, cała wściekłość pana zamku skierowałyby się na nią, Amalię.

A to zagrażałoby również jej córce.

Nie, Zofii już nie pomoże, ale musi ratować jej dziecko.

Zaraz po śniadaniu pobiegła do kuchni, gdzie spytała o Kunegundę, która zaopiekowała się synkiem dziewczyny. Znalazła ją w małym przykuchennym ogródku.

– Musisz natychmiast ukryć się gdzieś z dzieckiem – powiedziała cicho, jeszcze zdyszana od biegu. – Mój mąż z pewnością surowo ukarze Zofię, a potem przypomni sobie o dziecku. Małemu grozi wielkie niebezpieczeństwo. Niewykluczone, że wam również.

Młoda kobieta, która zajęła się malcem, sama niedawno straciła swoje dziecko, więc miała i pokarm, i ogromne zasoby niezaspokojonej miłości

macierzyńskiej. Jej mąż był spokojnym i łagodnym człowiekiem, cegielnikiem, potrzebnym szczególnie teraz, podczas trwającej od kilkunastu miesięcy przebudowy zamku. Ponieważ miał dużo pracy, powodziło im się nieźle i do szczęścia brakowało tylko dzieci. Niestety, synek, który im się niedawno urodził, był słaby i po kilku dniach zmarł. Propozycja zajęcia się osieroconym chwilowo Bartoszem była dla nich prawdziwym szczęściem, zwłaszcza dla zrozpaczonej matki.

Przerażona Kunegunda, drobna blondynka o bladej twarzy, z podkrążonymi ze zmęczenia oczami, poderwała się na równe nogi.

– Będzie chciała odebrać mi dziecko?

Biedaczka z całej tej przemowy zrozumiała tylko to, o czym w ogóle nie było wspomniane, a czego się cały czas obawiała. Że będzie musiała oddać chłopca matce.

Szczęście w nieszczęściu, że Zofia wcale nie chciała odzyskać syna, więc Kunegunda mogła być o to spokojna. Na wieść o tym młoda kobieta z ulgą przymknęła oczy.

– To co mam teraz zrobić? – spytała, kiedy już opanowała emocje.

– Uciekaj do lasu, do Hanny – powiedziała Amalia. – Ona was ukryje tak, że nikt was teraz nie znajdzie.

– Mam zamieszkać w lesie?

– Nie, znajdziemy dla was dom. Do czasu, aż mój małżonek ochłonie i zapomni o dziecku. Tutaj masz trochę pieniędzy, a Jasiek w razie czego zaprowadzi cię do swoich krewnych. Pospiesz się.

– Ale...

– Jak już sytuacja się wyjaśni, sama cię odnajdę. Na razie najważniejsze jest bezpieczeństwo dziecka, rozumiesz?

– Tak.

– Idź już, szybko!

– A mój mąż?

– Zadbam o to. Idź z Bogiem.

Gdy Amalia wyszła z ogródka, natrafiła w sieni na Katarzynę, trzymającą na rękach otuloną w koc Małgorzatę. Mała miała na głowie aksamitną czapeczkę i wydawało się, że drzemie.

– Dzisiaj za zimno na spacer – poinformowała służącą.
– Tak właśnie sobie pomyślałam – odparła dziewczyna, a potem uważniej przyjrzała się swojej pani. – Dzieje się coś złego?
– Nie, nie – skłamała Amalia.
– Aha. – Katarzyna nie wydawała się przekonana, wciąż patrzyła pytająco na swoją panią.

Nagle pojawił się Zbigniew i obie niemal podskoczyły ze strachu. Amalia starała się dostrzec, czy już coś wypił.

– Dzisiaj w południe wszyscy mają się zebrać na dziedzińcu – oznajmił. Był w kolczudze, z mieczem przy boku. Długie włosy miał z tyłu związane rzemieniem i wyglądał, jakby szykował się do walki.

– Z jakiego powodu? – spytała Amalia, choć akurat domyślała się, o co może chodzić. Poczula nieprzyjemny ucisk w żołądku.

– Będziemy sądzić tę...

– Zofię?

– Właśnie. Tę dziwkę.

– Sądzić? Czy do Roźnowa przybędzie jakiś sędzia?

– Ja nim będę.

– Mężu – odchrząknęła. – Okażcie łaskę, to tylko niewiasta. Głupia i zastraszona, nie wiedziała, co robi.

– Wezmę to pod uwagę.

– Jezus kazał wybaczać grzechy.

Prychnął.

– Wtedy na świecie nie byłoby nijakiego porządku. Niechaj Pan nasz i Zbawiciel jej odpuści, wszelako ja muszę wymierzyć ziemską sprawiedliwość. Dać przykład innym.

– Czy te dni spędzone w lochu nie są już wystarczającą dla niej karą? Możecie ją przegnać ze wsi, ale nie krzywdzić.

– Zdecyduję, co będzie. Naraziła cały zamek. Zresztą nie tylko ona zasłużyła na karę.

– Macie mnie na myśli, mężu? – spytała cicho Amalia.

– Czyż nie wytłumaczyłem ci już wystarczająco jasno, żono, jakie popełniłaś błędy?

Zrozumiała, że demony do niego wracają. Poczula strach. Pogrożki Zbigniewa wcale nie wydawały się czczą gadaniną. Mógłby to zrobić. Ukarać ją, jeśli nie publicznie, to w zaciszu komnaty. To, co stało się z jego

pierwszą żoną, nadal tkwiło w pamięci Amalii. Nie było sensu wyjaśniać teraz na nowo, że to nie ona naraziła Rożnów na niebezpieczeństwo, mąż był głuchy na wszelkie argumenty. Jeżeli chciała ratować siebie i dziecko, musiała wykorzystać jego słabość, uciec się do podstępu.

– Wiem, że zasłużyłam na karę – zaczęła łagodnym głosem. – Ale chyba nie zrobilibyście krzywdy matce swojego syna?

– Jakiego syna? – Przekrwione oczy spojrzały na nią z niedowierzaniem.

– O czym ty mówisz?

– Pierwszej nocy po powrocie, panie, odwiedziliście moje łóżko, i nazajutrz od razu miałam przecucie, że... że to były owocne odwiedziny. I że tym razem będzie to syn.

– Niemożliwe, żeby tak od razu wiedzieć – odparł szybko, chociaż już z mniejszą pewnością siebie. – Co za bzdury.

Amalia uśmiechnęła się niewinnie, starając się nie patrzeć w stronę Katarzyny, która przysłuchiwała się temu z lekkim niedowierzaniem. Nie była głupia i rozumiała, że jej pani wykorzystuje naiwność swego męża.

– Kobiety wiedzą takie rzeczy, mój panie. Poza tym w nocy przyśniła mi się Najświętsza Panienska.

Usłyszała chrząknięcie Katarzyny, zwiastujące wybuch śmiechu, sama też, mimo groźnej sytuacji, miała w tej chwili trudności z zachowaniem powagi, lecz dzielnie kontynuowała:

– Tuliła swoje Dzieciątko i sponad jego główki spoglądała na mnie w jakiś taki szczególny sposób, że nie można było tego zrozumieć inaczej. Patrzyła tak, jak matka syna spogląda na inną matkę syna, z uśmiechem.

Katarzyna udała atak kaszlu i zaczerwieniła się gwałtownie, tymczasem Zbigniew zrobił niezbyt mądrą minę. Nie dało się dyskutować z takimi argumentami.

– Jesteś pewna?

– Jak tego, że cię tu teraz widzę, mój panie mężu.

Amalia miała nadzieję, że to niewinne kłamstwo zostanie jej tam, na górze, wybaczone. W końcu każdemu może się przyśnić Matka Boska. I do każdego może się uśmiechać.

Nic w tym bluźnierczego.

Sytuacja wydawała się już jako tako opanowana, Zbigniew złagodniał, Amalia dostrzegła nawet łzy w jego oczach – po pijanemu równie łatwo

wpadał w furję, jak i się wzruszał – ale wtedy wydarzyło się coś zupełnie nieoczekiwanego.

I katastrofalnego.

Ni stąd, ni zowąd pojawił się przy nich astrolog Grzegorz, w wysokim spiczastym kapeluszu, otulony czarną peleryną z wyhaftowanym na niej złotą nicią zodiakalnym koziorożcem.

– Panie... – zwrócił się do Zbigniewa.

Ale nie dokończył. Małgorzata, która jeszcze przed chwilą wydawała się spać spokojnie na rękach Katarzyny, na widok mężczyzny uśmiechnęła się szeroko i zawołała radośnie:

– Tata!

Wszyscy zamarli, zrobiło się niesamowicie cicho. Zbigniew poblądkł, spojrzał najpierw na dziecko, potem na przerażonego astrologa, w końcu na Amalię. Przez chwilę oddychał ciężko.

– W południe. Na dziedzińcu – powtórzył zduszonym głosem i szybko wyszedł z sieni.

Jeśli do tej pory sytuacja była napięta i groźna, to teraz zrobiła się śmiertelnie niebezpieczna. Amalia bała się już nie tylko o Zofię oraz jej dziecko, lecz również o Grzegorza, a także – coraz bardziej – o samą siebie. Wiedziała już, że jej mąż jest niezrównoważony, porywczy, okrutny, a teraz na dodatek wypełnia go urażona duma – to wszystko tworzyło mieszankę zbyt gwałtowną, by można było z ufnością patrzeć w przyszłość. Reakcja małej na astrologa zapewne stanowiła kroplę, która przelała czarę.

Już od dawna Zbigniew pozwalał sobie na niewybredne aluzje dotyczące wzajemnych relacji Amalii i astrologa. Był człowiekiem zbyt prostackim, by ukrywać nieufność i zazdrość. Mistrz Grzegorz imponował mu swą wiedzą oraz elokwencją, w dodatku, co tu dużo kryć, prezentował się znakomicie, ze swoją uduchowioną twarzą i jedwabistymi włosami, w szatach może i śmiesznych, lecz drogich i wyszukanych. Przy nim pan zamku w Rożnowie najboleśniej chyba uświadamiał sobie swoje chłopskie maniere, braki w wykształceniu i zaniedbany wygląd.

A ten piękniś, tak się nieszczęśliwie złożyło, cały czas przebywał w pobliżu jego małżonki, co więcej, gdy Zbigniew opuszczał zamek, jego

żona i astrolog pozostawali ze sobą sami, bez nadzoru. Amalia od pierwszego dnia zdawała sobie sprawę, że ten człowiek w przyszłości może się stać źródłem niesnasek lub nieporozumień. Pał licho, gdyby alchemik był przygarbionym starcem z siwą brodą, wtedy pozostawałby poza wszelkimi podejrzeniami. Jednakże niestary, czarnowłosy, zadbany mężczyzna o dworskich manierach aż prosił się o to, by wcześniej czy później dopadły go kłopoty związane z urojeniami Zbigniewa.

O tym właśnie myślała Amalia, starając się odgadnąć kolejne działania męża. Najlepiej dla wszystkich byłoby zapewne, gdyby mistrz Grzegorz niezwłocznie opuścił zamek. No dobrze, ale jego odejście zapobiegłoby tylko dalszym konfliktom, a obecne podejrzenia Zbigniewa dzięki temu się nie rozwieją. Odtąd zawsze będzie spoglądał na nią nieufnie.

Tak jak i na Małgorzatę.

Jedyna nadzieja, że przed chwilą był tak pijany, że gdy teraz wleje w siebie jeszcze kilka kielichów, to padnie nieprzytomny, a wytrzeźwiawszy, znów zapomni, co się wokół niego działo.

W przeciwnym wypadku życie Amalii stanie się nie do zniesienia.

Siedziała w swojej komnacie i nawet nie zauważyła, kiedy nastąpiło południe.

Z zadumy wyrwał ją głos myśliwskiego rogu. Poczuli ukłucie strachu. Koszmar dopiero się rozpoczyna, pomyślała, podnosząc się z krzesła. I będzie to chyba wielkie widowisko, skoro Zbigniew obwieszcza je niczym początek polowania. Z mocno bijącym sercem zeszła na dół.

Na dziedzińcu zebrała się już cała służba, tak jak to nakazał pan zamku. Musiała przyjść nawet Katarzyna z Małgorzatą na rękę, co Amalię wprowadziło w prawdziwą wściekłość, ale zachowała kamienną minę.

Zapłacisz mi za to wszystko, obiecała sobie w duchu. Wprawdzie nie miała pojęcia, w jaki sposób, lecz wiedziała, że nie daruje tego Zbigniewowi. Wcześniej czy później odpowie za wszystko.

On sam siedział obok bramy, na wysokim krześle niczym na tronie, brakowało tylko baldachimu i halabardników. Po jego lewej ręce siedział astrolog, w ciemnej, skromnej szacie, blady jak pokryta wapnem ściana. Po prawej stronie stało puste krzesło – Amalia domyśliła się, że było

przeznaczone dla niej. Przeszła przez dziedziniec, sztywno i powoli, z wysoko uniesioną głową, starając się nie patrzeć na męża.

Ponieważ zobaczyłby w jej oczach nienawiść.

Gdy usiadła, Zbigniew zaklaskał i dał znać strażnikom, by przyprowadzili Zofię. Zerwał się silniejszy wiatr, a po chwili niebo się zachmurzyło, Amalia była jednak pewna, że nawet ulewa nie skłoniłaby jej męża do przerwania przedstawienia. Poruszenie gapiów oznaczało, że widzą już winowajczynię. I rzeczywiście wyszła z budynku, popychana od tyłu przez mężczyznę w kubraku bez rękawów. Choć dzień był pochmurny, i tak zmrużyła oczy od światła. Wyglądała jeszcze gorzej niż wtedy, kiedy ją tutaj sprowadzono, wręcz słaniała się na nogach. Wieśniacy i zamkowa służba zareagowali niechętnymi okrzykami – wszyscy uważali ją za zdrajczynię – i Amalia uświadomiła sobie, że z ich strony Zofia nie doczeka się żadnego współczucia. A to ułatwiało sprawę Zbigniewowi.

Zaprowadzono ją na środek dziedzińca. Stała kilkanaście kroków przed panem zamku.

– Wiesz, z jakiego powodu się tu znalazłaś? – zapytał Zbigniew, rozparty na krześle, trzymając w ręce puchar z winem.

Nie odpowiedziała.

– Milczysz, więc może ci przypomnę. Za nic mając boskie przykazania i bezpieczeństwo miejsca, które było ci domem, za podszeptem wrogów oraz szatana, umyśliłaś zdradzić wszystkich tu obecnych, aby dzięki temu otrzymać judaszowe srebrniki. Coś pominąłem?

– Żadnych srebrników nie dostałam – wymamrotała.

– Bóg nie zezwolił, byś odebrała tę zmijową nagrodę. Wiesz, jak się karze zdrajców?

Pokręciła głową.

– Wiesz się ich.

– Litości...

– I ja, jako sędzia na tym zamku, najchętniej bym cię powiesił, bo nie zasługujesz na litość. Biorąc jednak pod uwagę, iż masz małe dziecię, okazemy swoją współczynną i darujemy ci życie.

Amalia odetchnęła z ulgą. A więc nie zamierzał jej zabijać. Zerknęła na męża kątem oka, wszakże jego twarz była nieporuszona jak maska.

– Wszelakoż – kontynuował Zbigniew – czyn twój nie może pozostać bez kary, toteż wymierzone ci będzie dwadzieścia kijów.

– Mężu... – szepnęła Amalia. – Dwudziestu nie wytrzyma.

– Nie bijcie mnie! – krzyknęła Zofia.

– Rzekłem – odparł Zbigniew i skinął na mężczyznę, który stał do tej pory z boku. Ten trzymał już w ręce kij, krótki i na szczęście niezbyt gruby. Podszedł do kobiety i jednym szarpnięciem za ramię zmusił ją, by uklęknęła. Zofia upadła na kolana, po czym skuliła się, zasłaniając głowę rękami.

Giętki kij spadł na jej wygięte w łuk plecy, kobieta krzyknęła, a wraz z nią, bezwiednie, kilka stojących wokół osób. Amalia dostrzegła, że oprawca nie włożył całej siły w uderzenie. No, ale dwadzieścia razy na pewno sprawi, że Zofia przez tydzień nie będzie mogła ani wstać, ani usiąść. Kiedy spadło na nią dziewiąte uderzenie, mężczyzna zrobił przerwę, by dać odpocząć ręce.

Wtedy to Zofia niespodziewanie podniosła głowę i spojrzała zimno na Zbigniewa.

– Ty draniu! – wysyczała. Skóra na jej plecach popękała i krwawiła teraz obficie. – Myślisz, że możesz mnie bić jak psa?

– Coś ty rzekła? – zdumiał się, mrużąc oczy.

– Ty zabójco! Tfu! – Splunęła. – Zabiłeś swoją żonę, tę, która urodziła ci potwora. Ale za co mnie karzesz? Ja mam zdrowe dziecko, chłopca. Takiego, jak ty nigdy nie będziesz mieć. Bo twoje nasienie jest przeklęte!

Amalia z przerażeniem pomyślała, że pod wpływem strachu, bólu i długo pielęgnowanej złości do wszystkich ludzi Zofia chyba postradała rozum.

Zrobiło się niesamowicie cicho, nawet oprawca nie wiedział, co dalej robić – bić czy poczekać na inne polecenia.

Wszyscy wpatrywali się w pana zamku.

Zbigniew powoli odstawił puchar z winem na kamienie dziedzińca. Podniósł się chwiejnie z miejsca. Amalia zacisnęła dłonie na poręczach krzesła, aż pobiegały jej kostki dłoni. Nagle też wstała i zawołała na cały głos:

– Mężu! Ta kobieta jest opętana! Trzeba sprowadzić księdza, by wygnał z niej diabła!

Przestraszona Małgorzata zaczęła głośno płakać i wrywać się do matki. Amalia dyskretnie dała znak służącej, a ta skinęła głową na znak, że zrozumiała jej nieme polecenie. Szepnęła coś do małej i przytulając jej buzię do piersi, po chwili zniknęła w drzwiach zamkowej sieni. Dziecko nie mogło być świadkiem tego, co tu się miało za chwilę wydarzyć. Amalia

żywiła nadzieję, że zajęty wymierzaniem kary Zbigniew nie zauważy braku jednej ze służących.

Na szczęście dla nich pan zamku wpatrzony był tylko w swoją ofiarę, jakby nikogo innego nie było na dziedzińcu.

– Ja to zrobię – powiedział zimno. – Żadnego księdza nie trzeba.

– Ty psie! – syknęła Zofia, szczerząc zęby jak wściekły zwierz.

– Zamilcz, nieszczęsna! – krzyknęła Amalia. – Mężu, powtarzam, trzeba duchownego, by wygnał z niej demony.

Tymczasem Zbigniew podszedł spokojnym krokiem do wykonawcy kary. Odebrał od niego kij, zważył w ręce, pogwizdując, po czym odrzucił daleko, pod sam mur. Siedzący do tej pory u nóg swojej pani Platon rzucił się w tamtą stronę z radosnym podnieceniem.

Amalia nie zwracała uwagi na psa, wciąż stała, wpatrując się w męża – czyżby jednak posłuchał jej prośb? Nie będzie więcej bicia?

Ale ten rzekł tylko:

– Ten kijaszek nadaje się tylko do rzucania go psom. Bolko! – Skinął na jednego ze strażników. – Daj mi swoją drewnianą damę!

Chłopak posłusznie podbiegł do swego pana i wręczył mu coś, co przypominało małą maczugę albo pałkę do ogłuszania bydła. Przywodziła na myśl rytualne narzędzie pogańskiego czarownika, pomalowana była w czerwono-czarne plamy, jakby czerwień miała maskować ślady krwi.

– Nie! – Amalia podbiegła do męża, chcąc go powstrzymać, ale ten odepchnął ją brutalnie. O mało nie upadła na kamienie.

– Dość tego! – wycharczała tylko.

– Nie, moja najmilsza, wrażliwa żono. Dopiero zaczynamy. Teraz pokażę wszystkim, jak należy wymierzać karę chłosty.

Ujął mocno kij, przez chwilę ważył go w rękach i uniósł nad głowę, przygotowując się do precyzyjnego ciosu. Przestraszeni gapie zwrócili oczy na Zofię. Zwykła kara chłosty zaczęła zmierzać w niebezpiecznym kierunku. Nie tego się spodziewali.

Co dziwne, Zofia nawet się nie zasłoniła, z nienawiścią wpatrywała się hardo w oczy swojego oprawcy.

Uderzył ją prosto w głowę...

Do zamarłych ze zgrozy ludzi na dziedzińcu dobiegł trzask pękającej czaszki. A potem tylko wściekły warkot Platona i zaraz po nim żalony skowyt.

W kompletnej ciszy, jaka teraz nastąpiła, Amalia osunęła się na zimne kamienie, a miłosierna ciemność odgradziła ją od widoku zmasakrowanego ciała.

ROZDZIAŁ CZWARTY

KRAKÓW, WRZESIEŃ 1392

Podczas gdy nad Rożnowem zbierały się czarne chmury, dla Mildy wreszcie zaświeciło słońce. Mogłoby się zdawać, że po długim okresie burz, wiatrów i śmiertelnych zagrożeń w końcu wszystko się uspokoiło, a Litwinka nareszcie mogła poczuć się bezpieczna i szczęśliwa.

Przede wszystkim powrócił jej brat. Cały i zdrowy. Tamtego wieczora, gdy ujrzała go przy Bramie Żydowskiej, w pierwszym momencie miała wrażenie, iż zobaczyła ducha. Tak długo nie widziała Varnasa, tak wiele nocy spędziła, zastanawiając się, gdzie jest, tyle wizji – pełnych wilków, lasów i zimnych fal rzeki – ją prześladowało, że teraz, gdy stanął przed nią żywy, z krwi i kości, nie mogła wprost w to uwierzyć. Schudł, jego rysy stały się ostrzejsze, a oczy bardziej zgaszone – lecz żył. Wtedy, przy furtce, zdążyli zamienić ledwie parę słów, nieskładnych zresztą z powodu emocji obojga. Lecz od tego momentu wszystko w życiu Mildy zaczęło się układać.

Dwa dni po spotkaniu z Varnasem Jakub poinformował ją, że diaboliczny inkwizytor wreszcie opuścił Kraków. Najwidoczniej znudziło mu się szukanie płotek, a może gdzie indziej pojawili się ludzie, których należało niezwłocznie potraktować ogniem, nieważne, tak czy owak, Milda mogła już opuścić schronienie. Serdecznie pożegnała się z rodziną krawca, która tak ciepło przyjęła ją w swym domu, z Lelką nawet się uściskała, a potem stary Izraelita wyprowadził ją na zewnątrz i jeszcze na pożegnanie wręczył kilka monet, by miała coś przy sobie, na wypadek gdyby Dorota zabrała jej oszczędności.

Na szczęście gospodyni nie ruszyła pieniędzy Mildy, a na widok długo nieobecnej dziewczyny nawet jakby się ucieszyła. Mimo to Litwinka nie chciała dalej mieszkać w Kazimierzu. Już pierwszego dnia po opuszczeniu żydowskiej gminy spotkała się z Varnasem, którego o jej powrocie do

miasta poinformował nieoceniony Jakub. Brat mieszkał teraz na Wawelu, czekając na rozmowę z władcą, ale pomógł siostrze znaleźć izbę na Stradomiu, w miejscu wprawdzie hałaśliwym z powodu dużej liczby warsztatów, lecz tanim i położonym blisko zamku. Miała to być tymczasowa kwatera.

Pozostała jeszcze kwestia pracy. Z czegoś przecież musiała żyć. Karczmę Pod Czarnym Psem zamknięto, wprawdzie karczmarz został wypuszczony, ale po tym, co się stało, jeszcze bardziej podupadł na zdrowiu, postanowił więc sprzedać wszystko, a potem wyjechać do brata mieszkającego w Bochni. Owszem, Milda pamiętała o propozycji Mikołaja, lecz nie wiedzieć czemu w tej kwestii wciąż się wahała. Może przypuszczała niejasno, że nie jest to zwykła oferta pracy. W każdym razie postanowiła tę ewentualność pozostawić sobie na koniec, jeśli samej nie uda jej się zdobyć jakiegoś zajęcia.

Lecz wtedy Mildzie znów dopisało szczęście: królowa – zapewne na skutek działań Jakuba – dowiedziała się, że jej była dwórnica się odnalazła, i natychmiast wezwała ją do siebie na zamek.

– Boże Świąty, dziewczyno, ile ja łez przelałam z twojego powodu – westchnęła Jadwiga na widok wchodzącej do komnaty Mildy. Przyjęła ją w swoich prywatnych apartamentach. Podeszła do dziewczyny i chwyciła ją w objęcia. Teraz też oczy miała wilgotne. – Myślałam, że przepadłaś. I że... I że to wszystko moja wina.

– Uratowali mnie Izraelici – odparła Litwinka, wzruszona tak gorącym powitaniem.

– Wiem, wiem. – Wreszcie odsunęły się od siebie, lecz Jadwiga wciąż trzymała Mildę za nadgarstki. – Dowiedziałam się wczoraj wieczorem. Dlaczego wcześniej mnie nie powiadomili, że jesteś bezpieczna?

– Trochę zdążyłam poznać tych ludzi i wiem, że mają swoje zasady, których nie łamią. Dzięki temu są tacy skuteczni.

– Spotkałaś już Varnasa?

– Tak. Widziałam się z nim.

– To kolejny cud, że tu powrócił.

– O tak.

- Królowa Niebios musiała roztoczyć nad wami opiekę.
- Bez wątpienia.

Królowa puściła dłonie Mildy i cofnęła się o krok. Swoje długie rudoblond włosy miała dziś rozpuszczone, jej czoło zdobiła srebrna obręcz. Zielona, ałtasowa suknia Jadwigi, o haftach wykonanych złotą nicią, gęstym, wypukłym ścięciem, wyraźnie kontrastowała z ciemnym wełnianym ubiorem Litwinki, tym samym, w którym ta usługiwała klientom w karczmie.

Obie chyba zdały sobie sprawę z kontrastu.

Ale to nie był główny powód zakłopotania Jadwigi.

Nade wszystko źle się czuła z myślą, że niechcący, a może po prostu podjąwszy niewłaściwą decyzję, skrzywdziła swoje przyjaciółki. Wprawdzie od początku nie wierzyła w ich winę i prędzej by podejrzewała, że przyczyniły się do śmierci Alberta przypadkiem, ale dworscy medycy i prawnicy nie mieli w tej sprawie żadnych wątpiwości i tak agresywnie przemawiali, tyle przywoływali autorytetów prawnych, że musiała uznać ich wyrok. Stchórzyła, przy tych wszystkich uczonych ludziach poczuła się tylko młodą, niedoświadczoną królową, w dodatku pochodzącą z innego kraju. Obawiała się też, że król, jej małżonek, na pewno nie stanie w obronie kogoś, kto został posądzony o truciicielstwo i stosowanie pogańskich praktyk.

Jedyne, co w tej sytuacji mogła zrobić, to zadbać o najbliższą przyszłość obu dziewcząt poza dworem.

Amalię wydała za mąż za bogatego i dobrego, przynajmniej jej zdaniem, kandydata, Zbigniewa z Radziejowic, pana na zamku w Rożnowie. Pisywały do siebie od czasu do czasu, Amalia przekazywała Jadwidze najnowsze wiadomości i wydawała się zadowolona ze swojego nowego życia. Urodziła córeczkę, wszystko więc było w jak najlepszym porządku.

Gorzej poszło z Mildą – kobieta, u której dziewczyna zamieszkała i znalazła pracę, okazała się paserką, obracała się w środowisku przestępców i próbowała wciągnąć dziewczynę w swoje ciemne interesy. Wedle słów Krystyny tamta miała ochoczo przystać na owe propozycje. Królowa w to uwierzyła – znów okazała się naiwna, nabierając się na

pozorną bogobojność i surową moralność ochmistrzyni. Gdyby nie podejrzenia co do samej Krystyny i szczerości jej intencji, Jadwiga nadal pozostawałaby w tym przekonaniu. Nawet nie próbowała usprawiedliwiać się przed samą sobą nadmiarem obowiązków i częstymi wyjazdami. To prawda, jednak mimo wszystko powinna była poświęcić więcej uwagi całej sprawie.

W końcu chodziło o kogoś, kto był bliski jej sercu.

Teraz jednak wszystko się zmieniło.

Kiedy wyszła na jaw zbrodnicza działalność Krystyny, dziewczęta w końcu mogły zostać oczyszczone z zarzutów. Jadwidze najbardziej zależało na Mildzie, ponieważ ta zniknęła w tajemniczych okolicznościach i nikt nie wiedział, co się z nią stało. Królowa obawiała się nawet, że w tym przestępczym środowisku ktoś mógł jej zrobić krzywdę. Wysłała na poszukiwania swoich ludzi, lecz ci wrócili z niczym. Owszem, podejrzewano, że dziewczyna mogła znaleźć schronienie u Izraelitów, gdyż jeden z nich ją dobrze znał, lecz była to tylko pogłoska, jedna z wielu możliwości.

Teraz królowa wiedziała już, że Anna ukrywała się właśnie tak dobrze za Bramą Żydowską, że nawet wawelscy szpiedzy nie potrafili przeniknąć do tego miejsca. No i dobrze, Izraelici zawsze robili wszystko po swojemu i nie ufali nikomu, najważniejsze, że dziewczynie nie stała się krzywda.

Teraz nadszedł czas rekompensaty.

Najpierw Jadwiga musiała się zająć Mildą, bo ją miała najbliżej. Amalia na szczęście była bezpieczna w swoim nowym domu i nowej rodzinie, więc władczyni nie musiała się teraz tak bardzo nią przejmować. Wprawdzie omal nie doszło do nieszczęścia, ponieważ Emeryk, brat Zbigniewa, wykorzystał fakt, że pan zamku wyjechał na wyprawę z królem, i usiłował w tym czasie zdobyć zamek, ale wszystko zakończyło się dobrze. Na szczęście Amalia zdążyła na czas poprosić dwór o pomoc i odsiecz dotarła w ostatniej niemal chwili. Zamek i życie jego mieszkańców zostały ocalone.

Królowa postanowiła uroczyście przywrócić dobre imię przyjaciółkom, wysłała więc do Amalii pismo z zaproszeniem na Wawel dla niej i całej jej rodziny.

Mildzie zamierzała przekazać je osobiście i teraz właśnie miała ku temu okazję.

– Gdzie teraz mieszkasz? – spytała królowa, podchodząc do okiennej niszy. Lipcowe popołudnie było pochmurne, przygaszone, zapowiadało się na deszcz.

– Niedaleko stąd. Nad warsztatem tkackim. – Milda uśmiechnęła się, spoglądając na swoje zakurzone ciżmy.

– Stradom?

– Tak.

– Koszmarne miejsce. – Jadwiga nagle odwróciła się do niej, nabrała głębiej powietrza i rzekła: – Chciałabym, żebyś wróciła na Wawel. Co ty na to?

Milda spodziewała się takiej propozycji, toteż nie była specjalnie zaskoczona.

Miała wszakże mieszane uczucia.

Z jednej strony czuła ulgę, że w końcu mogła odzyskać dobre imię i łaskę królowej, z drugiej zaś nie wyobrażała już sobie powrotu do funkcji dwórki. Zdążyła zakosztować zwykłego życia w mieście i doszła do wniosku, że mimo wielu niedogodności bardziej jej to odpowiada niż próżniaczenie się na dworze. Ludzie, którzy ją otaczali poza zamkiem, byli wprawdzie prości, niektórzy nawet źli i okrutni, ale przynajmniej niczego nie udawali. Byli szczerzy w swoich słowach, czynach i reakcjach, wiedziała więc, czego może się po nich spodziewać, i nie musiała się zastanawiać, co kryją ich uśmiechy i gesty.

Oczywiście nigdy nie powiedziałaaby tego na głos, zwłaszcza w obecności królowej, zastanawiała się więc teraz, jak odmówić, żeby nie urazić Jadwigi.

– Odwykłam od życia na dworze, Najjaśniejsza Pani – przyznała cicho. – Nie wiem, czy jeszcze umiałabym...

– Co zatem zamierzasz robić?

– Jeszcze nie wiem. Pewien młody kupiec, Mikołaj, zaproponował mi pracę w swoim sklepie, na razie nie podjęłam decyzji, ale...

Jadwidze nie uszło lekkie wahanie i nagły rumieniec na twarzy Mildy, zwłaszcza przy wymawianiu imienia tego kupca. Jak każda kobieta wyczuła w zachowaniu dziewczyny rodzące się uczucie.

– Poza tym – mówiła dalej Milda – Varnas, mój brat, namawia mnie, żebym wraz z nim wyjechała do Prus, gdzie sam zamierza założyć rodzinę. Jeśli oczywiście nasz miłościwy pan, król Władysław, wyrazi na to zgodę.

– Tak, słyszałam o jego planach, ale co ty tam będziesz robić? – zdumiała się królowa. – Wiedz, że cokolwiek postanowisz, pomogę ci, ale nawet nie chcę słyszeć o twoim wyjeździe z Krakowa. Jesteś zbyt inteligentna i zdolna, żeby się marnować w jakiejś rybackiej wiosce.

– Dziękuję, Najjaśniejsza Pani – Milda skłoniła się z wdzięcznością – nie chciałabym urazić królowej, ale... ale ja już chyba nie nadaję się na dwórkę. Poza tym bez Amalii to już nie będzie to samo.

Jadwiga się zadumała.

Bardzo jej zależało, żeby zatrzymać Litwinkę w Krakowie, i prawdę mówiąc, nie spodziewała się, że ta nie zechce znowu zostać jej dwórką. Wydawało jej się, że każda młoda panna powinna marzyć o takim wyróżnieniu. Mimo wszystko jednak nie czuła żalu do Mildy, szczerść należała do cnót, jakie królowa najbardziej ceniła u swoich ludzi. Poza tym doskonale rozumiała, bo jak powiedział pewien starożytny poganin, Heraklit z Efezu, „Nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki”.

Wszystko płynie i za drugim razem będzie się moczyło nogi w zupełnie innej wodzie.

Zadumała się, a Milda przestraszona, że jednak uraziła władczynię, niemal przestała oddychać.

Twarz Jadwigi rozjaśniła się nagle.

– A co byś powiedziała na pracę w królewskiej aptece? Stary Zenobiusz nie ma już sił i potrzebuje pomocy, a ty przecież znasz się i na ziołach, i na leczeniu.

Litwince zabłyśły oczy.

Pierwszego dnia swojej pracy w aptece, czyli nazajutrz po rozmowie z królową, uwagę Mildy zwróciły dwie rzeczy: mały, czarny kotek, buszujący pomiędzy koszami w magazynie, oraz moździerz, który pamiętała jeszcze ze swojej pierwszej wizyty w tym miejscu i już wtedy ją zachwyił. Piękne naczynie lśniło od częstego polerowania tak, jakby miało w sobie domieszkę złota.

– To brąz. – Stary aptekarz uśmiechnął się, jakby czytał w jej myślach. – Wyjątkowo udany egzemplarz, dostałem go od naszej królowej, kiedy zaproponowała mi prowadzenie apteki. To najcenniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek miałem.

– Naprawdę? – Milda niemal z czułością pogładziła moździerz. – Nie widziałam go nigdy u Najjaśniejszej Pani. Jest piękny.

– Tak, to prawda, piękny. Królowa przywiozła go ze sobą z Węgier, podobno został odlany na jej specjalne życzenie. Widać, że rzemieślnik włożył w tę pracę całe swoje serce.

Zapamiętała też czarnego kota, ale tamten był gruby i dużo starszy.

Aptekarz chętnie opowiedział jej historię zwierzątka, które zajęło miejsce poprzedniego pupila. Czarny kocur po latach pięknej przyjaźni z człowiekiem odszedł sobie spokojnie ze starości i przeniósł do kociego raju. Zasnął pewnego dnia w wykuszu okiennym, czyli w miejscu, gdzie zwykle wygrzewał kości w słońcu, i już się nie obudził. Zenobiusz bardzo żałował swojego wieloletniego przyjaciela i ani myślał brać kolejnego kota na jego miejsce. Do czasu...

Do czasu, gdy pewnej deszczowej nocy usłyszał rozpaczliwe popiskiwania za oknem. Mała czarna kulka, wyglądająca według aptekarza jak zmokła kura, była bojowo nastawiona i walczyła jak lew, zanim ją złapał. Opłacił to kilkoma zadrapaniami na rękach, ale zbytnio się nie przejmował, skórę dłoni miał już tak stwardniałą, że nawet nie poczuł kocich pazurków. Kiedy malec znalazł się w końcu w suchym miejscu i napił ciepłego mleka, nagle stracił całą swoją wojowniczość. Szybko odkrył, że ten dziwnie pachnący człowiek w niczym mu nie zagraża, a jego sękaty łokieć potrafią bardzo przyjemnie głaskać nastroszone futerko. W krótkim czasie przybysz stał się przymilnym i mruczącym głośno kociakiem, mimo to dostał na imię Leo, w uznaniu jego poprzedniej walecznej postawy.

Mildzie dobrze się pracowało z Zenobiuszem. Czowała, że w końcu jest na swoim miejscu, i teraz tym bardziej nie zamieniłaby obecnego zajęcia na funkcję dwórki. Była za nie wdzięczna królowej Jadwidze. Pilnie i z prawdziwą przyjemnością uczyła się nowych obowiązków. Poznawała wszystkie zakątki apteki, słoje, półki, szufladki i kufarki. Aptekarz objaśniał jej pochodzenie i działanie tajemniczych substancji przechowywanych w butlach i słojach, stojących wzdłuż każdej ściany

niewielkiego pomieszczenia i tych na półkach w magazynie. W przewiewnych koszach przechowywane były zioła. Większość z nich jego pomocnica doskonale знаła i Zenobiusz niewiele musiał jej objaśniać.

Zajęta swoją nową pracą Milda nie myślała o przeszłości. Tamten okres, bolesny i tragiczny, miała już za sobą. Wraz ze śmiercią Krystyny wszystko się skończyło i wyjaśniło, odzyskała dobre imię i powróciła do łask królowej. Już nie jako dwórka, tylko jako pomocnica Zenobiusza, nadwornego aptekarza. Tego samego, który pomógł jej kiedyś dobrać zioła dla brata Alberta, a później zeznawał na jej korzyść. Staruszek wciąż miał nad wyraz sprawny umysł, niestety, ciało odmawiało mu już posłuszeństwa. Z trudem poruszał się po swoim królestwie, oparty na solidnym kosturze albo na krawędziach stołów czy ław, ale sięgnąć na wyższe półki nie dawał już rady. Nie mógł też dłużej używać moździerza, gdyż powykręcane artretyzmem ręce bolały przy każdym ruchu tłuczkiem, dlatego to piękne naczynie pozostawało teraz wyłącznie do dyspozycji Mildy.

Zamieszkała w niskim kamiennym domku, tuż przy bramie wjazdowej na Wawel, w przyziemiu budynku gospodarczego. Obok mieściła się apteka i mieszkanie Zenobiusza. Pokoik i przylegająca do niego kuchnia wypełniły się sprzętami podarowanymi Mildzie przez królową. Za jej pozwoleniem dziewczyna mogła jadać w wawelskiej kuchni, tak więc pomieszczenie kuchenne wykorzystywała jako dodatkowy magazyn apteczny. Teraz, kiedy aptekarzowi doszła pomocnica, mógł już poszerzyć zakres swojej działalności i zamawiać więcej niż do tej pory towarów. W nowym magazynie znalazły się sprowadzane z zagranicy korzenie i przyprawy, z których Zenobiusz zaczął wytwarzać nie tylko leki, ale i łakocie.

W pokoiku Mildy znalazły się skrzynie na ubrania i pościel. W końcu mogła przestać nosić bure i bezkształtne suknie, w jakie się ubierała, mieszkając u Doroty. Teraz znowu należała do dworu królowej, więc zaczęły ją obowiązywać inne zasady niż te dotyczące kobiet z miasta. Wygodne, choć proste łóżko z materacem wypełnionym pachnącym sianem przykryte było wzorzystą narzutą. Pod małym okienkiem stanęła wysoka ława, na której Milda mogła przeglądać księgi od Zenobiusza. Stary

aptekarz mieszkał tak blisko, że mogła mu pomagać również w codziennych czynnościach, nie tylko w aptece. Oboje byli bardzo zadowoleni ze swego sąsiedztwa. Kiedy staruszek się zorientował, że dziewczyna jest pojętna i szybko przyswaja wiedzę, zaproponował, by uczyła się łaciny.

– Przyda ci się – powiedział poważnie. – Kto będzie odczytywał recepty i księgi, kiedy mnie zabraknie?

Przystąpiła na to ochoczo. Po długim czasie fizycznej pracy odkryła radość z nauki. Swoją dotychczasową wiedzę czerpała najpierw od matki, później z nauk Iny, żony Varnasa, a w końcu od brata Alberta na dworze królowej, ale nigdy nie uczyła się w żadnej szkole. Teraz Zenobiusz stworzył dla niej coś w rodzaju prywatnych lekcji – w wolnych od pracy chwilach przygotowywał dla niej księgi, dawał przybory do pisania i kazał przepisywać łacińskie sentencje. Z początku robiła to mechanicznie, zupełnie nie rozumiejąc słów, ale później, z pomocą swojego nauczyciela, zaczęła je stopniowo poznawać i zapamiętywać. Szybko przyszedł czas na gramatykę, którą też opanowała z zadziwiającą łatwością. Ułożony wygodnie na ławie wyścielonej wilczymi skórąmi Zenobiusz wykrzykiwał starczym głosem do siedzącej przy aptecznym stole Mildy. Przez kilka dni było to jedno i to samo polecenie, żeby dziewczyna łatwiej je zapamiętała.

– Co znaczy puella parva?

– Mała dziewczynka.

– To teraz odmień mi to przez przypadki.

– Puella parva...

– Nazwy przypadków!

Chwilę później speszona nieco dziewczyna recytowała bez zajknięcia:

– Nominativus puella parva, Genetivus puellae parvae, Dativus puellae parvae...

– Brawo. A teraz liczba mnoga.

Szybko się okazało, że stary aptekarz może już jej zadawać coraz to nowe słówka, a także nową odmianę każdego dnia, sprawdzając tylko od czasu do czasu, ile z tego zapamiętała. Nie pomyliła się ani razu.

Milda bardzo lubiła te ich lekcje i wręcz nie mogła się doczekać, kiedy zakończą z Zenobiuszem pracę w aptece i wezmą się do powtarzania łaciny. A gdy czas nauki dobiegał już końca, siadała przy łójówce i sama próbowała tłumaczyć jakiś tekst.

– Dlaczego nie odpoczywasz? – spytał pewnego dnia jej nauczyciel. – Przecież nie kazałem ci tego robić.

– Bo chcę wiedzieć więcej – odpowiedziała i dodała z porozumiewawczym uśmiechem: – Poza tym sam, panie, mówiłeś, że nie dla szkoły się uczymy, ale dla życia.

– Jak to będzie po łacinie?

– Non scholae, sed vitae discimus.

ROZDZIAŁ PIĄTY

KRAKÓW, WRZESIEŃ 1392

Nadszedł wreszcie dzień, gdy król znalazł czas dla Varnasa.

Młody wojownik zaczynał już wątpić, czy władca w ogóle o nim pamięta. Listy, które przywiózł z Prus, wydawały mu się do tej pory bardzo ważne, lecz widocznie Jagiełło nie przejął się nimi aż tak bardzo, skoro tak długo przetrzymywał Varnasa na Wawelu, nie dopuszczając go do siebie. Tak więc młody wojownik najpierw czekał na powrót króla z Ostrowia koło Grodna, gdzie ten miał zawrzeć ugodę ze swoim stryjecznym bratem Witoldem, potem na jego powrót z łowów, które monarcha – swoim zwyczajem – urządził kilka dni po przybyciu do Krakowa, a dopiero potem władca zajął się sprawą listów. Kiedy więc Varnas dostał wezwanie, by stawić się przed oblicze władcy, był już wrzesień.

Młody Litwin szedł do królewskich pokojów z duszą na ramieniu. Okoliczności schwywania go przez Krzyżaków w dalszym ciągu napełniały Varnasa wstydem i poczuciem winy, tej plamy zapewne nigdy nie zdoła zmazać, a wiedział, że Jagiełło potrafi być surowy wobec swoich ludzi.

Martwił się jeszcze czymś. Miał bowiem do króla prośbę i bał się odmowy.

– Jesteś – mruknął po rusku Jagiełło, gdy Varnas stanął w surowo urządzonej komnacie z wysokim kominem, w której jedyną ozdobę stanowiły porozwieszane na ścianach zwierzęce skóry i łby. – Rad jestem, że uszedłeś z życiem.

– Panie. – Varnas skłonił się nisko.

Król stał przy wysokim, łukowym oknie z okrągłymi, oprawionymi w ołów szybkami. Przeświecające przez nie słoneczne światło rzucało na

twarz monarchy czerwone i pomarańczowe blaski. Jagiełło, jak zawsze, ubrany był skromnie, nigdy nie lubił się stroić, miał na sobie zwykłą koszulę, na ramiona zarzucił kozuch, bo dzień był słoneczny, ale chłodny. Niski, chudy, żyłasty, z gołą głową, bez żadnych ozdób na piersi i rękach, Jagiełło wyglądał nie jak władca olbrzymiego państwa, lecz jak sługa, który właśnie przyszedł, by rozpałić w kominie.

– Zrobiłeś głupio, opuszczając wileński zamek... – odezwał się król, patrząc badawczo na Varnasa.

– Tak, miłościwy panie.

– Byłem na ciebie wściekły, gdy się o tym dowiedziałem. Ale ta twoja głupota może i na dobre wyszła. Pergaminy, które przywiozłeś, ciekawe są wielce. Oj, ciekawe.

– Naprawdę od Opolczyka?

– Tak, moi ludzie długo badali, czy pieczęcie aby nie fałszywe. Dlatego też wszystko tak długo trwało.

– I są prawdziwe?

Jagiełło poważnie skinął głową.

– Na to wychodzi. Ale opowiedz, jak je zdobyłeś.

Varnas zrelacjonował władcy wszystkie wydarzenia, szczegółowo, choć pominął w swej opowieści Sońkę, gdyż nie chciał jeszcze o niej mówić. Jagiełło słuchał w milczeniu, potakując i gładząc dłonią starannie wygolone policzki. Kiedy Varnas skończył mówić, król usiadł na prostym krześle, oparł łokieć na udzie, a podbródek położył na pięści.

– Nie łudźmy się, że tylko tego jednego posłali. Zakon pewnie ma już takie same pisma u siebie.

– Co one oznaczają?

Szczupła twarz króla wykrzywiła się w ponurym uśmiechu, nadając jego ostrym rysom wyraz jeszcze większej niż zwykle drapieżności.

– Ano jeśli to nie jakaś prowokacja czy oszustwo, oznaczają one ni mniej, ni więcej, że otaczają nas same wilki.

– Też mi nowina – mruknął Varnas. – To samo mieliśmy na Litwie.

– Owszem, ale tutaj wrogowie chcą połączyć siły, żeby strącić mnie z tronu i podzielić między siebie Polskę.

– Węgrzy też?

– Oni pierwsi.

– Przecież tam rządzi siostra naszej królowej.

– Tam rządzi Zygmunt, przyjacielu. A jeśli wierzyć pismom, chętnie wybrały się do nas z mieczem i ogniem, dając Zakonowi znać czternaście dni wcześniej, aby ten miał czas zaatakować z północy.

– Gady!

– Rzekłeś.

– Ale przecież Zakon ma chyba z nami pokój wieczysty!

– Tyle warte pergaminy, na których traktat spisano, co podpałka do komina. To jak układy z diabłem. Przy pierwszej lepszej okazji Konrad podepcze wszelkie postanowienia, nie takie rzeczy uchodziły mu w Rzymie na sucho. Zwłaszcza że Ojciec Święty najpewniej poprze krucjatę przeciw nam. Krzyżacka propaganda silniejsza od naszej.

– Oprócz Krzyżaków i Węgrów – kto jeszcze?

– Powiem tak: według planów wszystko na północ od Kalisza, z Mazowszem, miałyby przypaść Zakonowi. Ziemię na południe od Kalisza – czyli Kraków, Sandomierz, Łęczyca, Ruś Czerwona i Podgórze – dostaną się Węgom. Zachód natomiast, od Warty ku Wielkopolsce, znajdzie się w łapach Wacława oraz księcia gorlickiego Jana. Wszyscy oni – w tym również ten rakuski niedojda, Wilhelm, co tu się kiedyś na królową połasił – podobno już się zgodali.

– To pewne?

– To bardzo prawdopodobne, bo takie przypuszczenia potwierdzają wieści od naszych szpiegów, a także działania Opolczyka. Nie od wczoraj wiadomo, że chce zastawić ziemię dobrzyńską u zakonnych.

Dla Varnasa było to zbyt skomplikowane, nie na jego rozum, mimo to wyczuwał grozę sytuacji.

– I co teraz? – spytał. – Wojna?

Jagiello przygryzł na chwilę wąsa.

– Teraz trzeba ostrożnie i delikatnie. Nie wiadomo, gdzie szukać sojuszników: u sułtana Bajazyda czy u ruskiego Wasyla. – Roześmiał się niewesoło na tę ewentualność. – A może Tatarów na pomoc przywołać? Nie, tak się nie da. Najpierw muszę poskromić tego zawziętego dziadygę, Opolczyka. Zasraniec za śmiały się zrobił.

Król sięgnął po kubek wody, nigdy nie pijał wina ani piwa.

– No i dyplomacja. Jak się zwiędzą, że przejrzelśmy ich knowania, może ochłoną, bo stracą element zaskoczenia. Na razie nie ma wojny, ale musimy być na nią gotowi.

– Skoro wojny nie ma... – zaczął Varnas.
– Tak?
– To ja mam prośbę.
– Mów. Zasłużyłeś na nagrodę, przywożąc mi te pergaminy.
– Proszę o zwolnienie ze służby.
– Że co?
– Dość już mam wojaczki. Poza tym zaczynam popełniać błędy, więc pewnie i tak się już nie nadaję.
– To co zamierzasz robić? Po karczmach pieśni śpiewać?
– Spotkałem niewiastę.
– W Prusach?
– Tak. Chcę z nią się żenić i wspólnie gospodarować.
Król przyglądał mu się z lekkim uśmiechem niedowierzania.
– A jednak z jednych sideł uciekasz w drugie. Varnasie, znam cię od młodego chłopaka. Zawsze byłeś wojem, masz to we krwi, zanim wąż ci się puścił, już Tatarów po stepie goniełeś. Wciąż jesteś młody, nie wytrzymasz na gospodarstwie, mówię ci. Może na starość.
– Na starość się nie ożenię.
– Oj, widzę, namieszała ci w głowie owa dziewczka. Jak jej na imię?
– Sońka.
– Ładnie. Po naszymu. Poganka?
– Tak.
– No więc taką drogę przeszedłeś, od pogaństwa do świętego chrztu, od wioski rybackiej do zamku w Krakowie, a na koniec chcesz wracać do lasu i bałwochwalców? Przemyśl to jeszcze.
– Myślałem o tym miesiącami.
Jagiello westchnął.
– Cóż, zatrzymać cię na siłę – nie zatrzymam. Niewolnika mi nie trzeba. Poza tym winien ci jestem wdzięczność. Chcesz, uciekaj do swojej Sońki. Wyplacę ci zaległy żołd za obronę Wilna, dostaniesz jeszcze jakąś wieś, żebyś nie musiał w dziupli mieszkać.
– Dziękuję, miłościwy panie.
– Ale szczęśliwy nie jestem. Tracę świetnego wojownika.
– Panie, obiecuję, że jak przyjdzie do wojny z Zakonem, przyłączę się. Mam z nimi swoje niezłatwione sprawy.

– Zatem umowa stoi. – Jagiełło podniósł się z krzesła. – Kiedy wyruszasz?

– Jak nadejdą mrozy. Teraz lada chwila zaczną się deszcze, ziemia będzie rozmokła i nieprzejezdna. Niech tylko zamarzną bagna i rozlewiska, bo chcę wyruszyć saniami, z dobytkiem. Zadłużyłem się tam w Prusach.

– Jeśli zmienisz zdanie...

– Nie zmienię, miłościwy panie.

– Dobrze, idź już. Mam poselstwo z Malborka. Ciekawe, co będą psie syny teraz gadać.

Był to chyba dzień dobrych wiadomości i wizyt w królewskich pokojach, ponieważ gdy Varnas opuszczał Wawel po rozmowie z Jagiełłą, na zamek wezwano Mildę.

Ucierała właśnie korzeń łośnianu, gdy do apteki wszedł mężczyzna obwieszony sobolami, w czarnym birecie, i poinformował ją oficjalnym tonem, że w kancelarii królewskiej czeka na nią jakieś pismo.

– Pismo? – spytała, odkładając tłuczek. – Do mnie?

– Jesteście Anną z Litwy? Siostrą Aleksandra z Litwy?

– No niby tak...

– Niby?

– Jestem.

– Więc to do was. Sama królowa kazała mi was powiadomić.

Milda wstała i otrzepała suknię.

– Nie wiem, gdzie ta kancelaria – mruknęła.

– Zaprowadzę.

Obrócił się na pięcie, a ona ruszyła za nim, zaintrygowana. Nigdy nie otrzymała żadnego pisma. Może to zmiana wyroku w sprawie ojca Alberta? Jakieś prawnicze sprostowanie czy przeprosiny? Na nic jej to nie było potrzebne, ale musiała odebrać. Na korytarzach zamkowych, w tej części, gdzie pracowali urzędnicy, było tłoczno i gwarno. Kanceliści zdawali się bardzo zaaferowani, chodzili tam i z powrotem, z dokumentami w rękach. W dusznej kancelarii inny urzędnik wręczył Mildzie zwinięty rulon.

– Z Bolonii – poinformował. – Wczoraj przywiózł go ze sobą jeden z naszych prawników.

– Od Szymka! – ucieszyła się Milda.

Niemal już zapomniała, że chłopak przed wyjazdem obiecywał jej posyłać listy z Italii. Tyle się od tamtego czasu wydarzyło, zupełnie wyleciało jej to z głowy.

– Miał być dostarczony do Kazimierza – wyjaśnił urzędnik – lecz powiedziano nam, że już tam nie mieszkacie.

Porwała zalakowany rulon i wybiegła z nim na korytarz. W pierwszej chwili chciała zerwać pieczęć już teraz, lecz tylko przystawiła oko do tuby, w nadziei, iż dojrzy jakieś słowa. Przyłapała ją na tym królowa, która również szła w kierunku kancelarii.

– A ty co tu robisz? – spytała.

– Przyszedł list od Szymka.

– Z Italii?

– Tak.

– O, też chętnie się dowiem, o czym on tam pisze – ucieszyła się Jadwiga.

– Zawsze chciałam zobaczyć Bolonię i tamtejszy uniwersytet. Chodźmy do mnie, mam trochę czasu.

Milda ucieszyła się, że będzie mogła dzielić radość z królową, że poczuje się jak kiedyś, gdy były dużo młodsze i spędzały ze sobą więcej czasu. Przeszły do pokojów królowej, zatrzymały się w niewielkiej komnacie o barwnie malowanych ścianach, gdzie obok okna stała klatka z ptakami, misterna ażurowa altanka, lśniąca od złota i ozdób z kamieni szlachetnych. Coś w środku trzepotało i migotało, lecz Milda nie umiała rozpoznać, jaki to ptak, prawdopodobnie był to prezent ze Wschodu.

Władczyni podeszła do pulpitu, złamała pieczęć i rozwinęła pergamin pokryty drobnym, pochyłym pismem.

– Spocznij sobie, Mildo – nakazała. – Pozwolisz, że to ja odczytam list na głos?

– Oczywiście, Najjaśniejsza Pani. Nawet proszę o to.

Odnalazła taboret z aksamitną poduszką i na nim przysiadła. Królowa odchrząknęła i zaczęła czytać:

Droga przyjaciółko, Najmilsza Mildo.

Na wstępie, nim przejdę do opisu pobytu tutaj, gorąco pragnę prosić Cię o wybaczenie z powodu opieszałości, z jaką zabierałem się do pisania tego

listu, wszelako musiałem zaczekać, aż...

O Boże, westchnęła w duchu Milda. Czy to ten sam chłopak, którego znała? Wesoły i figlarny młodzian, syn łobzowskiego sadownika? Potrafiący wyrażać się jasno i prosto? Czy cały list utrzymany będzie w takim napuszonym, dyplomatycznym tonie?

Jadwiga chyba dostrzegła jej reakcję.

– Wygląda na to – rzekła – że Szymek bardzo się stara udowodnić nam, iż nie przez przypadek pojechał na te studia.

– Przecież on tak nie mówi – powiedziała Milda.

– Ale tak pisze. Bo uznał, że inaczej mu nie wypada, skoro znalazł się na wydziale prawa w Bolonii. Pomińmy wstępy. Nie mogę się doczekać opisu Italii.

Królowa przeskoczyła wzrokiem pierwsze linijki, nie dbając o kwieciste tłumaczenia świeżo upieczonego studenta, i zaczęła czytać dopiero tam, gdzie rozpoczynała się relacja:

Podróż trwała długo, lecz, chwalić Boga, przebiegła bez większych przeszkód i utrapień. Nieco dłużej zatrzymaliśmy się w Viennie, a potem w Semmering, gdzie mój zacny opiekun miał pewne interesy do załatwienia, o których tu jednak, z braku miejsca, mówić nie zamierzam. Do Lombardii i Bolonii dotarliśmy w połowie lipca, przy najpiękniejszej pogodzie. Żadne ludzkie słowa nie są w stanie opisać tysięcznych barw tego miasta, uroku jego kościołów i cienistych arkad. Zda się, potrzeba by do tego apolińskiej liry.

A cóż dopiero można by rzec o mieszkańcach?

Mimo to spróbuję podjąć się tego zadania. Otóż młodzieńcy tutejsi całkowicie różnią się od krakowskich, hałaśliwi są ponad wszelką miarę, noszą szaty o rozmaitych krojach i barwach, niewysocy, wszelako odznaczają się wytwornością i wdziękiem. Mowa ich, niestety, naznaczona jest miejscowym, grubym dialektem, który w niczym nie przypomina słodkich tonów sonetów mistrza Petrarki. Białogłowy zaś...

– Oho, zaczyna się – mruknęła Milda z lekkim uśmiechem, ale Jadwiga przyłożyła tylko palec do ust i czytała dalej:

...białogłowy zaś nadzwyczaj są śmiałe, spojrzenia ich władcze, głosy lekko schrypnięte. Mówi się, że wszystkie są urodzone pod znakiem Byka, co naturalnie być nie może, lecz takie oto powiedzonko słyszałem tutaj już kilka razy, za każdym razem wypowiedane z powagą i całą stanowczością. W odróżnieniu od naszych niewiast, swobodnie się czują w towarzystwie mężczyzn, mocno się malują, a ich stroje zadziwiają bogactwem i pomysłowością.

Ciekawe, czy śmiałość i czarne oczy tych niewiast przypominają mi o pełnej południowego temperamentu Amalii? – z nagłym smutkiem zastanowiła się Milda. Tymczasem królowa kontynuowała:

Jest to w ogóle miasto ludzi majątnych.

Wielu scholarzy pochodzi z najznacniejszych rodów i przybyło tutaj wraz ze służbą, nawet z własnymi ochmistrzami. Tylko nieocenionej szczodrości naszej Najłaskawszej Królowej zawdzięczam to, że mogę przebywać w podobnym towarzystwie. Oczywiście nie stać mnie na własną służbę ani na lokum w najlepszej części miasta, muszę bowiem dysponować roztropnie swoimi środkami, zwłaszcza że samo wpisowe na uniwersytet wynosi całe dwanaście solidów.

Wynająłem tedy skromną izbę w parafii di San Salvatore, w dzielnicy zamieszkaney głównie przez niemieckich scholarzy. Hałaśliwą i grubiańską tę gawieź spotkać można niemal na każdym kroku, kiedy przemierza się wąskie i ciemne uliczki Portanova. Nie ma dnia, by nie wywołali jakiejś bójki z przedstawicielami innych nacji.

Jadam też tanio, najczęściej sprzedawane na placach kielbaski, zwane tu wdzięcznie „cotichini e mortadela”, lub pierożki tortellini...

– Ej, Szymku, bo robię się głodna. – Milda westchnęła, przypominając sobie, że od śniadania nic nie miała w ustach.

– Będiesz tak ciągle przerywać? – upomniała ją z uśmiechem Jadwiga.

– Przepraszam.

Kupuję dużo fig oraz oliwek, czasami winogrona, które zbiera się na wzgórzach południowej części miasta i które są bardzo tanie. Popijam to

tutejszym winem, zmieszany z wodą. Staram się jednak zachować umiar w picciu, albowiem zmacony umysł nie sprzyja studiom.

No proszę, a w Krakowie jakoś ci to nie przeszkadzało, z przekąsem uśmiechnęła się Milda, lecz tym razem nie wypowiedziała tej uwagi na głos.

Ale dość już o sprawach pospolitych, ponieważ po całkiem odmienną strawę przybyłem do tego miasta, słusznie nazywanego krynicą wiedzy. Jak mówią: „Bologna madre gli studdi”. I rzeczywiście jest matką studiów. Mój uniwersytet jurystów nie ma swojego budynku, toteż lekcje odbywają się w mieszkaniach profesorów lub też w wynajętych izbach, często nędznych, co zmusza do nieustannych, nie zawsze przyjemnych wędrówek po mieście. Same wykłady prowadzone są zarówno rano, jak i wieczorem, często okazują się piekielnie nudne i ciągną się w nieskończoność.

Podzielono nas na dwie grupy – jedną z nich tworzą scholarzy z Italii, drugą – do której ja się zaliczam – „przybysze zza Alp”, jak nas tu nazywają. Mam wielu kolegów z Węgier oraz Czech, poważnych i roztropnych młodzieńców. Ja również staram się zachowywać godnie, a z pewnością już tak wyglądam.

Myślę, że nie poznałabyś mnie, droga Mildo, gdybyś jakimś cudownym sposobem mogła zobaczyć, jak przemierzam arkady i obsadzone cyprysami aleje miasta w swym uniwersyteckim stroju, to jest: w długim do ziemi, luźnym płaszczu, czarnym, z wyłogami na piersiach, zapiętym pod szyję, lecz bez kołnierza, i w dużej okrągłej czapce o zawiniętej ku górze krawędzi. Jako żywo przypominam jakiegoś doktora.

Nawet już piszesz jak doktor, skwitowała w duchu.

Tak zatem przedstawia się moje życie w Bolonii.

W przerwach między wykładami niewiele czasu pozostaje na rozrywki. Poznałem kilku scholarów z katedry astrologii teoretycznej, którzy opowiadają niezwykle ciekawe rzeczy na temat sfer niebieskich, rzeczy nieznane nawet starożytnym. Dyskutują oni nieustannie o „Kosmografii” Ptolemeusza. W ciepłe noce lubią przesiadywać na dachach bolońskich

budynków i popijając wino, wpatrywać się w rozgwieżdżone niebo. Raz uczestniczyłem w takich obserwacjach. Zanim jeszcze zapadł zmrok, mogłem z tej wysokości podziwiać wieże kościołów oraz pasmo Apeninów. No a potem cudowny blask nocnego nieba. Czasami zazdroszczę im dziedziny studiów, bo prawo kanoniczne nie jest aż tak widowiskowe jak układy planet. Zaciskam wszelako zęby, ufając, że zawód prawnika bardziej jest pożytecznym i szanowanym niż oglądacza gwiazd i wieszczbiarza.

Teraz właśnie kończę ten list do Ciebie w oczekiwaniu na kolejny nudny wykład. Ma go poprowadzić znany jurysta Antonio Cardano, zgryźliwy starzec, któremu zdarza się przysypiać podczas zajęć. Przez okno naszej izby dostrzegam wieżę kościoła Sant'Andrea degli Ansaldi, zachodzące słońce obleka jego marmury w złote barwy.

I z tego właśnie miejsca pozdrawiam Cię gorąco, droga Mildo, przekaz, jeśli możesz, moje wyrazy szacunku dla pani Amalii i jej męża.

Jadwiga odłożyła pergamin.

W ostatnich słowach obie kobiety wyczytały chłód, którym Szymek maskował pewnie tęsknotę, lecz ani jedna, ani druga tego nie skomentowały.

– Myślę, że po powrocie Szymek opowie o wszystkim w swoim zwykłym stylu i bardziej szczegółowo – powiedziała.

– Na pewno – odrzekła Milda. – Ja już go wypytam, zwłaszcza o te białogłowy spod znaku Byka. Za dobrze poznał ich zwyczaj.

– Jest młody. Musi się wyżyć, zwłaszcza że Amalia... – Królowa umilkła.
– Nie wracajmy już do tego.

Wieczorem Milda kładła się spać w znakomitym nastroju. Przynajmniej u Szymka wszystko dobrze, uczy się i poznaje obcą kulturę. Wróci jako człowiek wykształcony, obyty. Miała też przed oczami obrazy, jakie malował słowami: Apeniny, wzgórze porośnięte winoroślą, arkady, rozgwieżdżone włoskie niebo.

Kiedy jednak zaczynała już zasypiać, pod zamkniętymi powiekami niespodziewanie pojawił się inny widok, ponury i złowrogi.

Miała wrażenie, jakby z okna wysokiej wieży patrzyła na rzekę lub jezioro. Woda z początku była szara, lecz po chwili zaczęła zmieniać barwę i Milda dostrzegła, że jest czerwona jak krew.

Z mocno bijącym sercem poderwała się z posłania. Miała przeczucie zbliżającego się nieszczęścia, choć nie wiedziała jeszcze, skąd i komu ono zagraża.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

ROŻNÓW, WRZESIEŃ 1392

Niebo za oknem komnaty przybrało kolor ołowiu, szare chmury kłębiły się nad lasem i odbijały w płynącej u podnóża zamku rzece.

Amalia w smutnej zadumie spoglądała na wodę, otępiała i bezradna, coraz dobitniej uświadamiając sobie, że znalazła się w potrzasku. Jej mąż był szaleńcem. Śmiertelnie niebezpiecznym szaleńcem, który pod wpływem wściekłości nie cofał się przed niczym. Jeśli miała jeszcze co do niego jakieś złudzenia, prysły one w momencie, gdy z zimną krwią zabił Zofię – i to na oczach wszystkich. Na samo wspomnienie tego koszmaru kręciło jej się w głowie. Mimo że od morderstwa minął już ponad tydzień, scena, gdy Zbigniew uderzał nieszczęsną kobietę pałką, powracała do Amalii nieustannie, na jawie i we śnie, z całą wyrazistością. Teraz była już w stanie całkowicie uwierzyć, że przyczynił się również do śmierci swojej poprzedniej żony.

Kto będzie następny? Ona? Małgorzata?

Cóż go powstrzyma, skoro oszalał i czuł się panem życia i śmierci w tym przeklętym zamczysku?

Tego rodzaju pytania napełniały ją przerażeniem.

Następnego dnia po egzekucji Katarzyna była przez cały dzień milcząca i blada. Amalia wyczuwała, że dziewczyna chce jej coś powiedzieć, lecz nie potrafi się do tego zebrać.

Postanowiła zacząć sama.

– Wiem, co musisz przeżywać – powiedziała do służącej, gdy wspólnie zajmowały się dzieckiem. Na zewnątrz wył wiatr, poprzez okienne szybki wpadało słabe, jakby przybrudzone światło, toteż w komnacie było

mroczno i ponuro jak w krypcie. – To był okropny widok. Lecz nie bój się. Nigdy nie pozwolę, by zrobił coś takiego tobie.

Czy naprawdę? – pomyślała. A niby jak go zatrzymasz? Jak pomogłaś Zofii? Jeśli będzie chciał, zrobi wszystko, sama nie możesz być pewna swojego losu. Wszak wtedy, na dziedzińcu, chciała pomóc dziewczynie, cóż tego, skoro była tylko słabą kobietą, a w dodatku nikt jej nie poparł.

Nikt oprócz, rzecz jasna, niezawodnego Platona.

On jeden stanął w obronie rożnowskiej pani. I o mało nie przypłacił tego życiem, kiedy opętany przez jakieś demony Zbigniew uderzył także jego. Pies zaskowyczał z bólu i przestraszył się, nigdy nie był bity, a gdyby nie uciekł, na jednym ciosie pewnie by się nie skończyło. Tego momentu Amalia obawiała się od pierwszego dnia pobytu w Rożnowie, widać było, że Zbigniew nienawidzi Platona, a ten odwdzięcza mu się takim samym uczuciem. Na szczęście pies uciekł. Nie wiadomo, gdzie się podziewał przez resztę dnia, odnalazł się dopiero nad ranem, wrócił wciąż przestraszony, z podkulonym ogonem.

Nie mogła pomóc nawet jemu, a teraz zapewniała Katarzynę, że ta jest bezpieczna...

Lecz dziewczyna nie o tym chyba chciała mówić.

– Nie chodzi o mnie, pani – rzekła, ścisząc głos – tylko o was i o dziecko. Musicie stąd uciec.

Amalia spojrzała na nią sceptycznie.

– Niby jak? Gdzie?

– Sposób zawsze się znajdzie. Do Krakowa, do królowej.

– To nie takie proste.

– Inaczej was zabije. Nie dzisiaj, nie jutro, to za pół roku. To potwór.

– Jestem jego żoną, nie ośmieli się... – Ale sama nie wierzyła w to, co mówi. Zbigniew już dawno przekroczył wszelkie granice i mogło być tylko gorzej, z każdym następnym zbrodniczym postępkim coraz bardziej zanurzał się w szaleństwie, z którego nie było już powrotu.

– Po pijanemu robi wszystko, bo wtedy jego umysł jest zamroczony – odparła Katarzyna. – A teraz jeszcze was nienawidzi, ponieważ sądzi, iż to Grzegorz...

– Wiem, wiem – przerwała jej pospiesznie. Nie chciała nawet o tym słuchać.

– Nawet jeśli was, pani, nie zabije, to będziecie żyć w wiecznym strachu.

O tym również wiedziała. Każdego dnia nawiedzały ją podobne czarne myśli – że nie dane jej będzie przeżyć ani jednego dnia w spokoju, bez lęku o własne zdrowie i życie. Co innego jednak zdawać sobie z czegoś sprawę, a co innego usłyszeć potwierdzenie od innej osoby. Obawa wypowiedziana na głos przez kogoś z zewnątrz nabiera dużo większej realności.

– Nie dotrę do Krakowa – szepnęła. – Złapie mnie.

– Trzeba poczekać na odpowiedni moment i wszystko dobrze zorganizować. Znaleźć wóz, woźnicę. Najlepiej spoza wioski, żeby drań nie mógł się zemścić.

Katarzyna otwarcie nazywała przy Amalii jej męża draniem, co świadczyło o tym, jak daleko zaszły sprawy.

– Trzeba porozmawiać z Hanną – kontynuowała dziewczyna – jej jednej można zaufać.

Amalia nie odpowiedziała. Z jednej strony nie mogła nie przyznać służącej racji, z drugiej wiedziała, iż podjęcie próby ucieczki będzie wyzwaniem losu.

Jeśli się nie uda, nic już jej nie pomoże.

Od dnia zamordowania Zofii Zbigniew zaszył się w swoich pokojach i unikał kontaktów z żoną.

Trudno powiedzieć, czy czuł wyrzuty sumienia, czy też pogardę dla Amalii z powodu swoich podejrzeń co do rzekomego romansu z astrologiem, w każdym razie nie odwiedzał jej już w sypialni. Nie zaglądał też do córeczki, jakby zupełnie stracił dla niej zainteresowanie.

Posiłki również jadali osobno i Amalii dotrzymywał teraz towarzystwa tylko Grzegorz, raz na zawsze przepędzony od stołu pana domu. Ale nie był już takim przyjemnym partnerem w dyskusji jak kiedyś. Rozmowa z nim stawała się coraz trudniejsza, więcej milczał zadumany, wpatrując się w przestrzeń nad swoją misą, niż zabierał głos w jakiegokolwiek sprawie. Czasami potrafił wręcz milczeć przez cały posiłek, ograniczając się tylko do kilku słów powitania czy pożegnania. Odkąd przystojny astrolog popadł w niełaskę i przestał pracować nad metodą uzyskania złota, stracił całą pewność siebie, schudł i zmizerniał, a w jego oczach coraz częściej pojawiał się lęk.

Widziała, jak astrolog, chodząc po korytarzach zamku, spoglądał ze strachem przez ramię. Katarzyna, która wiedziała od służby o wszystkim, co działo się w zamku, powiedziała też Amalii, że alchemik na noc przysuwał ciężką skrzynię do drzwi, żeby nikt nie mógł się dostać do komnaty podczas jego snu.

No cóż, z pewnością czuł, że pozostało tylko kwestią czasu, kiedy szalony Zbigniew zemści się okrutnie również na nim.

Stojąc przy oknie, poczuła głód, postanowiła więc zejść na dół, do jadalni. Kiedy Grzegorz nie pojawił się na śniadaniu, Amalia poczuła coś w rodzaju ulgi. Znacznie lepiej siedziało jej się przy stole w samotnym milczeniu niż we wspólnym, kiedy cisza stwarzała ciężką, pełną napięcia atmosferę. Niemal fizycznie odczuwała strach i niepewność mistrza, a pocieszyć go nie potrafiła. Była w podobnej sytuacji i też nie umiała sobie z nią poradzić.

Gdy skończyła jeść, ruszyła w stronę kuchni, żeby ustalić z kucharką potrawy na wieczerę, ponieważ wieczorem miało się pojawić kilku gości Zbigniewa. Sama nie zamierzała brać udziału w tym spotkaniu, zresztą nikt jej nawet nie zapraszał. Nie zwalniało jej to jednak z konieczności dopilnowania odpowiedniego doboru potraw. Znała swoje obowiązki żony i pani na zamku.

Znalazłszy się w kuchni, usłyszała hałasy dochodzące z przyległej pracowni Grzegorza. Pamiętała, jak zajrzała do niej pierwszej nocy po przybyciu do Rożnowa, gdy rozmawiali o alchemii, potem już tam nie zaglądała, szanując prywatność uczonego. Lecz teraz musiała sprawdzić, co się dzieje.

Astrolog przesuwiał po podłodze ciężką skrzynię. W pomieszczeniu było niemal pusto, zniknęły ryciny, księgi i naczynia.

– A cóż to? – spytała. – Przeprowadzka?

– Wyjeżdżam, pani – oświadczył Grzegorz, ocierając pot z czoła. – Nie mam zamiaru zostawać tutaj ani dnia dłużej.

W otwartych kufrach podróżnych widać było starannie poukładane piękne kolorowe szaty i kapelusze, w innych piętrzyły się księgi. Astrolog wyprostował się i rozejrzał wokół, czy nie zapomniał czegoś spakować.

– Mój mąż wyraził na to zgodę? – spytała zaskoczona.

– Więcej, wczoraj kazał mi się wynosić w diabły! – Grzegorz wzruszył ramionami i zdjął z półki jakieś zakurzone pergaminy. Dmuchnął na nie, wzbijając kłęby kurzu w powietrze, po czym z pietyzmem włożył rulony do skrzyni.

– To moje tajemne recepty na... – przerwał zmieszany, jakby uświadomił sobie nagle śmieszność tego stwierdzenia.

Zapewne z całą jasnością dotarło do niego, że jedyne, czym mógł się poszczycić, to te zapisane starannym pismem pergaminy, z których jednak nic nie wynikało. Tak naprawdę nie miał żadnych dokonań jako astrolog i poszukiwacz kamienia filozoficznego w jednym. Nawet w horoskopach się pomylił, przepowiadając kiedyś Zbigniewowi narodziny zdrowego syna.

Amalia udała, że nie zauważyła zmieszania Grzegorza. Lubiła go jako człowieka i partnera do rozmów, ale, delikatnie rzecz ujmując, nie miała zbyt dobrego zdania o innych jego umiejętnościach.

Tyle że nie to teraz ją najbardziej zajmowało.

– Czyli was wyrzuca, mistrzu? W tak bezceremonialny sposób?

– Był pijany jak zawsze. Jak wiecie, nie dba wtedy o subtelności. Ale spodziewałem się tego od dawna. I nawet mi ulżyło.

– Potrafię to zrozumieć.

– Boję się go, pani.

– Ja też.

– Dlatego również powinniście stąd wyjechać.

– Z wami? – zaśmiała się gorzko. – Żeby mój mąż zyskał tylko potwierdzenie swoich nedorzecznych podejrzeń?

– Nie, nie ze mną. Kiedy dotrę do Sandomierza, bo tam mam zamiar chwilowo się zatrzymać, znajdę kogoś, kto pomoże wam w ucieczce.

– Przecież nie macie pieniędzy.

– Sprzedam szaty.

Grzegorz niemal czułym gestem pogładził leżący na samym wierzchu płaszcz z granatowego jedwabiu z wyhaftowanymi na nim złotą nicią półksiężycami. To okrycie należało do najbardziej krzykliwych w garderobie astrologa, ale widać było, że również do najbardziej ulubionych.

– Nie ma takiej potrzeby, mistrzu – odparła, wzruszona tym poświęceniem. Wiedziała, jak Grzegorz kocha stroje. – Nic nie musicie

sprzedawać. Dam wam jakieś pieniądze na drogę, bo podejrzewam, że mój mąż wam nie zapłacił. A co do pomocy, sama dam sobie radę.

– Dziękuję, pani, ale ja z kolei nie mogę od was przyjąć pieniędzy. Wasz małżonek liczy każdy grosz, szybko się zorientuje, że czegoś brakuje w szkatule, i podejrzewania spadną na was. Nieważne. Musicie stąd wyjechać. On za parę dni znów gdzieś się wybiera, podsłuchałem przypadkiem jego rozmowę z koniuszym, który zwykle przygotowuje mu wierzchowca do drogi. Wykorzystajcie jego nieobecność i ucieknijcie stąd z dzieckiem na Wawel. Królowa na pewno nie odmówi wam schronienia w takiej sytuacji. Jeśli będziecie potrzebować świadka na potwierdzenie zbrodni Zbigniewa, chętnie stawię się na Wawelu, mojego świadectwa nie można będzie zignorować.

Na chwilę znów odzyskał swą dumę i pyszałkowatość, co sprawiło Amalii przyjemność.

– Dziękuję za wszystko, mistrzu – odrzekła. – Macie w tym Sandomierzu jakąś rodzinę?

Grzegorz się zasepił.

– Powiedzmy – odparł cicho, nie patrząc jej w oczy. – Zobaczę, czy mam jeszcze do kogo wracać.

Amalia wyczuła w tym jakąś bolesną tajemnicę, ale nie zamierzała go wypytywać. Dość miała własnych zmartwień.

– W każdym razie – dokończył Grzegorz – wszędzie będę bezpieczniejszy niż tu.

– Mam nadzieję.

– Ten talizman mnie ochroni. – Grzegorz sięgnął do woreczka zawieszzonego na piersi i wyjął z niego płaski kamień kształtem przypominający serce. – Dał mi go kiedyś ojciec, na szczęście.

Głos mu zadrżał ze wzruszenia. Przycisnął kamień do ust i schował go z powrotem do woreczka.

– Ten kamień ocalił mu kiedyś życie – powiedział, odchrząkując, jakby łyzy dławily go w gardle. Szybko się jednak opanował. – Ojciec też nosił go na piersi i to na nim zatrzymała się kiedyś strzała wroga. Gdyby nie talizman, przeszyłaby ojca na wylot.

– Pilnujcie go zatem, mistrzu Grzegorzu. Powodzenia.

Okazało się, że zanim Grzegorz opuścił zamek, wyjechał już z niego Zbigniew.

Podobno – tak mówiła służba, bo pan na Rożnowie nie raczył poinformować małżonki o swoich planach – udał się do Nowego Sącza, do tamtejszych żydowskich bankierów po kolejną pożyczkę, i miało go nie być przynajmniej przez tydzień.

Amalia odetchnęła z ulgą. Choć Zbigniew unikał z nią kontaktów, świadomość jego obecności w zamku ciążyła jej na każdym kroku. W dodatku teraz, gdy go nie było, mogła swobodnie pożegnać się z mistrzem Grzegorzem, bez ukrywania się i obawy, że jej małżonek znów wpadnie we wściekłość, widząc ich poufałość.

A Grzegorz był już gotów do drogi.

W dniu jego wyjazdu było pochmurno, lecz na szczęście nie padało.

Na dziedzińcu zamku od świtu stał już niewielki wózek zaprzężony w osła. To wszystko, co zdecydował się dać na odchodne astrologowi Zbigniew z Radziejowic, rycerz króla Jagiełły, właściciel zamku i wsi w Rożnowie. Zupełnie jakby chciał go na koniec dodatkowo upokorzyć. Na wózku zmieściły się tylko dwa kufry, resztę z ciężkim sercem musiał zostawić. Sam musiał iść obok, dla niego nie było już miejsca.

Amalia, kiedy dobiegły do niej porykiwania osła, narzuciła na wełnianą suknię futro z soboli i zeszła na dziedziniec.

– Jedźcie z Bogiem – powiedziała cicho. – I dajcie jakiś znak życia, kiedy już będziecie mieli po temu okazję.

W zgarbionym, odzianym w skromny podróżny strój mężczyźnie trudno było teraz rozpoznać przystojnego i pewnego siebie poszukiwacza kamienia filozoficznego. Teraz czekał niecierpliwie, kiedy będzie mógł pogonić osła i jak najprędzej opuścić zamek.

– Nie omieszka, pani. Ale mam nadzieję, że moja wiadomość już was tutaj nie zastanie. Macie tydzień.

Westchnęła ciężko.

– Wiem. Rozmawialiśmy o tym.

– Szkoda każdego dnia. Nie wiadomo, kiedy następnym razem wyjedzie na tak długo. Jest bez pieniędzy, a wojna z Witoldem skończona. Tam już nie zdobędzie pieniędzy.

– Muszę to jeszcze przemyśleć.

– Szkoda czasu.

– Może po prostu prześlę wiadomość do Krakowa. Niech królowa będzie przygotowana. Niechaj wie, jak się zachowuje mój mąż.

– Takie wiadomości wędrują długo, giną pośród stosów innych w kancelariach, co gorsza, nigdy nie ma pewności, czy w ogóle dotarły. No i królowej może znowu nie być w Krakowie. Co wtedy?

– Zdaję sobie z tego wszystkiego sprawę.

– Wasz horoskop nie wygląda dobrze – dodał cicho. – Sporządziłem go wczoraj.

Uśmiechnęła się lekko.

– Nie trzeba chyba znać się na gwiazdach, by dojść do podobnego wniosku. A wasz?

– Mój?

– Horoskop. Sobie nie sporządziliście?

– Nie – odparł, odwracając głowę, i Amalia od razu dostrzegła, że ją okłamał.

– No dobrze, w takim razie ruszajcie – oświadczyła. – Przed wami długa droga, a pogoda podła.

– Nie da się ukryć. Uważajcie na siebie, pani. Jesteście wyjątkową osobą. I to nie tylko z powodu królewskiej krwi.

Kiwnął głową i pociągnął osła za uprząż ze skórzanej taśmy. Ten jednak zaparł się przednimi kopytami i ani myślał ruszyć.

– No już, na miłość boską! – krzyknął niemal rozpaczliwie Grzegorz.

Amalia podeszła do zwierzęcia i klepnęła je w kościsty, porośnięty szorstką sierścią zad, ale wtedy osioł tylko wierzgnął tylnymi nogami i ledwo zdążyła uskoczyć przed potężnym kopnięciem. Powinna była przewidzieć taką reakcję, lecz chyba i jej zdenerwowanie odebrało jasność umysłu. Dopiero przyglądający się tej scenie ze znużeniem Platon jakby nagle zrozumiał, co się dzieje, podbiegł do wózka i ze szczekaniem zaczął delikatnie podgryzać tylne nogi osła.

Obraz, jaki Amalia miała zapamiętać do końca życia, przedstawiał zrywającego się z przeraźliwym rżeniem osła, podskakującego na kamieniach

dziedzińca wózek i biegnącego za swoim dobytkiem astrologa w rozwianym płaszczu podróżnym.

Byłby to może i komiczny widok, gdyby nie to, że Amalię przepełniał teraz olbrzymi smutek.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

ROŻNÓW, 1392 CD.

Tego samego dnia, gdy Grzegorz opuścił Rożnów, Małgorzata zachorowała.

Miała gorączkę, nie chciała jeść i zrobiła się marudna. Wezwana natychmiast Hanna nie dostrzegła w tym nic szczególnie niepokojącego.

– Z dziećmi nieraz tak bywa – powiedziała Amalii. – Po dwóch, trzech dniach samo przechodzi. Musi dużo pić. Gdyby po tym czasie nie minęło, wtedy będziemy się martwić i szukać innej przyczyny. Jednak byłabym spokojna.

Przeszło po trzech dniach, ale przez całe to zamieszanie Amalia przestała myśleć o ucieczce, a gdy tylko Katarzyna próbowała nieśmiało podjąć temat, jej pani ucinała go, tłumacząc się troską o dziecko. Tak naprawdę jednak bała się podjęcia decyzji, która stałaby się już ostateczna, bez możliwości odwrotu. Wcale nie miała pewności, jak dwór królewski traktuje samowolę rycerzy. Czy zabicie obłąkanej dziewczyny, wcześniej wygnanej ze wsi, w dodatku oskarżonej o zdradę, stanowiło aż taką zbrodnię, by kobieta na tej podstawie mogła zerwać małżeństwo?

A co, jeśli takie rzeczy zdarzały się nagminnie i Amalia tylko się ośmieszy w Krakowie, poskarżywszy się na surową sprawiedliwość Zbigniewa, po czym zostanie odesłana do męża?

To wszystko wydawało się tak skomplikowane, że – mimo ciągłych rozmyślań – nie była pewna żadnego kolejnego kroku. Katarzyna nie miała wątpliwości, lecz była przecież prostą dziewczyną, niezorientowaną w pozbawionym współczucia i skrupułów dworskim świecie. Jej instynktowne poczucie sprawiedliwości nie przystawało do tego, jak naprawdę wyglądały stosunki społeczne, chyba nie uświadamiała sobie jasno, że życie takiej Zofii nie było dużo więcej warte niż życie psa, a prawa mężczyzn, także i na dworze, wśród ludzi wykształconych, stoją o wiele wyżej niż prawa kobiet.

Amalia wybrała więc bierność i wyczekiwanie. Tym samym traciła kolejne dni do powrotu Zbigniewa, z czego zdawała sobie sprawę, lecz nie mogła się zmusić do żadnego działania.

Po wielu deszczowych dniach roz pogodziło się wreszcie, łagodne wrześnie słońce spowiło swym ciepłym, złotym blaskiem całą okolicę, sprawiając, że i myśli Amalii stały się pogodniejsze.

Powróciła do ćwiczeń na lutni, gdyż skupienie się na muzyce, na odpowiednim układzie palców, słowem, na technice gry, pozwalało odgonić ponure wizje oraz obawy – aby się nie pomylić, należało zapomnieć o całym otaczającym świecie. W dodatku wydobywające się z instrumentu szlachetne tony kołysły nerwy.

Tak więc ranki i przedpołudnia poświęcała muzyce, a kiedy robiło się ciemno – zmierzch już zapadał wcześniej – w świetle kominka, pełgającym po ścianach komnaty, słuchała bajek i opowieści Katarzyny, która niepostrzeżenie stała się jej najbliższą przyjaciółką.

Dziewczyna знаła ich wiele. Wychowała się w wiosce, gdzie opowiadano je sobie każdego wieczora. Niektóre z tych historii Amalia znała już z Węgier, zmieniały się tylko nieistotne szczegóły i imiona bohaterów, lecz wiele innych zaskakiwało ją i bawiło.

A także straszyc, gdyż często pojawiały się w nich strzygi, zmory, południce, topielice – istoty, które łatwo zlekceważyć za dnia – jednakże po zmroku, gdy robi się ciemno i wszędzie czają się cienie, nabierały niepokojąco realnych kształtów. Mimo że Amalia była już dorosła, a w dodatku groziło jej całkiem realne zagrożenie ze strony męża, zdarzało się, że po kolejnej opowieści Katarzyny bała się wyciągnąć nocą stopę spod kołdry, w obawie, że chwyci ją lodowata dłoń nocnej zmory.

Przy okazji dowiedziała się czegoś więcej o losach dziewczyny.

– Jak w ogóle znalazłaś się na Wawelu? – zapytała któregoś wieczora, gdy jak zwykle, w pomarańczowym świetle płynącym z komina, utworzyły sobie bezpieczną strefę pośród ciemności.

– Posłali mnie do Krakowa – odparła służąca. – Do kuzyna, który pracuje w mennicy. Miał mi znaleźć pracę przy tkaniu, ale przez większość czasu próbował się do mnie...

– Rozumiem – przerwała jej Amalia. – Jeśli to zbyt trudne dla ciebie, nie musisz o tym opowiadać.

Ale Katarzyna nabrała powietrza w płuca i dokończyła, jakby chciała to z siebie wyrzucić.

– W końcu uderzyłam go kuflem w twarz, kiedy kolejny raz położył swoją tłustą łapę na moim kolanie.

– Naprawdę?

– Tak. I złamałam mu nos.

– No, chyba zasłużył.

– Poskarżył się w ratuszu. Wezwano mnie i przesłuchiowano. Nie wiem czemu, ale jeden z tych poważnych panów, którzy tam siedzieli, uśmiechał się do mnie życzliwie, na koniec uznano, że się broniłam, a on wziął mnie na bok i powiedział, że jestem bystra oraz pyskata i że zmarnuję się u tkaczek.

– I?

– I zapytał, czybym nie chciała służyć na Wawelu. Bo ma tam kogoś znajomego. Potem poszło szybko, zaczęłam tam robić za pokojową, Najjaśniejsza Pani mnie polubiła, często ze mną żartowała. A potem wysłała z wami. Rzekła, że dobrze się zrozumiemy.

– Aha. A nie zostawiłaś we wsi żadnego narzeczonego?

Katarzyna się zawahała.

– Był taki jeden, Zbyszko, ale się utopił w Wiśle. Pijany był. Może to i dobrze, bo teraz, jak go wspominam, to myślę sobie, że nic prócz picia nie potrafił. W dodatku mnie bił.

– Znajdziesz jeszcze kogoś dobrego. – Nic lepszego nie przyszło Amalii do głowy.

– Znajdę albo i nie znajdę. O dobrego trudno.

– Co racja, to racja.

Piątego dnia po wyjeździe Zbigniewa Amalia obudziła się wreszcie w dobrym humorze.

Wrześniowe słońce napełniło jej komnatę miodowym blaskiem, czuć było rześkie zapachy jesieni. Długo leżała pod baldachimem, rozkoszując się leniwym porankiem. Miała ochotę na porządne śniadanie, a potem na spacer brzegiem rzeki. Nieobecność Zbigniewa dawała jej poczucie

swobody i choć wiedziała, że niedługo to się skończy, mogła przecież jeszcze z niej korzystać. Tak więc weźmie ze sobą psa, pójdą razem nad Dunajec, może aż do porośniętego wierzbami i szuwarami tajemniczego cypla, gdzie stała zapomniana kapliczka, o której nikt nie wiedział, kto ją postawił. Potem wróci do zamku, pobawi się z córeczką, przećwiczy włoski taniec na lutni, wreszcie wspólnie z Katarzyną – bo kto im może teraz zabronić – zjedzą obiad w sali jadalnej.

Krótko mówiąc, dzień zapowiadał się przyjemnie.

Wreszcie ucisk pęcherza zmusił ją do podniesienia się z łoża. Załatwiła się do nocnika, weszła za parawan, zrzuciła nocną koszulę i obmyła się w miednicy w przyniesionej rano, teraz już letniej wodzie.

Platon usłyszał, że wstała, zaczął więc skomleć pod drzwiami – nocami wypuszczała go na korytarz, by mógł ganiać szczury.

– Już otwieram! – krzyknęła w kierunku drzwi, co psa wcale nie uspokoiło, wręcz odwrotnie, szczekał teraz hałaśliwie i drapał w drewno. Odkąd zaczął się bać pana, ją traktował jako bastion miłości i bezpieczeństwa. Sięgnęła po własnoręcznie tkany na krosnach, jeszcze na Wawelu, ręcznik z lnu i zostawiając na posadzce ślady mokrych stóp, podeszła do drzwi. Platon, jak to Platon, skoczył do jej kolan, mokrym nosem uderzając w uda, aż musiała się cofnąć.

– Spokojnie, spokojnie – powiedziała. – Ja też się cieszę, że cię widzę.

Jednakże zwierzak był zbyt szczęśliwy, by w jednej chwili ochłonąć.

– Pani...

W otwartych drzwiach pojawiła się Katarzyna.

– O, dobrze, że jesteś – powiedziała Amalia, wciąż oganiając się od psa. – Dzisiaj zjemy obiad o...

– Pani!

Dopiero teraz dostrzegła minę dziewczyny. Poprawiła ręcznik i spytała:

– Coś się stało?

– Tak.

– Wchodź do środka. I zamknij za sobą drzwi.

Katarzyna weszła, sztywna i poważna, co nieczęsto jej się zdarzało.

– Mów, o co chodzi – nakazała Amalia, kolanem odpychając Platona.

Dziewczyna nie odpowiedziała, tylko wysunęła przed siebie zaciśniętą pięść. Kiedy rozluźniła palce, Amalia ujrzała w dłoni dziewczyny ciemny kamień.

Szczęśliwy talizman mistrza Grzegorza.

– Skąd to masz? – spytała, czując, że brakuje jej powietrza w płucach.

– Przyniósł to chłopak ze wsi. Wysłany przez Hanne.

– To Grzegorza?...

– Tak, znaleziono go w lesie. Ciało wygrzebały zdziczałe psy.

– Ale ten talizman był w woreczku, to może nie jego? – Rozpaczliwie pragnęła uchwycić się choćby skrawka nadziei.

Katarzyna ze smutkiem pokręciła głową.

– Leżał obok, z zerwanym rzemykiem. Pewnie myśleli, że są tam jakieś skarby, a jak zobaczyli, że to zwykły kamień, wyrzucili.

Amalia poczuła, że jej ciało drętwieje, musiała oprzeć się plecami o ścianę, aby nie upaść. Wzięła kilka głębokich oddechów.

– I nie byli to zwykli zbójce – dodała Katarzyna, teraz dużo bardziej opanowana niż jej pani.

– Skąd wiadomo? – wyszeptała przez ściśnięte gardło Amalia.

– Chłopi przeszukali okolicę i znaleźli czerwono-czarną pałkę, tę samą, którą zabito Zofię.

– O mój Boże...

– Tak, wasz małżonek, pani, zostawił swoich zbirów, aby się zasadzili na Grzegorza. Ten ledwie wyjechał za wieś...

– Ktoś to widział?

Katarzyna pokręciła głową.

– Nawet jeśli, to ze strachu nic nie powie.

– A jego wózek, kufry? I osioł?

– Zniknęły. Może wszystko zabrali zabójcy, może rozgrabili wieśniacy, tak naprawdę nie ma to teraz znaczenia. Później trzeba będzie przeszukać gospodarstwa.

Amalia odepchnęła się od ściany, przeszła na środek sypialni, szepcząc:

– Zrobił to. Naprawdę to zrobił. Zabił!

– Tak, pani. Mówiłam, że pan już nie cofnie się przed niczym.

– Jakaż byłam naiwna, że uwierzyłam, iż pozwoli Grzegorzowi bezkarnie opuścić Rożnów! Mogłam mu przecież przydzielić kogoś do ochrony.

– Nie warto teraz się obwiniać.

– Zmyliło mnie to, że Zbigniew wyjechał do Sącza.

– Pani – rzekła stanowczo Katarzyna – nie ma już czasu na roztrząsanie tego, czego nie da się odwrócić. Musimy działać. Liczy się każda godzina.

Wasz mąż wróci najpóźniej pojutrze. Od razu się zorientuje, iż znaleziono ciało Grzegorza, wszyscy na zamku już o tym wiedzą. Wtedy poczuje się zagrożony.

– Tak, tak, masz rację. – Amalia była zbyt oszołomiona, by powiedzieć coś więcej.

– Rozmawiałam już z Hanną – ciągnęła służąca. – Obiecała posłać kogoś do sąsiedniej wsi, aby wynajął woźnicę z koniem i wozem. Do wieczora powinien tu być. W tym czasie musicie się, pani, spakować, tylko najniezbędniejsze rzeczy, tak żeby nikt nie zauważył waszych przygotowań. Na pewno pan zostawił tu szpiegów, by obserwowali każdy wasz krok. Wymkniemy się przez furtkę w ogrodzie, nocą. Wóz ma czekać za wsią, przy figurze Matki Boskiej. Jaśko pomoże przenieść rzeczy, ale, powtarzam raz jeszcze, tylko to, co niezbędne.

– Grzegorza trzeba po chrześcijańsku pochować.

– To zostawimy ludziom ze wsi i księdzu. Trzeba mu kilka groszy dać.

– Naturalnie.

– Teraz się, pani, ubierzcie, uspokójcie, niech nikt nie widzi po was nadmiernej nerwowości.

– Dziękuję, Katarzyno, że tak o wszystko zadbałaś. Mam jeden warunek: jedziesz z nami.

Amalia ubrała się i na sztywnych nogach zeszła do sali jadalnej na śniadanie. Wiedziała, że nie będzie w stanie niczego przełknąć, ale jej nieobecność z pewnością zostałaby zauważona. Tak więc udawała tylko, że skubie ser, i patrzyła w okno, gdzie jak gdyby nigdy nic świeciło słońce. Pomyślała, że dla astrologa zgasło ono na zawsze, i poczuła mdłości. Ochłonęła jednak, choć drżenia rąk nie potrafiła powstrzymać. Dzielna i zapobiegliwa służąca nakazała jej się uspokoić, lecz łatwo powiedzieć, Amalia teraz nie panowała nad własnym ciałem. Kiedy wreszcie mogła wstać od stołu, usłyszała stukot dobiegający z dziedzińca. Wyszła z zamku i ujrzała, że przez bramę wjeżdża ciągnięty przez dwóch chłopców wózek, a za nim podąża orszak wieśniaków. Na wózku leżał jakiś kształt przykryty derkami.

Domyśliła się, że to ciało Grzegorza.

Pośród zamkowej służby i straży zrobiło się zamieszanie, każdy podchodził do wózka i uchylał przykrycie, aby na własne oczy przekonać się, że to naprawdę martwy alchemik. Znano go bardzo dobrze, mieszkał u Zbigniewa od lat, więc poruszenie było duże. Taki wielki pan zatłuczony na drodze? Widział ktoś kiedy coś takiego? Świat zszedł na psy...

Amalia nie zamierzała oglądać zwłok, wołała zapamiętać Grzegorza takiego, jaki był za życia, przystojnego i uduchowionego.

Na środek dziedzińca wystąpił kapitan straży i oznajmił gromkim głosem:

– Wiemy już, że zbrodni tej dokonali leśni zbóje! Kiedy tylko wróci nasz pan, ukarze przykładnie tych zwyrodnialców, nie ma miejsca, w którym mogą się czuć bezpiecznie!

Ludzie chyba uwierzyli, bo zaczęli głośno się zastanawiać, skąd są ci zbóje – padały nazwy różnych wiosek, nawet imiona. Amalia była wściekła, obserwując bezczelność tego człowieka. Tylko ktoś, kto ma choć odrobinę władzy, może tak kłamać bez zająknięcia. Wiedziała, że nie powinna tego teraz robić, lecz nie mogła się powstrzymać.

– Będzie łatwo tych zbójów wytropić – rzekła głośno – ponieważ zgubili w lesie narzędzie zbrodni.

Kapitan straży spojrzał na nią zaskoczonym wzrokiem.

– Jak to?

– Pałkę. Rzucała się w oczy, ponieważ do złudzenia podobna jest do tej, którą wymierzono karę zdrajczyni Zofii. Pomalowana na czerwono i czarno.

Z pewną satysfakcją zauważyła przestרח i zmieszanie na twarzy mężczyzny. Niech tamci nie czują się tacy pewni siebie.

– Trzeba ją będzie przekazać panu – wybąkał.

Wiadomość o pałce poruszyła wieśniaków i służbę. Wszyscy doskonale ją zapamiętali z dnia egzekucji – bo nie dało się nie zapamiętać. Niektórzy zapewne zaczęli się zastanawiać nad tym dziwnym zbiegiem okoliczności. Amalia była pewna, że nie zapomną o tym szczególnie, kiedy zacznie się śledztwo w sprawie śmierci mistrza Grzegorza.

Widząc reakcję obecnych, kapitan nakazał wszystkim się rozejść.

Także Amalia opuściła dziedzińiec.

Musiała zacząć się pakować. Co ze sobą weźmie? Przede wszystkim rzeczy małej Małgorzaty. Jakąs suknię dla siebie na zmianę, bieliznę, futro, trochę biżuterii i złota, na wypadek gdyby jeszcze należało opłacić kogoś

prócz woźnicy. Cała reszta na nic się nie przyda. Ukochana lutnia i drogie księgi będą musiały tu pozostać, może odzyska je, gdy Zbigniew stanie przed sądem i poniesie zasłużoną karę. Ale czuła, że raczej już nigdy tych rzeczy nie zobaczy.

Delikatnie podniosła instrument, wydobyła z niego kilka dźwięków w niskim rejestrze, po czym odłożyła go na półkę. Inter arma silent Musae. Tak, podczas wojny milczą muzy. A ona jest teraz na wojnie. Na wojnie z własnym mężem. On będzie próbował ją zabić, a ona doprowadzić do jego ścięcia.

Trudno o rozkoszniejsze małżeństwo, pomyślała z gorzkim uśmiechem.

ROZDZIAŁ ÓSMY

ROŻNÓW, 1392 CD.

Do południa była gotowa.

Wszystko zmieściło się w dwóch tobołkach, bo przecież kufra nie mogły dźwigać przez zarośla. Teraz nie pozostawało nic innego, jak czekać, aż zapadnie zmierzch. Czas włókł się niemiłosiernie, Amalia nie wiedziała, czym ma się zająć. Zeszła do ogrodu, aby po raz ostatni nacieszyć się jego pięknem. Pogoda wciąż była ładna, nawet przygrzewało słońce, ale teraz to miejsce również wydawało się martwe. Za dużo krwi tutaj przelano. Nie mogłaby tu chyba dłużej mieszkać, nawet uwolniona od szalonego Zbigniewa.

Po południu na przykościelnym cmentarzu odbył się skromny pogrzeb Grzegorza. Ceremonię odprawił stary ksiądz Wincenty. Przybyła Amalia z Katarzyną, Hanna i niemal cała zamkowa służba. Nie zabrakło też zwykłych gapiów ze wsi, traktujących każdy pogrzeb jako okazję do oderwania się od ciężkiej pracy na wydartych lasom poletkach.

Uroczystość trwała krótko, ksiądz nie należał do najbardziej elokwentnych, w dodatku się jąkał.

Kiedy ludzie zaczęli się rozchodzić, do Amalii podeszła Hanna.

– Dzisiaj nic z tego – szepnęła.

– Jak to? – przestraszyła się młoda kobieta.

– Woźnica, który mógłby was zawieźć, jest kompletnie pijany, nie da rady go dobudzić. Znaleźliśmy innego, ale ten będzie mógł przyjechać dopiero jutro o świcie.

– No cóż, byle tylko przybył. Te kilka godzin może nie zrobi różnicy...

– Dam wam znać. Nie rozmawiajmy teraz za długo, obserwują nas.

Hanna odeszła, pozostawiając Amalię jeszcze bardziej podenerwowaną niż wcześniej. Dopiero teraz uciekiniarka uświadomiła sobie, jaką głupotą było odwlekanie ucieczki. Kiedy już się zdecydowała, kiedy liczyła się

każda godzina, nastąpiło to, co w takich sytuacjach zwykle się dzieje: nieprzewidziane przeszkody. Ale cóż, musiała czekać.

Po powrocie do zamku poszła do kaplicy i przez dwie godziny modliła się do Matki Boskiej o pomyślność przedsięwzięcia, o zdrowie i bezpieczeństwo córeczki. Wyszła stamtąd nieco uspokojona, odważniej patrząc w przyszłość. Zjadły razem z Katarzyną obiad, nie żałując sobie wina, więc humory trochę się im poprawiły.

Ale gdy zapadła noc, obie nie mogły zasnąć. Tobołki ustawiły już wieczorem przy furtce, zamaskowawszy je gałęziami, aby nie nosić ich o świcie.

– Będzie dobrze – wyszeptała w ciemnościach Amalia.

Leżały teraz obie z Katarzyną w jednym łóżu, żeby o świcie nie tracić czasu na niepotrzebne kręcenie się po korytarzach.

– Najważniejsze, że nie pada – odparła służąca. – Błoto na drodze bardzo by nas spowolniło, a po suchym szybko dojedziemy. Ważne, żeby ludzie Zbigniewa się nie zorientowali.

– Nie są zbyt rozgarnięci.

– Ale mogą nas zatrzymać.

– Może tu, na zamku, lecz gdy wyjedziemy, nie będą mieli prawa. To by było porwanie, gwałt w biały dzień.

– Prawem to oni się nie przejmują, pamiętajcie, pani, o Grzegorzu. I o wiosce Emeryka, którą spalili. W Bogu nadzieja, że bez wyraźnych rozkazów pana nie zdecydują się na pościg.

– Mam przeczucie, że się uda – odparła Amalia. – Dość już nieszczęść, to nie może trwać w nieskończoność.

Było jeszcze ciemno, gdy ktoś zapukał do drzwi.

Amalia ocknęła się z płytkiego snu, w którym przeżywała dalszy ciąg jawy, czyli emocje związane z ucieczką, w swoich majakach ujrzała nawet Zbigniewa, wchodzącego do komnaty.

Katarzyna była już na nogach i to ona otworzyła.

Na progu stał Jaśko.

– Już czas – powiedział.

W jaki sposób Hanna dała znak ogrodnikowi, że ma zawołać kobiety, Amalia nie miała pojęcia – ta staruszka nie przestawała jej zadziwiać. Tyle że nie było teraz czasu na takie rozważania. Wzięła na ręce owiniętą w koce Małgorzatę, która na szczęście mocno spała. Najciszej, jak potrafili, wyszli na korytarz. Platon ucieszył się z niespodziewanej akcji i zaczął radośnie podskakiwać, lecz Amalia szybko go uciszyła. Bała się, że pies zacznie szczekać i pobudzi mieszkańców zamku.

Jeżeli nawet ktoś pełnił wartę, to nie było widać strażnika.

Przypuszczalnie podczas nieobecności pana nie zwracano sobie głowy przestrzeganiem obowiązków. W prostych umysłach ludzi Zbigniewa nie mieściło się zapewne, że pani Amalia mogłaby czmychnąć z zamku. I dobrze. Ich lenistwo i brak wyobraźni ułatwiły ucieczkę. Wszyscy troje odetchnęli z ulgą, gdy już wydostali się na zewnątrz. Najgorsze było za nimi. Niebo na horyzoncie zaczynało się rozjaśniać, lecz wokoło wciąż panował mrok. Przeszli przez ogród, uważając, by nie robić hałasu.

– Zaraz będziemy bezpieczni – powiedział Jaśko, który już kiedyś skorzystał z tej furtki i szczęśliwie dotarł do Krakowa.

Oby to był dobry znak, pomyślała Amalia.

Katarzyna zarzuciła na ramię jeden z ukrytych pośród gałęzi tobołków, ogrodnik zabrał drugi. Potem otworzył furtkę i wyszli poza mury.

Robiło się coraz jaśniej, lada chwila powinno zacząć wschodzić słońce.

Z jednej strony było to niekorzystne, bo mogli zostać dostrzeżeni z murów, z drugiej jednak nie musieli posuwać się w całkowitych ciemnościach, po omacku, pośród gęstych zarośli. Co do strażników, Amalia była coraz bardziej pewna, że o tej porze śpią jak zabici. To godzina, gdy nawet najtwardszych morzy sen.

Gdy szli między krzakami i drzewami w kierunku wsi, mała zaczęła cicho popłakiwać, ale zdążyli już na tyle się oddalić od zamku, że nawet gdyby ktoś tam czuwał, pewnie by nie usłyszał. W miarę jak szli, Amalię opuszczał lęk, a w jego miejsce pojawiło się poczucie swobody i szczęścia. Wreszcie opuszczała to miejsce na zawsze. Tyle ponurych miesięcy tutaj spędziła, tyle nieprzespanych nocy. Mimo że spotkała tu także wspaniałych ludzi, pragnęła już tylko znaleźć się jak najdalej od Roźnowa.

Wschodziło słońce, śpiewały ptaki, a jej było coraz lżej na duszy, jakby opuszczała strefę mroku i rozpoczynała nowe życie.

We wsi czekała już na nich Hanna.

– Przyjechał? – wydyszała Amalia.

– Tak, czeka pod figurą – odparła staruszka.

– Bogu niech będą dzięki.

– Macie coś do jedzenia?

– Tak, zabrałam z kuchni chleb, ser i kiełbasę. I jedzenie dla dziecka.

– Ja też wam coś przygotowałam. – Hanna podniosła rękę, w której trzymała zawiniątko.

– Dziękuję, nigdy wam się chyba nie odwdzięczę.

– Gadanie... Dobrze, nie ma czasu. Zaprowadzę was do woźnicy. Młody i niepijący. Zna drogę, bo często jeździ do Krakowa z rybami.

Ruszyli piaszczystą drogą w kierunku zagajnika.

Amalia była w takiej samej prostej wełnianej sukni jak Katarzyna, można by pomyśleć, że to dwie wiejskie dziewczyny wędrujące od wsi do wsi w poszukiwaniu pracy. Droga biegła między drzewami, zrobiło się wilgotniej, wokoło unosił się zapach ziemi, grzybów i wilgotnych liści.

Amalia znów poczuła napięcie, byli już tak daleko, bała się, że w ostatniej chwili nastąpi jakieś nieszczęście.

Obawiała się zwłaszcza odgłosu rogu, który oznaczałby, że odkryto ich ucieczkę. Lecz wokół panowała cisza, jeśli nie liczyć szeleszczących wśród zarośli ptaków. Droga łagodnie skręciła w prawo i już z daleka ujrzeli wóz. Ku radości Amalii okazał się kryty płócienną budą i zaprzężony nie w jednego, ale w dwa konie. Woźnica, w kapeluszu z szerokim rondem, siedział na poboczu i rzucał kamykami w drzewo. Gdy ujrzął nadchodzących ludzi, zerwał się na równe nogi.

Całkiem już się rozwidniło. Podeszli do wozu, mężczyzna zdjął kapelusz.

– To wszyscy? – spytał.

– Jadą tylko te dwie damy i dziecko – poinformowała go Hanna.

– I tylko tyle bagażu? – spytał, patrząc na tobołki.

– Tak – odparła zdyszana Amalia.

– No to łatwo pójdzie, bo mały ciężar.

Pomógł załadować rzeczy. Małgorzata znów zaczęła płakać, tym razem głośniejsze, więc Amalia wsunęła jej do buzi kawałek chleba i podeszła z nią do konia – dziecko natychmiast się uspokoiło.

– A ten kundel? – spytał znów woźnica.

– Jedźcie z nami – powiedziała Katarzyna. – Ale jak go znam, będzie biegł obok wozu.

– A na co on?

– Nie wasz interes.

– Jedźcie już, rozmawiać możecie po drodze – upomniała ich Hanna.

Przy pomocy ogrodnika obie uciekinierki i Małgorzata znalazły się wreszcie na wozie.

– Hanno – powiedziała Amalia. – Jeszcze raz dziękuję za wszystko, bez was bym przepadła. Macie tu za wynajęcie wozu. – Wręczyła staruszce woreczek z pieniędzmi. – Zbigniew wam nie zrobi krzywdy. Zresztą królowa przyśle tu swoich ludzi.

Hanna przyjęła pieniądze i spojrzała na nią poważnie.

– Mówiłam już, że jestem za stara, by lękać się tego zbója. Niech mnie nawet zatłucze, nie dbam o to, swoje przeżyłam. Najważniejsze, żeby dziecko było bezpieczne.

– Jaśku, tobie też dziękuję. – Amalia na koniec zwróciła się jeszcze do ogrodnika i jemu też podarowała kilka monet. – Powiem na Wawelu, jak dobrze znasz się na roślinach, może zatrudnią cię na zamku. Razem z żoną, bo do tego czasu pewnie już się ożenisz.

– Na Wawlu? Ale ja nie umiem czytać... – bąknął wyraźnie speszony chłopak. – A tam tylko nauczonych trzymają, jakżem kiedyś słyszał.

– Jakoś chyba tę przeszkodę ominiemy.

Woźnica wskoczył na kozioł, pogonił konie.

Wóz zachybotał się na nierównej drodze, jego kołysanie sprawiło, że Amalia odczuła skutki nieprzespanej nocy i natychmiast ogarnęła ją senność. Szybko zapadła w drzemkę. Gdy się zbudziła, dochodziło już południe, słońce mocno przypiekało. Jechali wśród jakichś pól pod olbrzymim błękitnym niebem. Katarzyna zabawiała małą Małgorzatę, robiąc śmieszne miny. Platon musiał w międzyczasie wskoczyć na wóz, bo leżał teraz w kącie, z pyskiem wtulonym między przednie łapy, i spał. Skrzypiały drewniane koła, parskały konie, dzwoniła uprzęż.

– Jak daleko ujechaliśmy? – spytała Amalia.

– Nie wiem – odrzekła służąca. – Na moje oko będzie już spory kawałek.
– Chyba się uda. – Amalia usiadła, opierając się o swój tobołek. Ziewnęła.
– Zdążyliśmy w ostatniej chwili.

– Ano.

Zjadły trochę sera, popiły wodą. Katarzyna nakarmiła Małgorzatę już wcześniej, teraz miała siedziała obok Platona i ze śmiechem targała go za uszy. Kiedy zauważyła, że zaczyna mu sprawiać ból, niezdarnie nachylała się nad psem i całowała bolące miejsca. Cierpliwy zwierzak znosił to wszystko ze stoickim spokojem, przyzwyczajony do tego rodzaju zabaw i pieszczot. Uciekinierki zaczęły rozmawiać o tym, jak wspaniale będzie znowu zamieszkać na zamku.

– Tęsknię za tamtym gwarem – powiedziała Katarzyna z rozmarzeniem. – Na Wawelu ciągle spotyka się nowych ludzi.

– Szybko ci to zbrzydnie – uśmiechnęła się Amalia.

– Pewnie tak. Ale do tego okropnego Roźnowa nie wróciłabym za żadne skarby, nawet gdyby ten drań, wasz małżonek, zrobił światu przysługę, spadł z konia i skręcił sobie kark.

Amalia dobrze ją rozumiała, sama czuła podobnie.

Przypomniała sobie teraz, jak przebywała tę samą drogę, tylko w przeciwnym kierunku. Jako oblubienica, świeżo upieczona mężatka. Pełna obaw, ale i naiwnych złudzeń, że uda jej się w Roźnowie stworzyć dom. No cóż, rzeczywiście była naiwna. Od pierwszego spotkania ze Zbigniewem widziała przecież, że to prostak i brutal, więc na co właściwie liczyła? Że przy niej się zmieni? Wysubtelnieje? Tyle że kto mógł przypuszczać, jak bardzo jest szalony...

I że jest rozbójnikiem oraz zwykłym mordercą.

Nawet Jadwiga o tym nie wiedziała. Właśnie, Jadwiga. To królowa stała za tym małżeństwem, wręcz je wymusiła, więc teraz na pewno jej pomoże. Kiedy usłyszy o tym wszystkim, zwłaszcza o Grzegorz, nie może pozostać obojętna. Zawsze kierowała się sprawiedliwością. Może ich relacje od czasu fatalnej śmierci brata Alberta rozluźniły się, ale przecież Hedwig nie pozwoli, by jej dawnej najbliższej przyjaciółce działa się krzywda.

Była jeszcze jedna rzecz, która napełniała serce Amalii otuchą: po powrocie do Krakowa spotka się wreszcie z Mildą. Ciekawe, jak tamta radzi sobie w Kazimierzu? Tyle miały sobie do opowiedzenia.

Będzie dobrze, powtarzała jak zaklęcie.

Będzie dobrze.

Po południu zrobili postój obok jakiegoś przydrożnego zajazdu. Woźnica napoił konie przy studni, kobiety zeszły z wozu, aby rozprostować nogi. Okolica, w której się znaleźli, nie przypominała już terenów wokół Rożnowa. Zamek Zbigniewa coraz bardziej się oddalał i zacierał, jakby to był tylko zły sen.

– Ile ujechaliśmy? – Amalia spytała woźnicy.

– Połowa drogi za nami.

– Czyli pod Krakowem będziemy wieczorem?

– Raczej nocą.

To niedobrze, pomyślała, bo wtedy nikt nie wpuści ich do miasta.

– Nie da się szybciej? – zapytała.

– Szybciej się nie da – odparł stanowczo. – Ostatnie deszcze tak rozmiękczyły ziemię, że niektóre trakty są nieprzejezdne. Muszę szukać objazdów, bo inaczej utkwimy w błocie na amen.

Wyruszyli w dalszą drogę. Gdy przejeżdżali przez jakąś wioskę, grupka obdartych dzieciaków obrzuciła wóz jabłkami. Jedno z nich utkwilo na płóciennym dachu wozu. Malcy biegli jeszcze jakiś czas za pojazdem, wymachując kijkami, wreszcie jednak się zmęczyli. Na razie była to jedyna przygoda podczas podróży.

Po zachodzie słońca wjechali w gęsty las. Natychmiast zrobiło się ciemniej, gałęzie drzew nie dopuszczały światła i z nieprzyjemnym odgłosem szorowały o dach. Kiedy po upływie kolejnej godziny zapadła ciemność, woźnica musiał zapalić pochodnię, żeby widzieć przed sobą drogę.

– Czemu to aż tak długo trwa? – niecierpliwiła się Amalia. – Gdzie my właściwie jesteśmy?

– Podobno woźnica zna drogę – odparła Katarzyna.

– A jeśli pobłądził? Przecież sam mówił, że musi szukać objazdu.

– Mam nadzieję, że nie...

– Skoro jesteśmy już blisko Krakowa, to powinno być więcej wozów.

– Prawda. To chyba nie jest główna droga. Zresztą ktoś za nami jedzie. Spójrzcie, pani, widać blask pochodni.

– Jaki blask? – Amalia poczuła ukłucie niepokoju. Wyrzała z wozu.

Za nimi, w ciemności między drzewami, widać było pomarańczową poświatę. Musieli to być konni.

– Katarzyno... – szepnęła.

– Nie, to nie może być to – odparła dziewczyna, lecz jej głos nie brzmiał zbyt pewnie. – Jakieś poselstwo?

Wtedy do uszu Amalii doszedł tętent koni, potem pokrzykiwania. Z przerażeniem patrzyła na czarne sylwetki jeźdźców, którzy galopem zbliżali się do wozu. Kurczowo trzymała się jeszcze nadziei, że to eskorta jakiegoś poselstwa, która chce dać znać woźnicy, by zjechał na bok i zrobił miejsce.

Jeźdźcy wyprzedzili wóz, woźnica wstrzymał konie. Stanęli pośród ciemności, rozświetlonej tylko blaskiem palących się pochodni.

– O co chodzi? – Amalia wychyliła głowę z wozu. – Jestem dwórką królowej. Jakim prawem...

Jeden z konnych podjechał na tył pojazdu, miał na głowie hełm z opuszczoną przyłbicą, jakby szykował się do rycerskiego turnieju.

– Kim jesteście? – zapytała słabym głosem.

Rycerz podniósł przyłbicę. W tym świetle nie mogła dostrzec jego twarzy, mimo to ogarnął ją chłód.

– Nie rozpoznajesz, pani, swojego męża? – Odebrał pochodnię z ręki jednego z jeźdźców i oświetlił swą twarz. – To przecież ja, Zbigniew, pan na Rożnowie. Bardzo to smutne. Równie smutne jak to, że wyjechałyście bez pożegnania.

– Ale jak...? – spytała bezgłośnie.

– Moja najdroższa żono – odezwał się miękko, łagodnym głosem, jakby przemawiał do dziecka. – Nie musisz się już więcej lękać. Wszystko będzie dobrze.

– Nie rozumiem.

– Zabieram cię do domu.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

KRAKÓW, PAŹDZIERNIK 1392

Jesień zrobiła się paskudna, deszczowa i zimna, na Wawelu nastały posępne, nudne dni, dlatego też niespodziewane przybycie na krakowski dwór poselstwa i gości z Florencji uradowało wszystkich w zamku, łącznie z królową.

Przybysze ze słonecznej Italii zawsze byli tu mile widziani, postrzegano ich jako przedstawicieli najwyższej europejskiej kultury, od których można się dowiedzieć wszystkiego, co należało wiedzieć o najnowszych tendencjach i kierunkach w polityce, filozofii, naukach przyrodniczych, sztuce czy nawet zwykłej modzie. Należeli jakby do innego, lepszego świata, krainy poetów, malarzy, architektów, filozofów.

Pośród gości, którzy pewnego pochmurnego październikowego poranka zajechali swymi bogato zdobionymi wozami do Krakowa, znajdowało się kilku patrycjuszy, wielu szlachciców, a także bajecznie bogatych bankierów i sukienników. Chcieli ujrzeć królową, o której piękności i pobożności zaczęły już w Europie krążyć legendy, ale przede wszystkim umocnić swoją pozycję w Królestwie Polskim. Wcześniej przebywali przez miesiąc w Pradze, na Hradczanach, nie mogli więc ominąć Krakowa, stolicy coraz potężniejszego państwa polsko-litewskiego.

Przywieźli wspaniałe dary: drogocenne księgi, złote naczynia, broń, a nade wszystko kaskady błyszczących brokatów i zwoje miękkiego sukna, tkanego we Florencji z angielskiej wełny i farbowanego na kolory brzoskwini, szkarłatu lub fioletu. O ile Wenecja słynęła z handlu futrami, o tyle Florencja stawała się powoli najważniejszym ośrodkiem produkcji i sprzedaży jedwabiu, wełny oraz jedwabiu przetykanego srebrem, miastem zaopatrującym w swe wyroby Rzym, Neapol, Hiszpanię, Konstantynopol, Saloniki, Rodos, a także wiele innych miejsc.

Tak, ci ludzie potrafili prowadzić interesy.

Większość florentczyków znalazła kwatery w kamienicach bogatych krakowskich mieszczan, najznaczniejszym jednak, przede wszystkim posłom, sędziwym patrycjuszom i odzianym w powłóczyste szaty przedstawicielom rodu Medyceuszy, przydzielono gościnne komnaty na Wawelu.

Królowa osobiście witała się z każdym z przybyłych, ubrana w swą zieloną adamaszkową suknię, w czepcu ozdobionym perłami, w bucikach ze złotymi klamrami. Pragnęła uczynić jak najlepsze wrażenie na gościach z kraju, do którego od dzieciństwa tęskniła, zwłaszcza gdy planowano jeszcze, że zasiądzie na tronie w Neapolu.

I takie właśnie wrażenie zrobiła.

Wyglądała olśniewająco – wysoka, piękna, dumnie wyprostowana – przybysze z południa spoglądali na nią z zachwytem, tym większym, że dotarli już do nich wieści, jak wykształcona i utalentowana politycznie jest królowa tego jeszcze do niedawna prowincjonalnego królestwa, małżonka niedawnego poganina.

Rzeczywiście, Jadwiga nie była już tą przestraszoną gąską, którą panowie krakowscy mogli traktować z pobłażliwą wyrozumiałością.

Stała się prawdziwą władczynią, pełną godności i pewną siebie. Stwardniała pod wpływem nieszczęść i przeciwności losu: niesławnej śmierci matki, krzyżackiej i austriackiej propagandy, próbującej zrobić z niej ladacznicę, a także podejrzeń i niechęci Jagiełły. Wszystkie te ciosy nie tylko jej nie złamały, lecz przeciwnie – sprawiły, że bardzo szybko wydorosła.

A teraz prowadziła grę już na własnych zasadach.

Dla wielu musiało to być sporym zaskoczeniem. Do tej pory znana była głównie ze swej pobożności i zamiłowania do ksiąg. Podobnie jak jej babka, Elżbieta Łokietkówna, modliła się siedem razy dziennie i uczestniczyła w mszach świętych. Czytała homilie doktorów Kościoła, a także od niedawna prowadziła dysputy z teologami. Jeśli jednak ktoś

myślał, iż z tego powodu oderwała się od zwykłego świata i we wszystkich sprawach będzie łagodna jak baranek, to srodze się mylił.

Już jako piętnastolatka pokazała pazurki: posyłała listy do Ojca Świętego, wypominając mu śmiało, iż jego urzędnicy nazbyt swobodnie poczynają sobie w polskich sprawach, narażając jej królestwo na pośmiewisko w oczach całego kontynentu. Gdy trzy lata temu Bonifacy IX zastąpił na Piotrowym tronie Urbana VI, także i z nim korespondowała odważnie, skłaniając nowego papieża do wielu ustępstw wobec Korony, nade wszystko do ogłoszenia specjalnego odpustu w Polsce na większość roku Pańskiego tysiąc trzysta dziewięćdziesiątego drugiego.

Dostało się też niedawno kapitule katedralnej w Krakowie, kiedy ta nie awansowała jednego z kapelanów królowej – decyzję trzeba było natychmiast zmienić. Z podobnym zaangażowaniem Jadwiga walczyła o wszystkich swoich ludzi na dworze, nierzadko robiąc awantury, i najczęściej zwyciężała. Ponieważ swojego męża widywała rzadko, zaczęła prowadzić własną, odrębną politykę.

A pomysłów miała aż nadmiar.

Przede wszystkim wciąż pragnęła stworzyć w Krakowie uniwersytet. Między innymi pod wpływem relacji Szymka na nowo zajęła się tym projektem. Planowała wykupienie nieruchomości w okolicy kościoła Świętej Anny oraz gminy żydowskiej, aby w tym rejonie wznieść budynki przyszłej uczelni. To śmiałe przedsięwzięcie, do tego kosztowne i ryzykowne, łatwo mogło się zakończyć porażką, lecz Jadwiga Andegaweńska była zdeterminowana. Stolica jej królestwa musiała mieć swój uniwersytet.

Zamierzała również utworzyć w zamku duże skryptorium, zatrudnić kopistów oraz iluminatorów, by wykonywali dla niej księgi, które potem mogłaby wysyłać do świeżo powstałych kościołów na Litwie oraz Rusi. No i nie zapomniała o najbiedniejszych, prowadziła rozmowy z wieloma wojewodami, kasztelanami oraz biskupami w sprawie założenia w różnych miastach szpitali dla najuboższych.

Na koniec Jadwidze udało się zrewanżować samemu Wilhelmowi rakuskiemu, który tak uporczywie ją oczerniał w całej chrześcijańskiej Europie. Przed samym papieżem oskarżyła niedoszłego małżonka o zbójcki napad na polskich pielgrzymów udających się do Rzymu, przez

co Wilhelm zyskał na europejskich dworach miano zwykłego rabusia i jego oceny mocno spadły.

Jadwiga miała dopiero osiemnaście lat, a już zdążyła pokazać swą siłę. Ulubienica babki, „królowej kikuty”, okazała się równie jak ona odważna i przedsiębiorcza. A to był przecież dopiero początek.

Do pełni szczęścia brakowało jej tylko męskiego potomka, następcy tronu...

W dniu przyjazdu poselstwa z Italii zaplanowano na wieczór powitalną ucztę z tańcami.

Musiała być wyjątkowo wystawna, ponieważ światowi goście nie mogli sobie przecież pomyśleć, że znaleźli się gdzieś na obrzeżach cywilizacji, gdzie brakuje wyrafinowania. Jadwiga wzięła sprawy w swoje ręce i nawet osobiście doglądała prac w kuchni. A więc na stoły powędrować miały skowronki przyrządzone z gruszkami, pawie duszone w sosie własnym, dziczyzna, pieczone bażanty, mięsne galarety, ciasteczka ryżowe. Do tego oczywiście mnóstwo owoców i słodkich wypieków. Królowa zadbała też, by nie zabrakło zagranicznych win, białych i czerwonych. Sama chętnie piła piwo, lecz uznała, że napój ten jest zbyt pospolity na podobną okazję.

Zaczęto też rozsyłać zaproszenia. Otrzymali je najważniejsi ludzie na dworze – tacy jak choćby Spytko z Melsztyna, herbu Leliwa – ale władczyni nie zapomniała także o swojej byłej dwórcie, Mildzie. Zaprosiła ją osobiście, przyszedłszy do apteki w towarzystwie dwóch dam.

Początkowo dziewczyna się przestraszyła.

- Pani, nie mam odpowiedniej sukni – powiedziała.
- Coś na to poradzimy.
- Zapomniałam, jak się tańczy.
- Przypomnisz sobie.
- Nie pasuję tam.
- Rozumiem, że gardzisz takimi płochymi rozrywkami?
- Nie, nie o to chodzi. Nie mam już wśród dworzan żadnych znajomych.
- I w tym właśnie rzecz. Musisz wyjść do ludzi, a nie przesiadywać w aptece, tylko w towarzystwie kota, jakbyś była już czterdziestoletnią staruszką. Będzie Mikołaj.

Milda drgnęła.

– Jaki Mikołaj? – spytała, niezbyt przekonująco udając niezrozumienie.

– Nie żartuj. Przecież wiesz, syn rajcy i kupca.

– Tym bardziej nie pokażę się tam... z takimi włosami.

– Powiedziałam: zajmiemy się tym.

– Pani...

– Nie apróbuję odmowy.

Milda zdała sobie sprawę, że z królową nie wygra. W dodatku perspektywa spotkania z Mikołajem wydała jej się teraz bardzo pociągająca. Mimo że od tygodni starała się przepędzić z głowy wszelkie myśli o nim, te powracały, powodując dziwne dla dziewczyny uczucie ściskania w dołku.

Ostatecznie królowa zaprowadziła ją do komnaty, gdzie przechowywano suknie dla dwórek, i pomogła wybrać odpowiednią: szafirową, z dużym prostokątnym dekoltem, sznurowaną po bokach, z wąską talią, wąskimi, zapinanymi na guziczki rękawami i szerokim dołem. Do tego dobrały sznur pereł, pierścienie i eleganckie buciki. Potem królowa kazała sprowadzić kobietę, która zajęła się fryzurą Mildy. Piękne jasne włosy, ujęte w siatkę ze złotych nici, spłynęły na plecy dziewczyny, a jej czoło ozdobiła cienka, również złota obręcz.

Po wszystkich zabiegach Jadwiga spojrzała na swoją byłą dwórkę i rzekła:

– Wyglądasz zachwycająco.

– Ale nie jestem sobą – odpowiedziała dziewczyna, spoglądając w zwierciadło. Wciąż miała mieszane uczucia, ale – jak każda kobieta – była zadowolona ze swej metamorfozy.

– Na takich uroczystościach nikt nie jest sobą – odparła poważnie monarchini.

Zamkowa sala jadalna, dobrze już ogrzana, udekorowana drogimi tkaninami, miejscami obita złotogłowie i rzęście oświetlona, powoli napępniała się gośćmi.

Szeleściły ciężkie suknie, trzepotały wachlarze z pawich piór, przejrzyste welony przypięte do wysokich stożkowatych nakryć głowy dam unosiły się

w przeciągach jak mgiełka. Rozmawiano po polsku, włosku, niemiecku i rusku, florency goście żywo gestykulowali, słyhać było śmiechy, lutnicy dyskretnie stroili instrumenty.

Gwar ucichł, gdy do sali wkroczyła królowa w towarzystwie małżonka; ich wejście poprzedził hejnał trębacza.

Jadwiga była w sukni ze złocistego jedwabiu, uszytej zgodnie z zachodnią modą, z trenem, który podtrzymywały dwie małe dwórki, włosy miała rozpuszczone. Jagiełło nosił ciemny, bogato haftowany płaszcz spięty srebrną klamrą. Jadwiga była wyższa od króla, ale i bez tego przyciągała całą uwagę zgromadzonych. On natomiast sprawiał wrażenie, jak gdyby czuł się niezręcznie w niecodziennym dla siebie stroju, pośród całego tego dworskiego splendoru, fletów, lutni oraz innych przejawów zniewieścienia, jak sam to często określał. Wolał prostsze zabawy i zwykłe jedzenie, takie jak pierogi lub flaki, lepiej też czuł się w towarzystwie wiernych towarzyszy, wojowników i myśliwych niż obcych, których mowy ani zwyczajów nie pojmował.

No, ale dzisiejszego wieczora musiał się poświęcić.

Gdy tylko para królewska zajęła swoje miejsca pod baldachimem, uczta oficjalnie się rozpoczęła. Milda siedziała daleko od Jadwigi i Władysława, tuż przy ścianie, w towarzystwie dwóch dwórek, które pamiętała jeszcze z dawnych czasów – Aldony i Klary. Jednak trudno jej było odnaleźć z nimi wspólny język. Dziewczyny wydawały się speszone niespodziewaną obecnością Litwinki na uczcie, ona też nie wiedziała, o czym mogłaby teraz z nimi rozmawiać. Przyglądała się florentczykom oraz ich damom – dumnym kobietom o szaropopielatych lub czarnych włosach, przystrojonych girlandami kwiatów – lecz przede wszystkim prawie bezwiednie szukała wzrokiem Mikołaja.

Nie mogła go jednak dostrzec. Czyżby nie przybył na ucztę?

Owszem, młodzieńcy z Italii byli urodziwi, zgrabni, o długich trefionych włosach, „rzymskich nosach” i marzycielskich oczach, nosili wytworne kaftany i wąskie spodnie o różnobarwnych nogawkach, lecz w tej chwili niewiele Mildę interesowali. Czasami ten czy ów rzucił jej śmiałe spojrzenie lub uśmiech, nie starała się jednak podtrzymywać kontaktu wzrokowego.

Kiedy na galerii rozbrzmiała hałaśliwa muzyka i nastąpiły obowiązkowe tańce, miała ochotę gdzieś się ukryć. Nie pamiętała już figur, w dodatku

drażnił ją jazgot piszczałek i narastający gwar głosów, ale od stołów powstali wszyscy młodzi, więc siedząc tak samotnie, tylko zwracały na siebie większą uwagę.

Chcąc nie chcąc, również ruszyła w tany.

Na szczęście pierwszy taniec, przygotowany specjalnie z myślą o gościach, był włoski i nie tylko ona nie знаła kroków. Polacy, pośród śmiechów, próbowali dostosować się jakoś do skocznej muzyki, obserwując ruchy gości z Florencji. Po tym chwilowym zamieszaniu wszyscy się jednak odnaleźli, ponieważ następny taniec okazał się znajomy. Wtedy też Milda postanowiła dyskretnie wymknąć się z sali.

Znalazła się na krużgankach, pośród psów, regularnie przepędzanych od stołów, oraz starszych mężczyzn, którzy od tańca woleli rozmowy. Było chłodno, skuliła więc ramiona. Nie mogła stać tutaj zbyt długo w wydekoltowanej cienkiej sukni. Nie bardzo też miała ochotę wracać na ucztę. Hałas ją drażnił, jeśli zaś chodzi o wyszukane potrawy, jakie podano, to odwykła od podobnych dań. Od rozpoczęcia uczyty skubnęła tylko kilka winogron, zjadła ryżowe ciastko i wypła trochę wina.

Skoro go tu nie ma, to po co się męczyć? – stwierdziła rozczarowana.

Wróciła do sali z mocnym postanowieniem, że chwilę jeszcze pokręci się wśród gości, a potem wyjdzie, wymawiając się bólem głowy. O ile oczywiście ktoś to w ogóle zauważy.

I wtedy go zobaczyła.

Mikołaj zmienił się trochę, miał teraz małą starannie utrzymaną bródkę, ale mimo to go poznała.

Stał w grupce dyskutujących o czymś młodych mężczyzn, ale nie wyglądał na zbyt zainteresowanego rozmową. Kiwał machinalnie głową, rozglądając się przy tym dokoła, jakby kogoś szukał. Na jej widok wprost zamarł z zachwytu, widziała to doskonale. Przez chwilę stał oszołomiony, a potem pożegnał swoich towarzyszy i zaczął się przepychać przez tłum gości w jej stronę.

Niemal zapomniała, jak piękne i nieziemsko zielone miał oczy.

Biło od nich coś, co sprawiło, że zalała ją fala gorąca. Wyglądał pięknie w swoim aksamitnym granatowym kaftanie, wатовanym i pikowanym, oraz w obcisłych spodniach w niebieskie pasy, ale na więcej szczegółów nie była w stanie zwrócić uwagi. Widziała tylko te oczy i usta, otoczone teraz czarnym, miękkim zarostem. Te usta coś mówiły, lecz nie słyszała słów.

Albo raczej ich nie rozumiała.

– Szukałem cię wszędzie, litewska wojowniczo – powtórzył Mikołaj, sądząc, że z powodu panującego wokół gwaru dziewczyna w pierwszej chwili go nie usłyszała. – Wyglądasz zachwycająco, jesteś dzisiaj nieziemsko urodziwa.

Ja też cię szukałam, Mikołaju! – zamierzała wykrzyknąć na cały głos, szczęśliwa, że w końcu go widzi, ale się powstrzymała. Nie chciała wyjść na głupiutkie dziewczę, zachwycone spotkaniem z pięknym młodzieńcem, który zwrócił na nią uwagę. Tyle że teraz właśnie tak się czuła. Niemal wbrew sobie. Zawsze nieufna wobec ludzi, opanowana, uważająca się za poważną i nieprzystępną – do tej pory nie spotykała się z żadnym chłopcem ani mężczyzną – topniała w tej chwili jak wosk.

I było to cudowne uczucie.

Wymykało się rozumowi, albowiem Mikołaj był, co tu kryć, nieco bezczelny, a przynajmniej bardzo pewny siebie, a ona za takimi ludźmi zazwyczaj nie przepadała. Zwłaszcza jeśli mieli bogatych ojców i dzięki temu wszystko w życiu przychodziło im bez trudu. Cóż jednak mogła począć, jeśli ta jego śmiałość i bezceremonialność miały w sobie tyle naturalności i wdzięku?

– Dziękuję – powiedziała tylko, skromnie schylając głowę.

– Rumienisz się.

– To z gorąca.

– Akurat.

Muzycy zaczęli znów grać.

– Pozwolisz? – Mikołaj ujął delikatnie jej dłoń, a Milda nie zaprotestowała. Wraz z innymi uczestnikami dołączyli do zaczynającego się tańca.

Milda miała już okazję oglądać pląsy prostych ludzi na placach Krakowa, żywe, z głośnym tupaniem, okrzykami i podskokami. Tutaj nie wypadało tupać, zresztą byłoby to trudne przy butach z długimi, zakręconymi

noskami i w sukni aż do ziemi. Ten układ kroków był stonowany i łagodny, pełen dostojności. Zdarzało jej się nieraz uczestniczyć w ucztach z tańcami, kiedy jeszcze była dwórką, ale raczej obserwowała, niż brała w nich udział.

Teraz stało się inaczej i stwierdziła, że jest to bardzo przyjemne doświadczenie. Mówiąc bez ogródek, była chyba najszcześniejszą osobą w tej sali.

Zwłaszcza gdy obok...

– Mildo – zaczął poważnie Mikołaj, kiedy znów mieli okazję zetknąć się końcami palców w tańcu. – Muszę ci coś wyznać.

– Właśnie teraz?

– Ostatnio trudno cię złapać. Wykorzystuję więc okazję.

Tańczący korowód znów ich rozdzielił.

Przez kilka chwil, kiedy byli od siebie oddaleni, umierała z ciekawości, co też zamierza jej powiedzieć.

Kiedy kolejna figura tańca znów ich połączyła – po, jak się Mildzie zdawało, nieskończonym czasie – Mikołaj powiedział:

– Od naszego pierwszego spotkania nie mogę przestać o tobie myśleć.

– To spotkanie było raczej...

– Nieważne. Od razu dostrzegłem, że jesteś wyjątkowa, nigdy nikogo takiego nie spotkałem.

Pomyliła krok, zgubiła rytm, przez co jakiś rudy florentczyk przypadkowo uderzył ją barkiem i zepchnął nieco na bok, a pomiędzy nią a Mikołajem wyrosła inna para. Znowu ich rozdzielono.

Kątem oka, poprzez ten tłum, zobaczyła siedzącą na podwyższeniu królową. Jadwiga uśmiechała się do niej życzliwie i jakby znacząco.

Czy wszyscy to widzą? – złękła się Milda. Muszę mieć dziecięcy zachwyty wypisany na twarzy. Gdy znów stanęła naprzeciw Mikołaja, przybrała dostojną minę.

– To bardzo miłe – powiedziała.

Ależ to głupio zabrzmiało! – od razu rozżłościła się na samą siebie.

– Kiedy uciekłaś do Izraelitów, byłem wręcz chory.

Tym razem ugryzła się w język, aby znowu nie odpowiedzieć konwencjonalną formułką. Niech on mówi.

Niech nie przestaje mówić.

– Przemyślałem to – kontynuował – i uznałem, że jedynym lekarstwem na tę moją chorobę jest...

Musieli teraz zrobić krok do tyłu, każde w przeciwnym kierunku, i klasnąć.

– Małżeństwo z tobą! – Mikołaj nie zjechał, aż do siebie powrócą, tylko krzyknął, przyciągając zaskoczone spojrzenia tancerzy obok.

Krew uderzyła jej do głowy.

– Nie żartujcie sobie ze mnie, panie – odparła, nagle czujna.

Tego rodzaju propozycja, w dodatku tak głośno wypowiedziana, wydała jej się teraz czymś niewłaściwym, przestraszyła się, że Mikołaj po prostu sobie z niej kpi, że zaraz ucichnie muzyka, a wszyscy wokół roześmieją się z jego żartu oraz jej naiwności.

Lecz on wydawał się śmiertelnie poważny, mało tego, jego zwykle zuchwały wyraz twarzy zniknął, a pojawiło się coś, co wyglądało na mieszaninę niepewności i wyczekiwania. Spoglądał na Mildę jak psiak domagający się uwagi.

– Ja nie żartuję... – powiedział.

Przestali tańczyć i stanęli nieruchomo obok płasających par, jakby zapominając o wszystkim wokół. Inni tancerze patrzyli na nich zirytowani, gdyż zakłócali płynność kolejnych figur, ale oni zdawali się tego nie dostrzegać.

– Ledwo się znamy – rzekła Milda.

– Nie proszę, byś odpowiedziała od razu.

– Dzieli nas...

– To nie ma znaczenia.

– Wasz ojciec...

– Jestem już dorosły. A więc?

– Muszę to przemyśleć – wykrztusiła przez zaciśnięte gardło. Miała wrażenie, że zaraz zemdleje. W skroniach jej pulsowało.

– Naturalnie – odparł Mikołaj, ale jego głos dotarł już do niej jakby z oddali.

Nagle muzyka ucichła.

Umilkł też gwar zebranych w zamkowej sali ludzi.

Milda rozejrzała się zaskoczona, usiłując odgadnąć przyczynę tej zmiany. Zobaczyła tylko, że obraz stojącego przed nią Mikołaja zaczyna blednąć i falować. Widziała jego otwierające się usta, ale nie słyszała już słów. Z każdą chwilą stawał się coraz bardziej przezroczysty, aż w końcu zniknął na dobre.

To samo stało się z pozostałymi uczestnikami królewskiej uczy. Usłyszała dziwny szum, wszystko dokoła zaczęło wirować. Sala kurczyła się, była coraz mniejsza i mniejsza.

W końcu i ona zniknęła.

Zrobiło się przeraźliwie zimno.

Milda znalazła się w jakimś ponurym i ciasnym pomieszczeniu. Wyraźnie widziała chropowate kamienne ściany nieznannej jej komnaty, a w kącie skuloną postać młodej kobiety. A może dziewczyny, nie potrafiła rozpoznać, chociaż ta wydawała się dziwnie znajoma.

Czarne splątane włosy zakrywały jej twarz, biedaczka wyraźnie drżała, może z zimna, ze strachu czy z bólu. Milda wiedziała, że nie dzieje się to naprawdę, że to tylko wizja, ale odruchowo wyciągnęła rękę w stronę kobiety i z nieprzyjemnym uczuciem zauważyła, że jej dłoń przechodzi przez ciało tamtej jak przez lustro wody.

Obraz zafalował, zmarszczył się niczym powierzchnia stawu, ale po chwili znów ułożył się w postać młodej kobiety, która powoli, jakby w koszmarnym śnie, zaczęła unosić głowę.

– Kim... – Milda zamarła w pół zdania. Już nie musiała pytać.

Spod splątanych włosów wyłoniła się blada i przerażona twarz Amalii.

Do uszu Mildy znów zaczęły docierać odgłosy zabawy, przestrzeń wokół wypełniła się tańczącymi w rytm muzyki gośćmi. Rozejrzała się bezradnie, szukając przyjaciółki, ale ta już rozplynęła się w powietrzu.

– Co się stało, Mildo? – Mikołaj wciąż stał przed nią. W jego oczach malował się teraz niepokój. – Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha.

Odwróciła się bez słowa i wybiegła na krużganek. Musiała ochłonać. Zdezorientowany Mikołaj pobiegł za nią.

– Czyżby tak cię przestraszyło moje wyznanie? Wybacz, jeśli...

Milda wyglądała tak, jakby dopiero teraz go zauważyła. Pokręciła gwałtownie głową.

– Nie, to nie to! Miałam straszną wizję.

– Dotyczącą naszej przyszłości? – Na jego twarzy pojawił się wyraz smutku, ale go nie zauważyła, wpatrując się z przerażeniem w ciemności za plecami Mikołaja.

– Czuję, że moja przyjaciółka znalazła się w ogromnym niebezpieczeństwie – powiedziała głuchym głosem. – I potrzebuje pomocy.

Koniec tomu drugiego

Spis treści

Część pierwsza. WYGNANIE

ROZDZIAŁ PIERWSZY

ROZDZIAŁ DRUGI

ROZDZIAŁ TRZECI

ROZDZIAŁ CZWARTY

ROZDZIAŁ PIĄTY

ROZDZIAŁ SZÓSTY

ROZDZIAŁ SIÓDMY

ROZDZIAŁ ÓSMY

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Część druga. W POTRZASKU

ROZDZIAŁ PIERWSZY

ROZDZIAŁ DRUGI

ROZDZIAŁ TRZECI

ROZDZIAŁ CZWARTY

ROZDZIAŁ PIĄTY

ROZDZIAŁ SZÓSTY

ROZDZIAŁ SIÓDMY

ROZDZIAŁ ÓSMY

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Część trzecia. PRÓBA OGNIA

ROZDZIAŁ PIERWSZY

ROZDZIAŁ DRUGI

ROZDZIAŁ TRZECI

ROZDZIAŁ CZWARTY

ROZDZIAŁ PIĄTY

ROZDZIAŁ SZÓSTY

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Część czwarta. POWROTY

ROZDZIAŁ PIERWSZY

ROZDZIAŁ DRUGI

ROZDZIAŁ TRZECI

ROZDZIAŁ CZWARTY

ROZDZIAŁ PIĄTY

ROZDZIAŁ SZÓSTY

ROZDZIAŁ SIÓDMY

ROZDZIAŁ ÓSMY

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY